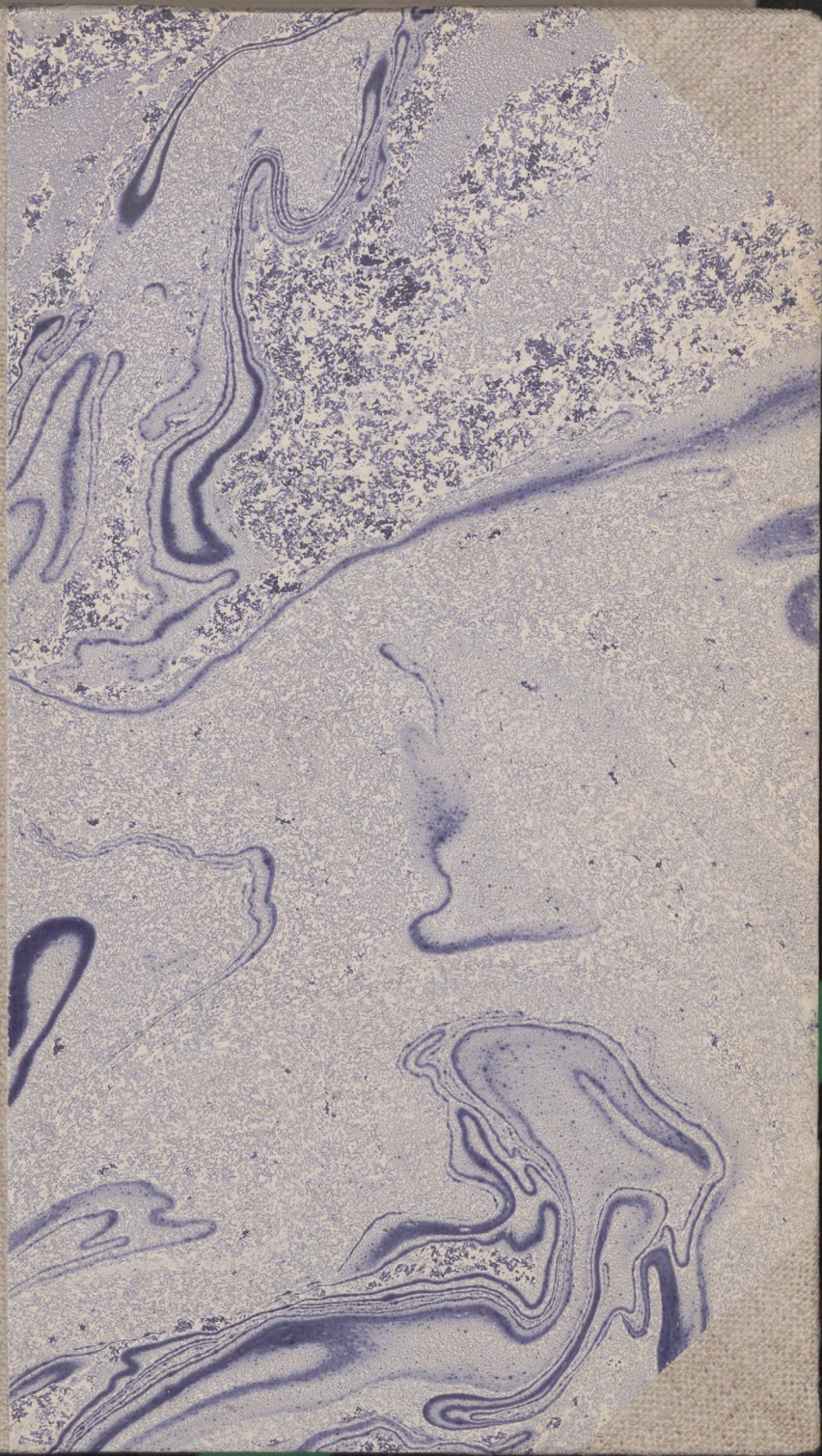
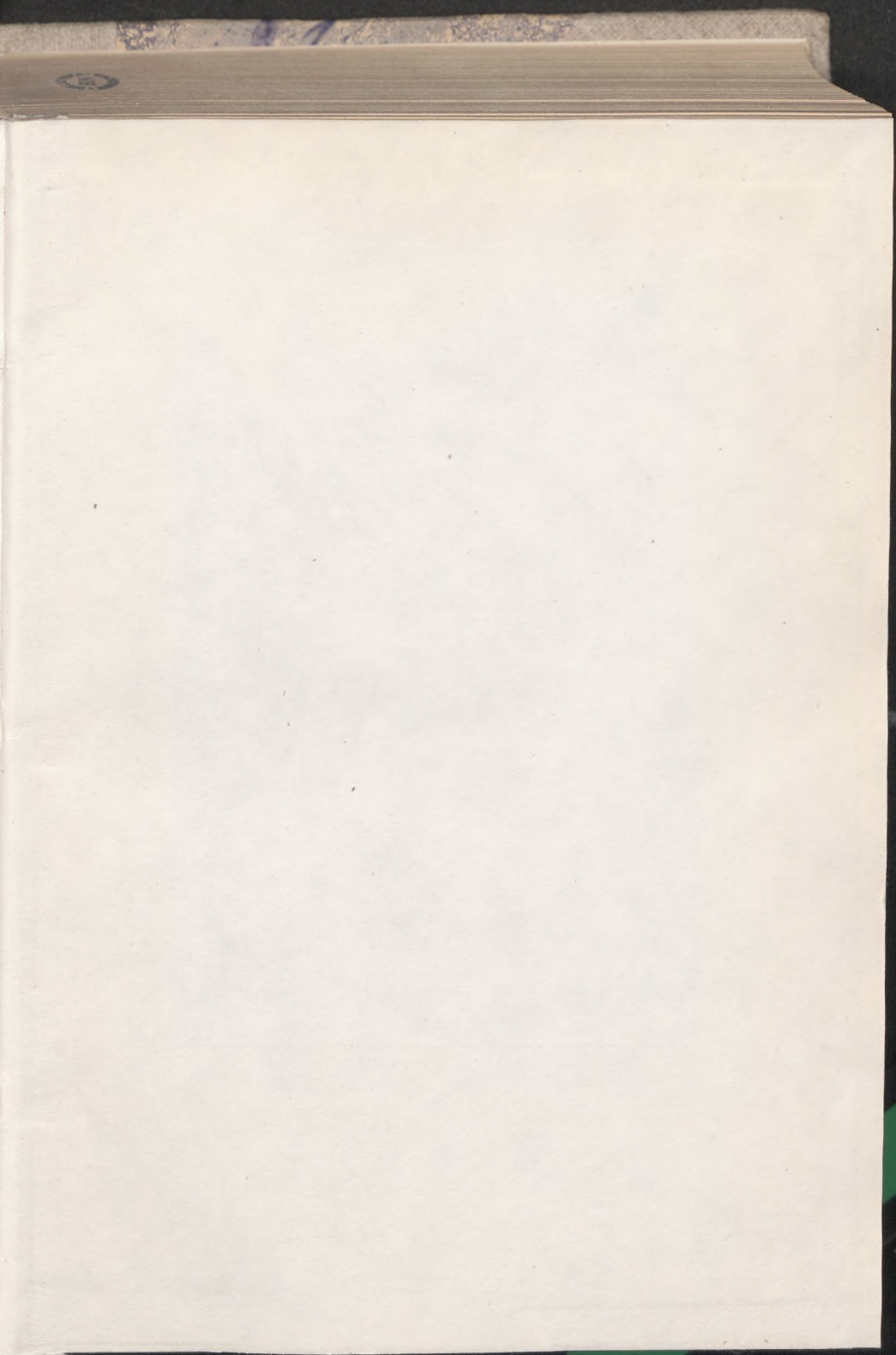
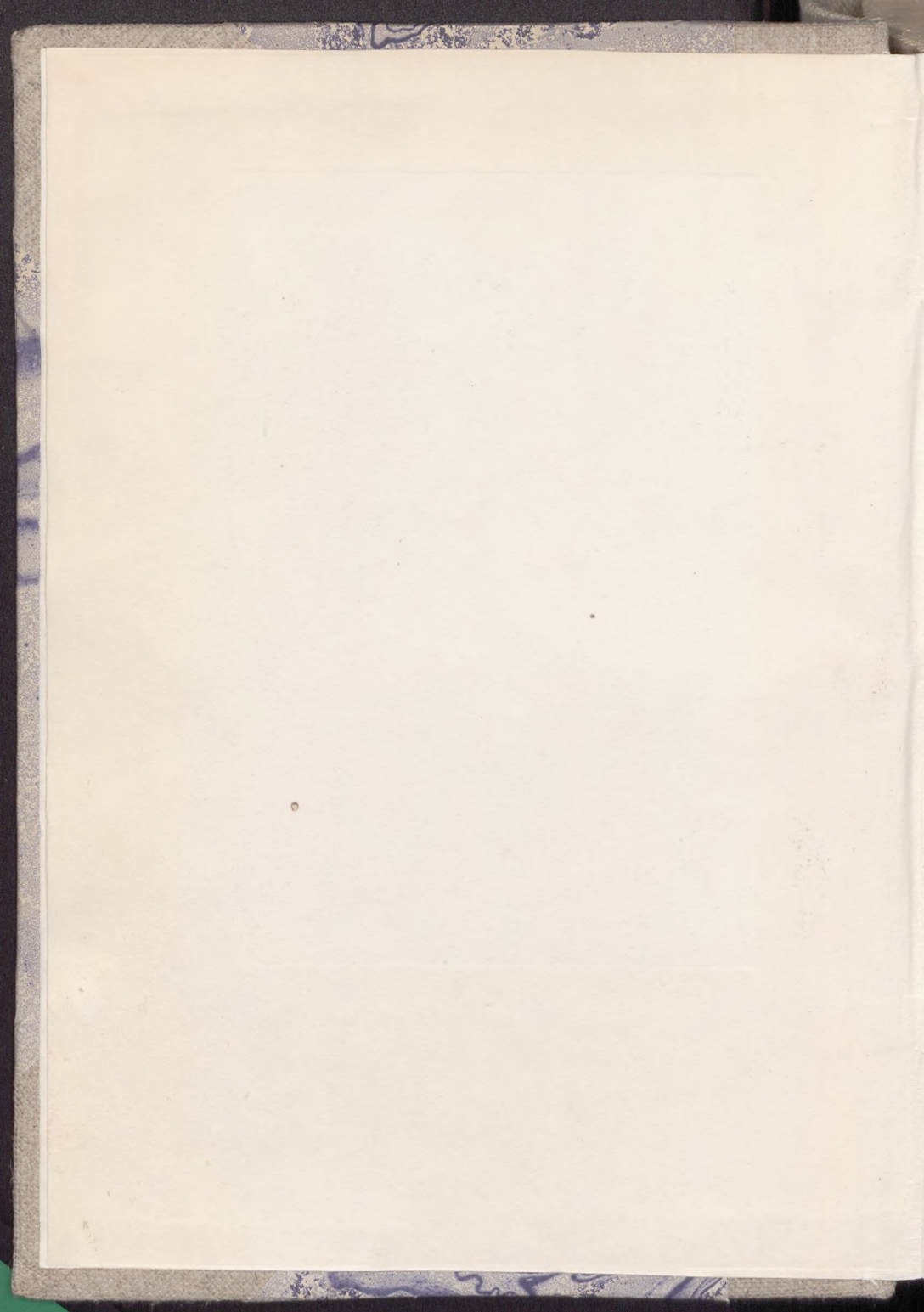


302





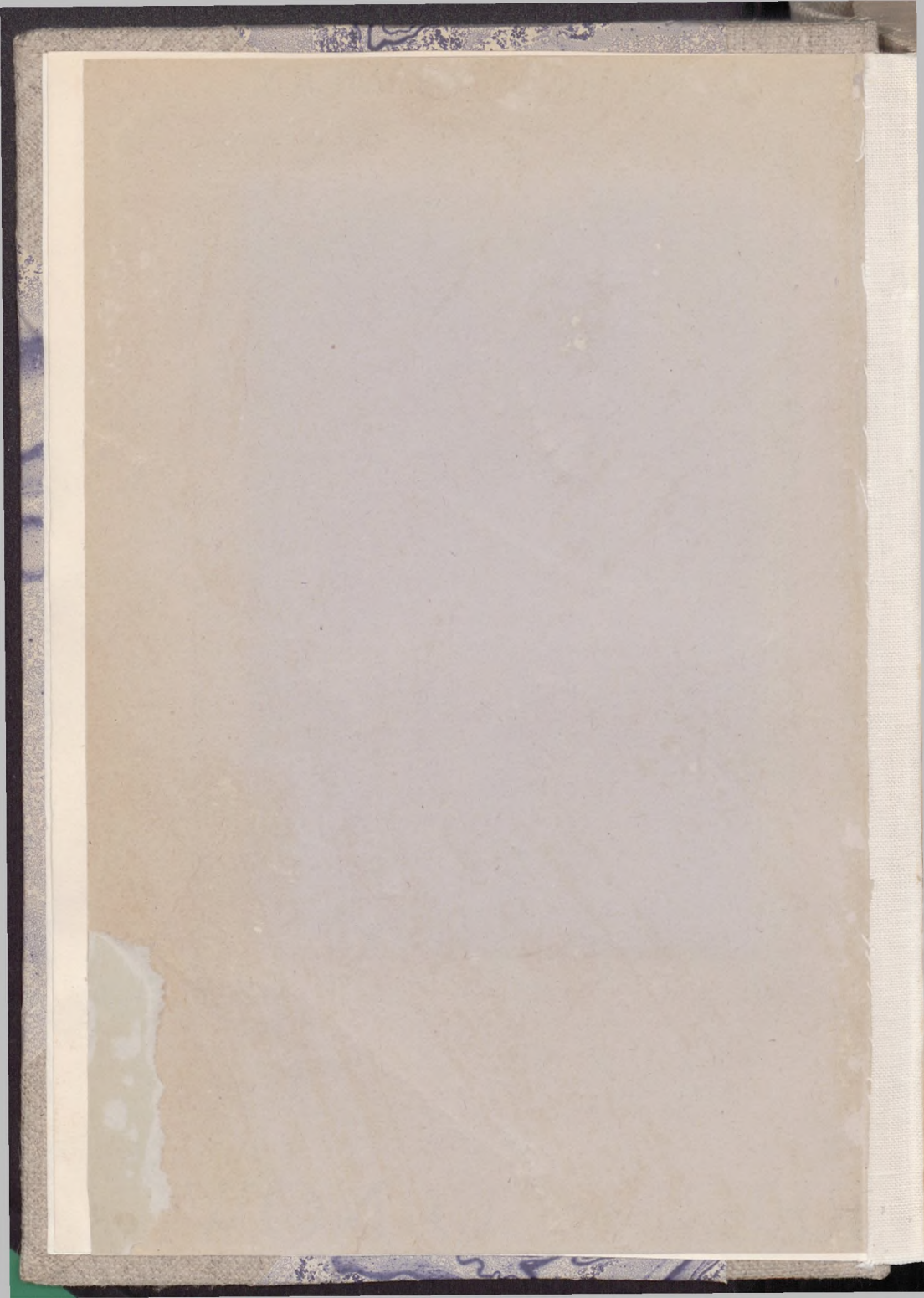




L. M. MONTGOMERY



EMILKA  
ZE  
SREBRNEGO NOWIU



EMILKA  
ZE SREBRNEGO  
NOWIU

Tytuł oryginału:  
„Emily Of New Moon“

Przekład autoryzowany  
Marji Rafałowicz-Radwanowej

Printed in Poland

Drukarnia B-ci Wójcikiewicz, Warszawa.



L. M. MONTGOMERY

EMILKA  
ZE SREBRNEGO  
NOWIU

KSIĘGARNIA POPULARNA  
WARSZAWA

Copyright by:  
Księgarnia Popularna  
Warsaw  
1936



I 1.468.302



1991 K 1037/13

## DOMEK W WĄWOZIE.

Domek w wąwozie był położony o „milę drogi od zewsząd”, jak mówili mieszkańcy Boru Majowego. Wąwóz ten stanowiła trawą porośnięta dolinka; domek wyglądał na tem tle, jakby nie był dziełem rąk ludzkich, tak jak inne budynki, lecz jakby wyrósł tam nagle jako wielki, brunatny grzyb. Prowadziła do niego wąska, zielenią zarosnięta ścieżka, ukryta przed ludzkim okiem przez zwarty szereg młodych krzewów. Nie było stamtąd widać żadnego innego domostwa, chociaż miasteczko położone było na wzgórzu. Helena Greene mówiła, że jest to najbardziej samotne miejsce na świecie i zapewniała, że nie pozostałaby tam ani przez jedną dobę, gdyby jej nie żał było dziecka.

Emilka nie wiedziała, że jest przedmiotem współczucia; nie wiedziała również, co znaczy samotność. Ona miała towarzystwa podostatkiem: ojciec, Kicia, Nieznośnik; Królowa Wichrów też jest wpobliżu; a drzewa: Adam i Ewa, Świerk Wyniosły, a wszystkie te zaprzyjaźnione z nią dzieci - krzewy!

Nie zapominajmy też o „promyku”. Nigdy nie wiedziała, kiedy on zabłyśnie, a ciągle możliwość napędzała ją radością wyczekiwania.

Emilka wymknęła się o zmierzchu na przechadzkę. Chłodno było. Przez całe życie pamiętać będzie ową przechadzkę, może dlatego, że opromieniona była jakimś feerycznym pięknem, a może dlatego, że po raz pierwszy owego tygodnia rozbłysnął „promyk”, ale najprawdopodobniej dlatego, że zdarzyło się to, co się zdarzyło, gdy wróciła z tej właśnie przechadzki.

Był to posępny dzień pierwszej połowy maja; chmury ustawicznie groziły deszczem, ale deszcz nie spadł ani razu. Ojciec spędził cały dzień na szeszlunku w saloniku. Dużo kaszlał, rozmawiał niewiele. Dla Emilki była to rzeczą niezwykłą. Tego dnia leżał poważnie z rękami podłożonemi pod głowę, a jego wielkie, podkrażone oczy utkwione były z sennym wyrazem, jakgdyby nic nie widziały, w zachmurzone niebo, którego skrawek widoczny był pomiędzy gałęziami sosen, rosnących przed gankiem. Sosny te nazywano Adamem i Ewą, gdyż Emilka zauważyła niegdyś wybitne podobieństwo między ich stosunkiem do trzeciego drzewa, małej jabłoni, a pozycją Adama i Ewy wobec drzewa wiadomości dobrego i złego, odmalowaną na staroświeckim obrazku w książce Heleny Greene. Drzewo wiadomości dobrego i złego wyglądało zupełnie tak samo, jak ta krępa jabłoni, a Adam i Ewa stali po obu stronach, sztywni, jakby zastygli, zupełnie tak jak te dwie sosny.

Emilka zastanawiała się, o czym ojciec myśli, ale nigdy nie nudziła go pytaniami, gdy kaszel się wzmacniał. Pragnęła tylko mieć kogoś do rozmowy. Tego

dnia Helena Greene też nie była usposobiona do pogawędki. Wciąż zrzędziła, a to znaczyło, że Helena była czemś strapiona. Poprzedniego wieczora też zrzędziła po odejściu doktora, który szeptał coś do niej w kuchni; zrzędziła, podając Emilce przed spaniem kolację, złożoną z chleba i z syropu cukrowego. Emilka nie lubiła chleba z syropem, ale jadła i piła, aby nie urazić Heleny. Helena nieczęsto pozwalała jej jeść przed spaniem; skoro to uczyniła, to widocznie odczuwała potrzebę okazania jej szczególnych względów.

Emilka miała nadzieję, że ten atak zrzędzenia minie do wieczora. Zwykle tak bywało. Ale dzisiaj i to zawiodło, tak że Helena nie mogła być brana w rachubę, jako towarzystwo. Nie znaczy to, że kiedyś indziej była ona idealną towarzyszką. Douglas Starr powiedział raz pewnego w przystępie uniesienia, że Helena Greene jest „nudną, starą zrzędą bez rozumu”; ilekroć Emilka patrzyła na Helenę, przychodziło jej na myśl to określenie, które wydawało jej się uderzająco trafne.

Tak więc przez całe popołudnie bujała się Emilka na fotelu na biegunach, czytając „*Podróż Pielgrzyma*”. Emilka ogromnie lubiała „*Podróż Pielgrzyma*”. Niejednokrotnie przechadzała się po ciasnym wąwozie z *Krystynem* i z *Krystyną*: ale bez porównania bardziej podobały jej się przygody *Krystyna*, niż przygody *Krystyny*. Bo przedewszystkiem tak tłoczno było wiecznie dokoła *Krystyny*! Nie wywierała ona ani w części tego uroku, jakim była opromieniona samotna, nieustraszona postać, stawiająca czoło wszystkim cieniem *Ponurej Doliny* i spotkanemu tam *Apollinowi*. Ciemności i widma są niczem, kiedy człowiek jest w towarzystwie.

Ale być samą, och, Emilka wzdrygała się na tę myśl!

Gdy Helena oznajmiła, że kolację już podała, Douglas Starr polecił Emilce przejść do jadalni.

— Ja nie będę jadł dzisiaj. Będę leżał tutaj i odpoczywał. A kiedy wrócisz z kolacji, porozmawiamy poważnie, Emileczko.

Uśmiechnął się swym dawnym, pięknym uśmiechem, pełnym uczucia, słodkim, jak mówiła w swych myślach Emilka. Zjadła szybko kolację, uszczęśliwiona, jakkolwiek kolacja nie była dobra. Chleb był zeschnięty, jajka niedogotowane, ale cudownem jakimś zrzędzeniem losu pozwolono jej mieć przy boku Kicię i Nieznośnika: siedzieli przy niej, jedno po lewej, drugie po prawej ręce, a Helena zrzędziła tylko wtedy, kiedy Emilka karmiła ich oboje, rzucając im kawałki chleba z masłem.

Kicia miała taki zabawny sposób siadania na tylnych łapkach i chwytania chleba przednimi łapkami, a Nieznośnik tak umiał trącać nogę Emilki niemal ludzkim dotykiem, gdy zbyt długo dawała mu czekać na jego kolejkę. Emilka lubiła ich oboje, ale Kicia była jej ulubienicą. Była to ładna, szarooka kotka o wielkich, hebanowo czarnych oczach: a taka była milutka, pulchna, taka pieszczoszka! Nieznośnik zawsze był chudy. Żadna ilość żywności nie zdołała nigdy pokryć wystających żeber. Emilka lubiła go, ale nigdy nie przyszło jej na myśl pogłaskać go, lub poklepać, dlatego właśnie, że był taki chudy. A jednak miał on pewną rasową piękność, która przemawiała do Emilki. Był to szaro-biały kot, miejscami bardzo biały, o bardzo gładkiej sierści, o wydłużonym pyszczku, długich uszach i o bardzo zielonych oczach; niebezpieczny bojownik, który w

mgnieniu oka poskramiał obce koty! Rzucił się nawet na duże psy i wyganiał je bez pardonu.

Emilka kachała swoje kotki. Ona sama je wychowała, jak mawiała z dumą. Otrzymała je w prezencie od swego nauczyciela ze szkółki niedzielnej, gdy były malutkimi kocieciami.

— Żywy prezent jest czemś szczególnie miłym — zwierzyła się Emilka Helenie — bo zbiegiem czasu staje się coraz miłszy.

Ale martwiła ją bezdzietność tej pary.

— Nie wiem, dlaczego Kicia nie ma małych kociać — skarżyła się Helenie. — O ile wiem, większość kotów ma tyle kociać, że sami rodzice nie wiedzą, co z nimi robić.

Po kolacji wróciła Emilka do saloniku: ojciec usnął. Bardzo ją to ucieszyło: wiedziała, że niewiele sypiał od dwóch dni. Była troszkę rozczarowana, ponieważ nie będą mieli owej „poważnej rozmowy”. „Poważne” rozmowy z ojcem były zawsze czemś rozkosznym! Ale najlepiej będzie na razie pójść na przechadzkę, na taką cudną, samotną przechadzkę o zmierzchu wiosennym. Od tak dawna nie była już na przechadzce.

— Włóż kapturek i bacz, abyś wróciła do domu natychmiast, gdyby deszcz zaczął padać — upominała Helena. *Ty nie możesz moknąć na zimnie tak, jak inne kozy w twoim wieku.*

— Dlaczego ja nie mogę?... — spytała Emilka z oburzeniem. Dlaczego ona ma być pozbawiona przywileju „moknięcia na zimnie”, skoro inne dzieci mokną bezkarnie? To nie jest w porządku.

Ale Helena tylko tak zrzędzi. Emilka z kolei mruczy sama do siebie dla własnej satysfakcji: — „Jesteś nudną

starą zrzedzą bez cienia rozumu!” „Wchodzi po schodach, gdyż trzeba wyjąć z szafy kaptur i płaszcz. Wchodzi po kapturek opieszale, bo ogromnie lubi biegać z gołą głową. Wkłada wypłowiały kapturek na swe kruczce warkocze i uśmiecha się przyjaźnie do swego odbicia w małym zwierciadle. Uśmiech rodzi się w kącikach jej ust i powoli rozlewa się po całej twarzyczce, subtelny, miękki, prześliczny, jak myśli nieraz Douglas Starr. Jest to uśmiech jej zmarłej matki, ten czar, który chwycił go za serce i przykuł od pierwszego wejrzenia do Julji Murray. Napozór jest to jedyne dziedzictwo fizyczne Emilki po matce. Z wszystkich innych cech, myśli ojciec, jest ona podobna do rodziny Starrów, ma ich wielkie, złoto-szare oczy, ocienione długimi rzęsami i czarnymi brwiami, ich wysokie, białe czoło (zbyt wysokie, aby mogła być pięknoscią), ich delikatny owal, ich bladość, ich nerwowe usta i maleńkie uszy, wskazujące na jej pokrewieństwo z rodem Dobrych Wrózek.

— Idę na przechadzkę z Królową Wichrów, kochanie — rzecze Emilka. — Chciałabym móc cię zabrać z sobą. Czy ty wyszłaś kiedykolwiek poza mury tego pokoju? Wątpię. Dzisiejszego wieczora wyjdzie Królowa Wichrów na pola. Jest ona wysoka i w mgłę spowita, owiana przejrzystymi, jedwabnymi szatami barwy szarej, ma skrzydła, podobnie jak nietoperz, ale przez jej skrzydła widać świat dokoła, ma oczy błyszczące jak gwiazdy, prześwitujące poprzez jej długie, rozpuszczone włosy. Ona umie fruwać, ale dzisiaj pójdzie się przejść ze mną w pole. Ona jest wielką moją przyjaciółką, Królowa Wichrów! Znam ją od chwili, kiedy skończyłam sześć lat. Jesteśmy *staremi*, *staremi* przyjaciółkami, ale nie tak dawnymi jak ja i ty, mała Emilko—w zwier-



ciadle. My jesteśmy przyjaciółkami od niepamiętnych czasów, wszak prawda!

Emilka - z - poza - zwierciadła posyła dłonią pocałunek Emilce - w - zwierciadle - i znika.

Królowa Wichrów czeka na nią za drzwiami, kołysząc trawą, rosnącą pod oknem saloniku, potrząsając rozłożystymi gałęziami Adama i Ewy, szepcząc coś na ucho krzewom, łając Wyniosłego Świerka.

Emilka od tak dawna nie była na przechadzce, że wręcz szaleje z radości. Zima była burzliwa, spadło tyle śniegu, że nie wolno było wychodzić z domu. Kwiecień był miesiącem dżdżu i wiatru. Tak więc w ten wieczór majowy czuła się jak więzień, wypuszczony na wolność. Dokąd pójść? Czy w stronę miasteczka, czy na przełaj przez pola? Emilka wybrała to drugie.

Szła w kierunku zeszlých świerków, na skraj rozległego, stromego pastwiska. Tam było ustronie, wyczarowane przez magiczne moce. Tam doznawała nieznanym nikomu rozkoszy, pełni radości ze swego pierworodztwa. Ktoby był widział Emilkę sunącą przez nagie pole, nie byłby jej zazdrościł bynajmniej. Była drobna, blada, biednie odziana: chwilami drżała z zimna w swym lekkim żakieciku: a jednak niejedna królowa oddałaby chętnie koronę za jej wizję, za jej cudne marzenia. Brunatne, zdeptane trawy pod jej stopami były aksamitem. Stary, pogięty, skarłowaciały świerk, pod którym odpoczęła przez chwilę, patrząc w niebo, był marmurową kolumną w pałacu bogów: odległe, mglisto się rysujące pagórki były fortami, strzegącemi cudownego grodu. A towarzyszyły jej w tej wędrówce wszystkie Dobre Wróżki okolicy, bo tutaj wierzyła w dobre duchy, w owe czarodziejki w białych szatach i

łśniących klejnotach, w ów zielony ludek traw, elfy, mieszkające w młodych świerkach, w duchy wichru i dzikiej paproci. Tu wszystko mogło się zdarzyć, wszystko mogło stać się prawdą.

A ta polanka wśród drzew iglastych była takim uroczym zakątkiem, gdzie można było bawić się w chowanego z Królową Wichrów. Ona była tutaj tak bardzo *rzeczywista*: byle tylko skoczyć dość żwawo i ukryć się w porę za pniem drzewnym — w tem rzecz, że nigdy nie można zdążyć! — a ujrysz ją, tak jak ją czujesz i słyszysz. Bo ona *jest*, oto *jest* powiew jej szat, nie! to śmiech jej słyhać na wierzchołku najwyższych drzew i znów rozpoczyna się polowanie, aż wreszcie, nagle... zdaje się, że Królowa Wichrów odeszła. Wieczór skąpany jest w cudownej ciszy, gdy w tem — rozrywają się na zachodzie skłębione chmury i ukazuje się czarowny, blade skrawek nieba, błękitno - zielonawy, a na nim — srebrny nów.

Emilka stoi i patrzy w górę ze złożonymi rękami, z czarną główką przegiętą wtył. Musi wrócić do domu i opisać tę chwilę w swym żółtym zeszycie, w którym ostatni zapisek brzmi: „Życiorys Kici”. Ciężyc jej będzie to piękno, dopóki go nie wypowie w opisie. A potem przeczyta to ojcu. Notuje sobie w pamięci, że wierzchołki drzew na wzgórzu odcinają się na tle błękitno - zielonawego stropu jak cieniutka czarna koronka.

I w tem, na jedną wspaniałą, precudowną chwilę zstąpił na nią... „promyk”.

Emilka tak to nazywała, chociaż czuła, że ta nazwa nie oddaje wiernie jej przeżycia. Ono nie dawało się wyrazić słowami. Nawet ojciec nie mógł tego pojąć,

zawsze wydawał się trochę zaskoczony na dźwięk tego wyrazu. Z nikim więcej nie mówiła o tem Emilka.

Myślała zawsze, jak daleko pamięć jej sięgała, że była bardzo, bardzo bliską świata cudnego piękna. Świat ten był oddzielony od niej tylko cienką zasłoną: ona nigdy nie mogła uchylić tej zasłony ani na chwilę, ale czasem... podmuch wiatru rozwiewał ją na jeden błysk i wówczas Emilka doznawała olśnienia, była oczarowana, na przeciąg sekundy otwierała przed nią kraina cudu swe podwoje... jeden błysk tylko!... słyszała tony niezemskiej melodji.

Takie chwile zdarzały się rzadko, mijały rychło, pozostawiając ją zdyszana, upojona. Nigdy nie mogła ich wskrzesić na zawołanie, nigdy ich sobie uprzytomnić, nigdy zastąpić wyobraźnią; ale świadomość cudu towarzyszyła jej przez szereg dni. Cud nie ponawiał się nigdy w tej samej postaci. Dzisiaj stworzyły go te ciemne gałęzie. na odległym niebie. Przynosił go wiatr nocny na skrzydłach dzikiej, donośnej muzyki, wraz z cieniem, snującym się po polu, wraz z błyskawicą, zaglądającą do jej okna podczas burzy letniej, wraz ze śpiewem: „Święty, mocny, Święty, Nieśmiertelny”, rozbrzmiewającym w kościele, wraz z tym blaskiem ognia, jaki zastała ongi w kuchni, wracając do domu w jesienny wieczór; wraz z nowym wyrazem, szczęśliwie odkrytym przez nią podczas kreślenia „opisu” jakiegoś zjawiska. A ilekroć ów Promyk odwiedzał ją, czuła Emilka, że życie jest rzeczą cudną, tajemniczą, o niezniszczalnym pięknie.

Rzuciła się ku domowi w wąwozie. Pilno jej było przybyć do swego pokoju i przystąpić do „opisu” zanim obraz, jaki ujrzała, ulegnie w jej pamięci częściowemu zaćmieniu. Wiedziała na razie tylko, od jakich słów

zacznie. Zdanie to było już, rzekłbyś, wyryte na dnie jej duszy: „Wzgórze zawołało mnie, a we mnie coś odpowiedziało echem na to wołanie”.

Zastała Helenę Greene na progu: czekała na nią. Emilka tak była przepelniona szczęściem, że wszystkich w tej chwili kochała, nawet nudne zrzędy bez cienia rozumu. Objęła oburącz kolana Heleny i przytuliła się do nich. Helena patrzyła ze smutkiem na tę twarzyczkę, na której ożywienie namalowało ciemno-różowe rumieńce i rzekła, tłumiąc westchnienie:

— Czy wiesz, że twój tatuś będzie jeszcze żył za ledwie tydzień, może dwa tygodnie?...

2

NOC CZUWANIA.

Emilka stała bez słowa i wpatrzyła się w ciemną, ogorzałą twarz Heleny; znieruchomiła, jakby skamieniała. Była ogłuszona, jakgdyby Helena uderzyła ją młotkiem w głowę. Rumieńce znikły z jej twarzyczki, źrenice rozszerzyły się tak, że znikły zupełnie tęczęwki, oczy jej stały się czarne jak mroczne otchłanie. Wrażenie było tak przerażająco silne, że nawet Helena Greene poczuła się nieswojo.

— Mówię ci o tem dlatego, że według mnie czas najwyższy, abyś wiedziała — rzekła. Prosiłam już od szeregu miesięcy tatusia, żeby ci to powiedział, ale on wciąż odkłada i odkłada termin tej rozmowy. Powiedziałam mu: „Pan wie, jak ona się przejmuje wszystkim, więc jeżeli pan pewnego dnia umrze nagle, ją może to zabić, o ile nie będzie na ten fakt przygotowa-

na." A on na to: „Jeszcze czas, jeszcze czas, Heleno.” — Ale nigdy słówkiem o tem nie wspomniał, a kiedy doktor oznajmił mi wczoraj, że koniec jest bliski, zrozumiałam, że mnie przypada zadanie poinformowania cię o stanie ojca i przygotowania cię na to nieszczęście. Opanuj się, dziecko, nie patrz takimi oczami na mnie! Nic złego ci się nie stanie, będziesz miała opiekę. Krewni twojej mamy zajmą się tobą, chociażby ze względu na dumę rodzinną Murrayów, jeżeli nie z innych powodów. Nie pozwolą zamrzeć, albo iść do obcych ludzi, dziecku z ich krwi zrodzonemu, nawet jeżeli to jest dziecko ojca znienawidzonego przez nich. Będziesz miała ognisko domowe, lepsze niż dotychczas. Nie troszcz się o nic. A co do tatusia, to powinnaś się cieszyć, że on odpocznie. On umiera od pięciu lat. Tai to przed tobą, ale to istny męczennik. Ludzie powiadają, że serce ma złamane od chwili śmierci twojej mamy: tak nagle to na niego przyszło.... chorowała tylko trzy dni. Dlatego chcę, żebyś wiedziała zgóry, co ma napaść: przynajmniej nie będziesz zaskoczona, gdy się to stanie. Na miłość Boską, Emiljo Byrd Starr, nie stój i nie patrz tak przed siebie! W głowie mi się mać! Nie będziesz przecież pierwszym dzieckiem na świecie, które zostaje sierotą, ani ostatniem! Staraj się być rozsądną. I nie nudź tatusia tem, co ci powiedziałam, pamiętaj! A teraz wejdź do domu, powietrze jest przejmujące dam ci coś gorącego do wypicia, zanim pójdziesz do łóżka.

Helena chciała wziąć dziecko za rękę. Emilka odzyskała władzę w członkach; byłaby krzyknęła głośno, gdyby Helena dotknęła się jej w *tej chwili*. Wydała dźwięk ostry, gorzki i ze łzami w oczach uniknęła ręki

Heleny, wyciągniętej po nią poprzez próg. Uciekła na ciemne schody.

Helena pokiwała głową i wróciła do kuchni.

— Ja spełniłam tylko mój obowiązek — rozmyślała. On wciąż powtarza, że „jeszcze czas”, aż wkońcu umrze, a ona zostanie tem zaskoczona. Teraz oswoi się z tą myślą, a za parę dni przestanie się nad tem zastanawiać. Dla niej będzie to zresztą wyzwoleniem, jeżeli prawdą jest to wszystko, co słyszałam o rodzinie Murrayów. Im też niełatwo przyjdzie ją przegadać. Ona odziedziczyła po nich dumę i pychę i to jej pomoże znieść ten cios. Powinnam zawiadomić Murrayów, że on umiera, ale nie jestem pewna, kiedy to nastąpi. Mało która kobieta byłaby tu wytrzymała na mojem miejscu! Wstyd naprzykład, jak tu się wychowuje dziecko: nawet do szkoły nie chodzi! Hm, nieraz mu mówiłam, co o tem sędzę, nie mam sobie nic do wyrzucenia, to mnie pociesza. Chodź tu zaraz, Nieznośniku, ty utrapienie! A gdzież jest Kicia?

Helena nie mogła znaleźć Kici dla bardzo prostej przyczyny: Kicia była na górze z Emilką, która trzymała ją mocno przytuloną do siebie, siedząc pociemku na brzegu swego łóżeczka. Wśród tej rozpacz, tego opuszczenia, pewną pociechę stanowiło to miękkie futerko i ten okrągły aksamitny pyszczek tuż przy jej twarzy.

Emilka nie płakała: patrzyła prosto przed siebie w mrok otaczający, starała się spojrzeć w oczy temu potwornemu nieszczęściu, którego zwiastunem była Helena Greene. Nie wątpiła, co jej mówiło, że to prawda. Dlaczego ona nie może umrzeć również? Ona nie będzie mogła żyć nadal, bez tatusia.

— Gdybym ja była Bogiem, nie pozwoliłabym, żeby się zdarzały takie rzeczy — rzekła.

Czuła, że to bardzo brzydko z jej strony tak mówić. Helena powiedziała jej kiedyś, że najgorszym przestępstwem, jakie można popełnić, jest niezadowolenie z Boga. Ale mniejsza o to! O ile będzie bardzo niegrzeczna, to może Bóg ją ukarze, odbierając jej życie, a wtedy ona i ojciec będą znów razem.

Ale nic się nie zdarzyło, tylko Kicia uczuła zmęczenie, bo zbyt długo trzymana była mocno w objęciach Emilki, było jej ciasno i duszno. Wysunęła się i umknęła bez szmeru. Teraz dziewczynka była zupełnie sama z tym okropnym bólem, który odczuwała w całej swej istocie, a przecież nie był to ból fizyczny. Nie mogła go opanować. Nie mogła z nim walczyć, pisząc o nim w swym żółtym zeszytce. Tam opisała swe zmartwienie, gdy odjeżdżał jej nauczyciel ze szkoły niedzielnej; tam się zwierzała, gdy szła spać o głodzie; gdy Helena mówiła, że Emilka jest chyba obłąkana, kiedy baje o jakiejś Królowej Wichrów i o „promyku”; a ilekroć się wypisała, wszystkie te rzeczy przestawały być bolesne. Ale o *tem* nie mogła pisać. Nie mogła nawet udać się do ojca po słowo pociechy, tak jak wówczas, kiedy tak strasznie oparzyła sobie rękę, zrywając przez omyłkę pokrzywę. Ojciec trzymał ją przez całą noc na kolanach, opowiadał jej bajeczki i pomógł jej znieść cierpienie. Ale ojciec, tak mówi Helena, umrze za tydzień, a może za dwa tygodnie. Emilka doznawała wrażenia, jakgdyby Helena powiedziała jej o tem przed wielu, wielu laty. A przecież nie upłynęła jeszcze godzina od chwili, kiedy się bawiła z Królową Wichrów i wpatrywała się, zachwyco-

na, w nów księżycowy na tle błękitno-zielonawego nieba.

— Promyk nie zjawi się już nigdy, to niemożliwe — myślała.

Ale Emilka odziedziczyła pewne cechy po swych wytwornych starych przodkach: męstwo, dar znoszenia cierpień, miłosierdzie, moc kochania z głębi serca, umiejętność radowania się, wytrwałość. Miała te wszystkie cechy i patrzyła na życie rozumnie swemi szaremi oczami. Dar znoszenia cierpień i wytrwałość przyszły jej teraz z pomocą, podtrzymały w niej ducha. Nie wolno dać poznać ojcu, że Helena miała z nią tę rozmowę, toby go strasznie zmartwiło. Ona musi to zachować przy sobie i *kochać* ojca, och! tak bardzo go kochać przez ten krótki czas, który im jeszcze pozostał.

Słyszała jego kaszel w dolnym pokoju: musi już być w łóżku, gdy on wejdzie na piętro. Rozebrała się tak szybko, jak tylko na to pozwalały zziębnięte palce i wsunęła się do łóżeczka, stojącego przy otwartem oknie. Głosy wiosny, głosy nocy, przemawiały do niej zewsząd, niewidzialne, Królowa Wichrów pogwizdywała w oddali, Hochlików nie było słyhać. Hochliki mieszkają tylko w królestwie Szczęścia. Nie mając duszy, nie mogą przekroczyć progu królestwa Smutku.

Leżała tak, zziębnięta, bez łez, bez czucia. Ojciec wszedł do pokoju. Jak wolno szedł, jak bardzo powoli zdejmował ubranie! Jak się to stało, że ona dotychczas nigdy nie zwróciła uwagi na te objawy? Ale nie kaszlał wcale. Och, żeby Helena mogła się mylić, a może się myli?... Dzika nadzieja zerwała się w zboląłem serduszku. Westchnęła.



Douglas Starr podszedł do jej łóżeczka. Czula jego ukochaną obecność. Usiadł na krześle przy niej w swym starym czerwonym szlafroku. Och, jakże ona go kochała! Na całym świecie niema drugiego takiego ojca, jak on, nigdy takiego nie było, tak pełnego czułości, tak wyrozumiałego, tak cudnego! Zawsze byli oboje parą kolegów; tak się wzajemnie kochali! Nie! to być nie może, żeby oni mieli się rozstać.

— Maleńka, śpisz?

— Nie — szepnęła Emilka.

— A jesteś senna, moje kochanie?

— Nie... nie... nie jestem senna.

Douglas Starr wziął ją za rękę i trzymał mocno w swych dłoniach.

— W takim razie porozmawiamy, maleństwo. Ja też nie mogę spać. Muszę ci coś powiedzieć.

— O, ja wiem, wiem już! — wybuchnęła Emilka.

— Och, ojczu, wiem już o tem! Helena mi powiedziała.

Douglas Starr siedział przez chwilę w milczeniu. Poczem rzekł półgłosem:

— Stara głupia... głupia gruba baba... — jakby tusza Heleny była okolicznością jeszcze bardziej obciążającą z tytułu jej głupoty. Znowu, po raz ostatni, wstąpiła w Emilkę nadzieja. Może to wszystko było straszną pomyłką, jednym więcej rysem głupoty Heleny.

— To nieprawda, czy tak, ojczu? — szepnęła.

— Emilko, dziecko, — odrzekł ojciec — ja nie mogę wziąć cię na rękę, nie mam siły... ale wstań i usiądź mi na kolanach, tak po dawnemu.

Emilka wyslizgnęła się z łóżeczka i wskoczyła ojcu na kolana. On zatulił ją w swój szlafrok i trzy-

mał ją mocno w objęciu, twarz miał pochyloną ku niej.

— Drogie dzieciątko moje, ukochana Emilko, to jest prawda — rzekł. — Miałem zamiar sam ci to powiedzieć dziś wieczorem. A teraz ta stara idjotka, Helena, oznajmiła ci to, zapewne w brutalny sposób, i okropnie tobą wstrząsnęła. Ona ma kurzy mózg, a uczuciowość krowią. Niech szakale zdepczą grób jej babki! Ja nie byłbym ci zadał bólu, kochanie.

Emilka walczyła z czemś, co ją dławiło.

— Ojczec... ja nie mogę... nie mogę znieść tej myśli... ja tego nie przeżyję.

— Owszem, możesz i musisz się z nią pogodzić. Będziesz żyć nadal, bo masz pewne zadanie do spełnienia na świecie. Ty masz moje zdolności, a ponadto coś, czego mnie zawsze brakowało. Ty dokonasz tego, czego ja nie zdołałem, Emilko. Ja niewiele zdołałem dla ciebie, słoneczko moje, ale robiłem, co mogłem. Nauczyłem cię pewnych rzeczy, tak mi się wydaje, mimo Helenę Greene. Emilko, czy pamiętasz swoją matkę?

— Troszeczkę... niektóre rysy... jakby cudne zrywki sennego marzenia...

— Miałas zaledwie cztery lata, gdy ona umarła. Nigdy z tobą nie mówiłem o niej, nie mogłem. Ale dzisiaj powiem ci o niej wszystko. Teraz już nie cierpię, gdy o niej mówię, zobaczę ją wkrótce! Nie jesteś do niej podobna, Emilko: tylko, gdy się uśmiechasz, przypominasz ją... Pozatem podobna jesteś zupełnie do twej imienniczki, do mojej matki. Gdy się urodziłaś, chciałem się ochrzcić imieniem Julji, imieniem twej matki. Ale ona nie chciała... Mówiła, że jeżeli bę-

dziemy wołać na ciebie: „Julko”, to niebawem ja będę ją nazywał „matką” dla odróżnienia, a tego ona nie zniesie. Mówiła, że ciotka jej, Nancy, powiedziała raz pewnego: „Gdy po raz pierwszy mąż twój powie do ciebie: „matko”, romans twego życia będzie skończony”. Nazwaliśmy cię więc po mojej matce Emilką; jej panieńskie imię i nazwisko brzmiało: Emilja Byrd. Matka twoja uważała, że Emilja jest to najładniejsze z imion, wytworne, śliczne, dźwięczne. Emilko, twoja matka była najśodszą kobietą, jaką kiedykolwiek Bóg stworzył.

Głos mu zadrżał przy tych słowach, Emilka przytuliła się mocniej do ojca.

— Poznałem ją przed 12 laty, kiedy byłem drugim redaktorem pisma „Enterprise” w Charlottetown, a ona była w ostatniej klasie na pensji. Była wysoka, miała blond włosy i niebieskie oczy. Była trochę podobna do ciotki Laury, ale Laura nie była nigdy taka ładna. Zwłaszcza z oczu i z głosu były do siebie podobne. Pochodziła z rodziny Murrayów z Czarnowody. Nigdy ci nie opowiadałem o rodzinie twojej matki, Emilko. Oni od paruset lat siedzą w okolicy Czarnowody, są właścicielami fermy Srebrny Nów. Okręt, na którym przywędrował pierwszy Murray w roku 1790, nazywał się Srebrny Nów, stąd nazwa fermy.

— Ładna nazwa, nów księżycowy jest takim ślicznym zjawiskiem — rzekła Emilka, której uwagę przykuło to na chwilę.

— Ta ferma od tej pory należy do Murray’ów. Są oni rodziną bardzo dumną, duma Murray’ów jest przysłowiowa w północnej części kraju, Emilko. Hm,

mają poniekąd prawo być dumni, temu nie da się zaprzeczyć, ale oni posuwają tę dumę zbyt daleko. Lud nazywa ich tam „rodem wybranym”. Rozmnażali się szybko, ale zczasem rozproszyli się po świecie, tak że teraz mieszkają w Srebrnym Nowiu tylko dwie twoje ciotki, Elżbieta i Laura, oraz ich kuzyn, Jimmy Murray. One nigdy nie były zamężne, nie mogły znaleźć nikogo, ktoby był godny ręki Murray'ówny, tak przynajmniej mówiono ogólnie. Twój wujaszek Oliver i wujaszek Wallace mieszkają w Summerside, a ciotka Ruth w Shrewsbury; twoja babka cioteczna Nancy mieszka w Księżym Stawie.

— Księży Staw, to ciekawa nazwa, nie tak ładna, jak Srebrny Nów lub Czarnowoda, ale ciekawa — rzekła Emilka. Pod wpływem ciepła ojcowskiego ramienia ustąpiło chwilowe uczucie grozy. Poprostu przestawała wierzyć w tę okropność.

Douglas Starr owinął ją szczerzej szlafrokiem, ucałował jej ciemną główkę i ciągnął dalej:

— Elżbieta i Laura, Wallace i Oliver, oraz Ruth, byli dziećmi starego Achibalda Murray'a. Matką ich była jego pierwsza żona. Gdy miał lat 60, ożenił się po raz drugi z młodziutką dziewczyną, która umarła równocześnie z narodzinami twej matki. Julka była o 20 lat młodsza od swego przyrodniego rodzeństwa, jak je sama nazywała. Była bardzo ładna i pełna wdzięku, więc kochali ją wszyscy i pieścili i dumni z niej byli. Kiedy się zakochała we mnie, w biednym dziennikarzu, nie mającym niczego na świecie, prócz pióra i ambicji, rodzina uważała to za katastrofę. Duma rodowa Murray'ów nie mogła tego przeboleć. Nie jestem zawzięty, ale padły tam słowa, których nie mog-

iem nigdy zapomnieć, ani przebaczyć. Twoja matka wyszła za mnie zamąż, Emilko, a tamci ze Srebrnego Nowiu zerwali z nami. Czy uwierzysz, że mimo to, ona nigdy nie żałowała, że wyszła za mnie zamąż?

Emilka wyciągnęła rękę i poklepała ojca po wychudłym policzku.

— *Naturalnie* że nie żałowała. *Naturalnie* wolała ciebie, niż wszelkich Murray'ów z księżycyca i z ziemi.

Ojciec zaśmiał się lekko, w głosie jego był odcień triumfu.

— Tak, zdaje się, że ona tak odczuwała. A byliśmy tacy szczęśliwi, ach, Emileczko, nigdy nie było chyba szczęśliwszych ludzi od nas. Ty jesteś dzieckiem naszego szczęścia. Przypominam sobie tę noc, kiedy przyszedł na świat w Charlottetown. Było to w maju, wiał wiatr zachodni, pędząc srebrne obłoki na księżyc. Tu i owdzie błyszczwały gwiazdy. W naszym ogródku, małym jak wszystko to, cośmy posiadali, z wyjątkiem naszej miłości i naszego szczęścia, ciemno było i cicho. Chodziłem tam i napowrót wśród klombów bratków, zasadzonych ręką twojej matki i modliłem się. Błady świt zaróżowił się na wschodzie, gdy wtem przybiegł ktoś do mnie z oznajmieniem, że mam córeczkę. Poszedłem wgłąb domu, a matka twoja powitała mnie tym słodkim, cudnym uśmiechem, który tak kochałem i rzekła: „Drogi mój, mamy teraz dziecię nasze, to jedno tylko obchodzi nas na świecie”. Pomyśl, co za szczęście!

— Chciałabym, żeby ludzie mogli pamiętać wszystko od chwili ich przyjścia na świat — rzekła Emilka. — To byłoby takie ciekawe!

— Pozwolę sobie zauważyć, że mielibyśmy cały szereg nieprzyjemnych wspomnień — odrzekł ojciec, śmiejąc się znowu. — Przyzwyczajanie się do życia nie może być rzeczą przyjemną, podobnie jak odzwyczajanie się od niego. Ale tobie nie wydawało się istnienie czemś trudnym, Emileczko, przynajmniej nie robiłaś tego wrażenia; byłaś dobrem stworzonkiem. Przeżyliśmy cztery lata w szczęściu, a potem... czy pamiętasz ten okres, w którym matka twoja umarła?

— Pamiętam pogrzeb, ojczy, to pamiętam dokładnie. Staliśmy pośrodku jakiegoś pokoju, trzymając się za ręce, potem wzięłaś mnie na rękę, a matka leżała przed nami w długiej, czarnej trumnie. Ty płakałaś, a ja nie mogłam pojąć dlaczego, zastanawiałam się też, dlaczego mama jest taka biała i nie otwiera oczu. Przechyliłam się i dotknęłam jej policzka, taki był zimny. Zadrżałam. W pokoju ktoś się odezwał: „Biedactwo małe!”, a ja się przeraziłam i ukryłam twarz na twojem ramieniu.

— Tak i ja to pamiętam. Matka twoja umarła nagle, o tem nie będziemy mówili. Wszyscy Murray'owie przybyli na pogrzeb. Murray'owie mają pewne tradycje i tych przestrzegają ściśle. Jedną z nich jest zwyczaj, że tylko świece mogą się palić w Srebrnym Nowiu, żadna lampa!, a drugą ich niewzruszalną tradycją jest zasada, że nieporozumienia nie mogą trwać wobec majestatu śmierci. Przybyli więc, kiedy umarła; byliby zapewne przybyli na wieść o jej chorobie, gdyby byli o niej wiedzieli, chcę w to wierzyć. Zachowywali się bardzo dobrze, doprawdy bez zarzutu. W niczem nie byli wówczas Murrayami ze Srebrnego Nowiu. Ciotka Elżbieta miała na sobie swoją najlep-

szą suknię z czarnego atlasu. Nie sprzeciwiali się, gdy oznajmiłem, że twoja matka będzie pochowana w grobie rodzinnym Starrów w Charlottetown. Byliby chcieli przewieźć ją do grobu Murray'ów w Czarnowodzie. Ale twój wuj Wallace przyznał, że kobieta winna należeć do rodziny męża zarówno za życia, jak po śmierci. Potem zaś zaproponowali, że ciebie zabiorą i zajmą się twojem wychowaniem „w zastępstwie twej matki”. Odmówiłem. Nie chciałem cię im oddać... wówczas. Czy miałem słuszość, Emilko?

— Tak... tak... tak! — szeptała Emilka, okrywając ojca pocałunkami za każdym „tak”.

— Powiedziałem Oliverowi Murrayowi (on to mówił ze mną o tobie), że dopóki żyć będę, nie rozłączę się z mojem dzieckiem. Odrzekł: „Jeżeliby pan kiedykolwiek zmienił zdanie, niech nas pan zawiadomi.” Ale nie zmieniłem zdania, nawet w trzy lata później, kiedy doktor zabronił mi pracować. „Jeżeli pan nie zaniecha pracy, pożyje pan najwyżej rok jeszcze” — rzekł — „o ile zaś będzie pan żył spokojnie, przeważnie na świeżem powietrzu, to może pan żyć i trzy i cztery lata bodaj.” Okazał się dobrym prorokiem. Przyjechałem tutaj i tu spędziliśmy te nasze przemiłe cztery lata wspólnego pobytu. Miłe były, prawda, moje najdroższe małeństwo?

— O, tak, tak!

— Te lata i to, czego przez ten czas cię nauczyłem, to jest jedyne dziedzictwo, jakie ci pozostawiam, Emilko. Żyliśmy z małej renty dożywotniej, jaką mi wyznaczył, umierając, stary wuj, wuj, który umarł, zanim się ożeniłem. Majątek przejdzie teraz na własność publiczną, a ten mały domek, w którym miesz-

kamy, jest tylko wynajęty od właściciela. Z punktu widzenia światowego jestem chybionem istnieniem. Ale tobą zaopiekują się krewni twojej matki. Tego jestem pewien. Duma Murrayów jest tu dostateczną gwarancją o ile nie wchodziłyby w grę żadne inne uczucia. A nie mogą cię nie kochać. Może powinienem był posłać po nich przedtem, może jeszcze dzisiaj powinienem to uczynić. Ale ja też mam swoją dumę, rodzina Starrów też nie jest pozbawiona tradycji, a Murrayowie powiedzieli mi bardzo gorzkie słowa, gdy się żeniłem z twoją matką. Czy mam dać znać do Srebrnego Nowiu, żeby przyjechali po ciebie, Emilko?

— Nie! — odrzekła Emilka, niemal dziko.

Nie trzeba, żeby ktokolwiek wdzierał się pomiędzy ojca a nią podczas tych ostatnich, cennych kilku dni. Sama myśl była jej okropna. Dość okropne będzie ich przybycie... po tem. Ale wtedy wszystko już będzie jej obojętne.

— A zatem pozostaniemy razem do końca, moja maleńko Emileczko. Nie rozstaniemy się ani na minutę. A proszę cię, bądź dzielna! Nie lękaj się niczego, Emilko. Śmierć nie jest czemś straszmem. Wszęświat pełen jest miłości, wiosna powraca stale i jest wszędzie, a śmierć jest tylko otworzeniem i zamknięciem drzwi. Z tamtej strony drzwi też są piękne rzeczy. Tam odnajdę twoją matkę; o niejednym zwątpiłem, ale o *tem* nie wątpiłem nigdy. Czasami obawiałem się, że ona się wzniesie ponad mój poziom, krocząc ścieżkami wieczności od tak dawna, że wzniesie się tak wysoko, iż jej nie doścignę. Ale teraz czuję, że ona czeka na mnie. A oboje będziemy czekać na cie-



bie; nie będzie nam pilno... będziemy spędzali czas na błogim odpoczynku, aż się doczekamy, że i ty połączysz się z nami.

— Chciałabym, żebyś mnie zabrał ze sobą i przeniósł przez ten próg — szepnęła Emilka.

— Po pewnym czasie nie będziesz tego pragnęła. Musisz się dopiero nauczyć cenić czas. Tobie życie coś da, czuję to. Idź prosto przed siebie bez obawy, kochanie. Idź życiu naprzeciw. Wiem, że dotychczas nie odczuwałaś w ten sposób, ale pomnij zawsze na te moje słowa.

— W tej chwili — rzekła Emilka, która nie byłaby umiała ukryć cokolwiek przed ojcem — czuję tylko, że już wcale nie lubię Pana Boga.

Douglas Starr roześmiał się; był to śmiech, który Emilka najbardziej lubiła. Taki kochany śmiech, taki, że aż trzeba tchu zaczerpnąć z radości, że może istnieć taki cudny śmiech. Ramiona ojca objęły ją jeszcze mocniej.

— Owszem maleńka, kochasz Boga. Nie możesz Go nie kochać. On jest Miłością. Widzisz, nie wolno, ci, rzecz jasna, zamieniać Go z Bogiem Heleny Greene.

Emilka nie rozumiała dobrze, co ojciec ma na myśli. Ale natychmiast odczuła ukojenie: nie bała się już. Zniknęła gorycz wszelka, ustąpił nieznośny ból, uciskający jej serduszko. Doznawała wrażenia, że jest ze wszech stron otoczona miłością, że miłość jest ponad nią i dokoła niej, ona sama tchnęła wielką, niewidzialną, uskrzydloną miłością. Człowiek nie może trwożyć się, lub być gorzkim tam, gdzie jest miłość, a miłość jest wszędzie. Ojciec przejdzie przez owe drzwi, nie, on tylko uchyli zasłony... ten obraz bar-

dziej jej odpowiadał, bo zasłona nie jest czemś tak twardem i sztywnem, jak drzwi: przesunie się w ów świat, którego próbki widywała, gdy nawiedzał ją „promyk”. Tam będzie żył wiecznie w pięknie i zaw-sze będzie blisko niej. Ona zaś wszystko znieśie, wszystkiemu podoła, byle tylko czuła, że ojciec nie jest zbyt daleko, że jest tuż za ową zasłoną.

Douglas Starr trzymał ją na kolanach, dopóki nie usnęła; wówczas, mimo swe osłabienie, uniósł ją, złożył na łóżeczku, opatulił.

— Ona będzie kochać głęboko, będzie strasznie cierpieć, zazna wielu promiennych chwil w nagrodę za ból doznany; podobnie jak ja. Niech Bóg postąpi z rodziną jej matki tak, jak oni z nią postąpią — mówił urywanym szeptem.

### 3.

## NOWA RODZINA.

Douglas Starr żył jeszcze dwa tygodnie. Po szeregu lat, kiedy boleść zniknęła z jej wspomnień, uważała Emilka te dwa tygodnie za najcenniejsze w swem życiu. Były to piękne dni; piękne i nie-smutne. A pewnego wieczora, kiedy leżał na szezlongu w saloniku, a Emilka siedziała obok niego na starym fotelu na biegunach, przekroczył próg wieczności, zniknął za „zasłoną”, tak cicho, tak łatwo, że Emilka nie wiedziała, iż go niema, dopóki nie uderzyła w nią ta dziwna cisza w pokoju, w którym nie było słyhać niczyjego oddechu prócz jej własnego.

— Ojczel!... Ojczel!... — krzyknęła. Poczem zaczęła wielkim głosem wzywać Helenę.

Helena Greene oznajmiła Murrayom, gdy przyjechali, że Emilka zachowała się doprawdy dobrze, jeżeli wziąć pod uwagę wszelkie okoliczności. Istotnie, płakała wprawdzie przez całą noc i ani oka nie zmrużyła, ale zrana otarła łzy, była blada, spokojna i posłuszna.

— Teraz jesteś rozsądna — rzekła Helena — musimy się godnie przygotować do pogrzebu. Twój tatuś był tak szalony, że ostrzegł cię przede mną, jako przed starą warjatką, wiem o tem; nie był też grzeczny dla mnie, nawet w ostatnich chwilach swego życia. Ale ja nie mam do niego urazy. Spełniłam mój obowiązek. Pani Hubbard szyje dla ciebie czarną sukienkę; dzisiaj wieczorem będzie gotowa. Rodzina twojej matki przyjeżdża o tej porze mniej więcej, tak mi dali znać telegraficznie. Chciałabym, żeby uznali twój wygląd za godny i przyzwoity. Oni są zamożni i opiekują się tobą. Twój tatuś nie pozostawił ani centa, ale też nie miał żadnych długów, kazał mi to powiedzieć państwu Murray w jego imieniu. Czy byłaś już na górze, żeby zobaczyć ciało?

— Nie nazywaj go tak — zawołała Emilka z płaczem. Okropne to było słyszeć ten sposób nazywania ojca.

— Dlaczego nie? Cóż za dziwaczne dziecko z ciebie! On lepiej wygląda jako nieboszczyk, niż przypuszczałam; taki był wychudzony. Zresztą był zawsze przystojnym mężczyzną, chociaż był taki szczupły.

— Helena Greene — rzekła nagle Emilka, cofa-

jąc się o krok — jeżeli powiesz jeszcze słówko... tego rodzaju... o ojcu, rzucę na ciebie przekleństwo!

Helena Greene zdumiała się.

— Nie rozumiem, o co, u Boga Ojca, ci chodzi. Ale w ten sposób nie wolno mówić do mnie, i to po tem wszystkim, co zrobiłam dla ciebie. Lepiej będzie, żeby Murrayowie nie usłyszeli takich wyrazów w twoich ustach: przekleństwo! Ślicznie! Oto jest wdzięczność!

Oczy Emilki wyrażały cierpienie. Była przecież samotną, opuszczoną, maleńką istotą i boleśnie odczuwała brak wszelkiej przyjaźni. Lecz nie miała bynajmniej wyrzutów sumienia z powodu słów, wyrzeczonych do Heleny i ani myślała udawać skrucę.

— Chodź tu i pomóż mi pozmywać te talerze — rozkazała Helena. — To ci zrobi dobrze, oderwie cię od zmartwienia, a potem będziesz umiała cenić ludzi, którzy dla twojej wygody pracują w pocie czoła i nie będziesz ich przeklinać.

Emilka rzuciła okiem wymownie na ręce Heleny i wyjęła z szuflady ścierkę do wycierania talerzy.

— Masz grube i pulchne ręce — rzekła — wcale nie widać kości.

— Ale umiem niemi pracować! Wstrętne rzeczy mówisz, zupełnie tak jak twój biedny tatuś. Ale wyleczysz się rychło z tych przywar, o ile weźmie cię do siebie twoja ciotka Ruth.

— Czy ciotka Ruth będzie moją opiekunką?

— Nie wiem, ale ona powinna się zająć twem wychowaniem. Jest wdową i nie ma dzieci, ani nawet psa, czy kota, przytem jest zamożna.

— Zdaje mi się, że nie chciałabym, żeby ciotka

Ruth wzięła mnie do siebie — rzekła Emilka rezolutnie, po chwili namysłu.

— Tak, ale nie ty będziesz wybierać. Powinnaś być wdzięczna każdemu, kto cię przygarnie. Pamiętaj, że nie jesteś ważną osobą.

— Jestem ważna dla siebie samej — zawołała Emilka dumnie.

— Niełatwą sprawą będzie wychowywanie takiej dziewczynki — mruzczała Helena. — Według mnie jedyną, która temu podola, jest ciotka Ruth. Ona jest mądrą kobietą i najlepszą gospodynią w całej okolicy. U niej można jeść na podłodze.

— Nie mam zamiaru jadać u niej na podłodze. Mało mnie obchodzi, czy jakaś podłoga jest brudna, byle obrus na stole był czysty.

— No, obrusy też są czyste u niej, przypuszczam. Ona zajmuje bardzo elegancki domek w Shresbury z weneckimi oknami i boazerjami. Bardzo wykwinny. To będzie odpowiedni dom dla ciebie. Ona cię nauczy rozsądku i zrobi ci dużo dobrego.

— Nie chcę się uczyć rozsądku, nie chcę, żeby mi robiono dużo dobrego — krzyknęła Emilka, a usta jej drżały. — Chcę... chcę, żeby mnie ktoś kochał.

— No, to musisz się zachowywać grzecznie, jeżeli chcesz, żeby cię lubiono. Nie mogę cię nawet sądzić zbyt surowo, twój tatuś psuł cię okropnie. Tyle razy mówiłam mu o tem, ale on śmiał się tylko. Mam nadzieję, że teraz nie bierze mi tego za złe. Faktem jest, Emiljo Starr, że jesteś dziwaczką, a ludzie nie lubią dziwacznych dzieci.

— Dlaczego jestem dziwaczką? — spytała Emilka.

— Mówisz dziwne rzeczy i postępujesz dziwnie, a czasami wyglądasz dziwacznie. Przytem za stara jesteś na twoje lata, ale to już nie jest twoja wina. To stąd pochodzi, że nigdy nie przebywasz z innymi dziećmi. Zawsze nagabywałam twego ojca o posyłanie cię do szkoły... nauka w domu to co innego... ale naturalnie nie usłuchał mnie, jak zwykle! Może nawet umiesz ile trzeba z tego, co piszą w książkach, ale nie umiesz być podobną do innych dzieci. Pod pewnym względem dobrze byłoby dla ciebie, gdyby cię wziął do swego domu twój wuj Oliver, bo on ma bardzo liczną rodzinę. Ale on jest mniej zamożny, niż tamci inni. Mógłby cię przygarnąć twój wuj Wallace, ponieważ on jest głową rodziny i za takiego się uważa. On ma tylko jedną córkę, już dorosłą. Ale jego żona jest wątła, a zwłaszcza kapryśna.

— Jabyłm chciała, żeby mnie wzięła do siebie ciotka Laura — rzekła Emilka. Pamiętała słowa ojca, iż ciotka Laura jest z pewnych cech podobna do jej matki.

— Ciotka Laura! Ona nie będzie miała głosu w tej sprawie, w Srebrnym Nowiu rządzi Elżbieta. Jimmy Murray uwija się na folwarku, ale nie sądzę, żeby on tam był całą duszą, całym ciałem...

— A jaka część jego osoby tam się znajduje? — spytała Emilka ciekawie.

— Widzisz, z jego umysłem jest coś nie w porządku, dziecko. Jest on trochę głupi. Za młodu zdarzył mu się jakiś wypadek, jak mi mówiono, ale nie wiem dokładnie, co to było. Wiem tylko, że Elżbieta była w to zamieszana, ale nigdy nie mogłam się dowiedzieć szczegółów. Nie sądzę, żeby mieszkańcy

Srebrnego Nowiu mieli ochotę obarczać się tobą. Oni lubią swoje przyzwyczajenia. Posłuchaj mojej rady, staraj się przypodobać twojej ciotce Ruth. Bądź grzeczna, dobrze wychowana, może ona cię polubi. No, już wszystkie talerze pozmywane. Idź teraz na górę i nie zawadzaj mi tutaj.

— Czy mogę zabrać z sobą Kicię i Nieznośnika?  
— spytała Emilka.

— Nie, nie możesz.

— Miałabym towarzystwo — prosiła Emilka.

— Towarzystwo, towarzystwo... Nie możesz ich zabrać do swego pokoju: są przed domem i tam pozostaną. Nie chcę, żeby mi galopowały po całym mieszkaniu. Przed godziną wyszorowałam podłogę.

— Dlaczego nie szorowałaś podłóg za życia ojca? — spytała Emilka. — On tak lubił czystość i ład! A ty dopiero teraz szorujesz podłogi.

— Niech tylko kto posłucha! Czy ja mam stale szorować podłogi, cierpiąc na taki reumatyzm? Idź na górę. Najlepiej zrobisz, jeżeli się położysz i odpoczniesz.

— Pójdę na górę, ale nie położę się — rzekła Emilka — mam bardzo dużo do przemyślenia.

— Jedno muszę ci jeszcze doradzić — rzekła Helena, która stanowczo spełniała skrupulatnie to, co nazywała swoim obowiązkiem — klęknij i pomódl się do Boga, ażeby ci pozwolił być dobrem, posłusznym i wdzięcznym dzieckiem.

Emilka zatrzymała się przed pierwszym stopniem schodów i zwróciła głowę ku niej.

— Ojciec powiedział, że powinnam nie mieć nic wspólnego z twoim Bogiem — rzekła poważnie.

Helena otworzyła oczy szeroko, ale żadna odpowiedź nie przyszła jej do głowy wobec tego pogańskiego orzeczenia. Odwołała się do całej ludzkości.

— Czy słyszał ktokolwiek na świecie o czemś podobnem?!

— Ja wiem, jaki jest twój Bóg — rzekła Emilka — widziałam jego podobiznę w twojej książce o Adamie i Ewie. On ma wąsy i nosi szlafrok. Nie lubię Go. Kocham natomiast Pana Boga mego ojca.

— A jakież jest ten Bóg twego ojca, jeżeli wolno spytać? — zapytała Helena ironicznie.

Emilka nie miała pojęcia, jaki jest Bóg jej ojca, ale postanowiła nie ustąpić Helenie.

— Jest jasny, jak księżyc, świetlany jak słońce, a straszny jak wojsko ze sztandarami — odrzekła triumfująco.

— No, dobrze, musisz mieć ostatnie słowo — rzekła Helena, dając za wygraną. — Murrayowie nauczą cię posłuszeństwa. To są surowi Presbiterjanie i nie pozwolą na te wstrętne poglądy twego ojca. Idź na górę.

Emilka poszła do południowego pokoju, bardzo zmartwiona.

— Niema teraz nikogo na świecie, ktoby mnie kochał — mówiła, kręcąc się na swem łóżeczku pod oknem. Ale postanowiła, że nie będzie płakać. Murrayowie, którzy nienawidzili jej ojca, nie zobaczą jej łez. Czula, że niecierpi ich wszystkich z wyjątkiem może ciotki Laury. Jaki duży, jaki pusty stał się nagle świat! Wszystko przestało być ciekawe. Nieważne było, że ta mała jabłoń między Adamem i Ewą miała ni stąd ni zowąd kilka pączków różowo-śnieżnych, że wzgó-



rza nad wąwozem były jedwabisto zielone, przetykane purpurą, że narcyzy rozkwitły w ogrodzie, że brzozy uginają się pod złotemi gałkami, że Królowa Wicherów pędzi białe obłoczki po niebie. Żadne z tych zjawisk nie miało już teraz powabu, żadne nie było pociechą. W swem niedoświadczeniu mniemała, że one już nigdy nie odzyskają wartości w jej oczach.

— Ale przyrzekłam ojcu, że będę dzielna, — szeptała, zaciskając pięści — i dotrzymam słowa. I nie dam poznać Murrayom, że się ich boję... i nie będę się ich bać!

Gdy rozległ się na wzgórzu przeciągły świst pociągu popołudniowego, serce Emilki zaczęło bić mocno. Splotła dłonie i wzniosła twarzyczkę ku niebu.

— Proszę Cię, dopomóż mi, Boże ojca... nie Boże Heleny Greene — rzekła. — Pomóż mi być dzielną i nie płakać w obecności Murrayów.

Wkrótce potem rozległ się turkot kół i dźwięk głosów, donośnych, stanowczych głosów. Helena wbiegła, dysząc, po schodach i przyniosła czarną suknię, lichey łachmanek z czarnej welenki.

— Miss Hubbard zdążyła w samą porę, Bogu dzięki. Nie byłabym się za nic na świecie zgodziła pokazać cię Murrayom, nieubraną żalobnie. Nie powiedzą, że nie spełniłam mego obowiązku. Wszyscy już są i ci z Srebrnego Nowiu i Oliver i jego żona, ciotka Addie, i Wallace z żoną, ciotka Ewa i ciotka Ruth. Ciotka Ruth nazywa się Mrs Dutton, zapamiętaj. No, teraz jesteś gotowa. Chodź.

— Czy mogę włożyć mój wenecki naszyjnik? — spytała Emilka.

— Czy słyszał kto o czemś podobnem! Wenecki

naszyjnik i żałobna suknia! Wstydź się! Czy pora myśleć teraz o zadowoleniu próżności?

— To nie o próżność chodzi! — zawołała Emilka — ojciec dał mi ten naszyjnik na Boże Narodzenie, a ja chcę pokazać Murrayom, że też coś posiadam!

— Nie pleć głupstw! Chodź na dół, mówię! Dbaj o swe manjery, przyszłość twoja zależy od wrażenia, jakie wywrzesz na „nich”.

Emilka szła sztywno obok Heleny. Ośm osób siedziało w saloniku. Natychmiast uczuła krytyczne wejrzenie 16 oczu ludzkich. Była bardzo blada i drobna w swej czarnej sukience. Pod oczami miała fioletowe cienie, znać było po jej wielkich, podkrążonych oczach, że płakała. Była okropnie wystraszona i wiedziała o tem, ale nie chciała tego okazać Murrayom. Podniosła głowę, gotowa znieść mężnie czekającą ją próbę.

— Oto jest — rzekła Helena, zwracając ją za ramiona we właściwą stronę — twój wuj Wallace.

Emilka drgnęła i wyciągnęła przed siebie rękę. Nie polubi wuja Wallace'a, (odrazu to poczuła). Był on ponury, skrzywiony, brzydki, brwi miał ściągnięte, krzaczaste, usta zaciśnięte, nieubłaganie stanowcze w wyrazie. Pod oczami miał sine cienie i nabrziałe, t. zw. „torby”, przyczem nosił bokobrody. Emilka stwierdziła bez wahania, że nie podobają jej się bokobrody.

— Jak się miewasz, Emilko? — spytał chłodno i niemniej chłodno ucałował jej policzek.

Fala oburzenia zalała nagle serce Emilki. Jak on śmie ją całować, on, który nienawidził jej ojca i wyrzekł się jej matki. Szybkim jak błyskawica ruchem

wyjęła z kieszeni chusteczkę i otarła swój znieważony policzek.

— Dobrze... *doskonale!* — rozległ się z głębi pokoju nieprzyjemny głos.

Wuj Wallace wyglądał jak człowiek, który miałby niejedno do powiedzenia, ale nie może myśli zebrać. Helena gestem rozpaczony pchnęła Emilkę ku następnej osobie.

— Twoja ciotka Ewa — rzekła

Ciotka siedziała zawinięta w szal. Miała ścierpianą twarz chorej z urojenia. Ucisnęła Emilce rękę, nie mówiąc ani słowa. Emilka postąpiła tak samo.

— Twój wuj Oliver — oznajmiła Helena.

Emilce podobał się wuj Oliver z powierzchowności. Był wysoki i tęgi, różowy, przystojny. Pomyślała, że byłaby mniej oburzona, gdyby ten ją pocałował, chociaż miał duże białe wąsy. Ale wuj Oliver skorzystał z nauki, udzielonej wujowi Wallace'owi.

— Dam ci upominek za pocałunek — szepnął dobrotliwie. Wuj Oliver żartował, chcąc być miłym i wzbudzić sympatię w siostrzenicze, ale Emilka nie wiedziała o tej intencji i obraziła się na niego.

— Nie sprzedaję moich pocałunków — odrzekła, podnosząc głowę tak wysoko, jak tylko stać na to Murray'ównę.

Wuj Oliver zachichotał i był niesłychanie ubawiony, a wcale nie wydawał się dotknięty. Ale Emilka posłyszała sygnację zgorszenia w głębi pokoju.

Następną osobą była ciotka Addie. Była pulchna, różowa i przystojna, podobnie jak jej mąż; ucisnęła zimną rączkę Emilki bardzo serdecznie.

— Jak się miewasz, kochanie? — spytała.

Pod wpływem tego wyrazu: „kochanie”, odtajała Emilka troszkę. Ale następne powitanie zmroziło ją niezwłocznie. Była to ciotka Ruth. Emilka wiedziała odrazu, że ma przed sobą ciotkę Ruth, jeszcze zanim Helena wymówiła to imię. Wiedziała również, że to ciotka Ruth powiedziała: „Dobrze... doskonale!” i syknęła. Widziała teraz zimne, szare oczy, sztywne, ciemne włosy, krępą postać, wąskie, ściągnięte, bezłitosne usta.

Ciotka Ruth wyciągnęła do niej końce palców, ale Emilka nie dotknęła ich.

— Uściśnij dłoń ciotce Ruth — szepnęła Helena gniewnie.

— Ona nie życzy sobie uściskać mojej ręki — odrzekła Emilka wyraźnie — więc i ja nie uścisknę jej dłoni.

Ciotka Ruth złożyła swą wzgardzoną rękę na kolanach, na fałdach czarnej jedwabnej sukni.

— Jesteś bardzo źle wychowanym dzieckiem — rzekła; — ale niczego innego nie można było się spodziewać.

Emilka uczuła nagle wyrzut sumienia. Czy pomyślała o ojcu, zachowując się w ten sposób? Może powinna była uściskać dłoń ciotce Ruth. Ale już było za późno. Helena już ją przerzuciła o parę kroków dalej.

— Oto jest twój kuzyn, pan Jimmy Murray — rzekła Helena zniechęconym tonem osoby, która daje za wygraną i pragnie tylko jak najrychlej spełnić niewdzięczne zadanie.

— Kuzyn Jimmy... Kuzyn Jimmy — powtórzył

ten człowiek. Emilka popatrzała na niego uważnie i odrazu polubiła go bez zastrzeżeń.

Miał on różową, figlarną twarz z siwiejącą brodą; włosy jego falowały nad czołem, a duże piwne oczy łagodne były i szczerze, jak oczy dziecka. Uściskał Emilce dłoń serdecznie, patrząc pytająco na siedzącą nawprost niego damę.

— Hallo! kurczątko! — rzekł pogodnie.

Emilka zaczęła się uśmiechać, ale uśmiech ten był tak nieśmiały, tak powoli wykwitał na jej twarzy, że zanim był w pełnym rozkwicie, już ją Helena postawiła przed następną osobą, tak że tej właśnie przypadł on w udziale. Osobą tą była ciotka Laura.

— Uśmiech Julki! — rzekła zniżonym głosem. Ciotka Ruth syknęła ponownie.

Ciotka Laura nie była podobna do żadnej z osób obecnych w pokoju. Była prawie ładna, miała rysy delikatne, okolone gęstymi puklami jasnych, jedwabistych włosów, lekko siwiejących, upiętych w warkocze ztyłu głowy. Ale serce Emilki podbiły jej oczy. Były to takie okrągłe, niebieskie, bardzo niebieskie oczy. Trudno się było otrząsnąć z wrażenia wobec takiego napięcia błękitu. A kiedy przemówiła, okazało się, że ma piękny, słodki głos.

— Ty biedne, kochane dzieciátko — rzekła i objęła Emilkę ramieniem.

Emilka oddała jej uściśnienie i o mało co nie pokazała przecież Murrayom swoich łez. Ocalił ją tylko ten fakt, że Helena pchnęła ją nagle w kąt, ku oknu.

— Oto jest twoja ciotka Elżbieta.

Tak, to była ciotka Elżbieta. Miała na sobie czarną suknię ze sztywnego atlasu, tak sztywnego, tak wspaniałego, że Emilka nie wątpiła, iż jestto najlepsza suknia ciotki. Cokolwiek ciotka Elżbieta sądziła o jej ojcu, oddała mu hołd, kładąc na jego pogrzeb najlpeszą ze swych sukien. A sama ciotka Elżbieta była drobną kobietą o ciężkiej koronie szpakowatych włosów, o rysach wydatnych i ponurym stylu całej postaci. Na głowie miała czepeczek z czarnej koronki. Oczy jej, podobnie jak oczy ciotki Ruth, były zimne, stalowe, a usta surowo zaciśnięte. Pod jej chłodnem, badawczem spojrzeniem znowu zamknęła się Emilka w sobie, zatrzaskała drzwi swej duszy. Byłaby chciała pozyskać względy ciotki Elżbiety, która była zarządcą Srebrnego Nowiu, ale czuła, że nie podoła...

Ciotka Elżbieta uścisnęła jej rękę i nic nie powiedziała. Prawdę powiedziawszy, nie wiedziała, co ma rzec. Elżbieta Murray nie byłaby się czuła onieśmiona wobec króla lub generała - gubernatora. Duma Murrayów byłaby jej podyktowała sposób bycia najwłaściwszy; ale odczuwała coś dziwnego wobec tego obcego dziecka, patrzącego do niej pod górę, dziecka, które już pokazało, że nie jest bynajmniej słabe, ani uprzejme. Ciotka Elżbieta nie byłaby się nigdy przyznała, że nie życzy sobie być potraktowaną przez tę małą tak, jak Wallace, lub Ruth.

— Siadaj na sofie — rozkazała Helena.

Emilka usiadła na sofie ze spuszczonei oczami. Ręce złożyła na kolanach, nogi postawiła jedną przy drugiej. Niech widzą, że ona ma dobre manjery.

Helena wróciła do kuchni, dziękując swej dobrej gwiazdce, że ma już to za sobą.

Emilka nie lubiła Heleny, ale poczuła się opuszczona po jej odejściu. Teraz była sama wobec trybunału Murrayowskiego. Dużo byłąby za to dała, żeby się znaleźć poza obrębem tego pokoju. Ale na dnie jej świadomości rodził się jednocześnie zamiar opisanie tego wszystkiego w swym starym zeszycie. To będzie ciekawe. Będzie mogła opisać ich wszystkich: wiedziała, że potrafi. Miała już określenie na oczy ciotki Ruth: „kamiennie - szare”. Były zupełnie podobne do kamieni, takie twarde, zimne, obojętne. Wtem trwoga przeszła jej serce. Ojciec nigdy już nie przeczyta tego, co ona wpisze do złotego zeszytu!

A jednak... czuła, że chętnie się wypisze. Jak najlepiej będzie określić oczy ciotki Laury? Takie piękne oczy! Nazwać je niebieskimi, to nic nie mówi... setki ludzi mają niebieskie oczy... aha! już ma! „Błękitne otchłanie”, oto jest właściwe określenie.

I w tejże chwili zjawił się „promyk”.

Było to po raz pierwszy od tego okropnego wieczora, kiedy Helena czekała na nią na progu. Mnie-mała, że to już nigdy nie wróci, a oto teraz, w tem najnieodpowiedniejszym miejscu, zjawił się... ujrzała oczami, innemi, niż zmysł wzroku, ten cudowny świat poza zasłoną. Otucha i nadzieja zalały jej duszyczkę, jak fala różowego światła. Podniosła głowę i patrzyła przed siebie odważnie — „hardo”, jak się wyraziła później ciotka Ruth.

Tak, opíše ich wszystkich w złotym zeszycie, opíše ich w najdrobniejszych szczegółach: słodką cio-

tkę Laure, miłego kuzyna Jimmy, marsowego wuja Wallace'a, wuja Olivera o twarzy jak księżyc, wyniosłą ciotkę Elżbietę i nienawitsną ciotkę Ruth.

— Jest to delikatne, wątłe dziecko — rzekła ciotka Ewa swym smutnym, bezbarwnym głosem.

— No, a czegoż mogłaś się spodziewać? — rzuciła ciotka Addie z westchnieniem, które wydawało się Emilce bardzo znaczące. — Ona jest blada, gdyby miała rumieńce, nie byłaby wcale brzydka.

— Nie wiem, do kogo ona jest podobna — rzekł wuj Oliver, patrząc na Emilkę.

— Ona nie wdała się w Murrayów, to jest pewne — rzekła ciotka Elżbieta stanowczo i niechętnie. „Oni mówią o mnie tak, jakby mnie tu nie było”, pomyślała Emilka z oburzeniem w sercu wobec takiej niestosowności.

— Do Starrów też nie jest podobna — rzekł wuj Oliver. — Wygląda raczej tak, jak dziewczęta z rodziny Byrd'ów, ma oczy i włosy swej babki.

— Nos ma Jerzego Byrd'a — rzekła ciotka Ruth tonem, nie pozostawiającym wątpliwości co do jej zdania o nosie Jerzego.

— Czoło ma swego ojca — rzekła ciotka Ewa, również niechętnie.

— Uśmiech ma swej matki — odezwała się ciotka Laura, lecz tak cichym głosem, że nikt jej nie słyszał.

— I rzęsy też ma Julki... wszak Julka miała bardzo długie rzęsy? — odezwała się ciotka Addie.

Tu przekroczono granice cierpliwości Emilki.

— Zachowujecie się, jakgdybym była lalką z gałganków i z trocin! — wybuchnęła oburzeniem.



Murrayowie popatrzyli na nią. Może odczuwali pewną skruchę, bo, w gruncie rzeczy, nikt z nich nie był potworem, byli wszyscy mniej lub więcej ludzcy. Widocznie żadne z nich nie umiało znaleźć odpowiednich słów. Milczenie przerwał dopiero tłumiony chichot kuzyna Jimmy'ego, pełen wesołości, całkiem niezłośliwy.

— Dobrze tak, kurczątko! — rzekł. — Staw im czoło, broń się!

— Jimmy! — rzekła ciotka Ruth.

Jimmy uspokoił się.

Ciotka Ruth patrzyła na Emilkę.

— Kiedy ja byłam małą dziewczynką — rzekła — nigdy nie odzywałam się, dopóki mnie nie pytano.

— Gdyby nikt się nie odzywał, dopóki go nie pytają, to wogóle nie byłoby rozmowy — odrzekła Emilka logicznie.

— Nigdy się nie upierałam przy mojem zdaniu — ciągnęła dalej ciotka Ruth surowo. — Za moich czasów małe dziewczynki były odpowiednio wychowywane. Byłyśmy grzeczne i posłuszne starszym. Uczono nas, jak się zachowywać i byłyśmy zawsze „na swoim miejscu”.

— Nie sądzę, żebyście się dobrze bawiły — rzekła Emilka i wtem zastygła w przerażeniu. Nie miała zamiaru wypowiedzieć tego głośno, ona to tylko pomyślała. Ale tak już przywykła przy ojcu do myślenia na głos!

— Bawiły! — powtórzyła ciotka Ruth ze zgorzaniem. — Nie myślałam o zabawie, gdy byłam małą dziewczynką.

— Nie, wiem o tem — rzekła Emilka poważ-

nie. Głos jej i postawa były teraz pełne szacunku, gdyż pragnęła okupić swoje mimowolne wykroczenie. Niemniej ciotka Ruth patrzyła na nią wciąż, jakby chciała wytargać ją za uszy. To dziecko urągało jej starości swą idealną, doskonałą dziecięcością. To było nie do zniesienia, zwłaszcza u córki Starra. A ten wstrętny Jimmy śmieje się znowu! Elżbieta powinna go przyprowadzić do porządku.

Na szczęście zjawiała się w tym momencie naprężenia Helena Greene i oznajmiła, że kolacja już jest gotowa.

—Ty zaczekasz — szepnęła Emilce — dla ciebie niema miejsca przy stole. — Emilka zadowolona była. Wiedziała, że nie przełknie ani kęsa pod okiem Murrayów. Jej ciotki i wujowie wyszli z pokoju, nie oglądając się na nią, z wyjątkiem ciotki Laury, która od drzwi obejrzała się i przesłała jej ukradkiem pocałunek. Zanim Emilka zdążyła odpowiedzieć, zatrzasnęła Helena Greene drzwi jadalni.

Emilka pozostała sama w pokoju, który zaludniał się teraz cieniami półmroku. Duma, która ją podtrzymywała w obecności Murrayów, opuściła ją nagle; czuła przypływ łez. Poszła prosto do zamkniętych drzwi w głębi saloniku, otworzyła je i weszła do gabinetu ojca. Trumna ojca stała pośrodku tego niewielkiego pokoju, który niegdyś był jego sypialnią. Podłoga usłana była wieńcami: Murrayowie, jak zawsze, spisali się godnie. Ogromny wieniec z białych róż, przysłany przez wujka Wallace'a, stał na stoliku w nogach trumny, wyzywający, zbyt wspaniały. Emilka nie mogła zobaczyć twarzy ojca, bo stos białych hjacyntów, przywieziony przez ciotkę Ruth, leżał na

szkle w tem miejscu, gdzie się znajdowała głowa zmarłego. Emilka nie śmiała dotknąć tych kwiatów. Ale położyła się, skulona, na podłodze i przytuliła policzek do drzewa trumny. Tak ją zastali, śpiącą Murrayowie, wszedłszy tu po kolacji. Ciotka Laura podniosła ją i rzekła:

— Położę to biedne dziecko do łóżeczka, ona jest poprostu wyczerpana. — Emilka otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła:

— Czy mogę mieć przy sobie Kicię? — spytała.

— Kto to jest Kicia?

— Moja kotka, moja duża, szara kotka.

— Kotka! — zawołała ciotka Elżbieta zgorzonym tonem. — Nie powinnaś mieć kota w swej sypialni!

— Dlaczego nie, zwłaszcza dzisiaj? — wstawiła się za nią ciotka Laura.

— Pod żadnym pozorem! — odrzekła ciotka Elżbieta. — Kot jest najniehygieniczniejszym stworzeniem w sypialni. Dziwisz mnie, Lauro! Połóż dziecko do łóżka i dopilnuj, żeby miało dosyć kołder. Noc jest chłodna. Ale nie mów mi już o spaniu z kotem.

— Kicia jest bardzo czystym kotem — rzekła Emilka. — Ona się myje codziennie.

— Zabierz ją do łóżka, Lauro — rzekła ciotka Elżbieta, nie uważając na Emilkę.

Ciotka Laura ustąpiła. Zaprowadziła Emilkę na górę, pomogła jej się rozebrać i położyła ją do łóżka. Emilka była bardzo senna. Ale zanim usnęła na dobre, uczuła coś miękkiego, miłego, ciepłego, przyjacielskiego, coś, co tuliło się do jej ramienia. Ciotka Laura, zbiegłszy na dół, znalazła Kicię i przy-

niosła ją Emilce. Ciotka Elżbieta nie dowiedziała się o tem nigdy, a Helena Greene nie śmiała się odezwać, bo czyż Laura nie była panną Murray ze Srebrnego Nowiu?

4

RADA FAMILIJNA.

Emilka obudziła się o świcie następnego dnia. Przez niskie, niezastłonięte okna wdzierał się cudny wschód słońca, a blada, jasna gwiazdeczka jeszcze migiała na kryształowo błękitnem niebie, nad Wyniosłym Swierkiem. Świeży wietrzyk poruszał wierzchołkami drzew. Helena Greene spała w wielkiem łóżku i głośno chrapała. Poza tem w małym domku panowała cisza. Na ten moment właśnie czekała Emilka.

Wysunęła się ostrożnie z łóżeczka, okrążyła pokój na palcach i otworzyła drzwi. Kicia dzwignęła się z podłogi i poszła za nią, ocierając się ciepłemi biodrami o nogi dziewczynki. Z poczuciem winy zsunęła się Emilka ze stopni, gołych i ciemnych. Jak te schody trzeszczą, z pewnością ktoś się obudzi! Ale nikt się nie zjawił i Emilka wślizgnęła się do saloniku. Zamknawszy drzwi, wydała westchnienie ulgi. Pobiegła szybko do przeciwległych drzwi.

Stos kwietny od ciotki Ruth zasłaniał szkło na trumnie. Emilka ściągnęła usta, co uczyniło ją podobną do ciotki Elżbiety, i uniosła hjacynty: złożyła je na podłodze.

— Och, ojczu, ojczu! — szepnęła, kładąc dłoń

na swej szyi, jakby chciała tam coś przytrzymać. Stała tak, drżąca, kredowo biała i patrzyła na swego ojca. To będzie ich pożegnanie. Musi go pożegnać, gdy są sami, nie będzie go żegnać w obecności Murrayów.

Ojciec tak pięknie wyglądał! Znikły wszystkie bolesne fałdy, twarz jego podobna była do twarzy młodego chłopca, z tą jedną różnicą, że okalały ją srebrne włosy. Uśmiechał się takim miłym, dziwnym uśmiechem, mądrym, przenikliwym, jakby nagle ujrzał kogoś kochanego całkiem nieoczekiwanie. Nie raz widywała jego uśmiechy za życia, miłe, ładne, ale takiego, jak ten, nie widziała nigdy.

— Ojczy, nie płakałam w ich obecności — szeptała. — Pewna jestem, że nie skompromitowałam Starrów. Wszak niepodanie ręki ciotce Ruth nie było kompromitacją Starrów, prawda? Bo ona naprawdę nie miała ochoty podać mi ręki: ach, ojczy, mnie się zdaje, że nikt z nich nie miał ochoty witać się ze mną, oprócz może ciotki Laury. A teraz ja trochę popłaczę, ojczy, bo nie mogę już dłużej panować nad tem.

Przyłożyła twarzyczkę do zimnego szkła i załkała gorzko. Ale to niedługo potrwało. Musi pożegnać się z ojcem, zanim ktokolwiek nadejdzie. Podniósłszy głowę, patrzyła długo i poważnie na ukochane oblicze.

— Żegnaj, ukochany ojczy, żegnaj, najdroższe umiłowanie moje — szeptała urywanym głosem.

Otarła oślepiające ją łzy i położyła na dawne miejsce hjacynty ciotki Ruth, zakrywające oblicze ojcowskie przed oczami ludzi obcych. Poczem wy-

śliznęła się z pokoju żałobnego, chcąc powrócić, niespostrzeżona, do swej sypialni. W drzwiach wpadła niemal na kuzyna Jimmy, który siedział tuż przy progu na krześle, owinięty w szlafrok i trzymał na kolanach Kicię.

—Sz! Pst! — szepnął, klapiąc ją po ramieniu. Słyszałem twe kroki i poszedłem za tobą. Wiedziałem, czego pragniesz. Siedziałem tu, ażeby ich nie dopuścić do tamtego pokoju w razie, gdyby się ktoś zjawił. Masz, zabieraj to i pędź do łóżeczka zpowrotem, małe kurczątko!

„To” było paczką karmelków miętowych. Emilka porwała je i uciekła, zawstydzona, że kuzyn Jimmy widział ją w nocnej koszulce. Niecierpiała miętowych cukierków i nigdy ich nie jadła, ale sam fakt dobroci kuzyna Jimmy Murraya, ujawniony w tym upominku, rozgrzał jej serce. Nazywał ją „małym kurczątkiem”, podobało jej się to. Sądziła, że nikt już nie nazwie jej żadnym pieśczołliwym mianem. Ojciec używał tak wielu, mówił do niej: „Kochanie”, „przylepko”, „Emileczko”, „drogie maleństwo”, „promyczku”, „skowroneczku”. Miał dla niej pieśczołliwe miana na każdą porę dnia, przy każdym nastroju, a ona lubiła je wszystkie. Kuzyn Jimmy jest miły. Jeżeli mu brak czego, to w żadnym razie nie serca. Była mu taka wdzięczna, że, położywszy się do łóżka, usiłowała zjeść jeden z miętowych karmelków, jakkolwiek połknięcie mięty było dla niej istną karą.

Pogrzeb odbył się po południu. Raz przynajmniej zaludnił się mały domek w wąwozie. Trumna stała tego dnia w saloniku, a Murrayowie, jako orszak żałobny, siedzieli dokoła, sztywni i dekoracyjni.

Między nimi widniała postać Emilki, bladej i drobnej w swej czarnej sukience. Siedziała między ciotką Elżbietą a wujem Wallace'em i nie śmiała się ruszyć. Z rodziny Starrów nikt inny nie był obecny. Ojciec nie miał bliskich krewnych. Mieszkańcy Boru Majowego przybyli i przyglądali się jego martwej twarzy z jawną i bezczelną ciekawością na którą nigdy nie byliby sobie pozwolili za jego życia. Emilka nienawidziła tych obcych spojrzeń na twarzy ojca. Nie mieli prawa... nie byli mu życzliwi, dopóki żył... mówili o nim brzydkie rzeczy... Helena Greene powtarzała czasem to i owo. Każde spojrzenie, padające na zmarłego, bolało Emilkę; ale siedziała cichutko i nie okazywała tego. Ciotka Ruth mówiła potem, że nigdy nie widziała dziecka, tak doszczętnie pozbawionego wszelkich uczuć normalnych.

Po skończonem nabożeństwie, Murrayowie podnieśli się i obeszli dokoła trumnę z obowiązkiem spojrzeniem pożegnalnem. Ciotka Elżbieta wzięła Emilkę za rękę i chciała ją pociągnąć za sobą, ale Emilka wysunęła swą rączkę z jej dłoni i potrząsnęła głową. Ona już się pożegnała. Ciotka Elżbieta robiła przez chwilę wrażenie kogoś, kto będzie nalegał. Wreszcie poszła ku trumnie sama, nadaśana jak prawdziwa Murray'ówna. Na pogrzebie nie można robić sceny.

Douglas Starr miał być przewieziony do Charlotetown i pochowany obok żony. Murrayowie jechali wszyscy, ale Emilka nie miała pojechać. Patrzyła za orszakiem żałobnym, jak zstępował po wysokiem, poroślem trawą wzgórzu; deszcz drobny zaczął padać. Emilka cieszyła się, że deszcz pada; nieraz słyszała, jak Helena Greene mówiła, że szczęśliwe te zwłoki,

na które spadnie deszcz. A przytem łatwiej było znosić widok trumny ojca, zasuwającej się coraz bardziej w mglistą dal, niż gdyby trzeba było patrzeć na ten sam orszak, skąpany w promieniach roześmianego słońca.

— Hm, trzeba przyznać, że pogrzeb był bardzo uroczysty — rzekła Helena Greene, stojąca przy niej. — Wszystko zostało załatwione bez oglądania się na koszt. Jeżeli twój ojciec spogląda na to z nieba, Emilko, pewna jestem, że jest zadowolony.

— Ojca niema w niebie — odrzekła Emilka.

— Boże miłosierny! Cóż za dziecko! — Helena nie mogła wymówić ani słowa więcej.

— Ojca *jeszcze* tam niema. Jest dopiero w drodze. Powiedział, że będzie czekał cierpliwie, aż ja umrę także, ażebym mogła go dogonić. Mam nadzieję, że umrę niebawem.

— Tego nie wolno sobie życzyć, to jest bardzo zła myśl — łajęła ją Helena.

Kiedy już ostatni członkowie orszaku zniknęli z oczu, poszła Emilka zpowrotem do saloniku, wyjęła książkę z biblioteki i padła na fotel na biegunach. Kobiety, które sprzątały mieszkanie, zadowolone były, że dziecko siedzi spokojnie i nie przeszkadza.

— Dobrze; że ona umie czytać — rzekła pani Hubbard — niektóre dziewczynki są mniej grzeczne... Jennie Hood tak płakała i kwiliła, gdy chowano jej matkę... Hoodowie są wszyscy tacy *uczuciowi*...

Emilka nie czytała. Rozmyślała, że Murrayowie przyjadą zpowrotem po południu. Wiedziała również, że losy jej rozstrzygną się wówczas. „Rozpatrzmy to po przyjeździe z pogrzebu”, powiedział wuj Wallace po śniadaniu. Jakiś instynkt mówił jej, że to o nią



chodzi. Byłaby oddała jedno ze swych małych, śpiczastych uszu, byle słyszeć naradę rodzinną. Ale wiedziała doskonale, że każą jej wyjść z pokoju. Nie doznała zatem zdziwienia, gdy Helena weszła do saloniku o zmierzchu i rzekła:

— Wejdz na górę, Emilko. Lepiej będzie, żebyś tam czekała na powrót twoich ciotek i wujów, którzy będą chcieli mówić tu o interesach.

— Czy nie mogę ci pomóc w przygotowaniach do kolacji? — spytała Emilka, sądząc, że skoro będzie na dole i będzie się krzątać po kuchni, to łatwiej pochwyci to i owo z rozmowy krewnych.

— Nie. Bardziejbyś przeszkadzała, niż pomagająca. Maszeruj na górę!

Helena wróciła do kuchni, nie czekając, aż Emilka pomaszeruje. Emilka wstała niechętnie. Jakże będzie mogła spać w nocy, nie wiedząc, co się z nią stanie? A czuła, że nikt jej nie powie, co postanowili. Musiałaby czekać do następnego dnia.

Oczy jej padły na podłużny stół na środku pokoju. Serweta która na nim leżała, była nieprzeciętnych rozmiarów, spadała ciężkimi fałdami aż do podłogi. Mignęły na dywanie czarne skarpetki, zaszeleściła serweta, falowała przez chwilę... poczem zaległo milczenie. Emilka na podłodze, pod stołem ułożyła wygodnie nogi i siedziała, triumfująca. Dowie się, co oni mówią, a nikt nie domyśli się jej obecności.

Nigdy jej nie powiedziano, że podsłuchiwanie nie jest czynem uczciwym, że jest uważane za coś wysoce niewłaściwego; nie nadarzyła się sposobność do takiej nauki w ich spokojnem życiu we dwoje, ojca i Emilki. Poczytywała więc poprostu za szczęśliwy zbieg

okoliczności tę możność ukrycia się pod stołem. Mogła nawet widzieć niejedno przez serwetę. Serce jej biło tak głośno, że bała się tem zdradzić swą obecność. Żaden inny dźwięk nie rozlegał się dokoła, prócz rechotania żab, dochodzącego przez otwarte okno.

Przyjechali. Weszli do pokoju. Usiedli pod ścianami. Emilka wstrzymywała oddech. Przez kilka minut nikt nie mówił, tylko ciotka Ewa wzdychała ciężko i przeciągle. Wreszcie wuj Wallace odchrząknął i rzekł:

— A zatem, co robimy z dzieckiem?

Nikomu nie było pilno z odpowiedzią. Emilka myślała, że już nigdy nie przemówią. Wreszcie odezwała się ciotka Ewa tonem skargi:

— To takie trudne do prowadzenia dziecko, takie dziwne. Ja jej zupełnie nie rozumiem.

— Mnie się zdaje — wtrąciła nieśmiało ciotka Laura — że ona ma tak zwany artystyczny temperament.

— Ona jest zepsutem dzieckiem — rzekła ciotka Ruth bardzo stanowczo. — Zadaniem naszym będzie przedewszystkiem wyplenienie jej złych manjer, jeżeli chodzi o moje zdanie.

(Mała obserwatorka pod stołem pokręciła głową i rzuciła gniewne spojrzenie na ciotkę Ruth poprzez serwetę. „Ja myślę, że twoje własne manjery należałoby poprawić.” Emilka nie śmiała nawet szepnąć tych słów, ale sylabizowała je, poruszając wargami, bez wydawania jakichkolwiek dźwięków; to było wielką ulgą i satysfakcją.)

— Zgadzam się z tobą — przytaknęła ciotka Ewa — ale co do mnie, nie podjęłabym się tego zadania.

(Emilka zrozumiała, że to znaczy, iż wuj Wallace nie weźmie jej do siebie i ucieszyła się).

— Prawdę powiedziawszy — rzekł wuj Wallace — powinna ją wziąć ciotka Nancy. Posiada więcej dóbr ziemskich, niż ktokolwiek z nas.

— Ciotce Nancy do głowy nawet nie przyjdzie wziąć małą do siebie i wiesz o tem sam doskonale! — odparł wuj Oliver. — Przytem jest ona za stara, aby się zająć wychowaniem dziecka, ona i ta stara czarownica, Karolina. Nie wydaje mi się, jak Boga Kocham, iżby którakolwiek z tych dwóch kobiet miała w sobie jeszcze coś ludzkiego. Jabym chętnie wziął do siebie Emilkę, ale nie mogę sobie na to pozwolić. Mam liczną rodzinę, o którą muszę dbać przedewszystkiem.

— Ona nie będzie długo nudzić nikogo, nikomu przeszkadzać, — rzekła ciotka Elżbieta cierpko. — Umrze prawdopodobnie na suchoty, podobnie jak jej ojciec.

(„Nie umrę... nie umrę!” — wykrzyknęła Emilka, a przynajmniej pomyślała to z taką siłą, że aż jej samej wydawało się, że wykrzyknęła te słowa. Zapomniała, że pragnęła umrzeć wcześniej, aby dogonić ojca. Chciała żyć teraz, ażeby zrobić na złość Murrayom „Nie mam wcale zamiaru umierać. Będę żyć... przez długi szereg lat... i zostanę sławną autorką. zobaczysz, że nie umrę, ciotko Elżbieto Murray!”)

— Ona jest mizernem dzieckiem — przytaknął wuj Wallace.

(Emilka dała ujście swym uczuciom, robiąc grymas pod adresem wuja Wallace'a. „Jeżeli kiedykolwiek będę właścicielką świni, nazwę ją twojem imie-

niem”, pomyślała, przyczem doznała ulgi, w poczuciu zaspokojonej zemsty).

— Ktoś musi się nią zająć, dopóki to dziecko jest przy życiu, sami rozumiecie... — rzucił wuj Oliver.

(„Wam przydałaby się moja śmierć, ale potem mielibyście wyrzuty sumienia do końca życia, gdybym naprawdę umarła, pomyślała Emilka. W przerwie, jaka teraz nastąpiła, odmalowywała przed samą sobą swój pogrzeb, dobierała swych grabarzy i starała się wybrać najpatetyczniejszy werset hymnu, który każałaby wyryć na swym grobie. Ale zanim zdążyła to ustalić, zabrał znów głos wuj Wallace).

— Nie możemy jej podrzucić. Musimy gdzieś ulokować to dziecko...

(Chciałabym, żeby oni nie nazywali mnie „to dziecko”, pomyślała Emilka z goryczą).

— ...Ktoś musi jej stworzyć ognisko rodzinne. Córka Julki nie może być rzucona na pastwę obcych ludzi. Ja zdaję sobie sprawę, że zdrowie Ewy nie jest na wysokości zadania, gdy chodzi o wychowanie i pilnowanie dziecka...

— Takiego dziecka — wtrąciła Ewa.

(Emilka pokazała język ciotce Ewie).

— Biedne stworzonko — rzekła ciotka Laura łagodnie.

(Coś zmrożonego odtajało na te słowa w sercu Emilki. Była rozdzierająco szczęśliwa, słysząc, że ją nazwano tak czule „biednem stworzonkiem”).

— Nie sądzę, żeby ona tak bardzo potrzebowała tego współczucia, Lauro — rzekł stanowczym tonem wuj Wallace. — Oczywiście jest rzeczą, że ona niewie-

le czuje. Nie widziałem w jej oczach ani jednej łzy od chwili naszego przyjazdu.

— Czy zauważyłaś, że ona nawet nie chciała rzucić okiem po raz ostatni na zwłoki ojca — spytała ciotka Elżbieta.

Kuzyn Jimmy zaczął nagle gwizdać, patrząc w sufit.

— Ona czuje tak wiele, że musi to ukrywać — rzekła ciotka Laura.

Wuj Wallace parsknął śmiechem.

— Może my ją weźmiemy do siebie, Elżbieto? — rzuciła Laura nieśmiało.

Ciotka Elżbieta kręciła się niespokojnie na krześle.

— Nie sądzę, żeby jej było dobrze w Srebrnym Nowiu wśród trojga starych ludzi...

(„Byłoby! Byłoby!” pomyślała Emilka).

— A ty Ruth? — zwrócił się wuj Wallace do siostry. — Jesteś sama w tym dużym domu. Dla ciebie byłoby to wskazane mieć trochę towarzystwa.

— Nie lubię tej małej — rzekła ciotka Ruth ostro. — Ona jest przebiegła jak wąż.

(„Nieprawda!” pomyślała Emilka.)

— Pod mądrym i światłym kierunkiem może się ona wyleczyć ze wszystkich wad — rzekł wuj Wallace uroczyście.

(„Nie chcę się z nich leczyć!” Emilka wpadała pod stołem w coraz to większą złość. „Wolę moje wady, niż *wasze, wasze...*”, szukała w myśli odpowiedniego wyrazu i nagle przypomniała sobie triumfalnie jedno ze zdań swego ojca: „*wasze wstrętne zalety!*”)

— Wątpię — rzekła ciotka Ruth krąjącym głó-

sem. — Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Co do Douglasa Starra, to uważam, że było to całkiem niewłaściwe z jego strony umrzeć i pozostawić to dziecko bez grosza.

— Czy on to zrobił rozmyślnie? — spytał kuzyn Jimmy. Po raz pierwszy zabierał głos.

— On był nędznym bankrutem życiowym — wycedziła ciotka Ruth.

— Nieprawda! Nieprawda! — wrzasnęła Emilka, wysadzając zniecka głowę z pod serwety, z pomiędzy dwóch przednich nóg stołowych.

Murrayowie siedzieli przez chwilę w milczeniu, nieruchomi, jakgdyby skamieniali pod wpływem tego jej wybuchu. Wreszcie ciotka Ruth wstała, podeszła do stołu, podniosła serwetę, pod którą Emilka schowała się znowu, strapiona, pojmując teraz dopiero, co uczyniła.

— Wstań i wyjdź stamtąd, Emiljo Starr! — rzekła ciotka Ruth.

„Emilja Starr” wstała i wyszła z pod stołu. Nie była szczególnie wystraszona, zbyt była rozgniewana. Oczy jej pociemniały, były zupełnie czarne, policzki stały się purpurowe.

— Cóż za mała piękność... jaka regularna mała piękność! — zawołał kuzyn Jimmy. Ale nikt go nie słuchał. Ciotka Ruth miała głos.

— Ty bezwstydna, szpiegująca istotę! Wychodzi na jaw krew Starrów, Murrayówna nigdyby tego nie zrobiła. Powinnaś dostać w skórę!

— Ojciec nie był bankrutem! — krzyknęła Emilka, drżąc z gniewu. — Nie macie prawa nazywać go bankrutem. Kto był tak bardzo kochany, jak on, nie może być bankrutem. Nie sądzę, żeby ciebie, ciotko, ktokol-

wiek kochał choć raz w życiu. A zatem ty jesteś bankrutem. A poza tem, ja nie umrę na suchoty!

— Czy zdajesz sobie sprawę, jak haniebnego postępku się dopuściłaś? — spytała ciotka Ruth z zimną pasją.

— Musiałam się dowiedzieć, co się ma stać ze mną — zawołała Emilka. Nie wiedziałam, że jest to taki brzydki postępek... nie wiedziałam, że będziecie mówili o mnie takie okropności.

— Ci, którzy podsłuchują, nigdy nie dowiadują się niczego dobrego o sobie samych — rzekła ciotka Elżbieta sentencjonalnie. — Twoja matka nigdyby tego nie była zrobiła, Emilko.

Cała brawura opuściła biedną Emilkę. Czuła się winną i nieszczęśliwą, och! tak nieszczęśliwą! Nie wiedziała... ale teraz zdawało jej się, że popełniła okropny czyn.

— Idź na górę — rozkazała ciotka Ruth.

Emilka poszła bez słowa protestu. Ale zanim wyszła, rozejrzała się dokoła.

— Przez ten czas, kiedy siedziałam pod stołem — rzekła — zrobiłam brzydki grymas pod adresem wuja Wallace'a i pokazałam język ciotce Ewie.

Powiedziała to, pełna skruchy, pragnąc się oczyścić ze swych przewinień: ale tak łatwo o wzajemne niezrozumienie się między ludźmi, że Murrayowie pomyśleli, iż ona pragnie im rzucić bezkarnie jeszcze jedną impertynencję. Gdy zamknęły się drzwi za Emilką, wszyscy jej krewni, z wyjątkiem ciotki Laury i kuzyna Jimmy, potrząsnęli głowami i jęknęli.

Emilka poszła na górę, głęboko upokorzona. Czuła, że coś zrobiła, co dawało Murrayom prawo gardzenia

nią. Pomyśleli, że jest ona typową Starrówną, a ona nawet nie dowiedziała się, jaki los ją czeka.

Smutno wyglądała mała Emilka - w - zwierciadle.

— Nie wiedziałam... nie wiedziałam... — szeptała. — Ale już będę wiedziała po dzisiejszem zdarzeniu — dodała z nagłą energją — i nigdy już, nigdy, nie uczynię tego.

Przez chwilę zdawało jej się, że padnie na łóżko z płaczem. Nie mogła znosić w milczeniu takiego bólu i wstydu, piekącego jej serce. Wtem oczy jej padły na stary żółty zeszyt na stoliczku. W minutę później siedziała Emilka po turecku na łóżku i gorliwie pisała swym tępym małym ołówkiem. W miarę jak palce posuwały się po linjach zeszytu, policzki jej czerwieniły się, oczy rozpały się i błyszcząły coraz bardziej. Zapomniała o Murrayach, chociaż pisała o nich, zapomniała o swem upokorzeniu, chociaż opisywała to, co zaszło: pisała przez godzinę przeszło przy mdłym świetelku dymiącej lampki, nie ustając w pracy ani na chwilę, chyba poto, żeby wyjrzeć przez okno i zobaczyć piękno mglistej nocy, albo żeby odszukać na dnie świadomości jakiś wyraz, który jej był potrzebny; kiedy taki wyraz się nasuwał, wydawała westchnienie zadowolenia i pisała dalej.

Gdy usłyszała kroki Murrayów, wchodzących po schodach, odłożyła zeszyt na bok. Skończyła; opisała cały przebieg zdarzeń i rady familijnej Murrayowskiej, stworzyła patetyczną scenę własnej śmierci i Murrayów, zgromadzonych dokoła niej, przy jej łożu śmiertelnem i błagających ją o przebaczenie. Najpierw dostrzegła ciotkę Ruth, klęczącą przy niej



i wijącą się wśród łkań i wyrzutów sumienia. Wtem zatrzymał się ołówek: „Ciotka Ruth nie mogłaby nigdy odczuwać tak żywo, w żadnej okoliczności”, pomyślała i przekreśliła ten wiersz.

Podczas pisania minęły ból i upokorzenie. Czuli się tylko zmęczona, ale niemal szczęśliwa. Było to zabawą, takie szukanie i dobieranie słów w celu opisanie wuja Wallace'a. A cóż za satysfakcja móc nazwać ciotkę Ruth „grubą przysadziłą babą”.

— Ciekawa jestem, coby powiedzieli wujowie i ciotki gdyby wiedzieli co ja o nich myślę naprawdę, — szepnęła, kładąc się do łóżka.

5

### KOSA NA KAMIEŃ.

Emilka. na którą ostentacyjnie nie zwracano uwagi podczas pierwszego śniadania, wezwana została do saloniku po rannej kawie.

Wszyscy tu byli zgromadzeni, cała plejada; Emilce wydało się, gdy spojrzała na twarz wuja Wallace'a, siedzącego w pełnym świetle słonecznym, że nie znalazła odpowiedniego określenia na jego szczególny grymas.

Ciotka Elżbieta stała bez uśmiechu na twarzy przy stole z papierami w ręku.

— Emilko — rzekła — wczoraj nie zdołaliśmy ustalić, kto cię weźmie do siebie. Muszę stwierdzić, że nikt z nas nie miał na to wielkiej ochoty, ponieważ

zachowałaś się bardzo niewłaściwie pod wielu względami...

— Och, Elżbieto!... — zaprotestowała Laura. — Ona... ona jest dzieckiem naszej siostry.

Elżbieta podniosła rękę do góry królewskim gestem.

— Ja to załatwiam, Lauro. Bądź tak dobra i nie przerywaj. Jak już powiedziałam Emilko, nie mogliśmy zdecydować, kto się tobą zajmie. Zgodziliśmy się wreszcie na propozycję kuzyna Jimmy, ażeby ustalić to za pomocą loterji. Tutaj mam wypisane nasze imiona, na tych kawałkach papieru. Wyciągniesz jedno z tych imion i ta osoba przygarnie cię.

Ciotka Elżbieta podawała jej kawałki papieru. Emilka drżała tak mocno, że nie mogła wyciągnąć ani jednego. Było to okropne... ona sama musi ściągnąć na siebie ślepy wyrok losu.

— Ciągnij — rzekła ciotka Elżbieta.

Emilka zacisnęła zęby, odrzuciła wtył głowę z miłą człowieka, wyzywającego przeznaczenie i wyciągnęła kartkę. Ciotka Elżbieta wyjęła ją z drżącej rączki i rozwinęła. Na kartce wypisane było jej własne imię: Elżbieta Murray. Laura Murray podniosła w tejże chwili chusteczkę do oczu.

— Dobrze, a więc to jest załatwione — rzekł wuj Wallace, wstając z westchnieniem ulgi. — Jeżeli mam zdążyć na pociąg, to muszę się śpieszyć. Rzecz jasna, że do wydatków, jakie będziesz musiała ponieść, Elżbieto, przyczynię się bardzo chętnie.

— Nie jesteśmy żebrakami, my w Srebrnym Nowiu — odrzekła Elżbieta dość chłodno. — Z chwilą, kiedy na mnie spada zadanie zajmowania się nią,

uczynię wszystko, co będzie potrzeba. Nie uchylam się od moich obowiązków.

— Ja jestem jej obowiązkiem — myślała Emilka. — Ojciec mówił, że nikt nie lubi obowiązków. To znaczy, że ciotka Elżbieta nigdy mnie nie polubi.

— Ty masz w sobie więcej dumy Murrayowskiej, niż cała rodzina razem wzięta, Elżbieto — zaśmiał się wuj Wallace.

Wszyscy się roześmieli z wyjątkiem Laury. Ta podeszła do Emilki, stojącej samotnie pośrodku pokoju i wzięła ją w objęcia.

— Tak się cieszę, Emilko, tak się cieszę... — szepnęła. — Nie martw się, dziecko drogie. Ja cię już pokochałam, a Srebrny Nów jest taki ładny, zobaczysz!

— Jest to... ładna nazwa — odrzekła Emilka, walcząc z przemożnym wzruszeniem. — Ja wciąż miałam w duszy nadzieję, że będę u ciebie, ciotko Lauro. Zdaje mi się, że zaraz się rozplaczę ale to nie dlatego, że niechętnie tam jadę. Ja nie jestem tak źle wychowana, jak ci się może wydaje, ciotko Lauro, i nie byłabym podsłuchiwała wczoraj wieczorem, gdybym była wiedziała, że to jest nieładnie.

— Naturalnie, wiem, że nie byłabyś tego zrobiła — rzekła ciotka Laura.

— Ale widzisz, ja nie jestem Murrayówną.

W tym momencie wypowiedziała ciotka Laura zdanie bardzo dziwne w ustach Murrayówny.

— Bogu niech za to będą dzięki! — rzekła.

Kuzyn Jimmy poszedł za Emilką do hallu. Rozejrzał się dokoła, ażeby się upewnić, że nikt nie widzi i nie słyszy.

— Ciotka Laura jest mistrzynią w pomaganiu losowi, kurczątko!

Emilka pomyślała, że to ładnie brzmi, chociaż nie rozumiała co to znaczy. Odpowiedziała pytaniem, któregoby się nie ośmieliła zadać ciotce Elżbiecie, ani nawet ciotce Laurze.

— Kuzynie Jimmy, gdy pieką ciasto w Srebrnym Nowiu, czy wolno wtedy wskrobać rozczyn ze ścianek dzieżki i zjeść go?

— Laura pozwoli, Elżbieta nigdy — odpowiedział kuzyn Jimmy szeptem.

— Aczy wolno mi będzie przyłożyć nogi do pieca, kiedy mi zziębna? I napić się czegoś gorącego przed spaniem?

— Ta sama odpowiedź, co na poprzednie pytanie — odrzekł kuzyn Jimmy. — Ja będę ci deklamował moje wiersze. Dla bardzo niewielu osób to robię. Stworzyłem tysiąc poematów. Nie wszystkie napisałem, noszę je tutaj — kuzyn Jimmy wskazał na swe czoło.

— Czy to bardzo trudno pisać wiersze? — spytała Emilka, patrząc z coraz większym szacunkiem na kuzyna Jimmy.

— Tak łatwo, jak toczyć przed sobą walec drzewa, byleby mieć rymów dostateczną ilość — rzekł kuzyn Jimmy.

Wszyscy odjechali tegoż dnia zrana oprócz trojga krewnych ze Srebrnego Nowiu. Ciotka Elżbieta oznajmiła, że pozostaną do dnia następnego, ażeby zapakować potrzebne rzeczy i zabrać Emilkę ze sobą.

— Większość mebli należy do właścicieli domu — rzekła. — Tak, że niedużo czasu zajmie nam pa-

kowanie. Musimy tylko zabrać książki Douglasa Starra i jego osobiste drobiazgi.

— Jak przewiozę moje koty? — spytała Emilka zatroskana.

Ciotka Elżbieta zdumiała się.

— Koty! Nie zabierzesz ze sobą kotów, panienko.

— Och, ja muszę wziąć z sobą Kicię i Nieznośnika. — zawołała Emilka dziko. — Nie mogę ich pozostawić. Nie mogę żyć bez kotów.

— Głupstwa takie! Pełno jest kotów w Srebrnym Nowiu, ale nie wolno im wchodzić do domu.

— Czy lubisz koty, ciotko? — spytała Emilka ciekawie.

— Nie, nie lubię.

— Nie lubisz dotknięcia miłego, miękkiego, pulchnego kotka? — nalegała Emilka.

— Nie; równie chętnie dotknęłabym węża.

— Mamy tam lalkę woskową twojej matki — wtrąciła ciotka Laura. — Ubiorę ją i będziesz się nią bawiła.

— Nie lubię lalek, one nie umieją mówić!

— Koty też nie mówią.

— Och, owszem! Kicia i Nieznośnik mówią. Och, ja muszę je zabrać z sobą! Proszę, ciotko Elżbieto, proszę! Ja *kocham* te koty. To są jedyne istoty, które mnie kochają. Proszę cię, ciotko!

— Przecież kot zajmuje tak mało miejsca! — parł ją kuzyn Jimmy. — Zabierz je, Elżbieto.

Ciotka Elżbieta zastanowiła się. Nie rozumiała, jak człowiekowi może zależeć na kocie. Ciotka Elżbieta należała do tych ludzi, którzy tylko to rozumieją, co im się powie wyraźnie słowami i wbije im

się, niby młotem, w głowę. A i wówczas pojmy to rozumem, a nie sercem.

— Zabierz jednego z twoich kotów — rzekła wreszcie z miną osoby, zdobywającej się na wielkie ustępstwo. — Jednego nie więcej. Nie, nie masz już o czem mówić. Naucz się zaraz na wstępie, Emilko, tej prawdy, że gdy ja coś powiem, to jest to nieodwołalne. Dosyć, Jimmy!

Kuzyn Jimmy połknął coś, co chciał powiedzieć, włożył ręce do kieszeni i gwizdał, patrząc na sufit.

— Skoro ona mówi, tak być musi i basta. Murrayówna! Wszyscy urodziliśmy się z tym uporem, kurczątko i ty też masz w sobie dużo cech Murrayowskich. Nie mów, że nie jesteś Murrayówną! Masz tylko cienką warstewkę Starrowską na powierzchni.

— Nieprawda, ja cała jestem Starrówna, chcę być Starrówną — zawołała Emilka. — Och, jakże ja mam wybrać między Kicią a Nieznośnikiem?

To było doprawdy zagadnienie. Emilka rozważała je przez cały dzień, serce jej krwawiło. Wołała Kicię, to było niewątpliwe. Ale nie mogła zostawić Nieznośnika na łasce i niełasce Heleny. Helena zawsze nienawidziła Nieznośnika. Lubiła raczej Kicię, dla Kici nie była zła. Helena wracała do swego miasteczka rodzinnego, przyda jej się kot. Wreszcie wieczorem powzięła Emilka okrutną decyzję: zabierze z sobą Nieznośnika.

— Lepiej wziąć kota, niż kocicę — rzekł Jimmy. — Niema kłopotu z kociętami, wiesz, Emilko.

— Jimmy! — rzekła surowo ciotka Elżbieta.

Emilka zdziwiona była tą surowością. Dlaczego nie można mówić o kociętach? Ale nie podobała jej

się nazwa „kocica” w zastosowaniu do Kici. To brzmiało zbyt twardo.

Drażnił ją ruch i rozgardjasz podczas pakowania. Tęskniła do dawnego spokoju, przypominała sobie rozmowy z ojcem. Doznawała wrażenia, jakby byli jeszcze bardziej oddaleni jedno od drugiego wskutek tego wtargnięcia Murrayów pomiędzy nich dwoje.

— A to co? — spytała ciotka Elżbieta, przerywając na chwilę pakowanie. Emilka spojrzała i ze smutkiem zobaczyła swój żółty zeszyt w rękach ciotki. Ciotka otworzyła zeszyt, zaczęła czytać... Emilka skoczyła i wyrwała jej kajet.

— Nie czytaj tego, ciotko Elżbieto — zawołała z oburzeniem. — To moje, to jest moja *prywatna* własność!

— Pleciesz, panno Starr — rzekła ciotka Elżbieta, patrząc na nią. — Pozwól sobie powiedzieć, że ja mam prawo czytać twoje książki. Ja za ciebie odpowiadam. Nie mam zamiaru pozwolić ci na jakieś tajemnice lub konszachty, zapamiętaj to sobie. Widocznie jest tu coś, czego się wstydzisz, tem bardziej muszę to zobaczyć. Daj mi ten zeszyt.

— Nie wstydzę się niczego, co tu napisałam — zawołała Emilka, cofając się z cennym zeszytem, przyciśniętym do piersi. — Ale nie dam ci tego przeczytać, ani tobie, ani nikomu!

Ciotka Elżbieta postąpiła ku niej o krok naprzód.

— Emiljo Starr, czy słyszysz, co mówię do ciebie? Daj mi ten zeszyt... *natychmiast!*

— Nie, nie! — Emilka odwróciła się, pobiegła. Nigdy nie pozwoli ciotce Elżbiecie zajrzeć do tego zeszytu. Uciekła do kuchni, ogień palił się na kominie.

Zerwała okładkę, cisnęła zapisane kartki w płomienie. Patrzyła z rozdartem sercem, jak się obracały w popiół. Ale ciotka Elżbieta nie zobaczy ich nigdy, nie przeczyta tych drobiazgów, które ona pisała dla siebie i dla ojca, które czytała z nim głośno, tych opowiadać o Królowej Wichrów, o Emilce - w - Zwierciadle, tych kocich dialogów, ani tych wszystkich uwag, które ubiegłej nocy wpisała tu o Murrayach. Patrzyła na ten proces niszczenia z takim bólem, jakby to płonęło coś żywego. Skrawek papieru oddzielił się: widniały na nim duże litery: „Ciotka Elżbieta jest zimna i opryskliwa”. Coby to było, gdyby ciotka Elżbieta to przeczytała? Co będzie, jeżeli teraz to zobaczy! Emilka patrzyła z niepokojem za siebie. Nie, ciotka Elżbieta poszła zpowrotem do pokoju i zatrzasnęła drzwi za sobą. Żółty zeszyt był kupką popiołu na płonących węglach. Emilka siedziała przy piecu i płakała. Doznawała uczucia, że straciła coś niewymownie cennego. Okropną była myśl że wszystko, co sercu drogie, nas opuszcza. Nigdy nie będzie umiała napisać powtórnie tego samego. A gdyby umiała, nie ośmieli się, bo przecież ciotka Elżbieta musi wszędzie zajrzeć i widzieć wszystko. Ojciec nigdy nie nalegał, że chce to czytać. Ona lubiła mu to czytać, ale gdyby nie była chciała, on nie byłby się tego domagał. I nagle ze łzami w oczach wpisała Emilka parę zdań w powietrzu w żółty zeszyt swej wyobraźni.

— Ciotka Elżbieta jest zimna i opryskliwa. I nie jest przyzwoita w postępowaniu.

Nazajutrz zrana, gdy kuzyn Jimmy znosił walizy na dół, a ciotka Elżbieta udzielała Helenie ostatnich



instrukcyj, pożegnała Emilka całe dotychczasowe otoczenie. Pożegnała Wyniosłego Świerka, Adama i Ewę. „Tak im będzie mnie brak, gdy odjadę, nie będzie ich kto miał kochać!” — rzekła ze smutkiem. — Pożegnała się z fotelem na biegunach, z jabłonią, z trawnikiem. Następnie weszła na górę do swego pokoju. To małe okienko było w jej oczach zawsze łącznikiem ze światem cudów. W spalonym żółtym zeszytcie był jeden opis, który napełniał ją szczególną dumą. „Opis widoku z mego okna”. Tu siadywała i marzyła. Wieczorem często klękała przy tem okienku i odmawiała pacierze. Czasami świeciły gwiazdy, czasami deszcz bił w szyby, czasem przylatywały tu szczygły i jaskółki, niejednokrotnie zalatywał zapach jabłoni i bzów w kwiecie, czasami słyhać tu było śmiech Królowej Wichrów, jej westchnienia, jej pieśni i gwizdy. Emilka słyszała je wśród mrocznych nocy, podczas groźnych zawiei zimowych. Nie żegnała się z Królową Wichrów, bo wiedziała, że Królowa Wichrów przybędzie za nią do Srebrnego Nowiu. Ale pożegnała się ze swem okienkiem i z zielonem wzgórzem, które tak kochała i drzewami pod wzgórzem i z Emilką-w-Zwierciadle. Może znajdzie się w Srebrnym Nowiu inna Emilka - w - Zwierciadle, ale to nie będzie ta sama. Zdjęła ze ściany i wsunęła do kieszeni rysunek sukni balowej, który wycięła z czasopisma kobiecego. Była to taka cudna suknia z białej koronki, podpięta bukietkami różyczek, z długim, długim trenem, który sięgał chyba połowy pokoju. Emilka z tysiąc razy najmniej widziała siebie w tej sukni; była zawsze królową piękności na sali balowej w swej wyobraźni.

Na dole czekano na nią. Emilka pożegnała się z Heleną Greene. Było to pożegnanie raczej chłodne, ona nigdy nie lubiła Heleny Greene, a od owej nocy, kiedy Helena powiedziała jej, że ojciec umrze niebawem, Emilka znenawidziła ją i bała jej się.

Helena zaskoczyła Emilkę wybuchem płaczu i tuleniem jej do siebie. Prosiła, żeby Emilka nie zapomniała jej, żeby do niej napisała, nazwała ją swem „umiłowanym dzieckiem”.

— Nie jestem twem umiłowanym dzieckiem — rzekła Emilka. — Ale napiszę do ciebie. A czy będziesz bardzo dobra dla Kici?

— Zdaje mi się, że ty bardziej odczuwasz rozłąkę z tym kotem, niż rozstanie ze mną — zasyczała Helena.

— No, rozumie się, że tak. — odrzekła Emilka, zdumiona, że wogóle może tu zachodzić porównanie.

Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała się od łez, gdy przyszło jej się żegnać z Kicią, która siedziała skulona, na trawniku.

— Może cię jeszcze zobaczę kiedyś — szepnęła, tuląc ją do siebie. — Pewna jestem, że dobre kotki idą prosto do nieba.

Odjechali czteroosobowym powozem, stale używanym przez mieszkańców Srebrnego Nowiu. Emilka nigdy dotychczas nie jechała takim wspaniałym pojazdem. Wogóle jeździła mało. Razu pewnego ojciec pożyczył sobie bryczkę państwa Hubbard. Trzęsło okropnie, ale ojciec przez cały czas mówił do niej i uczynił z tej wycieczki istny cud.

Kuzyn Jimmy i ciotka Elżbieta siedzieli w głębi, ciotka miała na sobie kapelusz z czarnych koronek

i także okrycie. Ciotka Laura i Emilka zajmowały przednie siedzenie, a między niemi w koszyku jechał Nieznośnik.

Emilka patrzyła na trawniki, na domek, który niebawem zniknął za zakrętem i rozmyślała, że ten mały domek w wąwozie wyglądał, jakby miał złamane serce. Pragnęła pobiec tam zpowrotem i zanieść mu słowa pociechy. Wbrew jej postanowieniu łzy napłynęły jej do oczu. Ale ciotka Laura wyciągnęła rękę ponad koszykiem Nieznośnika i zamknęła rączkę Emilki w porozumiewawczym, gorącym uścisku.

— O! bardzo cię kocham, ciotko Lauro — szepnęła Emilka.

Oczy ciotki Laury były bardzo, bardzo niebieskie, głębokie i przyjazne.

6

## SREBRNY NÓW.

Emilce podobała się ta wyprawa w ukwiecony świat czerwcowy. Nikt dużo nie mówił. Nawet Nieznośnik pograżył się w milczeniu rozpacz; kuzyn Jimmy rzucał od czasu do czasu jakąś uwagę, bardziej dla niego samego przeznaczoną, niż dla kogokolwiek innego. Czasami ciotka Elżbieta odpowiadała mu paru słowy, czasami nie. Zawsze mówiła cierpko i nie trwoniła wyrazów.

Zatrzymali się w Charlottetown i tam zjedli obiad. Emilka od śmierci ojca nie miała apetytu i nie mogła jeść rozbefu, który kelnerka postawiła przed

nią. Ciotka Elżbieta, widząc to, szepnęła coś kelnerce, a ta wróciła po chwili z półmiskiem, na którym widniała zimna pularda, delikatna, biała, ubrana liśćmi sałaty.

— Czy to zjesz? — spytała Elżbieta surowo, jakby się zwracała do oskarżonej przed kratkami.

— Spróbuję — szepnęła Emilka.

Zbyt była wylękniona, aby powiedzieć coś więcej; zdołała przełknąć parę kęsów pulardy, poczem doszła do wniosku, że trzeba się zdobyć na odwagę i wyświecić pewną kwestję.

— Ciotko Elżbieto — rzekła.

— No, co takiego? — spytała ciotka Elżbieta, zwracając swe stalowe oczy na zmieszaną twarzyczkę siostrzenicy.

— Chciałabym, żebyś zrozumiała — rzekła Emilka bardzo szybko, lecz niemniej wyraźnie, chcąc być pewną, że ciotka zrozumie — że ja nie jadłam rozbe-fu, nie dlatego, że to był rozbef. Nie byłam głodna poprostu; a pulardę jem tylko, żeby ci się odwdziczyć a nie dlatego, że ją wolę.

— Dzieci powinny jeść to, co im dają i nigdy nie powinny nosem kręcić na świeże, zdrowe jedzenie — rzekła ciotka Elżbieta surowo. Emilka czuła, że ciotka Elżbieta nie zrozumiała bynajmniej jej intencji i była z tego powodu bardzo nieszczęśliwa.

Po obiedzie oznajmiła ciotka Elżbieta ciotce Laurze, że muszą iść po zakupy.

— Musimy kupić różne rzeczy dla dziecka — rzekła.

— Och, proszę, nie nazywajcie mnie dzieckiem — zawołała Emilka. — To brzmi tak, jakbym nie nale-

żała do nikogo. Czy nie podoba ci się moje imię, ciotko Elżbieto? Matka uważała je za takie ładne! A poza tem mnie niczego nie potrzeba. Mam dwa tuziny bielizny, tylko jeden komplet jest uszkodzony.

— Sz... — rzekł kuzyn Jimmy, trącając łagodnie kolano Emilki pod stołem.

Kuzyn Jimmy miał na myśli, że skoro ciotka Elżbieta jest w usposobieniu tak szczodrem, nie należy jej się sprzeciwiać: niech kupuje. Emilka zaś myślała, że on ją łaje za wspomnianie o bieliznie, czyli o majtkach, i zacerwieniła się po uszy. Ciotka Elżbieta mówiła dalej do Laury, jakgdyby nic nie słyszała.

— Nie chcę, żeby ona nosiła tę tanią czarną sukienkę w Czarnowodzie. Moznaby przesiać mąkę przez ten materiał. Wogóle niema sensu wkładanie żałoby na dziesięcioletnią dziewczynkę. Mam zamiar kupić jej białą sukienkę z czarnymi oszyciami i trochę bawełnianego materiału na szkolną sukienkę, czarną z białem. Jimmy, zostawimy dziecko pod twoją opieką. Pilnuj jej.

Metoda „pilnowania” polegała u kuzyna Jimmy na zaprowadzeniu małej do restauracji w dole ulicy i na przekarmianiu jej kremem mrożonym. Emilka nigdy nie jadła kremu mrożonego, więc nawet przy braku apetytu zjadła z zachwytem dwie porcje. Kuzyn Jimmy przyglądał jej się z zadowoleniem.

— Dobre rzeczy mogę ci dawać tylko, kiedy Elżbieta nas nie widzi — rzekł. — Ale tego i ona nie może przejrzeć, co jest w tobie. Wyzyskaj te chwile obecne, bo Pan Bóg raczy wiedzieć, kiedy dostaniesz znowu porcję kremu mrożonego.

— Czy w Srebrnym Nowiu nigdy nie jadacie kremu mrożonego?

Kuzyn Jimmy potrząsnął głową przecząco.

— Ciotka Elżbieta nie lubi nowomodnych pomysłów. W naszym domu wszystko jest tak, jak przed pięćdziesięciu laty. Wieczorem palimy świece; ona słyszeć nie chce o innym oświetleniu. Ale, kurczątko moje, mimo to, polubisz czasami Srebrny Nów, tam jest ładnie i miło.

— A czy tam są dobre wróżki? — spytała Emilka ciekawie.

— W lasach pełno ich jest — odrzekł kuzyn Jimmy. — Mamy też gołębnik na dziedzińcu. Hodujemy gołębie, bo dobre wróżki lubią te ptaki.

Emilka westchnęła. Od wieku lat 8 wiedziała, że w dzisiejszych czasach niema nigdzie dobrych wróżek; ale nie zrezygnowała z nadziei, że tu i owdzie błąka się jedna z nich na drodze. A zatem nie myliła się?

— Czy są to prawdziwe dobre wróżki? — spytała.

— No, wiesz, kurczątko, dobra wróżka nieprawdziwa nie byłaby dobrą wróżką — odrzekł wuj Jimmy z powagą. — Powiedz sama, czy nie mam słuszności?

Zanim Emilka zdążyła się zastanowić, wróciły ciotki i udano się w dalszą drogę. O zachodzie słońca przyjechali do Czarnowody. Zachód był różowy, umalował na czerwono wybrzeże morskie i pagórki w głębi lądu. Emilka rozglądała się dokoła z upodobaniem. Widziała przed sobą duży dom, bielący się na tle wielkich drzew, drzew, które kochały i były kochane przez trzy pokolenia. Wśród ciemnej zieleni wiła się zielonawa wstęga wody, to była Czarna Wo-

da, a nad lesistemi wzgórzami górowała wieżyczka złoto-białego kościołka. Ale te wszystkie szczegóły nie wywołały w niej „promyka”, ten rozbłysnął w jej duszy nagle i nieoczekiwanie, jak zawsze: na widok okienka winem porośłego i skrawka opalowego nieba, który wydawał się stąd jakby obramowany, i księżycy, mieniącego się złotawymi blaskami. Emilka zachwycała się właśnie tym cudnym wieczorem w nowym otoczeniu, gdy przyszedł po nią kuzyn Jimmy i zaprowadził ją do kuchni.

Siedziała na długiej ławce kuchennej, starej i trzeszczącej i patrzyła, jak ciotka Elżbieta zapala świece w dużych, staroświeckich kandelabrach i lichtarzach.

Emilka nigdy nie widziała dotychczas takiej kuchni. Ściany były z ciemnego drzewa, sufit był niski, przecinany czarnymi deskami, z których zwieszały się szynki i bekony, oraz pęki traw i dużo innych przedmiotów, których nazw Emilka nie знаła. Podłoga, piaskiem wysypana, była biała i czysta. W kącie wisiał obraz świętego, który w migocącym świetle stojącej nieopodal świecy, zdawał się żyć i napełniał ją lękiem. Z drugiej strony było puste czarne wgłębienie, które również wyglądało przerażająco, tajemniczo... Stamtąd mogła spaść jakaś nieznama kara, jeżeli ktoś był niegrzeczny, wiecie? A świece rzucały takie dziwne cienie. Emilka sama nie wiedziała, czy jej się podoba ta kuchnia w Srebrnym Nowiu, czy nie. Było to coś oryginalnego, chętnie byłaby to opisała w żółtym zeszycie, gdyby się nie był spalił. I Emilka poczuła nagle, że już, już, trysną z jej oczu łzy...

— Zimno? — zapytała z uśmiechem ciotka Laura. — Te wieczory czerwcowe są takie chłodne. Chodź do saloniku. Jimmy zapalił ogień na kominku.

Emilka, walcząc rozpaczliwie o równowagę psychiczną, przeszła do saloniku. Na podłodze leżał dywan domowej roboty, na stole jasno-ponsowy obrus, firanki były adamaszkowe w tonach blado-różowych. Wyglądało to bardzo bogato i imponująco, bardzo po Murrayowsku. Emilka nigdy nie widziała takich firanek. Ale najbardziej podobał jej się ten wesoło trzeszczący i blaski rzucający ogień, mieniący się w świetle świec tak dziwnie, tak tajemniczo. Emilka ogrzała sobie przy kominku zziębnięte nogi i była coraz bardziej zaintrygowana swem nowem otoczeniem. Najmocniej interesowała ją biblioteka. Książki były zawsze przyjaciółmi Emilki, gdziekolwiek je znajdowała. Podbiegła do biblioteki i otworzyła drzwi. Ale zanim zdążyła spojrzeć na grzbiety oprawnych i równo w rzędy ustawionych tomów, weszła do pokoju ciotka Elżbieta, niosąc kubek mleka i talerzyk, na którym widniały dwa placki z mąki owsianej.

— Emilko — rzekła ciotka Elżbieta surowo — zamknij te drzwi. Pamiętaj, że nie masz się dotykać przedmiotów, które nie są twoją własnością.

— Sądziłam, że książki są własnością każdego człowieka — rzekła Emilka.

— Nasze nie są ogólną własnością — odparła ciotka Elżbieta tonem, który wskazywał na odrębne właściwości książek Srebrnego Nowiu. — Oto masz kolację, Emilko. Jesteśmy wszyscy tacy zmęczeni, że przekąsimy tylko coś i pójdziemy spać. Zjedz to i połóż się do łóżka.



Emilka wypła mleko i zastanawiała się nad tem, co tu widziała. Jakie ładne tapety! Najładniejsze chyba, jakie kiedykolwiek oglądała.

— Cóż patrzysz w próżnię, tak dziwnie? — spytała ciotka Elżbieta, wracając nagle.

Emilka zamknęła się w sobie. Nie mogła tego tłumaczyć ciotce Elżbiecie. Ciotka Elżbieta powiedziałaoby podobnie jak Helena Greene, że ona jest „szalona”.

— Ja... ja nie patrzyłam w próżnię.

— Nie sprzeczasz się. Ja mówię, że tak — odparła ciotka Elżbieta. — Nie rób tego więcej. To nadaje twojej twarzy nienaturalny wyraz. Chodź teraz, pójdziemy na górę. Będziesz sypiać ze mną.

Emilka westchnęła ze smutkiem. Miała nadzieję, że może będzie spać w pokoju ciotki Laury. Spanie z ciotką Elżbietą wydawało jej się ciężkim przedsięwzięciem. Ale nie śmiała protestować. Weszły do wielkiej, ciemnej sypialni ciotki Elżbiety, obitej ponurą, nieładną tapetą; pod jedną ze ścian stała duża toaleta z lustrem, zawieszonem tak wysoko, że nie mogło tu być mowy o Emilce-w-Zwierciadle. Okna były szczelnie pozamykane, ocienione ciemno-zielonemi firankami, dalej stała zielona kanapa, a pod przeciwległą ścianą — ogromne, międko wysłane łożę z dużemi, pulchnemi poduszkami.

Emilka stała bez ruchu, rozglądała się dokoła.

— Dlaczego się nie rozbierasz? — spytała ciotka Elżbieta.

— Nie... nie chciałabym się rozbierać w twojej obecności — wyjąkała Emilka.

Ciotka Elżbieta popatrzyła na nią swemi zimnemi oczami.

— Zdejmuj *natychniast* odzież — rzekła.

Emilka usłuchała rozkazu, trzęsąc się ze wstydu i z gniewu. Ohydne było to uczucie: zdejmować suknię i bieliznę w obecności ciotki Elżbity, która stała i przyglądała jej się. Było to niewysłowioną męczarnią. Jeszcze ciężej bodaj przyszło jej odmawianie pacierzy w tych okolicznościach. Ojca Bóg był taki daleki, a ona posądzała Boga ciotki Elżbity o wybitne podobieństwo do Boga Heleny Greene.

— Idź do łóżka — rzekła ciotka Elżbieta, układając jej rzeczy na krześle.

Emilka popatrzyła na zamknięte szczelnie okna.

— Czy nie masz zamiaru otworzyć okna, ciotko Elżbieto?

Ciotka Elżbieta przyjrzała się Emilce tak, jak gdyby dziewczynka była jej zaproponowała wdrapanie się na dach.

— Otwórz okno i wpuść świeże, nocne powietrze! — tłumaczyła Emilka.

— Za nic w świecie!

— Ojciec i ja zawsze otwieraliśmy okna — zawołała Emilka.

— Nic dziwnego, że umarł na suchoty — rzekła ciotka Elżbieta. — Nocne powietrze to trucizna.

— Jakież inne może być w nocy powietrze? Wszak tylko nocne? — spytała Emilka.

— Emilko — rzekła ciotka Elżbieta lodowato — idź do łóżka.

Emilka położyła się.

Ale usnąć nie mogła żadną miarą w tem prze-

paścistem łożu, które ją przytłaczało swym czarnym baldachimem: znikąd najbledszego światelka; ciotka Elżbieta leżała obok niej, długa, sztywna, koścista.

— Czuję się tak, jakbym była w łóżku razem z gryfem\*) — pomyślała Emilka. — Och, och, zaczęła płakać, czuję, że mi się zbiera na płacz.

Daremnie a rozpaczliwie tłumiała łzy. *Musiały* trysnąć. Była zupełnie samotna i opuszczona wśród tych mroków, w otoczeniu obcym i wrogiem, bo teraz odczuwała je wyraźnie jako żywioł wrogi jej istocie. A przytem słyhać było taki dziwny, tajemniczy, taki żałobny dźwięk, unoszący się w powietrzu... gdzieś daleko, a jednak dość blisko, aby być pewną, że się go słyszy naprawdę. Był to szum morza, ale Emilka nie wiedziała o tem, więc ją to trwożyło. Och, jej łóżeczko w domu, och, ten cichy oddech ojca w ich pokoju, ten blask dobrotliwy dobrze jej znanych gwiazd, zagładających do niej przez otwarte okna! Ona musi *wrócić*, nie zostanie tutaj, tu nigdy nie będzie szczęśliwa! Ale niema dla niej powrotu, niema żadnych możliwości, niema domu, niema ojca... Wyrwało jej się głośne łkanie, rozszlochała się na dobre. Nic nie pomagało zaciskanie zębów i piąstek i przygryzanie policzków i warg... natura zwyciężyła dumę i wolę, wzięła górę nad wszystkimi postanowieniami.

Dlaczego płaczesz? — spytała ciotka Elżbieta.

Prawdę powiedziawszy, czuła się ciotka Elżbieta równie nieswojo jak Emilka. Nie była przyzwyczajona do towarzyski łoża. Nie miała bynajmniej większej ochoty spać z Emilką, niż Emilka z nią. Ale uwa-

---

1) Smok z bajki.

żała za niemożliwe oddanie dziecku na wyłączną własność jednego z wielkich, samotnych pokojów Srebrnego Nowiu. Laura zaś była ptakiem na gałęzi, każdy szmer ją budził. A dzieci we śnie zawsze kopia, tak słyszała Elżbieta Murray. Nie pozostawało więc nic innego, jak wziąć Emilkę do swego łóżka. Poświęciła więc swoją wygodę i swoje upodobania, ażeby spełnić niewdzięczny obowiązek, a ta malkontentka znowu jest niezadowolona!

— Zadałam ci pytanie, dlaczego płaczesz, Emilko — powtórzyła.

— Tęskno mi do domu... tak mi się wydaje... — szlochała Emilka.

Ciotka Elżbieta była zaskoczona.

— Ładny dom! Masz za czem tęsknić!

— Nie było tam... elegancko... tak jak w Srebrnym Nowiu — łkała Emilka — ale ojciec... był tam. Mnie się zdaje, że ja tęsknię za ojcem, ciotko Elżbieto. Czy nie czułaś się strasznie opuszczona, gdy umarł twój ojciec?

Elżbieta Murray mimowoli przypomniła sobie to ukryte, ze wstydem pomieszanę, uczucie ulgi, kiedy umarł stary Archibald Murray, piękny, srogi, despotyczny starzec, który żelazną dłonią trzymał w karbach całą rodzinę i tyranizował wszystkich w Srebrnym Nowiu przez całe swoje życie, a zwłaszcza w ciągu ostatnich pięciu lat, gdy był złożony niemocą. Pozostali Murrayowie zachowali się bez zarzutu, płakali ostentacyjnie i kazali wydrukować długi nekrolog, wielce pochlebny dla pamięci nieboszczyka. Ale czy jedno szczere westchnienie żalu towarzyszyło Archibaldowi Murrayowi do grobu? Elżbieta nie kochała

pamięci ojca i zła była na Emilkę za to przypomnienie.

— Godziłam się z wolą Opatrzności — rzekła chłodno. — Emilko, musisz zrozumieć, że obecnie obowiązkiem twoim jest wdzięczność i posłuszeństwo. Winna jesteś okazać nam, że oceniasz, co uczyniliśmy dla ciebie. Nie chcę łez i rozkliwiania się nad sobą. Cobyś była zrobiła, gdybyś nie była miała przyjaciół, którzy cię przygarnęli? Odpowiedz mi na to pytanie.

— Przypuszczam, że byłabym umarła z głodu — przyznała Emilka, której momentalnie nasunął się obraz jej samej, umierającej z wycieńczenia, podobnie jak postaci w owej książce Heleny Greene o misjonarzach w Indjach, w epoce głodu i nieurodzaju.

— Niezupełnie... ale byłabyś została umieszczona w jakimś przytułku dla dzieci, gdzie byłabyś niemal głodem morzona. Nie wiesz, czego uniknęłaś. Jesteś w domu zacnych ludzi, którzy będą o ciebie dbali i wychowają cię odpowiednio.

Emilce niebardzo się podobało to „wychowywanie jej odpowiednie”. Ale rzekła z pokorą:

— Wiem, że bardzo dobra byłaś, przywożąc mnie do Srebrnego Nowiu, ciotko Elżbieto. I nie będę cię dłużej nudzić, nie będę ci przyczyniać w przyszłości kłopotów, wiesz? Niebawem będę dorosła i będę mogła sama zarabiać na życie. Jak myślisz, ciotko Elżbieto, w jakim wieku najwcześniej jest się dorosłą osobą?

— Nie powinnaś o tem myśleć — rzekła ciotka Elżbieta stanowczo. — Kobiety z rodziny Murrayów nigdy nie pracowały zarobkowo. Żądamy od ciebie

tylko, abyś była dobrem i pogodnym dzieckiem i żebyś się zachowywała skromnie i cicho.

To brzmiało okropnie twardo.

— Postaram się — rzekła Emilka z nagłym postanowieniem zdobycia się na bohaterstwo, podobnie jak te dziewczęta, o których czytała w książkach. — Może to nie będzie takie trudne, ciotko Elżbieto, zobaczmy. — Tu Emilce zdarzyła się rzecz nader niepożądana: przyszło jej na myśl użyć zwrotu, który usłyszała razu pewnego z ust ojca, a który wydał jej się tutaj właściwie zastosowany. — Widzisz, ciotko Elżbieto, Bóg jest dobry, djabeł jest bodaj gorszy.

Biedna ciotka Elżbieta! Podobnego przemówienia muszą słuchać jej uszy w tych ciemnościach, podobnie myślące dziecko wtargnęło w jej uporządkowane raz na zawsze istnienie, do jej spokojnego łóża! Cóż dziwnego, że przez chwilę była wręcz sparaliżowana i nie mogła odpowiedzieć! Wreszcie zawołała ze zgrozą:

— Emilko, nigdy więcej nie mów tego.

— Dobrze — odrzekła Emilka uprzejmie. — Ale — dodała półgłosem — myśleć będę to nadal.

— A teraz — rzekła ciotka Elżbieta — muszę cię uprzedzić, że ja nie mam zwyczaju rozmawiać przez całą noc. Może ty jesteś tak przyzwyczajona. Proszę cię, żebyś zaraz usnęła i mam nadzieję, że będziesz posłuszna. Dobranoc.

Ton, jakim ciotka Elżbieta mówiła „dobranoc” mógł zepsuć najcudowniejszą noc na świecie. Ale Emilka leżała już cicho i nie szlochała, chociaż pod osłoną ciemności łzy spływały jej po policzkach przez

długą chwilę. Leżała tak cichutko, że ciotka Elżbieta pomyślała, iż ona śpi i sama usnęła także.

— Ciekawa jestem, czy jeszcze ktokolwiek czuwa na całym świecie — rozmyślała Emilka, czując się beźmiernie opuszczona i samotna. — Żeby chociaż Nieznośnik był tu przy mnie! Nie jest on taki pieszczoszek, jak Kicia, ale zawsze lepszy on, niż nikt. Ciekawa jestem, gdzie on jest. Czy dali mu aby kolację?

Ciotka Elżbieta wręczyła koszyk z Nieznośnikiem kuzynowi Jimmy i rzekła niecierpliwie: — Masz go, pilnuj tego kota. — Jimmy zabrał go z sobą. Gdzie go umieścić? Może Nieznośnik wyjdzie i wróci tam, do domu? Emilka słyszała, że koty zawsze wracają do domu. Pragnęła i ona wymknąć się i wrócić do domu... wyobrażała sobie swój powrót, jak biegnie przez pola z kotem przy boku, wśród ciemności, jak dobiega do domku w wąwozie, do brzoź, do Adama i Ewy. Widzi już zdaleka fotel na biegunach i swoją ukochaną kotkę i otwarte okienko, przez które słychać hymn Królowej Wichrów, przez które widać wczesnym rankiem błękit mgieł, otulających rodzime wzgórza.

— Czy nadejdzie znów dzień, czy będzie jeszcze widno? — rozmyślała Emilka. — Może zrana będzie mniej źle i smutno.

Wtem... usłyszała Królową Wichrów za oknem... usłyszała cichy, łagodny szept nocy czerwcowej, kojący, życzliwy, kochający.

— O, jesteś tam za oknami, kochanie moje? — szepnęła, wyciągając ramiona. — Och, jakże się cieszę, że cię słyszę! Ty jesteś taką towarzyszką, Królowo Wichrów. Nie jestem już opuszczona. I oto „pro-

myk"! Obawiałam się, że w Srebrnym Nowiu nie zjawi się nigdy!

Dusza jej wyzwoliła się raptem z niewoli łoża ciotki Elżbiety, z pod ciężkiego baldachimu. Była w przestworzach wraz z Królową Wichrów i innymi wędrowcami nocnymi, z ognikami, owadami, strumykami, chmurami. Bujała w przestrzeni tu i owdzie, w bezkreśnym kręgu marzeń, aż dobiła do przystani snu, wtulona w pękatą poduszkę. A tymczasem Królowa Wichrów śpiewała słodko i wabnie wśród wina, rosnącego dokoła Srebrnego Nowiu.

7.

## KSIĘGA PRZESZŁOŚCI.

Ta pierwsza sobota i niedziela pozostały wryte po wsze czasy w pamięci Emilki, jako przemiły okres dwudniowy; tyle miała przeżyć wręcz rozkosznych przez te dwie doby! Jeżeli prawdą jest, że „czas liczy się według serc bicia”, to Emilka przeżyła w dwa dni dwa lata. Od chwili, kiedy zeszła po schodach do hallu, wszystko było upajającym zjawiskiem. Z przyjemnością wyjrzała przez różowe szyby na świat otaczający. Niebo i drzewa i ziemia — wszystko było czerwone, gdy się na nie patrzyło przez to szkło. Tak będzie wyglądał świat, pomyślała, w dniu Sądu Ostatecznego.

W tym starym domu tkwił pewien czar, który Emilka od razu przeczuła, jakkolwiek zbyt młoda była,



aby go rozumieć. Był to dom, w którym wzrosły pokolenia narzeczonych, matek i żon, był więc prześiąknięty atmosferą ich miłości, ich wrażeń, niewyrugowaną dotychczas staropanieńskim trybem życia Elżbiety i Laury.

— Hm... widocznie pokocham Srebrny Nów — pomyślała Emilka, zaskoczona tą możliwością.

Ciotka Laura nakrywała stół do śniadania w kuchni, gdzie było widno i ładnie w blaskach rannego słońca. Nawet wgłębienie w ścianie przestało być czarne i niepokojące: było poprostu zwykłym wejściem na strych. A na progu siedział Nieznośnik, puszczając swe futerko z takim zadowoleniem, jakgdyby się był urodził i przebywał stale tylko w Srebrnym Nowiu. Emilka nie wiedziała, że Nieznośnik już znał rozkoszy bitwy z innymi kotami i że nauczył ich moresu raz na zawsze. Tomowi kuzyna Jimmy'ego dostało się okrutne „wcieranie”, został pozbawiony paru milimetrów swej osoby, w Nieznośnika zaś wstąpiło dumne samopoczucie i otucha, że i tu, w Srebrnym Nowiu, można się nie nudzić.

Emilka wzięła go w objęcia i ucałowała serdecznie ku zgrozie ciotki Elżbiety, która właśnie nadchodziła, niosąc półmisek gorącej szynki w ręku.

— Niech nigdy więcej nie widzę całowania kota! — rozkazała.

— Dobrze, ciociu — odrzekła Emilka grzecznie. — Będę go całować tylko wtedy, kiedy nie patrzysz na mnie.

— Dość tych impertynencyj! Nie masz wogóle całować kotów!

— Ależ, ciotko Elżbieto, nie pocałowałam go

w pyszczek, to się przecież rozumie samo przez się. Pocałowałam go w ucho. To jest przyjemne. Może spróbujesz raz... i przekonasz się sama?...

— Dosyć, Emilko. Dosyć tej paplaniny.

Ciotka Elżbieta majestatycznie wyszła z kuchni, pozostawiając Emilkę osłupiałą. Mała czuła, że obraziła ciotkę Elżbietę, a nie miała najmniejszego pojęcia, czem i dlaczego.

Ale obrazy, jakie miała przed oczami, zbyt były zajmujące, aby miała długo rozmyślać o ciotce Elżbiecie. Z kuchni dochodziły rozkoszne zapachy. Przed nią roztaczał się czarowny widok drzew i krzewów w kwiecie. Była to orgja barw i odcieni. Emilka ze złożonymi rękami wpatrywała się w te róże, lilje, storczyki. pieczołowicie dogłądane przez kuzyna Jimmy.

Właśnie nadszedł kuzyn Jimmy, niosąc dzbany z mlekiem. Emilka radośnie pobiegła z nim do mleczarni za domem. Nigdy nie widziała, ani nie wyobrażała sobie dotychczas podobnie uroczego miejsca pobytu. Był to śnieżnie biały budynek wśród krzewów kwiatnych. Szary dach był porośnięty istnemi poduszczkami mchu, jakby usłany zielonym aksamitem. Wszedłszy po kilku stopniach, usypanych z piasku, otwierał „człowiek” białe drzwi o szklanych, matowych szybach i wchodził jeszcze po trzech stopniach. A potem stał w chłodnym, schludnym, ziemią pachnącym obszarze o usypanej podłodze, o oknach obrośniętych młodem winem i powojami. Stały tu szeregi naczyń z mlekiem, na którym bielila się śmietana, tak tłusta, że miejscami przechodziła w barwę żółtą.

Ciotka Laura czekała na nich. Wlała mleko w puste naczynia, a potem zebrała śmietankę z paru pełnych naczyń. Emilka pomyślała, że zbieranie śmietanki jest bardzo przyjemnem zajęciem i gorąco pragnęła przyłożyć rękę do tej pracy. Pragnęła również usiąść i opisać tę kochaną mleczarnię. Ale, niestety, nie było żółtego zeszytu. No, ale można pisać w swojej głowie. Przysiadła w kąciku na małym trójnogu i przystąpiła do pisania na pamięć, siedząc tak cicho, że Jimmy i Laura zapomnieli o niej i odeszli. Potem szukali jej wszędzie przez kwadrans. Naskutek tego opóźnione było śniadanie, a to rozgniewało srodze ciotkę Elżbietę. Ale Emilka znalazła właśnie w myśli odpowiednie określenie na to łagodne, zielonawe światło w mleczarni i taka była uszczęśliwiona z tego powodu, że nie zważała bynajmniej na ponure wejście ciotki Elżbiety.

Po śniadaniu oznajmiła ciotka Elżbieta Emilce, iż od tej pory zadaniem jej będzie codziennie wyprowadzać krowy na pastwisko.

— Jimmy nie ma obecnie żadnego pastucha, a jemu to zabiera sporo czasu.

— I nie lękaj się — dodała ciotka Laura — krowy znają tak dobrze drogę, że idą same. Ty pójdiesz poprostu za nimi i zamkniesz furtkę.

— Nie boję się — rzekła Emilka.

Ale się bała. Zupełnie nie znała krów. Lecz postanowiła, że Murrayowie nie posądzą córki Starra o lęk. Tak, serce jej biło, jak młotem, ale szła mężnie naprzód i stwierdziła, że ciotka Laura powiedziała prawdę, że krowy nie są w gruncie rzeczy takimi drapieżnymi zwierzętami. Szły z powagą naprzód,

a ona tylko biegła za niemi, najpierw równą ścieżką, a potem na wzgórzu, na którym ciągnęło się rozległe pastwisko, gdzie szalała i panowała wszechwładnie Królowa Wichrów.

Emilka przechadzała się wzdłuż parkanu pastwiska tak długo, aż jej ciekawe oczy wchłonęły w siebie cały krajobraz. Pastwisko ciągnęło się przed nią na pochyłej powierzchni, spadającej aż do Czarnej Wody. Tam niżej widniała przed nią dolina Czarnej Wody, usiana domostwami ludzkimi, a tam dalej bieliła się zatoka morska. Emilce wydał się ten krajobraz ślicznym obrazkiem, przedstawiającym zielone górki i błękitne wody. Na dole, w jednym z kątów pastwiska, był położony mały cmentarzyk, gdzie byli pochowani zmarli Murrayowie. Emilka zapragnęła tam pójść i zwiedzić ten zakątek, ale nie śmiała przejść przez całe pastwisko sama jedna.

— Pójdę tam, gdy się lepiej zaznajomię z krowami — postanowiła.

Na prawo, u szczytu małego pagórka, pokrytego brzoźami, stał domek, który ogromnie zaciekawiał i intrygował Emilkę. Był szary i wyblakły, ale nie wyglądał na stare domostwo. Był niedokończony. Dach był gotów, ale boczne ściany nie były jeszcze pomalowane, a okna nie miały szyb. Dlaczego nie dokończono budowy? A byłby to taki ładny domek, taki, który możnaby pokochać, taki, w którym stałyby krzesła wyściełane, paliłyby się ogień na kominku, stałyby szafy biblioteczne i chodziłyby miłe, kochane koty i znajdowałyby się niespodziewane, przytulne kąciki: wreszcie nazwała ten domek Domkiem Rozczarowanym i nieraz później wykończyła ten domek, meblując

go w myśli tak, jak powinien być zostać umeblowany i stwarzając ludzi i zwierzęta, któreby tu zamieszkały.

Na lewo od pastwiska stał inny dom o typie całym różnym. Wielki, stary budynek, porośnięty winem, o płaskim dachu, o ściętych oknach. Ogólny wygląd miał zaniedbanego domu, wygląd obojętny. Emilka postanowiła, że spyta kuzyna Jimmy o te domy, gdy będzie miała sposobność do rozmowy z nim w cztery oczy.

Czuła, że zanim odejdzie stąd, musi prześlizgnąć się wzdłuż pastwiska aż do pewnej ścieżki, która prowadziła do gajku świerkowo-klonowego. Wykonała ten zamiar i zrobiła odkrycie, że ta ścieżka prowadzi prosto do Krainy Wrózek, do cudnego wąwozu, pełnego drzew i kwiecica. Oddychała wonią żywicznej, snuła opowieść na tle gry światła i cieni. Tu i owdzie splecione były gałęzie klonów tak, jakgdyby chciały stworzyć schronienie dla chochlików i rusałek. Emilka знаła dobrze rusałki, dzięki swemu ojcu. Te pokłady mchu u stóp drzew to było posłanie dla Tytanji.

— To jest jedno z tych miejsc, gdzie dojrzewają marzenia i sny ludzkie — rzekła Emilka, uszczęśliwiona.

Pragnęła, żeby ta ścieżka nie miała końca, ale ona skręcała teraz w bok i gdy Emilka przeszła przez małą kładkę drewnianą, znalazła się w „ogródku frontowym” Srebrnego Nowiu, gdzie kuzyn Jimmy przycinał właśnie krzewy i drzewka.

— Och, kuzynie Jimmy, jaką ja znalazłam uroczą ścieżynkę — rzekła Emilka, zdyszana.

— Wróciłaś ścieżką Wysokiego Jana?

— Ach! Więc to nie jest nasza ścieżka?

— Nie, a powinna być nasza. Przed 50 laty wuj Archibald sprzedał tę połąć ziemi ojcu Wysokiego Jana, staremu Michałowi Sullivanowi. On wybudował mały domek w pobliżu stawu i mieszkał tam, dopóki się nie pokłócił z wujem Archibaldem, co oczywiście nastąpiło po krótkim czasie. Wówczas przeprowadził się do domu po drugiej stronie drogi i tam mieszka obecnie Wysoki Jan. Elżbieta chciała odkupić od niego ten grunt, ofiarowywała mu cenę dwa razy wyższą od istotnej wartości, ale Wysoki Jan nie chce sprzedać... powodzi mu się dobrze, w lecie ma tutaj pastwisko. Elżbiecie jest ten intruz na naszych gruntach solą w oku, a Wysoki Jan wie o tem i napawa się jej przykrością, zaspokaja tem swą żądzę zemsty.

— Dlaczego on się nazywa Wysoki Jan?

— Bo jest to duży, chudy chłop. Lecz mniejsza o niego. Pokażę ci mój ogród, Emilko. To *mój* ogród. Elżbieta zarządza folwarkiem. Ale mnie pozostawia ogródek, chcąc mi wynagrodzić swój postępek: wpełchnęła mnie, jak wiesz, do studni.

— Nie wiem! Czyżby!

— Tak. Nie rozmyślnie, rzecz jasna. Byliśmy dziećmi, ja tu przyjechałam w odwiedziny, robotnicy naprawiali studnię tutejszą, czyścili ją. Ja wyprowadziłam Elżbietę z równowagi, to nie było trudno, rozumiesz? wyprowadzić ją z równowagi; uderzyła mnie w głowę. Widząc jej podniesione ramię, cofnąłem się, ażeby uniknąć ciosu i spadłem w ten otwór, głową naprzód. Zapomnij, że ci to opowiedziałem. Na dnie było błoto i glina, ale, spadając, uderzyłem

mocno głową o kamienie ścian bocznych. Podnieśli mnie pozornie martwego, z poranioną głową. Biedna Elżbieta była... — tu kuzyn Jimmy potrząsnął głową, jakgdyby nie mógł wyrazić słowami, co się działo z tą biedną Elżbietą. — Odzyskałem przytomność po chwili, ale czułem się bardzo dziwnie... Ludzie mówią, że od tej pory nigdy już nie byłem normalny, ale oni mówią to tylko tak... bo jestem poetą i nic mnie nigdy nie gniewa. Tacy są poeci, tego mieszkańcy Czarnowody nie rozumieją, większość martwi się i troszczy o byle co, więc sądzą, że człowiek jest nienormalny, gdy się nie przejmuje.

— Czy nie zechciałbyś mi zadeklamować paru poezji, kuzynie Jimmy? — spytała Emilka błagalnym tonem.

— Gdy mnie nawiedzi natchnienie, usłyszysz moje wiersze. Niema po co prosić mnie o nie, gdy nie nawiedziło mnie natchnienie.

— Ale jak tu wiedzieć, czy nawiedziło cię natchnienie, kuzynie Jimmy?

— Zaczę sam z siebie deklamować moje wiersze. Ale powiem ci coś: natchnienie przeważnie nawiedza mnie wtedy, kiedy gotuję kartofle dla świń, zapamiętaj to sobie i bądź wpobliżu.

— Dlaczego nie piszesz twoich poezji?

— Za mało jest papieru w Srebrnym Nowiu. Elżbieta jest manjaczką oszczędności, a papier do pisania jest kosztowny.

— Ale czy nie masz własnych pieniędzy, Jimmy?

— Och, Elżbieta płaci mi porządną pensję. Ale składa wszystkie moje pieniądze do banku, a mnie

wydziela po parę dolarów co jakiś czas. Mówi, że nie jestem dosyć rozsądny, aby mi powierzać pieniądze. Kiedy przybyłem tu, aby pracować u niej, płaciła mi pensję w końcu miesiąca, a ja pojechałem do banku w Shrewsbury, aby tam złożyć trochę pieniędzy. Spotkałem po drodze żebraka, biedne, obdarte stworzenie bez grosza. Dałem mu wszystkie moje pieniądze. Dlaczego nie? Ja miałem dach nad głową, stałe zajęcie, odzież. Zdaje mi się, że to był najniezgodliwszy i najładniejszy postępek w moim życiu dotychczasowym. Ale Elżbieta nigdy mi nie darowała. Od tej pory ona zarządza moimi pieniędzmi. Ale teraz chodź, pokażę ci mój ogródek, zanim będę musiał przystąpić do sadzenia kalarepy.

Ogród był bardzo piękny, godzien dumy kuzyna Jimmy'ego. Robił wrażenie ogrodu, do którego nie może mieć nigdy przystępu mróz, albo ostry wiatr. Zdawał się pamiętać tylko setki minionych wiosen i letnich miesięcy. Emilkę olśnił i przykuł zegar słoneczny, gdyż widziała to po raz pierwszy.

— Twój pradziadek Hugo Murray przywiózł to z Indji — rzekł kuzyn Jimmy. — W Nadmorskich Prowincjach jest piękniejszy wzór, ale i ten jest ładny.

Emilka z rozkoszą wpatrywała się w zegar. Cały ogród był śliczny, a domek w głębi wydawał się cudny jej dziecięcym oczom. Był to rodzaj dużej altany o wielkim portalu w stylu kolumnady greckiej. W Czarnowodzie uchodziło to za ostatni wyraz elegancji i było jednym z czynników dumy Murrayowskiej. Jakiś nauczyciel szkolny powiedział kiedyś, że oni umieją nadać swemu otoczeniu wygląd klasyczny.



Efekt klasycyzmu był do pewnego stopnia zneutralizowany obfitością młodego wina, które pięło się wzdłuż całego portalu, zwieszając się bujnemi szczepami z dachu, kryjąc do połowy kolumny.

Serce Emilki wezbrało dumą.

— To jest piękny dom — rzekła.

— A cóż myślisz o moim ogrodzie? — spytał kuzyn Jimmy zazdrośnie.

—Mógłby być własnością królowej — odrzekła Emilka poważnie i szczerze.

Kuzyn Jimmy przytaknął, uradowany, poczem w oczach jego zjawił się dziwny wyraz, głos jego zabrzmiał nieswojo.

—Ten ogród jest spowity w zaczarowaną, niewidzialną tkaninę. Nie boi się dżdżu ani mszyc, nie spuszczy go susza, a deszczyk odświeża go, nie niszcząc liści, ani gałęzi, nie przytłaczając ich swym ciężarem.

Emilka mimowoli cofnęła się o krok wstecz. Miała ochotę uciec. Ale teraz kuzyn Jimmy był znów sobą:

— Czy ta trawa dokoła zegara słonecznego nie wygląda jak zielony aksamit? Dużo trudu ona mnie kosztowała, upewniam cię. Chciałbym, żebyś się czuła w tym ogrodzie, jak u siebie. — Kuzyn Jimmy wykonał przy tych słowach szeroki gest zapraszający. — Udzielam ci pełni swobód na terenie mego ogrodu. Niechaj ci się dobrze wiedzie. Obyś znalazła Zaginiony Djament.

— Zaginiony Djament?— spytała Emilka, zdziwiona. Cóż to był za tajemniczy przedmiot?

— Nigdy nie słyszałaś tej opowieści? No, to ja ci ją opowiem jutro; w niedzielę odpoczywa się w Srebr-

nym Nowiu. Teraz muszę się zabrać do mojej kalarepy, albo będę tu miał Elżbietę. Ona nic nie powie. Ona tylko *spojrzy*. Czy widziałaś już kiedy to Murrayowskie spojrzenie?

— Zdaje mi się, że widziałam je, gdy ciotka Ruth wyciągała mnie z pod stołu — rzekła Emilka ze skrucą.

— Nie, nie. To było spojrzenie Ruth Datton, niezycliwe, złośliwe, niemiłosierne. Ja nienawidzę Ruth Datton. Ona wyśmiewa się z moich poezji, chociaż nigdy nie słyszała ani jednego wiersza. Natchnienie nie nawiedzi mnie w jej obecności. Nie wiem, skąd ona do nich... Elżbieta jest nieznośna, ale jest zdrową naturą, jest prawa i uczciwa, a Laura jest świętą. Ale Ruth jest istną zarazą. Poznasz spojrzenie Murrayowskie, gdy je zobaczysz. Jest ono równie dobrze znane, jak duma Murrayowska. Jesteśmy niejednorodnym dziwnym rodem, ale niema wytworniejszych ludzi od nas. Opowiem ci wszystko o Murrayach jutro zrana.

Kuzyn Jimmy dotrzymał słowa, gdy ciotki były w kościele. Na radzie rodzinnej zapadła uchwała, że Emilka nie pójdzie tego dnia do kościoła.

Emilka była rozczarowana tem postanowieniem. Zawsze uważała kościół za coś bardzo ciekawego, a rzadko kiedy miała sposobność tam bywać. Dla ojca była to zbyt wielka odległość, ale czasami brat Heleny Greene wstępował po siostrę i po Emilkę.

— Czy sądzisz, ciotko Elżbieto — rzekła z żywością — że Pan Bóg wzięłby mi za złe, gdybym włożyła, idąc do kościoła, moją czarną sukienkę? To jest tania sukienka, wiadomo, zdaje mi się, że Helena

Greene zapłaciła za nią ze swoich pieniędzy, ale bądź co bądź, jestem odziana.

— Małe dziewczynki, które jeszcze nic nie rozumieją, powinny trzymać język za zębami — rzekła ciotka Elżbieta. — Nie życzę sobie, żeby mieszkańcy Czarnowody oglądali moją siostrzenicę w stroju żebraczki. A jeżeli Helena Greene zapłaciła za tę suknię, musimy jej zwrócić tę sumę. Powinnaś nam była powiedzieć o tem, zanim wyjechaliśmy z Boru Majo-wego. Nie, nie pójdziesz dzisiaj do kościoła. Możesz włożyć czarną sukienkę jutro do szkoły. Ukryjemy ją zresztą pod fartuchem.

Emilka pogodziła się ze swym losem i została w domu, ciężko wzdychając: ale poranek nie był taki smutny, jak przewidywała. Kuzyn Jimmy wziął ją z sobą na przechadzkę i otworzył księgę przeszłości przed jej wchłaniającymi ciekawie oczami.

— Dlaczego wszyscy Murrayowie są tutaj pochowani? — spytała Emilka. — Czy rzeczywiście dlatego, że za dumni są, ażeby spoczywać obok zwykłych śmiertelników?

— Nie, nie, kurczątko. Nie posuwamy naszej dumy aż do tego stopnia. Gdy stary Hugo Murray osiadł w Srebrnym Nowiu, były tu tylko lasy, ciągnące się aż do Charlottetown. Nie było też cmentarza, dlatego starzy Murrayowie są pochowani tutaj, a potem chcieliśmy wszyscy być pochowani obok naszych przodków i krewnych, stąd ten rodzinny cmentarzyk na zielonych wzgórzach Czarnowody.

— To brzmi jak wiersz z jakiegoś poematu, kuzynie Jimmy — rzekła Emilka.

— Tak też i jest, jest to wiersz z jednego z mych utworów.

— Mnie się podoba ta myśl chowania swoich bliskich wyłącznie na własnym cmentarzyku — rzekła Emilka bardzo stanowczo, rozglądając się dokoła.

Kuzyn Jimmy zachichotał.

— A oni jeszcze narzekają, że ty nie jesteś Murrayówną — rzekł. Murrayowie, Byrdowie, Starrowie i trochę krwi Shipleyów, to wszystko złożyło się na ciebie, o ile się bardzo nie mylę!

— Shipleyów?

— Tak; rodzina żony Hugona Murraya, twoja prababka była Shipleyówną, Angielką. Czy słyszałaś, w jaki sposób Murrayowie przybyli do Srebrnego Nowiu?

— Nie.

— Jechali do Quebec, wcale nie mieli jechać do Stanów. Mieli za sobą długą, uciążliwą podróż, ale zabrakło im wody, więc kapitan okrętu, „Srebrny Nów”, zatrzymał się tutaj, żeby odnowić zapas wody. Marja Murray omal nie umarła, tak chorowała na morzu. Kapitan, zatroskany o nią, kazał jej pójść na ląd z kilku marynarzami, ażeby uczuła stały grunt pod nogami. Poszła raźnie, a gdy stanęła na wybrzeżu, rzekła: „Tu pozostanę”. I pozostała. Nic nie zdołało jej ugiąć.

Stary Hugo, wówczas młody Hugo, rzecz jasna, miotał się, krzyczał, perswadował, nic nie pomogło. Rozpłakał się nawet... Pozostała niewzruszona. Wreszcie ustąpił i wylądował również. Osiedli tutaj i w ten

sposób stali się Murrayowie obywatelami tego kraju.

— Cieszę się, że to tak się stało — rzekła Emilka.

— Ale stary Hugo nie przebaczył swej żonie tego uporów. Grób jej jest tam na górze, w samym rogu. Ten oto, na którym leży czerwony kamień. Idź i zobacz, co on kazał wyryć na płycie grobowcowej.

Emilka, zaciekawiona, pobiegła. Na dużej płycie wyryte były tylko dwa wyrazy: „Tu pozostanę”. Nic więcej.

— Oto co go nurtowało — rzekł kuzyn Jimmy. — Był dobrym mężem dla niej, ona również była dobrą żoną i matką licznych potomstwa, a po jej śmierci on już nigdy się nie uśmiechnął. Ale to w nim nurtowało, aż znalazło ujście w tym oto nagrobku.

Emilkę dreszcz przeszył. Myśl o tym starym srogim przodku, o jego niewygasłej urazie do najbliższej i najdroższej mu osoby, była czemś przerażającym.

— Ciesz mi, że tylko w połowie jestem Murrayówną — rzekła do siebie samej po cichu. A głośno dodała: — Ojciec mówił mi, że zwyczajem Murrayów jest niepamiętanie krzywd i uraz po za grobem.

— Słusznie. Ale to ma źródło właśnie w tem zdarzeniu. Jego rodzina tak była zgorszona, widzisz, jego postępkami, że wywołało to istny skandal. Niektórzy uważali to za oznakę niewiary starego Hugona, a mianowicie twierdzili, że on nie wierzy w zmar-

twychwstanie duszy; zczasem przestano się nim zajmować.

Emilka przeszła do innego nagrobka.

— Elżbieta Burnley... kto to był, kuzynie Jimmy?

— Starego Wiliama Murraya żona. Był to brat Hugona, przybył tu w pięć lat po jego śmierci. Żona jego była piękną i za taką uważano ją na Starym Łądzie. Nie lubiła lasów tutejszych. Miała nostalgię, Emilko, tęskniła do swego kraju, okropnie tęskniła. W kilka tygodni po swym przyjeździe jeszcze nie zdejmowała ani na chwilę kapelusza, wciąż była na wyjeździe, błagała, aby ją zawieźć zpowrotem do ojczyzny.

— Czy spała też w kapeluszu? — spytała Emilka.

— Nie wiem, czy wogóle kładła się spać. Faktem jest, że Wiliam nie chciał jej zawieźć do domu, zdjęła więc kapelusz i pozostała tutaj. Córka jej wyszła zamaż za syna Hugona, czyli że Elżbieta była twoją pra-prababką.

Emilka patrzyła na ten grób i zastanawiała się, czy nostalgja nie zakłóca stuletniego snu Elżbiety Burnley.

— To straszne tak tęsknić za domem, ja to znam... — rzekła ze współczuciem.

— Tu jest pochowany mały Stefanek Murray — mówił kuzyn Jimmy. — Był to brat twego pradziadka, umarł w wieku lat 12. On był prawdziwym Murrayem — dodał kuzyn Jimmy uroczyście.

— Dlaczego?

— Był taki piękny, mądry, taki dobry! On nie

52

miał wad, to też nie mógł żyć, rzecz jasna. Powiadają, że nie było chyba nigdy na ziemi tak grzeczne-  
go dziecka. Taki był przytem miły, wszyscy go ko-  
chali. Umarł 90 lat temu, żaden z żyjących Murra-  
yów go nie pamięta, a mimo to jest on przytomny  
świadomości całej rodziny, jest on postacią bardziej  
plastyczną, niż cały szereg współczesnych. Widzisz,  
Emilko, on był niezawodnie niezwykle dzieckiem,  
ale to się skończyło... tutaj... — kuzyn Jimmy wska-  
zał ręką na trawę i na białą płytę kamienną.

— Ciekawa jestem — rozmyślała Emilka — czy  
ktokolwiek będzie mnie pamiętał w 90 lat po mojej  
śmierci.

— Ten stary cmentarzyk jest już prawie za-  
pełniony — ciągnął dalej kuzyn Jimmy. — Jest je-  
szcze miejsce w kąciku dla Elżbiety i dla Laury, no  
i dla mnie. Dla ciebie niema tu miejsca, Emilko.

— Ja nie chcę tu być pochowaną — wybuch-  
nęła Emilka. — Uważam, że jest to wspaniała rzecz  
mieć swój grób rodzinny, swój cmentarz nawet, taki  
jak ten, ale ja chcę być pochowana w Charlottetown  
obok moich rodziców. Ale jedna myśl mnie trapi, ku-  
zynie Jimmy, czy ty też przypuszczasz, że ja umrę na  
suchoty?

Kuzyn Jimmy spojrział jej przenikliwie w oczy.

— Nie — odrzekł — nie, kurczątko. Masz w so-  
bie dosyć żywotności, aby przetrwać długie lata. Nie  
jesteś łupem śmierci.

— Ja też to czuję — przytaknęła Emilka. — A  
teraz powiedz, kuzynie Jimmy, dlaczego ten dom na  
wzgórzu jest opuszczony?

— Który? Aha! Dom Freda Clifforda. Fred

Clifford zaczął budować ten dom przed 30 laty. Miał się żenić, jego wybrance podobał się plan domku. Kiedy już roboty były zaawansowane, narzeczona zerwała z nim. Dom pozostał w tym stanie, w jakim go widzisz dzisiaj, nie dodano już nigdy ani jednego gwoźdźnika. Fred wyjechał do Kolumbji Brytyjskiej. Tam mieszka teraz, ożenił się i jest szczęśliwy. Ale nie chciał nikomu sprzedać tej posiadłości, skąd wniosek, że jeszcze tkwi w nim żądło.

— Szkoda tego domu. Chciałabym, żeby był dokończony. Powinien być dokończony, nawet teraz powinien być dokończony.

— Hm, sądzę, że to nigdy nie nastąpi. Fred ma w sobie krew Shipleyowską, widzisz. Jedna z córek starego Hugona była jego babką. A doktor Burnley, który mieszka tam wysoko, w szarym domu, jest jeszcze bardziej Shipleyem, niż Fred.

— Czy to też twój krewny, kuzynie Jimmy?

— Czterdziestego stopnia. Dobry lekarz, Emilko, ale nudny stary dziad, nudniejszy niż ja. Czy mieści ci się w głowie, że on nie wierzy w Boga? No, ja nie jestem aż takim głupcem!

— W żadnego Boga nie wierzy?

— W żadnego. On jest niewierzący, Emilko. I w niewierze wychowuje swoją córeczkę, a to już według mnie jest hańbą, Emilko — rzekł kuzyn Jimmy poufnie.

— Czyż matka nie uczy jej wierzyć w Boga?

— Jej matka umarła — odrzekł kuzyn Jimmy z lekkim wahaniem. — Nie żyje od 10 lat — dodał pewniejszym głosem. — Ilza Burnley jest dużą



dziewczynką, ma włosy jak zboże, a oczy jak żółte djamenty.

— Ach, kuzynie Jimmy, przyrzekłeś mi, że opowiesz o Zaginionym Djamencie — zawołała Emilka.

— Dobrze, dobrze. A zatem, przed 50 laty przybyli tu Edward Murray i jego żona. Przyjechali z Kingsportu w odwiedziny. Ona była wielką damą, nosiła jedwabie i brylanty jak królowa, chociaż nie była piękną. Miała pierścionek z kamieniem wartości 200 funtów, Emilko. To była fortuna jak na klejnot, zdobiący palec kobiety, czy nie? Rzucił ogień na jej białej ręce, gdy, schodząc ze schodów, unosiła suknię do góry. Ale gdy zeszła ze schodów willi, kamień znikł.

— I nigdy się nie odnalazł? — spytała Emilka bez tchu.

— Nigdy. Nie pomogły wszelkie poszukiwania. Edward Murray chciał zburzyć willę, ale wuj Archibald nie zgodził się na to, ponieważ wybudował tę willę dla swej narzeczonej. Obaj bracia poróżnili się o to i nigdy już nie żyli od tej pory w przyjaźni. Wszyscy przypuszczają, że kamień wpadł między kwiaty w ogrodzie. Ale ja wiem, co się stało, Emilko. Wiem, że ten kamień Miriam Murray leży do dziś dnia tu gdzieś w pobliżu starego domku. Widziałem go w księżycowe noce, Emilko, widziałem jak rzucał ogień. Ale nie widziałem go dwa razy na tem samym miejscu, a kiedy podchodzę bliżej, znika i słychać tylko jego śmiech niewiadomo gdzie...

Znowu było w głosie kuzyna Jimmy'ego to coś nieokreślonego, co wywoływało w Emilce dreszcz zgrozy. Ale lubiła ten sposób mówienia, jemu właściwy, ten

sposób odnoszenia się do niej, jakgdyby była dorosłą. Lubiła ten cudny krajobraz dokoła. Jakkolwiek tęskniła za ojcem i za domem w wąwozie, jakkolwiek nie przestawała tęsknić i w nocy oblewała poduszkę gorącymi łzami, to niemniej zaczynała nanowo cieszyć się zachodem słońca i śpiewem ptaszek i gwiazdami w noc księżycowe i świstem wiatru. Wiedziała, że życie będzie tutaj cudne i ciekawe, wśród tych ścieżek, tych białych, schludnych mleczarni i zegarów słonecznych i Zaginionych Djamentów i Domów Rozczarowanych i ludzi, którzy nie wierzą w żadnego Boga, nawet w Boga Heleny Greene. Emilka miała nadzieję, że rychło zobaczy doktora Burnleya. Bardzo była ciekawa, jak też wygląda człowiek niewierzący. A przytem powzięła w duszy niezłomne postanowienie, że znajdzie Zaginiony Djament.

8.

PRÓBA OGNIOWA.

Ciotka Elżbieta zawiozła Emilkę do szkoły na-  
zajutrz zrana. Ciotka Laura wyraziła zdanie, że nie  
warto może rozpoczynać nauki na miesiąc przed  
końcem roku szkolnego. Ale ciotka Elżbieta nie mia-  
ła ochoty, żeby jej siostrzenica błąkała się bez zaję-  
cia po Srebrnym Nowiu, wtrącając się do wszystkie-  
go, zadając niezmordowanie pytania i wobec tego po-  
stanowiła oddać Emilkę do szkoły, ażeby pozbyć się  
jej ciągłej obecności. Emilka, chciwa nowych prze-  
żyć, chętnie szła do szkoły, ale podczas jazdy kipiała

buntem. Ciotka Elżbieta ubrała ją mianowicie w okropny fartuch bawełniany i niemniej okropny kapelusz, wydobyty ze strychu w Srebrnym Nowiu. Fartuch był to worek z *rękawami* i *kolnierzykiem*. Najbardziej oburzały Emilkę rękawy. Zbuntowała się tak dalece, że aż z oczu jej trysnęły łzy, ale ciotka Elżbieta nie lubiła niedorzeczności. Emilka poznała w tym momencie Murrayowskie spojrzenie: na ten widok stłumiła swe uczucia i dała włożyć na siebie ów fartuch.

— Był to jeden z fartuszków twojej matki, gdy była w twoim wieku, Emilko — rzekła ciotka Laura pocieszająco i trochę sentymentalnie.

— W takim razie — odrzekła Emilka niepokieszona i niesentymentalna — nie dziwię się, że uciekła z ojcem, skoro tylko dorosła.

Ciotka Elżbieta zapięła ostatni guzik fartucha i niezbyt delikatnie pchnęła Emilkę naprzód.

— Włóż kapelusz — rozkazała.

— Och, proszę cię, ciotko Elżbieto, nie zmuszaj mnie do noszenia tej okropności.

Ciotka Elżbieta, nie tracąc słów, wtoczyła kapelusz własnoręcznie na głowę Emilki. Z pod kapelusza dał się słyszeć wyzywający, jakkolwiek trochę drżący głosik.

— Wszystko jedno, ciotko Elżbieto! Bogu nie możesz rozkazywać!

Ciotka Elżbieta była tak rozgniewana, że przez całą drogę nie odezwała się ani razu. Przedstawiła Emilkę pannie Brownell i odjechała. Lekcje już się rozpoczęły, tak że Emilka zawiesiła kapelusz na gwoździu przy wejściu i zajęła miejsce przed pulpi-

tem, wskazanym jej przez pannę Brownell. Już sobie powiedziała w duchu, że nie lubi panny Brownell i że nie polubi jej nigdy.

Panna Brownell miała w Czarnowodzie opinię doskonałej nauczycielki, którą to opinię zawdzięczała swej surowości i umiejętności trzymania uczennic w „ryzie”. Była to szczupła osoba lat średnich o bladej twarzy, wystających zębach, których większość pokazywała w uśmiechu, o zimnych, badawczych oczach, jeszcze zimniejszych, niż oczy ciotki Ruth. Emilka czuła, że te niemiłosierne oczy przenikają do dna jej wrażliwej duszyczki. Emilka umiała w potrzebie zdobyć się na odwagę; ale w obecności natury, której niechęć odczuwała instynktownie, kurczyła się, odczuwała raczej wstręt, niż lęk.

Była przedmiotem ogólnej ciekawości w ciągu całego poranku. Szkoła w Czarnowodzie była duża, uczyło się tu 20 dziewczynek w jej wieku mniej więcej. Emilka oglądała się ciekawie za siebie i myślała w duchu, że sposób, w jaki spoglądały na nią wzajemnie, szepcząc i trącając jedna drugą, był wysoce niewłaściwy. Odczuła nagle wielki smutek i tęsknotę za domem, odczuła boleśnie swoją samotność, potrzebę bycia przy ojcu, w ich starym domu, wśród tych przedmiotów, które tak kochała.

— Dziewczynka ze Srebrnego Nowiu płacze — szepnęła dziewczynka o czarnych oczach, siedząca po drugiej stronie klasy. Rozległ się chichot.

— Co ci się stało, Emilko? — spytała nagle panna Brownell tonem oskarżenia.

Emilka milczała. Nie mogła powiedzieć pannie

Brownell, co jej się stało, zwłaszcza wobec tego tonu panny Brownell.

— Przyzwyczajona jestem, Emilko, otrzymywać natychmiast odpowiedź, skoro zadaję pytanie jednej z moich uczennic. Dlaczego płaczesz?

Nowy wybuch tłumionego śmiechu. Emilka podniosła zrozpaczone oczy i w ostateczności chwyciła się zdania, zasłyszanego u ojca.

— Jest to sprawa, która mnie tylko dotyczy — rzekła.

Krwawy rumieniec wystąpił nagle na wydrążone policzki panny Brownell. Oczy jej zaświeciły złowieszczym ogniem.

— Pozostaniesz w klasie podczas rekreacji, za karę za twoją impertynencję — rzekła. Poczem przestała zwracać uwagę na Emilkę.

Emilce obojętne było, czy pozostanie w klasie podczas rekreacji, gdyż ze zwykłą sobie wrażliwością wyczuła wrogość atmosfery, jaka ją tu otaczała z niewyjaśnionych względów. Zdawała sobie sprawę z antagonizmu, jaki wyrażały te drwiące spojrzenia i chichoty. Nie pragnęła bynajmniej wybiec do ogrodu i bawić się z temi dziewczynkami. Nie miała ochoty uczęszczać do szkoły w Czarnowodzie. Ale nie będzie już płakać. Siedziała wyprostowana i patrzyła w książkę. Nagle lekki, złośliwy syk rozległ się w klasie.

— Panna Pyszałkowska! Panna Pyszałkowska!

Emilka spojrzała prosto w twarz dziewczynki, od której ten syk pochodził. Wielkie, złotawo - szare oczy wpiły się w niepewne, mrugające czarne oczy, wpiły się w nie na długą chwilę, a było w nich coś, co rozkazywało i druzgotało przeciwniczkę. Czarne

oczy zamigotały zmiennym blaskiem i odwróciły się, a ich właścicielka pokryła zmieszanie nowym wybuchem śmiechu i efektownem odrzuceniem wtył swej krótkiej czupryni.

— Mogę panować nad nią, mogę ją okiełznać — pomyślała Emilka z odcieniem triumfu.

Ale przewaga liczebna jest siłą niewątpliwą. W południe znalazła się Emilka sama jedna na podwórzu rekreacyjnym nawprost całej gromady wrogich twarzy. Dzieci bywają najokrutniejszymi istotami na świecie. Mają instynkt zbiorowy, przesąd skierowany przeciw wszelkim intruzom, a objawy tego przesądu są zawsze niemal bezlitosne. Emilka była obcą w tem środowisku, należała do dumnego rodu Murrayów, dwa minusy! A przytem była w niej, mimo jej drobnej postać, jej brzydki fartuch i dziwaczny kapelusz, jakaś godność, jakiś takt, który one wyczuwały. Nie mogły jej darować tej subtelności, ani tego wyniosłego spojrzenia, ani tej lekceważącej minki, zamiast twarzyczki nieśmiałej, trwożnej, czyhającej na szczyptę życzliwości.

— Jesteś pyszałkiem — rzekła Czarnooka. — Och, masz wprawdzie buciki zapinane na guziki, lecz niemniej ciotki trzymają cię u siebie z łaski.

Emilka niechętnie nosiła te buciki. Miała zamiar biegać boso, jak zwykle w lecie. Ale ciotka Elżbieta powiedziała jej, że żadne dziecko ze Srebrnego Nowiu nie chodziło nigdy boso do szkoły.

— Patrzcie tylko na ten fartuszek dla małego dzidziusia — śmiała się inna dziewczynka o bujnych, orzechowych lokach.

Tym razem zarumieniła się Emilka. To był czu-

ły punkt. Zachwycona swym celnym ciosem, przypuszczała bujnowłosa dalszy szturm.

— Czy to jest kapelusz twojej babki?

Chór śmiechu.

— Ona nosi kapelusz od słońca, aby pielęgnować swoją cerę — rzekła jedna ze starszych dziewczynek. — To jest przecież Murrayówna. Murrayowie są chorzy na pychę i dumę, jak mówi moja matka.

— Jesteś okropnie brzydka — rzekła tęga, przysadzista dziewczynka, prawie tak szeroka, jak długa. — Masz uszy takie, jak uszy kota.

— Nie masz czego być taka dumna — rzekła czarnooka. — Twój kuzyn Jimmy jest idjotą.

— Nieprawda! — krzyknęła Emilka. — On ma więcej rozumu, niż wy wszystkie razem. Możecie mówić o mnie, co się wam podoba, *ale nie będziecie znieważać mojej rodziny*. Jeżeli powiecie jeszcze jedno słowo przeciwko nim, spojrzę na was złem okiem.

Nikt nie zrozumiał, co oznacza ta pogróżka, ale tem skuteczniej podziałała. Nastąpiło krótkie milczenie.

— Czy umiesz śpiewać? — spytała po chwili chuda, piegowata dziewczynka, która wyobrażała sobie, że jest bardzo ładna, mimo swą chudość i piegi.

— Nie — rzekła Emilka.

— Czy umiesz tańczyć?

— Nie.

— Czy umiesz szyć?

— Nie.

— Czy umiesz gotować?

— Nie.

— Czy umiesz robić koronki?

— Nie.

— Czy umiesz szydełkować?

— Nie.

— No, to cóż ty umiesz? — spytała piegowata wzgardliwym tonem.

— Umieć pisać poezje — rzekła Emilka, chociaż wcale nie miała zamiaru tego powiedzieć. Ale w tejże chwili wiedziała, że umie istotnie pisać poezje. A wraz z tem dziwnem, nieumotywowanem przeświadczeniem zjawił się... Promyk! Właśnie tu, wśród niechęci i podejrzliwości ludzkiej, wśród walki o utrzymanie swego stanowiska, bez pomocy, bez jakiegokolwiek przewagi własnej, nadeszła ta cudowna chwila, kiedy dusza wrywa się z ciała, wylatuje ponad poziomy, ku gwiazdom. Zachwyty i rozkosz na twarzy Emilki zaskoczyły i podrażniły jej nieprzyjaciółki. Poczytywały to za objaw dumy Murrayowskiej, objaw niewczesny i wysoce niestosowny.

— Kłamiesz — rzekła brutalnie Czarnooka.

— Córka Starra nie kłamie — odparła Emilka. Promyk odszedł, ale pozostał odblask, wzniesienie ducha ku wyżynom. Popatrzyła na nie chłodno i obojętnie i to je ostudziło narazie.

— Dlaczego mnie nie lubicie? — spytała bez ogródek.

Nie było odpowiedzi. Emilka powtórzyła pytanie, patrząc wprost na dziewczynkę o orzechowych lokach. Ta uważała, że wypada przecież odpowiedzieć.

— Bo jesteś całkiem inna, niż my — wyjąkała.

— Nie chciałabym być do was podobna — odrzekła Emilka wzgardliwie.



— Och, naturalnie, ty należysz do Ludu Wybranego — szdyła Czarnooka.

— Rzecz jasna, że tak — odparła Emilka.

Wróciła do budynku szkolnego, z tej bitwy wysła zwycięsko.

Ale nie tak łatwo było zażegnać złe moce, sprzyjęzone przeciw niej. Dużo było szeptów i spiskowania; gdy odeszła, odbyła się narada z chłopcami, którym wręczono kilka ołówków i gumę do żucia wzamian za otrzymane wskazówki.

Przyjemne poczucie zwycięstwa, oraz odblask „Promyka” towarzyszyły Emilce w ciągu całego popołudnia, chociaż panna Brownell ośmieszala jej błędy w sylabizowaniu. Wszystkie dziewczynki chichotały, z wyjątkiem jednej, której nie było zrana. Emilka ciekawa była, kto to taki. Była również niepodobna do reszty, jak Emilka, lecz w całkiem innym stylu. Była wysoka, źle odziana w zbyt długą suknię z pomiętego, wyblakłego materiału i bosonoga. Rzadkie włosy, krótko przystrzyżone, rozwiewały się dookoła jej głowy, tworząc rodzaj złotej aureoli. Jej błyszczące oczy były tak przezroczyście, tak jasne, jakby były przetykane promieniami słonecznymi. Usta miała szerokie, podbródek wystający, krnąbrny. Nie można było nazwać jej ładną, ale w twarzy jej było tyle życia, tyle zmiennej mimiki, że Emilka nie mogła oczu od niej oderwać. Była to jedyna dziewczynka, na której panna Brownell nie ostrzyła swego docipu podczas lekcji, chociaż i ona robiła błędy, te same, co inne koleżanki.

Podczas rekreacji jedna z dziewczynek podeszła do Emilki z pudełkiem w rękę. Emilka wiedziała, że

jest to Rhoda Stuart, uważał ją za bardzo ładną i miłą. Rhoda była obecna w południe, podczas walnej bitwy, ale nie odezwała się ani razu. Ubrana była w czerwoną sukienkę z lekkiej wełny, miała włosy długie o miedzianym połysku, wielkie błękitne oczy, różowe usteczka, rysy drobne i regularne, jak u lalki, głosik słodki. Jeżeli można było pomówić pannę Brownell o faworyzowanie jednej z uczennic, to ulubienicą tą była niezawodnie Rhoda Stuart, która i w gronie koleżanek robiła wrażenie popularnej osobistości. Starsze dziewczynki rozpieszczały ją i okazywały jej czułość i podziw.

— Oto jest prezent dla ciebie — rzekła słodko Rhoda.

Emilka wzięła z jej rąk pudełko, nie podejrzewając niczego. Uśmiech Rhody byłby uspił najsroższą nieufność. Przeżyła chwilę szczęścia, otwierając pudełko. Naraz... cisnęła je ze wstrętem na podłogę i stała bez ruchu, drżąca, blada, zmieniona. W pudełku leżał wąż, stworzenie, wzbudzające w Emilce uczucie niewypowiedzianego obrzydzenia. Nie wiedziała nawet, czy był to żywy wąż, czy zabity.

Sam ten widok obezwładnił ją.

Ogólny chichot był odpowiedzią na ten odruch wstrętu.

— Jabym się nie bała zdechłego węża! — szepnęła Czarnooka.

— Czy możesz napisać wiersz na ten temat? — śmiała się Piegowata.

— Nienawidzę was! Nienawidzę was! — krzyknęła Emilka. — Jesteście podłemi, nienawistnymi dziewczynkami!

— Wymyślanie nie jest czynem wielkopańskim — rzekła Piegowata. — Sądziłam, że Murrayówna jest na to zbyt wielką damą.

— Gdy przyjdiesz jutro do szkoły, panno Starr — rzekła Czarnooka stanowczym tonem — obłożymy ci szyję tym wężem!

— Spróbujcie! — zawołał donośny, dźwięczny głos. Jednym susem stanęła pośrodku klasy dziewczynka o jasnych oczach i krótkich włosach. — Spróbuj tylko to wykonać, coś zapowiedziała, Jennie Strang!

— To nie twoja rzecz, Ilzo Burnley — mruknęła niechętnie.

— Czyżby? Nie drażnij mnie, piegowata! — Ilza podeszła bliżej do cofającej się przed nią Jennie i wygrażała jej opaloną pięścią przed samą twarzą. — Jeżeli cię przydybię na sprzeciwianiu się Emilce Starr, na straszeniu jej tym wężem, to wezmę węża za ogon, ciebie za twój ogon i wytnę cię nim po twarzy. Zapamiętaj to sobie, Piegowata! A teraz idź, podnieś tego cennego węża i wyrzuć go do śmietnika.

Jennie natychmiast wykonała rozkaz. Ilza zwróciła się do pozostałych dziewcząt.

— Zanotujcie sobie wszystkie, że macie dać święty spokój dziewczynce ze Srebrnego Nowiu! Jeżeli jeszcze usłyszę o jakimś znęcaniu się nad nią, to poobcinam wam uszy i będę je nosić jako trofea, przypięte do mojej sukni!

Przerażone tą okrutną pogróżką, czy też czemś imponującym w indywidualności Ilzy, pierzchły przeciwniczki Emilki. Ilza zwróciła się teraz do niej samej.

— Nie zważaj na nie — rzekła z politowaniem. — One są zawistne, ot i wszystko, zawistne dlatego, że ty mieszkasz w Srebrnym Nowiu i nosisz zapinane na guziki obuwie i jeździsz elegancką bryczką. Dasz im w pysk, jeżeli ci go jeszcze nadstawią zbliśka.

Odeszła, nie spojrzawszy nawet na Emilkę. Pozostała tylko Rhoda Stuart.

— Emilko, tak mi żal... — rzekła, przewracając swemi wielkimi, niebieskimi oczami z wyrazem błagania. — Nie wiedziałam, że w tem pudełku jest wąż, przysięgam, że nie wiedziałam. Dziewczynki powiedziały mi poprostu, że jest to prezent dla ciebie. Nie jesteś zła na mnie, co? Bo ja cię lubię.

Emilka była „zła” i obrażona i znieważona. Ale ta odrobina życzliwości rozbroiła ją natychmiast. W jednej chwili Rhoda i ona zarzuciły sobie ręce na szyje i przechadzały się razem po podwórzu rekreacyjnym.

— Poproszę pannę Brownell, aby mi pozwoliła siedzieć obok ciebie — rzekła Rhoda. — Siedziałam zazwyczaj z Anką Gregg, ale ją przeniesiono. Chciałabys także siedzieć przy mnie, wszak prawda?

— Pragnęłabym — odrzekła Emilka gorąco. Była teraz tak szczęśliwa, jak przedtem była zrozpaczona. Znalazła przyjaciółkę, wyśnioną w marzeniach. Już ubóstwiała Rhodę.

— Powinnyśmy siedzieć razem — mówiła Rhoda poważnie. — Należymy do dwóch najlepszych rodzin w Czarnowodzie. Czy wiesz, że gdyby mój ojciec upomniał się o swoje prawa, byłby królem Anglii?

— Anglji! — powtórzyła Emilka, tak zaskoczona, że mogła tylko być echem tamtej.

— Tak. Jesteśmy potomkami królów Szkocji — rzekła Rhoda. — Wobec tego, nie łączymy się z nikim, rzecz jasna. Mój ojciec ma sklep, a ja biorę lekcje muzyki. Czy ciotka Elżbieta każe cię uczyć muzyki?

— Nie wiem.

— Powinnaby. Ona jest bardzo bogata, nieprawdaż?

— Nie wiem — rzekła znowu Emilka. Byłaby wolała, żeby Rhoda nie zadawała jej takich pytań, Emilce zdawało się, że to nie świadczy o dobrem wychowaniu. Ale potomek królów z dynastji Stuartów zna chyba zasady wychowania, w przeciwnym razie na kimże polegać?

— Ona ma wstrętny charakter, nieprawdaż? — pytała Rhoda.

— Nie, to nieprawda! — zawołała Emilka.

— No, a przecież ona omal nie zabiła twego kuzyna Jimmy'ego w przystępie jednej ze swych pasji — rzekła Rhoda. — To jest pewne, matka mi to powiedziała. Dlaczego twoja ciotka Laura nie wychodzi zamąż? Czy ma narzeczonego? Jaką pensję płaci ciotka Elżbieta twemu kuzynowi Jimmy'emu?

— Nie wiem.

— No, dobrze — rzekła Rhoda z odcieniem zniecierpliwienia. — Widocznie odniedawna bawisz w Srebrnym Nowiu i nie wybadałaś tych rzeczy. Tu wszystko jest niezawodnie bardzo różne od warunków, w których ty wzrosłaś. Twój ojciec był bardzo biedny, ubogi jak mysz kościelna, wszak prawda?

— Ojciec mój był bardzo, bardzo bogatym człowiekiem — rzekła Emilka stanowczo.

Rhoda zdumiała się.

— A ja myślałam, że nie miał ani grosza.

— Tak też i było. Ale można być bogatym, nie mając pieniędzy.

— Nie widzę w jaki sposób. Ale ty w każdym razie będziesz czasem bogata, bo twoja ciotka Elżbieta pozostawi ci w spadku cały majątek, mówi moja matka. Tak więc obojętne mi jest, czy ona cię trzyma z łaski, ja cię kocham i będę cię bronić.

— Czy masz narzeczonego, Emilko?

— Nie — zawołała Emilka gwałtownie, zgorzszona na samą myśl o czemś podobnym.

— Jakże? Mam dopiero lat 11.

— Ech, u nas w klasie każda ma narzeczonego. Moim narzeczoną jest Tadzio Kent. Uścisnęłam mu rękę, jemu pierwszemu, bezpośrednio po dziewięciu nocach pilnego liczenia wschodzących gwiazd do dziewięciu, nie opuszczając ani jednego wieczora. Jeżeli i ty tak postąpisz, czyli będziesz liczyć gwiazdy, do dziewięciu, w ciągu dziewięciu wieczorów z rzędu, to pierwszy chłopiec, któremu podasz rękę, będzie twoim narzeczoną. Ale to bardzo uciążliwe. Zeszła cała zima, zanim uścisnęliśmy sobie rękę, Tadzio jest dziś nieobecny, chorował przez cały czerwiec. Jest to najprzystojniejszy chłopiec w Czarnowodzie. Będziesz chyba też miała narzeczonego, powiedz, Emilko?

— Nie sędzę — rzekła Emilka gniewnie. — Nic nie wiem o naręczonych i nie pragnę mieć żadnego...

Rhoda potrząsnęła głową.

— Rozumiem, nikt ci się nie wydaje odpowiedni, tobie, która mieszkasz w Srebrnym Nowiu. Nie będziesz mogła bawić się w niektóre gry, skoro nie masz narzeczonego.

Emilka nie wiedziała, jakie to gry i nie interesowało jej to. Zdecydowana była, że nie będzie miała narzeczonego i powtórzyła to tak stanowczym tonem, że Rhoda uznała za właściwe zmienić temat.

Emilka ucieszyła się na dźwięk dzwonka. Panna Brownell zgodziła się na prośbę Rhody bardzo chętnie, więc Emilka przeniosła swoje książki na ławkę Rhody. Rhoda podczas ostatniej lekcji ustawicznie szeptała jej coś na ucho, za co Emilka została skarcona, ale to jej nie obeszło.

— W pierwszym tygodniu lipca będą moje urodziny. Zaproszę cię, może ciotki pozwolą ci przybyć. Ale nie zaproszę Ilzy Burnley.

— Nie lubisz jej?

— Nie. Ona jest wstrętna, chłopakowata. A przytem ojciec jej jest niewierzący. Ona też. Ona zawsze pisze „bóg” przez małe „b” w dyktandzie. Panna Brownell gniewa się o to, ale pobłaża jej w gruncie rzeczy. Nie wybiłaby jej, bo ona zagięła parol na doktora Burnleya. Mamusia mówi, że ona go nie „dostanie”, bo on nienawidzi kobiet. Ilza jest dziwną, niemłą dziewczyną, ma nieznośne usposobienie. Jej ojciec też. Nie przebywają z nikim. Czy nie śmieszny jest sposób, w jaki ona układa włosy? Ty powinnaś obciąć włosy, Emilko. Tobie byłoby ładnie z grzywką, bo masz takie wysokie czoło. Śliczne masz włosy wprawdzie, aż szkoda ich, rączki masz prze-

śliczne. Wszystkie Murrayówny mają ładne ręce. Ale masz najcudniejsze oczy, Emilko.

Emilka tyłu komplementów nie usłyszała przez całe życie. Rhoda szła pochlebstwo grubemi szwami. Emilce kręciło się w głowie. Wracała ze szkoły z mocnem postanowieniem, że poprosi ciotkę Elżbietę o pozwolenie na obcięcie włosów. Jeżeli to ją ma upiększyć, to przecież trzeba się tem zająć. I zapyta, czy wolno jej będzie nosić wenecki naszyjnik od następnego dnia począwszy.

— Inne dziewczęta będą miały dla mnie większy szacunek — myślała.

Szła sama, gdyż na skrzyżowaniu dróg pożegnała się z Rhodą. Robiła przegląd wypadków dnia, czując, że w gruncie rzeczy utrzymała sztandar Starrów na odpowiednim poziomie, z wyjątkiem przejściowego momentu, kiedy przelęknęła się węża. Szkoła była czemś zupełnie innem, niż Emilka sądziła zgóry, ale było to przygotowanie do życia: słyszała nieraz, że Helena Greene to mówiła, należało więc brać terażniejszość z najlepszej strony. Rhoda jest kochanem stworzeniem. A i w Ilzie Burnley było coś, co jej się podobało. Co do pozostałych dziewczynek, to uważała Emilka, że mogłyby zostać powieszzone wszystkie razem za przerażenie, jakie jej zgotowały tym niesmacznym żartem. Ale już teraz nie czuła żalu do nich, chociaż niektóre szczegóły tego pierwszego dnia upamiętniły jej się gorzko na długi szereg tygodni. Nie miała ojca, któremu mogłaby się zwierzyć, nie miała żółtego zeszytu, gdzie mogłaby je opisać, a zatem nie było sposobu na wyrzucenie ich z serca.

W Srebrnym Nowiu byli goście, ciotki były zaję-



te. Gdy się towarzystwo rozjechało, spytała Emilka nieśmiało:

— Ciotko Elżbieto, czy mogę obciąć włosy?

Ciotka spojrzała na nią z góry.

— Nie — rzekła — nie podoba mi się ten zwyczaj. Ze wszystkich głupich mód nowoczesnych, ta wydaje mi się najgłupszą.

— Ach, ciotko Elżbieto, pozwól mi obciąć włosy. Tomy mnie upiękaczyło, Tak mówi Rhoda.

— My strzyżemy tylko owce, Emilko. W Srebrnym Nowiu niema innych ostrzyżonych istot.

Ciotka Elżbieta uśmiechnęła się z zadowoleniem. Ciotka Elżbieta uśmiechała się czasem, kiedy jej się zdawało, że ośmieszyła kogoś. Emilka rozumiała, że niema nadziei na obcięcie włosów. To było podle ze strony ciotki Elżbiety, podle... Stłumiła westchnienie i postanowiła wyrzec się na razie tej myśli. Musiała się dowiedzieć innych szczegółów.

— Dlaczego Ilza Burnley nie wierzy w Boga? — spytała.

— Z powodu psoty, jaką spletała Panu Bogu jej matka — rzekł pan Slade ze śmiechem. Pan Slade był częstym gościem w Srebrnym Nowiu i dziś pozostał jeszcze na kolacji. Był to otyły, przystojny starszy pan o puszystych włosach, w okularach. Powiedział już przedtem kilka zdań, których Emilka nie rozumiała, a które w mocny kłopot wprowadziły najwi doczniej jego dystyngowaną żonę.

— Jaką psotę spletała matka Ilzy? — spytała Emilka.

Ciotka Laura popatrzała na ciotkę Elżbietę,

a ciotka Elżbieta na ciotkę Laurę. Wreszcie Laura rzekła:

— Wybiegnij i daj jeść kurom, Emilko.

Emilka podniosła się z godnością.

— Możecie mi powiedzieć poprostu, że nie chcecie mówić w mojej obecności o matce Ilzy, a również usłucham. Rozumiem wybornie, co macie na myśli — rzekła, wychodząc z pokoju.

9.

### ZRZĄDZENIE OPATRZNOŚCI.

Emilka pewna była w owym pierwszym dniu pobytu w szkole, że nigdy nie polubi nowego trybu życia. Musiała tam uczęszczać, zdawała sobie z tego sprawę, ażeby otrzymać wychowanie i wykształcenie odpowiednie i móc zarabiać na życie. Ale sądziła, że będzie to zawsze to, co Helena Greene nazywała uroczyście „krzyżem Pańskim”. To też niemałe było zdziwienie Emilki, gdy po kilku dniach nauki spostrzegła się, że polubiła szkołę. Panna Brownell nie zyskiwała wprawdzie na bliższej znajomości. Ale dziewczynki już jej nie dręczyły, zdawały się zapominać o tem, co zaszło i traktować ją, jako jedną ze „swoich”. Została dopuszczona do koleżeństwa z „gromadą”, a chociaż przy sposobności nie oszczędzano jej drobnych ukłuc szpilką, aluzji do dzidziusiowatego fartucha i do pychy Murrayowskiej, nie było już owego stosunku wrogiego, ani jawnego, ani utajonego. Zresztą Emilka nauczyła się również „odcinać się”, skoro poznała

lepiej dziewczynki i ich słabe strony, a umiała być tak ironiczną i tak niemiłosiernie „ciętą”, że tamte rychło przestały ją prowokować. Emilka pozwalała wszystkim koleżankom przekroczyć próg jej przyjaźni, ale do najtajniejszej skrytki miała dostęp tylko Rhoda. Co do Ilzy Burnley, to nie zjawiała się ona w szkole po owym pierwszym dniu. Rhoda mówiła, że Ilza Burnley, przychodzi do szkoły, albo nie, jak jej się podoba. Ojciec jej nigdy nie łąje. Emilka chętnie byłaby się dowiedziała czegoś więcej o Ilzie, ale to widocznie było niełatwe.

Emilka nieznacznie stawiała się znowu szczęśliwą. Czowała się już tak, jakby należała oddawna do tej gałęzi rodziny matki. Rozmyślała dużo o starych Murrayach. Wyobrażnia jej odmalowywała ich na tle Srebrnego Nowiu, te babki, szydełkujące przy świetle świec, te ciotki, szukające skarbów zaginionych. Widziała babkę Elżbietę, nie zdejmującą uparcie kapelusza, widziała Stefanka, uśmiechającego się w oknie; widziała własną matkę, marzącą o jej ojcu. Wszyscy oni byli tak przytomni jej myślom, jakgdyby była ich znała, żyjących.

I teraz zdarzały się chwile rozpaczy, kiedy ogarniała ją przemożna tęsknota za ojcem, a przepych Srebrnego Nowiu nie mógł zagłuszyć żalu, że nie jest już w uroczym domku w wąwozie. W takich chwilach uciekała Emilka w najskrytszy kącik domu i płakała. Wychodziła stamtąd z czerwonymi oczami, co zawsze było najwyraźniej przykrością dla ciotki Elżbiety. Ciotka Elżbieta przywykła do obecności Emilki w Srebrnym Nowiu, ale nie zbliżyła się ani trochę do dziecka. To bolało Emilkę; ale kochali ją ciotka

Laura i kuzyn Jimmy, przytem miała Nieznośnika i Rhodę, miała pola, a na nich ciemne, wysokie drzewa, sterczące dumnie ku niebu, miała muzykę Królowej Wichrów, wygrywającej na świerkach dziką, romantyczną melodję. Dnie były coraz bardziej wypełnione, coraz ciekawsze, pełne drobnych przyjemności i zachwyków, podobne do rozkwitających pączków na drzewie życia. Żeby tylko była mogła odzyskać swój żółty zeszyt, albo inny podobny dzienniczek, byłaby zupełnie zadowolona. Ten zeszyt był, po stracie ojca, najdotkliwszym brakiem w jej teraźniejszości. Za przymusowe spalenie go czyniła odpowiedzialną ciotkę Elżbietę i czuła, że tego nie zdoła jej nigdy przebaczyć w głębi serca. Zdobycie innego zeszytu wydawało się niepodobieństwem. Jak twierdził kuzyn Jimmy, papier do pisania był rzadkością w Srebrnym Nowiu. Listów prawie nie pisywano, a w razie potrzeby poprzestawano na kartce z księgi rachunkowej. Emilka nie śmiała poprosić ciotki Elżbiety o papier. Czasami czuła, że wybuchnie, o ile nie wypowie się piórem, nie wyrzuci z duszy tego czegoś co ją przepępniało. Znalazła do pewnego stopnia ujście dla tej potrzeby pisania, kreśląc, co się dało, na pulpicie szkolnym. Ale te bazgroły zacierały się wcześniej, czy później, co napełniało Emilkę uczuciem poniesionej straty. Przytem zachodziła stale obawa, że zobaczy je panna Brownell. A to, wiedziała Emilka, że będzie nie do zniesienia. Żadne obce oko nie powinno paść na te święte zwierzenia. Czasami pozwalała Rhodzie czytać je, chociaż Rhoda raziła ją swym chichotem w najbardziej wzruszających momentach. Emilka uważała Rhodę za najwyższy sto-

pień doskonałości, jaki istota ludzka może osiągnąć, ale ten wieczny chichot był jej wadą.

Ale przecież los opiekuje się panienkami, które urodziły się z manją pisania. Ten los ziścił marzenia Emilki tego dnia właśnie, kiedy tego najbardziej pragnęła. Stało się to w owym dniu, w którym panna Brownell postanowiła pokazać wyższej klasie, jak powinno się czytać „Pieśń Myśliwego”.

Stojąc na katedrze, czytała panna Brownell, niepozbawiona pewnej zręczności recytacyjnej, owe piękne wiersze. Emilka miała przed sobą trudne zadanie arytmetyczne. Odłożyła ołówek i słuchała, zachwycona. Nigdy nie słyszała dotychczas „Pieśni Myśliwego”, ale teraz słyszała i *widziała* treść tej opowieści wierszowanej, widziała śnieżne szczyty i ruiny zamków, oraz oświetlenie specyficzne jezior górskich; słyszała echo, rozbrzmiewające w dolinach i wąwozach, a w duszy jej dźwięczało zaczarowane echo tych cudnych słów. Emilka drżała z zachwytu. Nie posiadała się z radosnego uniesienia. Zapomniała zupełnie, gdzie jest i co jej wolno, wybiegła z ławki i chwyciła ramię panny Brownell.

— O, pani nauczycielko! — zawołała z powagą i namiętnością w głosie i spojrzeniu — niech pani przeczyta ten ustęp jeszcze raz, o, proszę, niech pani to przeczyta powtórnie!

Panna Brownell przerwała nagle czytanie, spojrzała na tę twarzyczkę, opromienioną nieziemskim zachwytem, na te oczy, odzwierciedlające niebiańską wizję; panna Brownell rozgniewała się. Gniewało ją wyłamanie się z dyscypliny, gniewało ją to wdzieranie się uczennicy trzeciej klasy w wykład, przez-

naczony dla uczennic piątej klasy. Panna Brownell zamknęła z hałasem książkę, ściągnęła usta i wymierzyła Emilce grzmiący policzek.

— Wracaj do swej ławki i mieszaj się do twoich własnych spraw, Emiljo Starr — rzekła nauczycielka z oczami gorejącymi złością i nienawiścią.

Emilka, ściągnięta brutalnie na ziemię, wróciła do swojej ławki, oszołomiona. Jej znieważony policzek był purpurowy, ale ból czuła w sercu. Przed chwilą być w siódmym niebie, a tu naraz takie upokorzenie, takie niezrozumienie! To było ponad jej siły. Czemu zasłużyła na tę karę? Nigdy w życiu dotychczas nikt jej nie uderzył. niesprawiedliwość i bezwzględność doprowadziły ją do rozpacz. Nie mogła płakać, to „była zbyt ciężka krzywda, aby płakać”, wróciła do domu w nastroju goryczy, wstydu i zawziętości. Nastrój ten trwał, gdyż nie mogła podzielić się z nikim tem straszmem przeżyciem. Ciotka Elżbieta byłaby powiedziała niechybnie, że panna Brownell słusznie postąpiła, a nawet ciotka Laura, miła, słodka ciotka Laura, nie byłaby zrozumiała. Byłaby zmartwiona, że Emilka źle się sprawowała w szkole i zasłużyła na karę.

— Ach, żebym tylko mogła zwierzyć się ojcu! — myślała Emilka.

Nie mogła jeść kolacji, zdawało jej się, że wogóle nie będzie już mogła jeść nigdy w życiu. Ach, jak ona nienawidziła tę niesprawiedliwą, ohydną panną Brownell. Nie przebaczy jej nigdy, nigdy! Żeby tylko znaleźć jakiś sposób zemśczenia się na niej! Emilka, siedząc spokojnie przy stole w Srebrnym Nowiu, była kipiącym wulkanem, obmyślała plan

pomszczenia swej zranionej dumy, ach, dumy! Gorsze od niesprawiedliwości było upokorzenie, zawarte w tym fakcie dzisiejszym. Ona, Emilja Byrd Starr, na którą nigdy ręki nie podniesiono, została zbita, jak niegrzeczne dziecko, w obecności wszystkich koleżanek. Któżby to zniósł i przeżył?

Wtem los skierował kroki ciotki Laury do saloniku: poszła po list, leżący na dolnej półce w bibliotece. Zabrała z sobą Emilkę, chcąc jej pokazać ciekawą starą księgę, która była niegdyś własnością Hugona Murraya. Przerzucając szpargały, znalazła dużą paczkę papieru, zakurzoną, ale poza tem nietkniętą zębem czasu, niepomiętą nawet.

— Czas już spalić te stare papiery listowe — rzekła. — Cóż za stos! Ojciec był ongi naczelnikiem poczty miejscowej, jak zapewne wiesz, Emilko. Dyliżans przyjeżdżał wówczas tylko trzy razy na tydzień. Matka pisywała dużo listów, stąd te stosy papieru. Ale teraz spalę to wszystko.

— Ach, ciotko Lauro — westchnęła Emilka, w której pragnienie i strach tak walczyły, że ledwo mówić mogła — nie pal tego papieru, proszę! Daj mnie go.

— Po co, dziecko, czy ci się to przyda?

— Cioteczko, marzę o papierze, aby móc pisać. To byłby grzech spalić tyle papieru.

— Weź sobie ten papier, kochanie. Tylko lepiej będzie nie pokazywać go ciotce Elżbiecie.

— Nie pokażę, nie pokażę... — wyjąkała Emilka.

Zaniosła swą cenną zdobycz na pierwsze piętro, stamtąd na strych, gdzie już sobie urządziła kącik, w którym jej nieprzyjemny zwyczaj rozmyślenia o „nie-

bieskich migdałach” nie mógł razić ciotki Elżbiety. Był to spokojny kątek pod oknem, gdzie światła było dosyć, gdzie miło było spojrzeć na estetyczną posadzkę mozaikową. Stąd roztaczał się rozległy widok na Czarnowodę. Tu ciotka Laura przychodziła czasami prząść na wielkim wrzecionie, stojąc w drugim kącie strychu. Emilka bardzo lubiła warczenie wrzeciona.

Przysiadła pod oknem, zdyszana, wyjęła z paczki kawałek papieru, położyła przed sobą i wyjęła z kieszeni ołówek. Zaczęła pisać gorączkowo.

„Drogi Ojcze”... poczem ulżyła sobie, opowiadając przebieg tego fatalnego dnia, pisząc bez przerwy aż do zachodu słońca, aż do zmierzchu. Kury nie zostały nakarmione, kuzyn Jimmy był zmuszony pójść po krowy, Nieznośnik nie dostał świeżego mleka, ciotka Laura sama pozmywała statki kuchenne, i cóż? Emilka, zatopiona w pracy twórczej, staracona była dla świata i ludzi.

Zapełniwszy cztery stronnice, musiała się zatrzymać. Nie było już nic widać. Ale doznawała wielkiej ulgi, przytem pozbyła się grzesznych myśli o odwecie. Była raczej obojętna na wszystko, co doryczyło panny Brownell. Emilka złożyła kartkę i wyraźnym piśmem nakreśliła adres:

*Wielmożny Pan  
Douglas Starr*

*na Drodze do Nieba.*

Poczem skierowała się ku starej otomanie, stojącej w najciemniejszym kącie strychu. Przyklękła, od-



sunęła z wysiłkiem siedzenie i wsunęła pod nie swój zapas papieru, oraz list do ojca. Emilka przed paru dniami zrobiła przypadkowo to odkrycie, iż w tej otomanie można będzie świetnie chować wszelkie tajne dokumenty. Teraz miała zapas papieru na długie miesiące.

— Och — wołała Emilka, schodząc ze schodów tanecznym krokiem — czuję się, jakbym otrzymała najpiękniejszy prezent.

Upłynęło kilka wieczorów. Prawie codziennie wykradała się Emilka na strych i pisywała krótsze lub dłuższe listy do ojca. Gorycz opuściła jej duszę. Kiedy pisała do ojca, zdawało jej się, że jest on tak blisko! Opowiadała mu wszystko, z tą uczciwością w spowiedzi, jaka była jej rysem charakterystycznym. Mówiła mu o swych sukcesach, swych błędach, o radości i smutku, wszystko znajdowało wyraz na tym papierze listowym. Pisała drobnem pismem, ażeby jej starczyło cennego materiału na możliwie najdłuższy przeciąg czasu.

„Lubię Srebrny Nów. Tu jest tak poważnie i wspaniale”, zwierzała się ojcu. „A przytem jesteśmy chyba wielką arystokracją, skoro mamy własny zegar słoneczny. Mimowoli jestem z tego dumna. Obawiam się, że zbyt wiele jest we mnie dumy, to też co wieczór proszę Pana Boga, ażeby to zmienił jak najrychlej, ale żeby mi jej trochę zostawił. W szkole w Czarnowodzie bardzo łatwo jest wyrobić sobie opinię pyszałka. Jeżeli ktoś chodzi, trzymając się prosto i nosi głowę wysoko, to znaczy, że jest pyszałkiem. Rhoda też jest dumna, ponieważ ojciec jej powinien być królem Anglii. Ciekawa jestem, jakby się czuła królowa

Wiktorja, gdyby o tem wiedziała. Cudowną jest rzeczą posiadanie przyjaciółki, która byłaby księżniczką, gdyby na świecie nie było tylu krzywd. Kocham Rhodę z całego serca. Ona jest taka słodka, taka dobra! Tylko jej chichotu nie lubię. A kiedy jej powiedziałam, że widzę tapety szkolne, gdziekolwiek się ruszę, ona odpowiedziała mi: „Kłamiesz”. To mnie strasznie ubodło: moja najlepsza przyjaciółka mówi do mnie w ten sposób! A jeszcze bardziej bolało mnie to w nocy, kiedy się obudziłam i zaczęłam nad tem rozmyślać. Nie mogłam usnąć przez długi czas, bo męczyło mnie leżenie na jednym boku, a bałam się obudzić ciotkę Elżbietę, odwracając się na drugi bok.

Nie śmiałam dotychczas powiedzieć Rhodzie o Królowej Wichrów, bo zdaje mi się, że to naprawdę wygląda na kłamstwo, jakkolwiek dla mnie jest czemś tak rzeczywistem. Słyszę teraz jej śpiew na dachu, przy wielkim kominie. Tutaj nie mam Emilki-w-Zwierciadle. Zwierciadła są wszystkie tak wysoko umieszczone! Nie byłam jeszcze nigdy w pokoju matki. Zawsze jest zamknięty na klucz. Kuzyn Jimmy mówi, że to ojciec mamy i ciotki Elżbiety zamknął ten pokój na klucz po ucieczce mamy z Tobą. Ciotka Elżbieta nie otwiera go przez wzgląd na pamięć swego ojca, chociaż kuzyn Jimmy opowiada, że ciotka Elżbieta staczała walki wręcz skandaliczne ze swym ojcem za jego życia, walki, o których nikt z zewnątrz nie wiedział, co jest zrozumiałe dla każdego, kto zna dumę Murrayowską. I ja tak odczuwam. Gdy Rhoda zadała mi pytanie, czy ciotka Elżbieta pali świece dlatego, że jest staroświecka, odpowiedziałam, że nie, że jest to Murrayowska *tradycja*. Nie-

znośnik miewa się bardzo dobrze, ale nie ma kociąt, a ja tego pojąć nie mogę. Dlaczego?... Pytałam o to ciotkę Elżbietę, a ona odrzekła, że małe dziewczynki nie powinny o tem mówić, ale ja nie pojmuję, dlaczego kocięta są czemś nieprzyzwoitem. Kiedy ciotka Elżbieta jest nieobecna, ciotka Laura i ja przemycamy Nieznośnika do pokojów, ale gdy ciotka wraca, czuję się winną i zawsze sobie mówię, że lepiej było tego nie robić. *A następnym razem robię to znowu.* To bardzo dziwne. Nic nie wiem o ukochanej Kici. Pisałam do Heleny Greene i pytałam ją o Kicię, ale ona w swej odpowiedzi nie wspomniała o Kici, tylko opowiada mi o swoim reumatyzmie. Co mnie to obchodzi!

Rhoda urządza przyjęcie urodzinowe i zaprosi mnie także. Taka jestem zgorączkowana! Nigdy jeszcze nie byłam, jak wiesz, na przyjęciu. Dużo o tem myślę i wyobrażam sobie, jak to będzie. Rhoda nie zaprosi wszystkich koleżanek, tylko kilka wybranych. Mam nadzieję, że ciotka Elżbieta pozwoli mi włożyć białą sukienkę i porządny kapelusz. Ach, Ojczy, zdjęłam ze ściany u nas w domu ów cudny obrazek, przedstawiający balową suknię i zawiesiłam go u ciotki Elżbiety w sypialnym pokoju. A ciotka zdjęła go i spaliła, mnie zaś złażała za dziurawienie tapety. A mnie był on potrzebny, bo gdy dorosnę, chcę mieć suknię balową, zrobioną według tego wzoru. Ciotka Elżbieta mówi: „czy masz zamiar bywać na licznych balach, chciałabym wiedzieć?” Ja odrzekłam: „tak, gdy będę bogata i sławna”. A ciotka na to: „Tak, czyli, gdy mnie włosy wyrosną na dłoni.”

Wczoraj widziałam Dra Burnleya. Przyszedł ku-

pić trochę jaj od ciotki Elżbiety. Doznałam rozczarowania, bo on wygląda tak jak inni ludzie. Przypuszczałam, że człowiek, który nie wierzy w Boga, musi wyglądać inaczej, niż wszyscy, jakoś dziwnie. Nie wymyślał i nie kłął, a to szkoda, bo nigdy nie słyszałam, jak się klnie i byłam ciekawa... On ma wielkie oczy tak, jak Ilza, donośny głos, a Rhoda mówi, że gdy on się rozgniewa, to słycać go w całej Czarnowodzie. Jest jakaś tajemnica dokoła osoby matki Ilzy, tajemnica, której nie mogę zgłębić. Dr. Burnley i Ilza mieszkają razem. Rhoda mówi, że Dr. Burnley powtarza, iż nie życzy sobie mieć w domu djabłów w postaci kobiecej. To jest mowa złego człowieka, ale to mnie zaciekawia. Stara Mrs. Simms chodzi do nich i gotuje im obiad i kolację, a oni sami przyrządzają sobie śniadanie. Doktor wychodzi czasami z domu, nieczęsto. Ilza zaś nic innego nie robi, tylko biega, jak dzikus. Doktor nigdy się nie uśmiecha, tak mówi Rhoda. On jest widocznie podobny do króla Henryka Drugiego.

Chciałabym poznać Ilzę. Ona nie jest taka miłutka jak Rhoda, ale i ona mi się podoba. Cóż, kiedy ona nie przychodzi do szkoły! Rhoda mówi, że niewolno mi się zaprzyjaźnić z nikim, oprócz niej w przeciwnym razie ona wypłacze sobie oczy. Rhoda kocha mnie też tak bardzo, jak ja ją. Pomodlimy się do Boga, ażebyśmy mogły spędzić razem całe życie i umrzeć tego samego dnia.

Ciotka Elżbieta daje mi zawsze śniadanie do szkoły. Składa się ono z cienkich kawałków chleba, posmarowanych cieniutką warstewką masła. Ale to masło nie ma takiego okropnego smaku, jak masło

Heleny Greene. A ciotka Laura wsuwa mi zawsze do paczki jabłko, albo leguminę, gdy ciotka Elżbieta odwróci się plecami. Ciotka Elżbieta mówi, że jabłka i słodycze niezdrowe są dla dzieci. Dlaczego najlepsze rzeczy są szkodliwe dla zdrowia, Ojczy? Helena Greene to samo mówiła.

Nauczycielka moja nazywa się panna Brownell. Nie lubię wykroju jej mortki. (To jest nieładny wyraz, którego używa, mówiąc o niej, kuzyn Jimmy, a że niema słownika w Srebrnym Nowiu, więc nie wiem, jak się to pisze, ale to tak brzmi!). Jest ona zbyt drwiąca i lubi mnie ośmieszać. A śmieje się nieprzyjemnie, zgrzytliwie. Ale ja jej przebaczyłam, chociaż mnie uderzyła i zaniósłam jej nazajutrz kwiaty. Przyjęła je bardzo zimno i pozwoliła im zwiędnąć na katedrze. W bajce lub powiastce, byłaby się rozpląkała i zarzuciła mi ramiona na szyję. Nie wiem, czy w życiu jest zwyczajem przebaczać, czy nie. Owszem, chyba tak, bo człowiek czuje się po tem o tyle lepiej! Ty nigdy nie musiałeś nosić dzidziusiowatych fartuchów, ani kapeluszy od słońca, bo byłeś chłopcem, to też nie będziesz mógł zrozumieć, co ja cierpię z tego powodu. A te fartuchy są z tak trwałej wełny, że nie zedrą się nigdy chyba, a przytem to potrwa kilka lat, zanim z nich wyrosnę! Ale mam na niedzielę, do kościoła, białą suknię z czarnem jedwabnem oszyciem, biały kapelusz z czarną wstążką i czarne buciki; w tym stroju czuję, że jestem eleganka. Chciałabym mieć obcięte włosy, bo tak radzi Rhoda, ale ciotka Elżbieta słyszeć o tem nie chce. Rhoda powiedziała mi, że mam piękne oczy. Zawsze sądziłam, że moje oczy są piękne, ale nie byłam tego

pewna. Teraz, kiedy wiem napewno, że tak jest, będę wciąż ciekawa, czy ludzie to widzą. Kładę się spać o wpół do dziewiątej wieczorem, niechętnie to czynię, ale siedzę w łóżku i wyglądam przez okno, aż się ściemni zupełnie. W ten sposób daję sobie radę z ciotką Elżbietą; słucham szumu morza, który teraz polubiłam, chociaż zawsze usposabia mnie on tak bardzo smutno, ale to jest przyjemny smutek. Muszę sypiać z ciotką Elżbietą, czego nie lubię, bo za lada poruszeniem ona twierdzi, że się „kręcę”, chociaż przyznaje, że nie kopię. Nie pozwala mi otworzyć okna. Ona nie lubi świeżego powietrza w domu. Salonik jest ciemny jak grób. Weszłam tam raz pewnego i powciągałam wszystkie rolety, a ciotka Elżbieta była przerażona i nazwała mnie małą psotnicą i rzuciła mi Murrayowskie spojrzenie. Rzekłbyś, że popełniłam zbrodnię. Czułam się tak pokrzywdzona, że aż poszłam na strych i opisałam tę przygodę, poczem było mi lżej. Ciotka Elżbieta powiedziała, że nigdy już nie mam wchodzić do saloniku bez pozwolenia. Nie mam wcale zamiaru tam wchodzić. Boję się tego saloniku. Na wszystkich ścianach wiszą portrety naszych przodków, a niema ani jednej przystojnej osoby wśród nich, z wyjątkiem dziadka Murraya, który wygląda ładnie, lecz ponuro. Pokój gościnny jest na pierwszym piętrze i równie ciemny jak salonik. Ciotka Elżbieta prowadzi tam zawsze na noc osoby wybitne. Ja lubię kuchnię za dnia, a strych i mleczarnię i salonik i jadalnię i hall też lubię z powodu ładnych drzwi, które do nich prowadzą, ale nie lubię wszystkich innych pokojów w Srebrnym Nowiu. Aha, zapomniałam o piwnicy. Lubię bardzo tam schodzić i patrzeć na długie

rzędy słoików z konfiturami. Kuzyn Jimmy powiada, że jest to tradycja Srebrnego Nowiu nie dopuścić nigdy, aby słoiki te były puste. Ileż tradycji ma Srebrny Nów! Jest to duży dom, a drzewa dokoła są cudne. Nazwałam trzy krzewy przy furtce ogrodowej: Trzy Księżniczki, a starą altanę nazwałam Rezydencją Emilki, a wielką jabłoń-Pobożną, bo rozkłada ona gałęzie zupełnie tak, jak pastor Dare w kościele podczas modlitwy.

Ciotka Elżbieta podarowała mi szufladę z prawej strony biurka; tam mogę składać moje drobiazgi.

Ach, Ojczy drogi, zrobiłam wielkie odkrycie. Szkoda że nie zrobiłam go za twego życia, bo byłbyś zapewne bardzo zadowolony. *Umiem pisać wiersze.* Może byłabym je pisała już oddawna, gdybym była spróbowała. Ale po pierwszym dniu szkoły czułam się zobowiązana wobec własnego honoru do pisania wierszy, więc spróbowałam. To takie łatwe! W bibliotece ciotki Elżbiety znajduje się mała książeczka, pod tytułem „Pory Roku” Thompsona. Postanowiłam, że napiszę poemat na cześć jednej z pór roku. Zaczyna się on od opisu jesieni, brzoskwiń, rogu myśliwskiego, którego dźwięk słychać w całej okolicy. Rzecz jasna, że tutaj niema brzoskwiń, że nigdy nie słyszałam rogu myśliwskiego w tej okolicy, bo i nacóżby tu polowano, ale w poezji nie należy się trzymać faktów. Zapisałam temi wierszami całą stronicę, poczem pobiegłam do ciotki Laury i przeczytałam jej cały wiersz. Sądziłam, że ona będzie bardzo rada, iż ma siostrzenicę, która jest poetką, a ona przyjęła to bardzo chłodno i rzekła, że to wcale nie brzmi jak wiersz. To jest biały wiersz, zawołałam. *Bardzo biały, orzek-*

ła ironicznie ciotka Elżbieta, jakkolwiek jej nie pytałam o zdanie. Sądzę, że wobec tego zacznę pisać wiersze rymowane, ażeby nie można było się omylić. Mam zamiar zostać poetką, gdy dorosnę i to bardzo sławną. Kuzyn Jimmy też pisze wiersze. Napisał przeszło 1.000 poematów, ale on nigdy ich nie pisze na papierze, tylko nosi je w głowie. Ofiarowałam mu trochę papieru z mego zapasu (bo on jest bardzo dobry dla mnie), ale powiedział, że jest za stary, aby się przyzwyczajać do czegoś nowego. Jeszcze nie słyszałam żadnej z jego poezji, bo nie nawiedziło go natchnienie. Szkoda, bardzobym chciała coś usłyszeć. Coraz bardziej lubię kuzyna Jimmy, boję się go tylko, gdy zaczyna tak dziwnie spoglądać i dziwnie mówić. Ale ten lęk nigdy nie trwa długo. Przeczytałam dużo książek z biblioteki Srebrnego Nowiu: Historję reformacji we Francji, bardzo religijną i nudną. Grubą małą książeczkę, opisującą zakonników w Anglii, oraz wyżej wspomiane Pory Roku. Lubię je czytać, bo spotykam tam tyle ładnych wyrazów, ale w dotyku są te Pory Roku nieprzyjemne. Papier jest taki gruby i szorstki! Przeczytałam podróż do Hiszpanji, wydrukowaną na miłym, cienkim papierze. Historję misjonarzy na wyspach Oceanu Spokojnego. Tam są bardzo zajmujące obrazki, bo widzimy na nich, w jaki sposób pogańscy wodzowie się czeszą. Gdy się stają chrześcijaninami, obcinają włosy, a że mają piękne, długie włosy, więc mi ich żal. Ogromnie lubię poezję, a tem samem opowieści o wyspach bezludnych. Czytałam też Rob Roya, powieść, ale tylko początek, bo ciotka Elżbieta zabrała mi książkę, mówiąc, że nie powinnam czytywać powieści. Ciotka Laura mówi, że



powinnam to czytać pokryjomu. Nie widzę, dlaczego nie miałabym słuchać ciotki Laury, ale tak mi jakoś dziwnie... Dotychczas nie czytałam jeszcze dalszego ciągu pokryjomu. Przeczytałam śliczną powiastkę o tygrysie, pełną obrazków i zabawnych historyjek o tygrysach. Bardzo zajmujące, a czasami takie straszne! Czytam teraz o Rubenie i Gracji, jest to powiastka, ale nie powieść, bo Ruben i Gracja są rodzeństwem i nie pobiorą się. To samo dotyczy historii Małej Kasi i Grzecznego Jima, ale to już jest mniej tragiczne i mniej przykuwające. Ładną książką jest „Cud Przyrody”. Prześliczną jest „Alicja w Krainie Cudów”, oraz „Pamiętnik Anzonetty B.” Cudna jest opowieść o tej dziewczynce, która została nawrócona, mając lat 7, a umarła, mając 12! Na wszelkie pytania odpowiadała wersetem z hymnów. Przed swem nawróceniem mówiła po angielsku. Ciotka Elżbieta mówi, że powinnam choć trochę być do niej podobna. Mnie się zdaje, że mogłabym raczej przy sprzyjających okolicznościach stać się podobną do Alicji, ale że nigdy nie będę taka dobra, jak Anzonetta. A zresztą nie pragnęłabym tego, bo one nigdy się nie bawiły. Anzonetta zochorowała natychmiast po nawróceniu się na religję chrześcijańską i straszliwie cierpiała przez kilka lat. Poza tem pewna jestem, że gdybym mówiła, do ludzi hymnami, wydawałoby się to śmieszne. Razu pewnego spróbowałam. Ciotka Laura zadała mi pytanie, czy wolę mieć skarpetki zimowe w czerwone, czy w niebieskie paski. Ja odpowiedziałam za przykładem Anzonetty, z tą jedyną różnicą, że tam szło o szlafrok:

*Jezus, Twoja krew i męka,  
Zdobią mnie, są moją szatą.*

Ciotka Laura wykrzyknęła, że oszalałam, a ciotka Elżbieta powiedziała, że bluźnię. Widzę więc, że to nie dla mnie. Poza tem Anzonetta nie mogła nic jeść przez szereg lat, bo miała wrzody w żołądku, a ja bardzo lubię zjeść sporo i coś dobrego.

Stary pan Wales umiera na raka. Jennie Strang mówi, że jego żona ma już całą żałobę gotową.

Napisałam dzisiaj życiorys Nieznośnika i opisałam drogę, prowadzącą do domu Wysokiego Jana. Przypnę je do tego listu, ażebyś mógł je przeczytać. Dobranoc, mój najdroższy Ojczy.

Twoja posłuszna korna służa

Emilja B. Starr.

P. S. Zdaje mi się, że ciotka Laura mnie kocha. Tak lubię być kochaną, Ojczy drogi!

E. B. S.”

10.

## NOWE PRZECIWNOCI.

W szkole panowało tłumione siłą woli zgorączkowanie: w początku lipca przypadały urodziny Rhody Stuart, urządzającej przyjęcie z tej okazji: niepokój zakłócił młode serca: kto będzie zaproszony? Oto wielkie pytanie. Kilka dziewczynek wiedziało napewno, że otrzymają zaproszenie, kilka zaś, że nie. Ale większość żyła w napięciu i niepewności. Wszystkie nadskakiwały Emilce, ponieważ ona była najdroższą przyjaciółką Rhody i mogła, rzecz jasna, mieć wpływ

na wybór gości. Jannie Strang posunęła się tak daleko, że ofiarowała Emilce pudełko z podobizną królowej Wiktorji, mówiąc, że można w niem trzymać ołówki i przybory szkolne. Wzamian prosiła o wyrobienie jej zaproszenia. Emilka z godnością odrzuciła dar i odrzekła, że nie może interwenjować w tak drażliwej sprawie. Ona sama pewna była swego zaproszenia. Rhoda powiedziała jej o tem już przed kilku tygodniami i omawiała z nią wszelkie szczegóły. Przyjęcie miało wypaść nader uroczyście i wspaniale: na pierwszym planie było ciasto urodzinowe; pokryte marcypanem, ozdobione 10 świecami barwy czerwonej. Na ucztę składały się ponadto pomarańcze i krem mrożony. Zaproszenia miały być wypisane piórem na czerwonym papierze listowym i rozesłane pocztą, co podnosiło jeszcze uroczysty charakter całości. Emilka śniła o tem przyjęciu dniem i nocą. Miała już prezent dla Rhody: ładny grzebień do włosów, który ciotka Laura przywiozła z Shrewsbury.

W pierwszą niedzielę lipcową siedziała Emilka w niedzielnej szkółce obok Jennie Strang. Zazwyczaj ona i Rhoda siadywały razem, ale dzisiaj Rhoda posunęła się o trzy miejsca dalej, a obok niej siedziała dziwna dziewczynka, bardzo wesoła i pełna blasku, ubrana w niebieską sukienkę jedwabną, w ładny, w kwiaty zdobny kapelusz, uczesana modnie: grzywka zagłędała jej w same oczy. Ale te piękne piórka nie zdołały jej upiększyć: była efektowna, ale nie ładna, a przytem było w niej coś pospolitego i lekceważącego.

— Kto to jest ta dziewczynka obok Rhody? — spytała Emilka.

— O, to jest Muriel Porter — odrzekła Jennie.—

Ona jest z miasta, wiesz? Przyjechała tu na wakacje ze swą ciotką, Janiną Beatty. Nienawidzę jej. Na jej miejscu do głowy nie przyszłoby mi nosić niebieski kolor, mając tak śniadą cerę. Ale Porterowie są bogaci, więc Muriel mniema, że jest cudna. Rhoda zawsze ubiega się o tych, którzy mają opinię bogatych.

Emilka zmarszczyła czoło. Nie miała zamiaru słuchać uszczypliwych uwag o swoich przyjaciółkach. Jenie zauważyła jej odruch i zmieniła temat.

— Cieszę się, że nie jestem zaproszona do Rhody na przyjęcie. Nie mam ochoty znaleźć się w tem samym towarzystwie, co Muriel Porter.

— Skąd wiesz, że nie jesteś zaproszona? — zdziwiła się Emilka.

— No, przecież zaproszenia zostały wysłane wczoraj. Czy nie otrzymałaś twojego?

— N... n... nie.

— A wogóle przyszła dla was poczta?

— Tak, kuzyn Jimmy odebrał nasze listy.

— No, to może pani Beecher zapomniała mu wręczyć twoje zaproszenie. Otrzymasz je jutro, wszystko jedno!

Emilka też była zdania, że to obojętne. Ale doznała dziwnego uczucia trwogi, które wzmoгло się jeszcze, kiedy po skończonym wykładzie niedzielnym Rhoda zniknęła w towarzystwie Muriel, nie spojrzawszy nawet na nikogo. W poniedziałek poszła Emilka osobiście na pocztę, ale nie było dla niej czerwonej koperty. Płakała w skrytości przez całą noc, ale jeszcze nie straciła całej nadziei, aż do wtorku wieczorem. Wówczas dopiero spojrzała w oczy okropnej prawdzie: ona, ona, Emilja Byrd Starr ze Srebrnego Nowiu, ona

nie została zaproszona na przyjęcie Rhody. To było nie do wiary! Tu chyba zaszła jakaś pomyłka! Może kuzyn Jimmy zgubił zaproszenie po drodze? Może do-rosła siostra Rhody przeoczyła jej nazwisko, pisząc adresy na kopertach? Dręczące wątpliwości Emilki zamieniły się w gorzką pewność, kiedy, wyszedłszy z poczty, spotkała na ulicy Jennie. W małych oczkach Jennie migotały złośliwe ogniki. Jennie polubiła Emilkę, chociaż zrazu tak jej dokuczała, ale przyjemnie jej było, że duma tej krewnej Murrayów doznaje upokorzenia.

— Więc jesteś zaproszona do Rhody, czy tak?

— Nie — odrzekła Emilka.

Była to dla niej ciężka chwila. Pycha Murrayowska cierpiała srogo, a przytem jeszcze coś było w niej smiertelnie ranne, a jeszcze niezupełnie unicestwione.

— Tak, to nazywam brudną podłóżką — rzekła Jennie ze szczerem współczuciem, niezależnem od ukrytego zadowolenia. — Przecież okazywała ci w oczy i za oczy niebywałą sympatję! Ale to jest cała Rhoda Stuart. Zdradziecka, oto jest określenie tej natury.

— Nie sędzę, aby ona była zdolna do zdrady — odrzekła Emilka, lojalna do końca. — Przypuszczam raczej, że tu zaszła jakaś pomyłka.

Jennie okazała zdziwienie.

— Jakto, więc ty nie wiesz, dlaczego?... Mnie Beth Beatty powiedziała całą prawdę. Muriel Porter nienawidzi cię i zagroziła Rhodzie, że nie przyjdzie na jej urodziny, jeżeli ty będziesz zaproszona. A Rhodzie tak zależy na tym gościu z miasta, że przyrzekła jej: „Emilka nie otrzyma zaproszenia”.

— Muriel Porter nie zna mnie — jęknęła Emilka. — Jak więc może mnie nienawidzić?

Jennie uśmiechnęła się z politowaniem.

— I to ci powiem. Ona szaleje poprostu za Fredem Stuartem, a Fred wie o tem i sprzeciwia jej się, mówiąc, że ty jesteś najbardziej uroczem dziewczęciem w Czarnowodzie, że on się z tobą zaręczy, gdy podrośnie. Muriel zwarjowała z zadrości i wpłynęła na Rhodę, żeby ciebie tam nie było. Jabym sobie z tego nic nie robiła, będąc na twojem miejscu. Murrayów na ze Srebrnego Nowiu może być ponad takimi bagatelkami. A co do zdradzieckości Rhody, to też ci mówię z pewnością: ona *jest* zdrajczynią. Wiedz, że to jej myśl była włożyć węża do pudełka i nastraszyć cię, a potem wyparła się wszystkiego, twierdząc, że nie wiedziała, co ci podaje.

Emilka była zdruzgotana. Nie mogła wymówić ani słowa. Rada była, gdy Jennie pożegnała ją niebawem, gdy znalazła się sama. Pobieгла do domu, gdyż bała się, że nie zdoła powstrzymać łez aż do powrotu. Rozczarowanie z powodu chybionej zabawy, upokorzenie z powodu zniewagi doznanej, wszystko to zeszło na drugi plan wobec oczywistej zdrady, wobec zawiedzionej ufności i wiary. Jej uczucie dla Rhody umarło, Emilka cierpiała w najtajniejszych zakątkach duszy, obolała od ciosu, który zabił tę przyjaźń. Była to tragedia dziecka, tembardziej gorzka, że niezrozumiała dla nikogo. Ciotka Elżbieta oznajmiła, że wszelkie przyjęcia urodzinowe są niedorzecznością i że Stuartowie nie są rodziną, z którą Murrayowie mogliby się wdać w zażyłe stosunki. Nawet ciotka Laura, chociaż pieściła i pocieszała Emilkę, nie rozumiała, jak

głębokie było zmartwienie dziewczynki. A było one tak straszne, że nie mogła nawet napisać o tem ojcu, nie miała ujścia dla gwałtownego bólu, przepętniającego jej serduszko.

Następnej niedzieli była Rhoda sama na kursach niedzielnych. Muriel Porter została nagle wezwana do miasta, bo jej ojciec ciężko zachorował. Rhoda spoglądała słodko w stronę Emilki. Ale Emilka przeszła obok niej z wysoko podniesioną głową, unikając jej wzroku. Nigdy już nie będzie miała nic wspólnego z Rhodą Stuart, nie mogłaby. Gardziła nią jeszcze bardziej za tę chęć zbliżenia się powtórnie do zdradzonej przyjaciółki, dlatego tylko, że ta mieszcza odjechała. Emilka nie opłakiwała utraty *Rhody*, nie! Dusza jej zatuliła się w kiry po utracie *przyjaźni*. Rhoda była miła i urocza powierzchownie i pozornie, ale Emilka przeżyła kilka tygodni szczęśliwych dzięki złudzeniu. Teraz złudzenie pierchło, a ona już nigdy nie będzie mogła pokochać nikogo, nikomu zaufać. *Tu* był rdzeń nieszczęścia.

To zatruwało jej całe życie. Emilka należała do natur, które nawet w dzieciństwie niełatwo odzyskują równowagę po takim ciosie. Błąkała się z kąta w kąt po Srebrnym Nowiu, straciła apetyt, zeszczuplała. Niecierpiała kursów niedzielnych, bo zdawało jej się, że inne dziewczynki drwią z jej upokorzenia, z jej zaślepienia. Może była iskierka prawdy w tem odczuwaniu, ale znacznie więcej było w niem przesady. Gdy tylko dwie dziewczynki szeptały, albo chichotały, już mniemała, że ona jest przedmiotem szyderstwa. Skoro jedna z koleżanek odprowadzała ją do domu, ona przypisywała to uczuciu litości dla opuszczonej, samotnej

Emilki. Przez cały miesiąc była Emilka najniešťczęśliwszą istotą w Czarnowodzie.

— Chyba urodziłam się przekłeta — myślała z rozpaczą.

Ciotka Elżbieta prozaiczniej tłumaczyła sobie smutek Emilki i jej brak apetytu. Doszła do wniosku, że istotnie ciężkie i gęste włosy Emilki „zabierają całą siłę z organizmu”, że dziecko nabierze zdrowia i mocy fizycznej, skoro się je obetnie. Od myśli do czynu był zwykle jeden błysk u ciotki Elżbiety. Zrana oznajmiła Emilce chłodno, że obetnie jej włosy.

Emilka uszom nie wierzyła. Teraz, kiedy ona nie nawidzi Rhody i jej pomysłów!

— Nie mówisz tego chyba poważnie, ciotko Elżbieto! — zawołała.

— Owszem, bardzo poważnie — rzekła ciotka stanowczo. — Masz za wiele włosów, zwłaszcza przy takich upałach. Proszę nie płakać!

Emilka nie mogła powstrzymać łez.

— Nie obcinaj ich zupełnie, ciotko Elżbieto — prosiła. — Obetnij spory kawałek. Dużo dziewczynek nosi grzywkę nad czołem, ale po co obcinać wszystko?

— Tutaj niema grzywek w tym domu i nie będzie — odrzekła surowo ciotka Elżbieta. — Obetnę ci włosy poprostu, gdyż doszłam do wniosku, że istotnie będzie ci zdrowiej i wygodniej bez tych długich warokoczy. Podziękujesz mi kiedyś.

Emilka nie czuła najmniejszej wdzięczności.

— To jest moja jedyna ozdoba — szlochała. — Rhoda umyślnie namawiała mnie do pozbycia się jej. Może i rzęsy mi poobcinasz?

Ciotka Elżbieta nie lubiła istotnie tych długich.



zakręconych ku górze rzęs, odziedziczonych przez Emilkę po babce, matce ojca, rzęs bardzo nie-Murrayowskich; ale nie miała wrogich zamiarów w stosunku do nich. Włosy zaś muszą spaść pod jej nożyczkami, bo tu o zdrowie chodzi!

Emilka czekała na katowskie nożyce w nastroju beznadziejności. Musi więc rozstać się ze swemi kochanemi włosami, z których ojciec był taki dumny! Może zczasem odrosną, o ile ciotka Elżbieta im pozwoli, ale to potrwa lata całe, a tymczasem ona będzie zeszpecona! Koleżanki się cieszą, z tem uosobieniem fałszu na czele! Ciotka Laura i kuzyn Jimmy wyszli teraz z domu. Żadnej obrony! Spełni się ta okropność.

Ciotka Elżbieta wracała z nożyczkami w rękę. Błyszczały, gdy je otwierała. Ten błysk zbudził coś nieopisanego w duszy Emilki. Odwróciła się zniecierpliwiona i spojrzała ciotce w twarz. Czowała, że brwi jej ściągają się w sposób niezwykły, czowała, że jakaś nieznaną energją budzi się w niej, energją, której nic i nikt oprzeć się nie zdoła.

— Ciotko Elżbieto — rzekła, patrząc prosto w oczy damie z nożyczkami — *nie obetniesz mi włosów*. Nie mówmy już o tem.

Zdarzyło się coś zdumiewającego: ciotka Elżbieta pobladała, odłożyła nożyczki, patrzyła przez chwilę, jak na upióra, na to opętane dziecko, a potem, po raz pierwszy w życiu uciekła. Elżbieta Murray, dosłownie uciekła... do kuchni.

— Co się stało, Elżbieto? — spytała Laura, wchodząc do domu.

— Zobaczyłam... Ojca... patrzącego na mnie z jej oczu — wyjąkała Elżbieta, cała drżąca. — I powie-

działa: „Nie mówmy już o tem” — zupełnie tak, jak on... jego słowami.

Emilka usłyszała to zdanie i pobiegła do zwierciadła. Mówiąc do ciotki, doznała obcego sobie uczucia: miała wrażenie, że ktoś inny przyoblekł się w jej postać. Uczucie to minęło, ale Emilka pochwyciła jeszcze jeden rys w swej twarzy, który ją oświecił: miała Murrayowskie spojrzenie! Nic dziwnego, że przeraziła ciotkę Elżbietę, ją samą to przeraziło, cieszyła się, że ma to już za sobą. Drżała. Uciekła na strych, do swej kryjówki i płakała. Ale wiedziała, że włosy ocalały.

Istotnie. Ciotka Elżbieta nie powracała już nigdy do tej sprawy. Ale przez długi szereg dni unikała wszelkiego kontaktu z Emilką.

Zaszedł dziwny fakt: Emilka z tym dniem przestała martwić się o utraconą przyjaźń. Cała ta historia stała się w jej oczach mało ważna. Wydawało jej się, że to już tak dawno się zdarzyło! Pozostała tylko świadomość wrażenia, odczucie było stępione. Emilka szybko odzyskiwała apetyt i dobry humor, pisywała listy do ojca, znów uważała, że życie jest piękne. Dręczyło ją tylko przecucie, że ciotka Elżbieta nie zapomni jej swej porażki i wcześniej czy później odplaci jej gorzką nauczka.

Ciotka Elżbieta „wzięła nad nią górę” niebawem. Emilka miała iść do sklepu po sprawunki. Był to upalny dzień, tak że zrana ciotki pozwoliły jej chodzić boso w obrębie domu. Teraz kazano jej włożyć buciki i pończochy. Emilka zbuntowała się: za gorąco było, za dużo kurzu, za ciężko jej będzie odbyć tak daleką drogę w zapinanych na guziki bucikach. Ciotka Elżbieta pozostała nieugięta. Nikt z Murrayów nie chodził

nigdy boso poza domem. Emilka ustąpiła, ale skoro tylko wyszła poza bramę, usiadła na trawie, zdjęła buciki i pończochy, postawiła je w rowie i pobiegła, wesoła, beztroska, przez pola.

Załatwiła sprawunek i wracała ze spokojnem sumieniem. Jaki piękny był świat, jaki delikatny błękit nieba, jak cudną barwę miała Czarna Woda! Emilka przystanąła i zaczęła tworzyć poemacik na cześć otaczającej przyrody.

Dwie strofki były już gotowe po pięciu minutach. Ale potrzebna była trzecia, któraby zakończyła utwór. Tymczasem iskra Boża pierzchła, zanim ta trzecia strofa była gotowa w umyśle dziewczynki. Rozmarzona, szła w kierunku domu i zanim doszła do Srebrnego Nowiu, skomponowała i te wiersze, które według niej były potrzebne do zaokrąglenia całości.

Była bardzo zadowolona i dumna, gdyż uważała ten jeszcze nienapisany poemacik za najlepszy swój utwór dotychczasowy. A napisała już trzy wiersze ulotne. Musi pośpieszyć na strych i napisać te trzy strofki, żeby ich, broń Boże, nie zapomnieć. Ale na schodach zastąpiła jej drogę ciotka Elżbieta.

— Emilko, gdzie zostawiłaś buciki i pończochy?

— W rowie przy bramie — odrzekła Emilka, ściągnięta brutalnie z obłoku na ziemię.

— Poszłaś do sklepu boso?

— Tak.

— Chociaż ci powiedziałam, że nie wolno?

To pytanie wydało się Emilce zbędne, więc nie odpowiedziała. Ale teraz nadeszła chwila rewanzu ciotki Elżbiety.

## ILZA.

Emilkę zamknięto w garderobie i tu miała pozostać do samej nocy. Daremnie błagała o odpuśczenie jej kary. Usiłowała spojrzeć Murrayowskim spojrzeniem, ale widocznie nie udawało się ono na zawołanie.

— Nie zamykaj mnie tu samej, ciotko Elżbieto — prosiła. — Wiem, że byłam niegrzeczna, ale nie zamykaj mnie w garderobie.

Ciotka była nieubłagana. Wiedziała, że jest to okrucieństwem zamknąć takie przewrażliwione dziecko, jak Emilka, w tym ciemnym pokoju. Ale sądziła, że spełnia swój obowiązek. Nie zdawała sobie sprawy i nie byłaby uwierzyła, że mściła się poprostu za swoją własną porażkę, za lęk doznany w owym pamiętnym dniu obcinania, a nie-obcięcia włosów. Ciotka Elżbieta była przeświadczona, że uległa przypadkowemu podobieństwu familijnemu, które się ujawniło z taką siłą pod wpływem gwałtownej sceny; wstydziła się swego przerażenia Duma Murrayowska została zadraśnięta, zraniona bodaj; rana zabiłżniła się dopiero z tą chwilą, kiedy ciotka przekręciła klucz w zamku i pozostawiła w garderobie pobladłą śmiertelnie przestępczynię.

Emilka, małeńka, opuszczona, bezbronna, o oczach, wyrażających takie przerażenie, jakie nie powinno się móc przejawiać w oczach dziecka, przytuliła się mocno do zamkniętych drzwi. Tak było względnie najlepiej. Mogła nie myśleć o tem, co się dzieje za jej plecami. A w tym wielkim, ciemnym pokoju mogło się dzieć tyle! Ten duży, pusty, ciemny obszar napełniał ją lę-

kiem nie do przewyciężenia. Jak dawno pamięć jej sięgała, zawsze bała się strasznie ciemnego lub półciemnego pokoju, o ile była w nim sama przy zamkniętych drzwiach.

Okna były zasłonięte ciężką, ciemno-zieloną materją. Wielkie łoże z baldachimem, wysunięte na środek pokoju, było również udrapowane w ciemne barwy. Co ona uczyni, jeżeli z fałd baldachimu wyłoni się nagle jakaś upiorna dłoń i pochwyci ją w swe szpony. Na ścianach wisiały portrety Murrayów. Ale co najgorsze, to ta wypchana sowa arktyczna, patrząca na nią z pod sufitu szklanemi oczami. Emilka krzyknęła głośno, gdy ją dostrzegła, poczem przykucnęła w swoim kąciку pod drzwiami, przerażona nanowo głuchym dźwiękiem, jakim rozbrzmiał jej krzyk na tle tego otoczenia, w wielkim, pełnym ech pokoju. Zapragnęła, żeby coś wyskoczyło z tego łoża i kres położyło męczarniom.

— Ciekawa jestem, coby powiedziała ciotka Elżbieta, gdyby mnie tu znalezione matwą — pomyślała mściwie.

Chociaż się bała tego mroku, niemniej zaczęła już snuć dramatyczną opowieść na swój temat i odczuwać wyrzuty sumienia ciotki Elżbiety tak, jakby była pewna ich istnienia. Postanowiła udać zemdloną i odzyskać przytomność wtedy dopiero, kiedy już wszyscy będą dostatecznie zmartwieni i skruszeni. Przecież w tym pokoju umierali ludzie. Według kuzyna Jimmy do tradycji Murrayowskich należał zwyczaj przenoszenia umierających członków rodziny do garderoby, aby tu konali, otoczeni portretami rodzinemi, pod tem wysokiem sklepieniem. Emilka wi-

*działa* ich, umierających na tem ogromnem łożu. Czowała, że znowu krzyknie, ale zwalczyła ten odruch. Córka Starra nie ma prawa być tchórzem. Och, ta sowa! Jeżeli i dziewczynka odwróci od niej oczy, okaże się z pewnością, że ptak zsunął się przez ten czas na dół i kroczy ku niej z rozpostartemi skrzydłami, z otwartym, olbrzymim dziobem. Emilka nie śmiała oderwać oczu od ptaka, ażeby nie dać mu swobody ruchów. Czowała zimny pot na czole.

Wtem — promień słońca padł przez szczelinę w okiennicach na portret dziadka Murraya. Twarz jego wyłoniła się nagle z mroków, surowa, posępna, nadprzyrodzona. Nerwy Emilki odmówiły posłuszeństwa. W niepohamowanym ataku panicznej trwogi pobiegła ku oknu, jak szalona, rozsunała zielone firanki, wspięła się na palce, otworzyła okiennice. Za oknami roztaczał się pogodny krajobraz, płynęło ciche, spokojne życie ludzkie. A do okna przystawiona była od strony zewnętrznej drabina! Przez chwilę sądziła Emilka, że stał się cud, ażeby mogła uciec ze swego więzienia.

Kuzyn Jimmy wspinał się dziś przez całe rano po drabinie, bo sadił rośliny na dachu mleczarni, ziemią wysypanym. Drabina była mocno uszkodzona i kuzyn postanowił się jej pozbyć. Chwilowo odsta-  
wił ją na bok, pod oknem garderoby.

Szybka, jak błyskawica, wskoczyła Emilka na parapet okna, przyklękła i zaczęła powoli spuszczać się wdół po drabinie. Zbyt była przejęta pragnieniem ucieczki, aby zwrócić uwagę na kruchość spróchniałych szczebli. Gdy nareszcie znalazła się na ziemi, po-

biegła przez gęste krzewy aż do ścieżki przy domku Wysokiego Jana.

Tu zatrzymała się, aby zaczerpnąć tchu. Pełna była radości pomieszanej ze strachem. Słodki był ten podmuch wolności, unoszący się nad paprociami. — Uciekła z garderoby, z pomiędzy duchów, triumfowała nad niegodziwą starą ciotką Elżbietą.

— Czuję się jak ptak, który zbiegł z klatki — rzekła sama do siebie; zatańczyła z radości na trawniku. Wtem oko jej padło na coś jasnego, co wychyliło się ku niej ciekawie spośród ciemnych młodych świerków: była to płowa główka Ilzy Burnley. Emilka widziała ją poraz pierwszy od czasu owego pamiętnego dnia, kiedy Ilza stanęła w jej obronie. Znowu pomyślała teraz, że jest to postać całkiem różna od wszystkich, jakie widywała dotychczas.

— I cóż, Emilko ze Srebrnego Nowiu — rzekła Ilza — dokąd biegniesz?

— Uciekam — odrzekła Emilka szczerze. — Byłam niegrzeczna, właściwie byłam tylko trochę niegrzeczna, a ciotka Elżbieta zamknęła mnie za to w garderobie. Jak na to, byłam za mało niegrzeczna, to nie było ładnie z jej strony... więc wyskoczyłam przez okno i zesłam na dół po drabinie.

— Ty mała psotnico! Nie sądziłam, byś była na to dosyć odważna! — rzekła Ilza.

Emilka westchnęła. To bardzo przykre być nazwaną „małą psotnicą”. Ale Ilza powiedziała to tonem pełnym podziwu.

— Mnie się nie wydaje, żeby to była odwaga — rzekła Emilka, zbyt uczciwa, aby przyjąć niezasłużo-

ny komplement. — Byłam raczej zbyt wylękniona, aby dłużej pozostać w tym ciemnym pokoju.

— No, dobrze, a dokądże idziesz teraz? — spytała Ilza. — Musisz przecież pójść gdzieś, nie możesz pozostać pod gołym niebem. Burza nadciąga.

Rzeczywiście. Emilka nie lubiła burzy. Dręczyło ją sumienie.

— Powiedz mi — rzekła — jak ci się zdaje, czy Bóg zsyła burzę, ażeby mnie ukarać za nieposłuszeństwo?

— Nie — odrzekła Ilza szorstko. — O ile jest Bóg, nie zaprzętałby sobie głowy takimi głupstwami.

— Powiedz, Ilzo, czy ty nie wierzysz w istnienie Boga?

— Nie wiem. Ojciec mówi, że Go niema. Ale w takim razie, jakby się mogło dziać wszystko na świecie? A dzieje się tyle! Czasami wierzę, że Bóg istnieje, a czasami zdaje mi się, że nie. Chodź ze mną do naszego domu. Tam niema nikogo. Byłam taka samotna, sprzykrzyło mi się, wyszłam trochę na drogę.

Ilza podniosła się i wyciągnęła swoją opaloną łapkę do Emilki. Wzięły się za ręce i pobiegły razem, na przełaj przez pastwiska Wysokiego Jana, do domu starego Burnleya. Wewnątrz stało dużo mebli, które ongi były niezawodnie piękne i kosztowne; ale panował tu okropny nieład, wszędzie leżały pokłady kurzu. Nic nie znajdowało się najwidoczniej na swoim miejscu, a ciotka Laura byłaby chyba krzyknęła z rozpaczy na widok kuchni. Ale do zabawy było to idealne miejsce. Nie potrzeba było uważać, żeby czegoś nie przewrócić, nie potłuc. Ilza i Emilka bawiły się wybornie w „chowanego”, biegając po całym do-



mu ze śmiechem i z krzykiem. Wreszcie pioruny stały się tak częste i donośne, błyskawice tak bezustanne i oślepiające, że Emilka musiała wtulić się w poduszki kanapy, głową do ściany, aby poskromić swój okropny lęk.

— Czy nigdy nie boisz się burzy? — spytała.

— Nie, ja się nie boję niczego z wyjątkiem diabła, — odrzekła Ilza.

— Sądziłam, że ty nie wierzysz w diabła również. Rhoda mówiła, że nie.

— Owszem, djabeł istnieje, mówi ojciec. On tylko w Boga nie wierzy. A jeżeli tak jest, jeżeli djabeł istnieje, a niema Boga, któryby go trzymał w cudłach, to cóż dziwnego, że się go boję? Słuchaj, Emiljo Byrd Starr, ja cię lubię. Od pierwszej chwili polubiłam cię i wiedziałam, że rychło uprzykrzy ci się ta mała, mizdrząca się, kłamliwa jaszczurka, Rhoda Stuart. Ja nigdy nie kłamię. Ojciec powiedział mi kiedyś, że zabiłby mnie, gdyby mnie przyłapał na kłamstwie. Bądź *moją* przyjaciółką. Będę uczęszczać regularnie do szkoły, o ile będę wiedziała, że siedzę obok ciebie.

— Zgoda — odrzekła Emilka z prostotą. Nie składała już przysięgi wiecznej wierności, ani jej nie wymagała od nikogo. Ta faza już minęła.

— I będziesz mi opowiadać... mnie nikt nic nie opowiada! I ja tobie będę opowiadać różne rzeczy. Nie mam komu opowiadać cokolwiek—bądź — rzekła Ilza. — A ty nie będziesz się mnie wstydzić, chociaż jestem dziwnie odziana, chociaż nie wierzę w Boga?

— Nie. Ale gdybyś знаła Pana Boga mego ojca, wierzyłybyś w Niego.

— Nie wierzyłabym. Zresztą, istnieje tylko jeden Bóg, o ile wogóle istnieje.

— Nie wiem... — odrzekła Emilka z wahaniem. — Nie, to nie może być. Bóg Heleny Greene nie jest ani trochę podobny do Boga mego ojca, a Bóg ciotki Elżbiety też jest zupełnie różny. Nie zdaje mi się, żebym lubiła Boga ciotki Elżbiety, ale jest On, bądź-co bądź, Bogiem pełnym godności, a Bóg Heleny Greene jest pozbawiony godności. Pewna jestem, że Bóg ciotki Laury jest jeszcze inny, miły i dobry, ale nie taki cudny jak Bóg ojca.

— Mniejsza o to, nie lubię rozmów o Bogu — rzekła Ilza niechętnie.

— Ja lubię je — odparła Emilka. Mnie się zdaje, że Bóg jest interesującym tematem. Będę się modlić za ciebie, Ilzo, ażebyś mogła uwierzyć w Boga mego ojca.

— Nie pleć! — krzyknęła Ilza, której dla jakichś tajemniczych przyczyn nie podobała się ta myśl. — Nie chcę, żeby się za mnie modlono!

— Czy ty sama nigdy się nie modlisz, Ilzo?

— Hm, od czasu do czasu, w nocy, kiedy czuje się bardzo samotna, albo kiedy mam kłopoty. Ale nie chcę, żeby się za mnie modlił ktokolwiek inny. Jeżeli cię na tem przyłapię, Emiljo Starr, wydrapię ci oczy. A za mojemu plecami też nie masz się modlić za mnie, rozumiesz?

— Dobrze, rozumiem — odrzekła Emilka ostro. Była upokorzona tem odrzuceniem jej szlachetnej

propozycji. — Będę się modlić za każdego, za każdą duszę ludzką, którą znam, tylko ciebie będę stale wyłączać.

Ilza patrzyła na nią przez chwilę, jakgdyby jej się ten układ również nie podobał. Wreszcie zaśmiała się i dała Emilce potężnego klapsa.

— Do licha! Wszystko jedno, bylebyś mnie lubiła. Mnie nikt nie lubi, wiesz?

— Twój ojciec *musi* cię lubić, Ilzo.

— Nie, on mnie nie lubi — odrzekła Ilza stanowczo. — Ojciec nie dba o mnie wcale. Czasami wydaje mi się nawet, że on nie znosi wręcz mego widoku. Chciałabym, żeby mnie pokochał, bo on umie być strasznie miły, kiedy kocha kogoś. A wiesz, czem ja będę, gdy dorosnę? Zostanę de-*kla*-*ma*-*tor*-*ka*.

— Co to znaczy?

— To jest kobieta, która mówi wiersze. Umie robić pierwszorzędnie. A czem ty będziesz?

— Poetką.

— Patrzcie! — zawołała Ilza z lekkim przekąsem. — Nie wierzę, żebyś ty umiała pisać poezje — dała.

— Umie! — zawołała Emilka. — Napisałam już trzy sztuki: „Jesień”, „List do Rhody” (ten wiersz spaliłam), oraz „Ode do Pierwiosnków”. Ode stworzyłam dzisiaj i to jest moje arcydzieło.

— Powiedz mi je — rozkazała Ilza.

Rada nierada, wyrecytowała Emilka dumnie swoje wiersze. Nie zależało jej bynajmniej na pochwaleniu się niemi przed Ilzą.

— Emiljo Byrd Starr, nie wysnułaś tego chyba z własnej głowy?

- Owszem.
- Przysięgasz?
- Przysięgam.

— Hm... — odetchnęła Ilza głęboko — w takim razie, zdaje mi się, że jesteś istotnie poetką.

Była to chwila wielkiego triumfu dla Emilki, jedna z wielkich chwil w jej życiu. Świat darzył ją uznaniem. Ale narazie należało pomyśleć o czym innym. Burza minęła, słońce świeciło. Niebawem ściemni się. Trzeba wracać do domu i wślizgnąć się do garderoby, zanim zauważą jej nieobecność. Straszna była ta myśl o powrocie, ale gorzej byłoby zasłużyć znowu na jeszcze surowszą karę okrutnej ciotki Elżbiety. A właśnie teraz, pod wpływem Ilzy, pełna była męstwa i otuchy. Zresztą niebawem nadejdzie chwila pójścia do łóżka, więc wypuszczają ją stamtąd. Pobiegła do domu naprzelaj przez pole Wysokiego Jana, całe lśniące od robaczków świętojańskich, przebiegła przez krzewy kwietne dokoła domu i... stanęła jak wryta: drabina zniknęła!

Emilka obeszła dom, pełna trwogi i wkradła się do kuchni z bijącym sercem. Ale tym razem droga małej grzesznicy nie była cierniowa, przeciwnie, okazała się ponad zasługę łatwa: w kuchni znajdowała się tylko ciotka Laura.

— Emilko droga, gdzie, u Boga Ojca, podziwiał się przez ten czas? — zawołała. — Właśnie szłam, aby cię wypuścić. Elżbieta powiedziała, wychodząc z domu, że mogę już pójść po ciebie.

Ciotka Laura nie przyznała się, że kilkakrotnie podchodziła na palcach do drzwi garderoby i że była poważnie zaniepokojona zupełną ciszą, jaka tam

panowała. Czy dziecko straciło przytomność ze strachu? Nawet podczas tej groźnej burzy z piorunami nie pozwoliła zawzięta Elżbieta otworzyć drzwi ciemnego pokoju. Aż tu zjawia się panna Emilja, całkiem pogodna, wraca z przechadzki, nie wiedząc, jakiego niepokoju jest sprawczynią. Przez chwilę niezadowolona była Laura. Ale gdy usłyszała opowiadanie Emilki o jej ucieczce, dreszcz ją przeszedł na myśl, że dziecko Julki o mały włos nie połamało rąk i nóg, schodząc po spróchniałej drabinie. O niczem innym już nie myślała.

Emilka czuła, że powiodło jej się lepiej, niż na to zasłużyła. Wiedziała, że ciotka Laura dochowa jej tajemnicy. Ciotka Laura dała jej Nieznośnika do pokoju i pozwoliła nalać mu podwójną filiżankę mleka. Jej samej podała wielkie ciasto z rodzenkami i położyła ją do łóżka, obsypując siostrzenicę pocałunkami.

— Nie powinnaś być taka dobra dla mnie, bo byłam dziś niegrzeczna — rzekła Emilka między jednym a drugim kęsem. — Zdaje mi się, że shańbiłam Murrayów, chodząc boso.

— Jabym na twojem miejscu zdejmowała buciki, ile razy znajdę się poza bramą — rzekła ciotka Laura. — Tylko nie zapominałabym włożyć je przed powrotem do domu. Elżbieta nie może mieć przykrości z czegoś, o czem nie wie.

Emilka rozmyślała nad tem, dopóki nie dokończyła ciasta. Wreszcie rzekła:

— To byłoby przyjemne, ale już chyba tego nigdy nie zrobię. Muszę być posłuszna ciotce Elżbiecie, bo ona jest głową rodziny.

— Skąd masz takie informacje? — zdziwiła się ciotka Laura.

— Z mojej własnej głowy. Ciotko Lauro, Ilza Burnley i ja będziemy przyjaciółkami. Lubię ją, zawsze czułam, że ją polubię, skoro się nadarzy sposobność... Nie sądzę, abym mogła kiedykolwiek *po-kochać* którąkolwiek dziewczynkę, ale ją *lubię*.

— Biedna Ilza! — westchnęła ciotka Laura.

— Tak, jej ojciec jej nie lubi. Przecież to okropne? — rzekła Emilka. — Dlaczego on jej nie lubi?

— Owszem, kocha ją w gruncie rzeczy. Zdaje mu się tylko, że nie.

— Ale dlaczego mu się tak zdaje?

— Za młoda jesteś, Emilko, aby zrozumieć.

Emlika okropnie nie lubiła, gdy jej mówiono, że jest za młoda, aby rozumieć. Czuła, że może doskonale zrozumieć wszystko, o ile dorośli zadadzą sobie trud wytłumaczenia jej różnych zjawisk, i zaniechała tej swojej tajemniczości.

— Chciałabym móc się modlić za nią. A toby nie było w porządku, z chwilą, gdy wiem, co ona o tem myśli. Ale zawsze proszę Boga, aby pobłogosławił wszystkich moich przyjaciół, czyli ją również, bo ona teraz do nich należy. Może i z takiej modlitwy wyniknie dla niej coś dobrego. Czy „do licha” jest wyrazem, który można używać, ciotko Lauro?

— Niel... Niel...

— Szkoda — rzekła Emilka z powagą. — Żałuję, gdyż jest to zwrot pełen zacięcia.

## NOWA PRZYJACIÓŁKA.

Emilka i Ilza spędziły rozkoszne dwa tygodnie, zanim doszło do pierwszej ich bitwy. Była to istna bitwa, tyle tylko, że bezkrwawa, a przyczyną jej była kwestja, czy urządzić salonik w domku, który budowały z piasku na ścieżce Wysokiego Jana, czy nie. Emilka domagała się saloniku, a Ilza nie zgadzała się na to stanowczo. Nareszcie Ilza straciła cierpliwość i wpadła w istny szał Burnleyowski. W złości była niezmiernie wymowna i ten huragan wyrazów, nieobjętych słownikiem, wykrzyczany aż do ochrypnięcia prosto w twarz biednej Emilki, byłby oszołomił każdą inną dziewczynkę w Czarnowodzie. Ale Emilka zbyt była oswojona ze światem wyrazów, ażeby dać się pokonać tak łatwo. I ona się rozgniewała, ale w inny sposób. Zachowała godność i powagę, okazała pogardę iście Murrayowską, bardziej irytującą niż uniesienie. Gdy Ilza przestawała krzyczeć, ażeby tchu zaczerpnąć, rzucała Emilka urywane, ironiczne uwagi, które doprowadziły Ilzę do tem większego szału. Emilka siedziała spokojnie na dużym kamieniu, skrzyżowała nogi, oczy jej pociemniały tylko, a policzki były purpurowe. Ilza również była zaczerwieniona, a oczy jej miotały iskry. Obie były takie ładne w swej złości, że możnaby nieledwie żałować, iż nie gniewają się częściej.

— Nie powinnaś mniemać ty, mały podrzutku, ty, głupia sikoro, że będziesz mną rządzić, dlatego, że

mieszkaś w Srebrnym Nowiu — wrzeszczała Ilza, tupiąc nogą.

— Nie mam wcale zamiaru rządzić tobą, nie będę się z tobą zadawać na przyszłość — odrzekła Emilka ze wzgardą.

— Cieszę się, że się ciebie pozbywam, ty, zarozumiała, pewna siebie świnio dwunożna — krzyknęła Ilza. — Nie odzywaj się do mnie nigdy więcej! I niech ci nie przyjdzie do głowy obgadywać mnie w Czarnowodzie.

To było ponad siły dziewczynki, która nigdy nie „obgadywała” swych przyjaciółek, ani nawet eks-przyjaciółek.

— Nie będę o tobie mówić nic złego do nikogo — rzekła Emilka z energją — będę tylko źle *myśleć* o tobie.

To było ważniejsze, niż słowa; Emilka wiedziała o tem. Ilza była zaskoczona. Kto wie, co o niej będzie myśleć Emilka, ilekroć sobie ją przypomni? Ilza niejednokrotnie miała już sposobność zauważyć, jaką bujną wyobraźnię ma Emilka.

— Czy sądzisz, że mnie obchodzą twoje myśli, ty, marny gadzie? Ty wogóle nie umiesz myśleć.

— Umiem coś, co jest znacznie trudniejsze — rzekła Emilka z uśmiechem drażniącej wyższości. — Coś, czego ty nie potrafisz nigdy, Ilzo Burnley.

Ilza zacisnęła pięści, jakgdyby chciała zdruzgotać Emilkę swą siłą fizyczną.

— Gdybym nie umiała pisać lepszych wierszy, niż twoje, powiesiłabym się — stwierdziła.

— Pożyczę ci kilkanaście groszy na kupno sznura — szydziła Emilka.



Ilza patrzyła na nią przez chwilę, zwyciężona.

— Idź do diabła! — rzekła.

Emilka wstała i poszła nie do diabła, lecz do Srebrnego Nowiu. Ilza ulżyła sobie, depcząc i burząc gmach z piasku, wzniesiony wspólnymi siłami, poczem również się oddaliła z miejsca swej porażki.

Emilka czuła się bardzo źle. Oto druga zkolei przyjaźń w gruzach, przyjaźń, która również była miłą, uszczęśliwiająca. Ilza była idealnym kompanem, niewątpliwie. Doszedłszy do domu, przekradła się Emilka na strych i zapłakała gorzko.

— Przeklęta, przeklęta jestem! — łkała dramatycznie, lecz całkiem szczerze.

Ale nie doznawała tym razem tej goryczy, co przy zerwaniu z Rhodą. To była kłótnia jawna i uczciwa. To nie było pchnięcie sztyłem w plecy. Ale rzecz jasna, że już nigdy Ilza i ona nie będą kompanami. Nie można być kompanem osoby, która nazywa nas podrzutkiem, istotą dwunożną, gadem i posyła nas do diabła. To niemożliwe. A przytem Ilza nigdy jej nie przebaczy; Emilka była dość uczciwa, ażeby uznać, iż sama też się przyczyniła do pogorszenia sytuacji.

Nazajutrz poszła Emilka na miejsce wczorajszej zabawy. Była przygotowana, że znajdzie tam szczątki budowli z piasku oraz statków, które obie tam poznały już przed paru dniami. Natomiast zastała tam Ilzę, krzątającą się pilnie: dom i ogródek były zupełnie wykończone, a na froncie widniał piękny salon, połączony z jadalnym gałązką świerkową.

— Dzieńdobry, mała! Oto jest twój salonik. Mam nadzieję, że teraz będziesz zadowolona — rze-

kła wesoło. — Co cię zatrzymało tak długo? Docze-  
kać się nie mogliam.

Emilkę, która spędziła tragiczną noc, zakłopo-  
tało to powitanie. Od wczoraj wylewała łzy obfite,  
opłakując swą drugą przyjaźń. Nie była przygotowa-  
na na tak szybkie zmartwychwstanie tej pogrzebanej  
zażyłości koleżeńskiej. Ilza robiła wrażenie tak zwy-  
kłe, jakgdyby nigdy nie były się pokłóciły ani na  
chwilę.

— Ech, to było wczoraj! — rzekła, zdumiona,  
gdy Emilka, nieco chłodna, nawiązała do zdarzeń  
dnia poprzedniego. Wczoraj a dzisiaj są to dwa róż-  
ne pojęcia w Ilzy filozofji życiowej. Emilka zgodziła  
się z tem, uważała to za swój obowiązek. Ilza naj-  
widoczniej nie mogła już teraz obejść się bez niej,  
bez okazywania komuś uczucia i przywiązania. Co  
zdumiewało Emilkę, to łatwość, z jaką Ilza zapomi-  
nała o kłótni, skoro tylko chwila sprzeczki minęła.  
Była zaskoczona temi zmiennymi nastrojami, polega-  
jącemi na nazywaniu jej zrana gadem, krokodylem,  
a — kochaniem, maleństwem popołudniu.

— Czy nieładnie z mojej strony, że przez ten  
czas sama urządziłam nasze mieszkanie? — spytała  
Ilza. — Posłuchaj: Dora Payne nigdy się nie unosi,  
ona zawsze jest łagodna, ale czy chciałabyś, żeby to  
była twoja przyjaciółka?

— Nie, ona jest za głupia — przyznała Emilka.

— A Rhoda Stuart? Ona też się nie unosi, ale  
chyba masz jej dosyć. Czy sądzisz, że jabym cię kie-  
dykolwiek potraktowała tak, jak ona?

Nie, Emilka nie miała co do tego wątpliwości. Il-  
za miała różne wady, ale była lojalna i uczciwa.

Z pewnością Rhoda Stuart i Dora Payne były w porównaniu z Ilzą „światłem księżycy w zestawieniu z blaskiem słonecznym, winem w porównaniu z wodą”, a przynajmniej byłyby tem w oczach Emilki, gdyby lepiej znała już wtedy Tennysona.

— Człowiek nie może mieć samych zalet — filozofowała Ilza. — Ja odziedziczyłam temperament ojca, ot i wszystko. Zaczekaj, może go kiedy zobaczysz w przystępie wściekłości.

Emilka nie patrzyła na to dotychczas pod tym kątem. Nieraz przychodziła do domu dra Burnleya, ale doktor stale zachowywał się tak, jakgdyby jej nie widział. Najwyżej odpowiadał na powitanie lekkim skinieniem głowy. Był to człowiek pracowity, miał rozległą praktykę. Przy łożu chorego był miły i sympatyczny, pełen współczucia i solidarności z pacjentem; skoro tylko odchodził od chorego, stawał się znowu szorstki i sarkastyczny. Dopóki ktoś był chory, nie było poświęcenia, do którego nie byłby dla niego zdolny doktor Burnley. Skoro tylko dana osoba wyzdrowiała, doktor sprawiał wrażenie, jakgdyby nie miał dla niej zastosowania. Przez cały czerwiec pochłonięty był ratowaniem Tadzia Kenta. Teraz Tadzio był ocalony, mógł wstawać, ale polepszenie nie było dość szybkie, doktor nie był zadowolony. Razu pewnego zwrócił się do Ilzy i Emilki, które zmierzały właśnie na zwykłe miejsce zabaw i rozkazał im pójść do domku Kentów i bawić się z Tadzkiem.

— On jest samotny, przygnębiony. Idźcie i rozweselcie go — rzekł doktor.

Ilza nie miała wielkiej ochoty na ten samarytański uczynek. Lubiła Tadzia, ale najwidoczniej nie-

bardzo lubiła jego matkę. Emilka w gruncie rzeczy nie była przeciwna tej wyprawie. Widziała Tadzia Kenta raz jeden dopiero, na kursach niedzielnych, w przeddzień jego zapadnięcia na zdrowiu; podobało jej się jego wejrzenie. Widocznie jej wejrzenie też mu przypadło do gustu, gdyż kilkakrotnie spotkała jego oczy w niej utkwione. Był bardzo ładny według Emilki. Podobały jej się te rzadkie, ciemne włosy, niebieskie oczy o czarnych brwiach i rzęsach. Po raz pierwszy w życiu miała Emilka ochotę bawić się z chłopcem. Nie miała ochoty na „narzeczonego”, rzecz jasna, nie! Emilka niecierpiała tego żargonu szkolnego, w którym nazywa się „narzeczonem” każdy chłopiec, o ile dał danej dziewczynie ołówek, albo jabłko i częściej się z nią bawi, niż z innymi dziećmi.

— Tadzio jest miły, ale jego matka jest dziwaczką — mówiła Ilza po drodze. — Ona nigdy nie wychodzi z domu, nawet do kościoła nie uczęszcza, ale ja się domyślam, że to z powodu blizny, którą ma na twarzy. To nie są ludzie z Czarnowody, oni tu zamieszkali dopiero od czasu, kiedy zostali zrujnowani. Są to ludzie biedni i dumni, mało kto ich odwiedza. Ale Tadzio jest strasznie miły, tak, że nie trzeba zwracać uwagi na ponure spojrzenia jego matki.

Pani Kent nie rzucała im ponurych spojrzeń, chociaż przyjęła je raczej chłodno. Może i ona otrzymała pewne instrukcje od lekarza? Była to mała, drobna kobieta, o niezwyklej ilości ciemnych, jedwabistych włosów, o smutnych oczach i o głębokiej bliznie, ciągnącej się przez całą szerokość policzka. Bez tej blizny byłaby ładna, a głos miała taki łagodny i niepewny, jak zefir w młodym lasku. Emilka odra-

zu wyczuła ową instynktowną przenikliwością, jaką ją cechowała, że pani Kent nie jest szczęśliwą kobietą.

Lasek, w którym mieszkali Kentowie, był położony między Czarnowodą a Domem Rozczarowanym. Uważano to miejsce za samotne, odludne, mało pojętne, ale Emilce wydało się ono zachwycające. Mały domek stał na szczycie wzgórza lesistego, roztaczał się stąd cudny widok na całą okolicę. Za domkiem była położona wielka szopa, ciągnęło się pole zbożowe, którem dojść można było do samego miasteczka. Front domu zdobiła mała weranda, otoczona klombikiem maków, czerwieniących się już zdaleka.

Tadzio ucieszył się niekłamanie na widok dziewczynek. Spędzili razem rozkoszne popołudnie. Pod koniec dnia policzki Tadzia były nieco zaróżowione, a jego ciemno-błękitne oczy nabrały blasku. Pani Kent chciwie pochwyciła te objawy i zaprosiła dziewczynki, żeby powróciły jak najrychlej. Zaproszenie to było gorące, a jednak nie można go było nazwać serdecznem. Ale im obu podobało się tutaj i chętnie przychodziły. Przez cały czas wakacji nie upłynął chyba ani jeden dzień bez odwiedzin u Tadzia. Czasami bawili się na powietrzu, gonili się, przyczem zawsze pogromczynią Tadzia i Emilki była długonoga Ilza; czasami szli do szopy, gdzie Tadzio pokazywał im swoje rysunki. Obie dziewczynki uważały te obrazki za coś cudnego, nie zdając sobie bynajmniej sprawy, jak cudne one były istotnie. To wywierało potężne wrażenie, gdy Tadzio brał do ręki ołówek, kładł przed sobą kawałek papieru i rysował Ilzę, albo Emilkę, albo Smoka, albo Pierwiosnka,

a po chwili rysunek był gotów, każda z tych istot wyglądała jak żywa.

Smok i Pierwiosnek były to koty Tadzia. Pierwiosnek był pulchnem, ślicznem stworzeniem o żółtej sierści, odniedawna dopiero wyszedł z wieku kociego. Smok był wielkim kotem maltańskim, arystokratą do szpiku kości. Należał on niewątpliwie do najwyższych sfer kocich, do zamkniętej w sobie kasty kociej. Miał szmaragdowe oczy i sierść iście pluszową. Miał maleńką białą łatkę na pyszczku, z którą było mu bardzo ładnie.

Emilka rozmyślała, jakie chwile były najmilsze z tych, które spędzała u Tadzia. Chyba te, kiedy, zmęczona, siadała z Tadzkiem i Ilzą na werandzie i wchłaniała w siebie misterjum, cichy cud lasu o zmierzchu, kiedy gromadka świerków za szopą wyglądała jak imponująca, piękna grupa duchów. Obłoki na zachodzie były coraz bardziej szare, a wielki żółtawy księżyc wychylał się zza linji pól i odzwierciedlał się w stawie, na który Królowa Wichrów rzucała cienie i światła, marszcząc niekiedy jego gładką powierzchnię.

Pani Kent nigdy się nie przyłączała do ich gromadki, chociaż według przeświadczenia Emilki pilnowała ich stale z za okien kuchni. Tadzio i Ilza śpiewali szkolne piosenki, Ilza deklamowała, a Emilka opowiadała bajki; albo też siedzieli, pogrążeni w błogiem milczeniu, każde z nich zatopione w jakimś cichem marzeniu, koty zaś goniły się po całym wzgórzu, biegając wkońcu dokoła domu, jak opętane. Chwilami rzucały się na dzieci z radosnem miauczeniem, to znów uciekały, figlarne i zwinne. Oczy ich błyszczwały

jak klejnoty, ogony powiewały w powietrzu wieczornem jak pióra drogocenne. Wnosiły atmosferę tętniącego, nerwowego życia.

— Och, jak to dobrze jest być na świecie, żyć tak, jak my, prawda? — spytała razu pewnego Emilka. — Czy to nie byłoby okropne, gdyby „człowiek” nie był się urodził?

A przecież istnienie to nie było bez chmurek. O to starała się ciotka Elżbieta. Pozwoliła ona na odwiedzanie Tadzia bardzo niechętnie, tylko dlatego się zgodziła, że doktor Burnley zalecił je surowo.

„Ciotka Elżbieta nie jest zwolenniczką Tadzia”, pisała Emilka w jednym ze swych listów do ojca, które-to listy mnożyły się na strychu.

„Gdy po raz pierwszy poprosiłam ją o pozwolenie pójścia do państwa Kent, popatrzyła na mnie surowo i zapytała, kto to jest ów Tadzio. Nie znamy przecież wcale tych Kentów i nic o nich nie wiemy, rzekła. Pamiętaj, Emilko, że Murrayowie nie mogą się zadawać z byle kim. Odpowiedziałam, że ja jestem Starrówną, nie Murrayówną, ty też tak mówięś. Ojczy drogi, nie miałam zamiaru być niegrzeczną, ale ciotka Elżbieta oświadczyła, że jestem imperyentką i nie przemówiła już do mnie przez cały dzień ani słowa. Zdawało jej się widocznie, że jest to bardzo surowa kara, a mnie bynajmniej nie zależy na jej rozmowie, tylko nieprzyjemnie jest nie mieć przychylnego nastroju w domu, we własnej rodzinie. Ale od tej pory pozwala mi chodzić do Tadzia, ponieważ doktor Burnley ma *dziwny wpływ* na ciotkę Elżbietę. Nie rozumiem tych słów, dlatego je podkreśliłam. Rhoda mówiła mi kiedyś, że ciotka Elż-

bieta chciałaby ożenić doktora Burnleya z ciotką Laurą, ale to nieprawda. Dziś była na podwieczorku u ciotek pani Tomaszowa Anderson. (Pani Tomaszowa Anderson jest tęgą kobietą, a babka jej była Murrayówną, więcej nic nie można o niej powiedzieć). Spytała ciotkę Elżbietę, czy według niej doktor Burnley ożeni się powtórnie, a ciotka Elżbieta odpowiedziała, że nie i że ona nie uważa powtórnych związków małżeńskich za właściwe. Pani Anderson rzekła: sądziłam, że on się ożeni z Laurą. Ciotka Elżbieta rzuciła jej tylko przelotne spojrzenie i nic nie powiedziała. Nie da się zaprzeczyć, że bywam bardzo dumna z ciotki Elżbiety, chociaż jej nie lubię.

Tadzio jest bardzo miłym chłopcem, Ojczy drogi. Zdaje mi się, że tobie podobałby się. Rysuje przedziwnie, wspaniale: on będzie wielkim artystą z czasem i namaluje wtedy mój portret. Rysunki swoje składa Tadzio w szopie za domem, bo jego matka nie lubi na nie patrzeć. A gwizdać umie Tadzio jak kos. Ten laszek, gdzie mieszkają, jest uroczy, szczególnie nocą. Tak się zawsze dobrze bawimy o zmierzchu. Królowa Wichrów robi się w lesie taka mała, maleńka, a koty są takie milutkie, takie pieszczotliwe, tak się łaszają! Są one własnością pani Kent; Tadzio boi się, że ona je utopi, o ile on je będzie bardzo pieścił. Utopiła jedno kocię, bo zdawało jej się, że Tadzio je bardziej kocha, niż ją. A było to niesłuszne, bo Tadzio jest *bardzo przywiązany* do swej matki. Zmywa jej talerze i półmiski i pomaga jej w robocie domowej. Ilza mówi, że chłopcy w szkole śmieją się z niego, nazywają go babą, ale ja to uważam za bardzo ładne i szanuję go tem więcej. Tadzio pragnął



mieć psa, ale matka jego nie chce. Myślałam, że ciotka Elżbieta jest tyranką, ale pani Kent jest jeszcze gorsza. Tylko, że ona kocha Tadzia, a ciotka Elżbieta mnie nie kocha.

Ale pani Kent nie lubi Ilzy, ani mnie. Nigdy nam tego nie mówi, ale my to *czujemy*. Nigdy nas nie prosi, abyśmy zostały na herbacie, a przecież jesteśmy dla niej bardzo grzeczne. Zapewne jest zazdrosna o nas, bo Tadzio nas lubi. Tadzio podarował mi cudny obrazek, przedstawiający Czarnowodę, namalowany przez niego, ale mnie ostrzegł, żebym nie pokazała tego obrazka matce, ani jej nie powiedziała o tym prezencie, bo onaby płakała. Pani Kent jest osobą bardzo tajemniczą, podobną do niektórych kobiet w książkach. Oczy ma zawsze takie, jakby była głodna, a przecież ma jedzenia pod dostatkiem. Nigdzie nie bywa, bo ma bliznę na twarzy nasutek wybuchu lampy. Gdy o tem usłyszałam, krew mi się ścięła w żyłach, drogi Ojcze. Jaka wdzięczna jestem ciotce Elżbiecie, że ona pali tylko świece! Nie które tradycje Murrayowskie są bardzo rozsądne. Pani Kent jest pobożna, w swoim znaczeniu tego wyrazu. Modli się nawet w ciągu dnia. Tadzio mówi, że przed jego przyjściem na ten świat, żył w innym świecie, gdzie były dwa słońca, jedno czerwone, a drugie błękitne. Dnie były czerwone, a noce błękitne. Nie wiem, skąd mu to na myśl przyszło, ale mnie się to wydaje ponętym obrazem. Powiada, że potoki płyną tam miodem, a nie wodą. A cóż robiłeś, kiedy miałeś pragnienie, zapytałam. — Tam nigdy nie miałem pragnienia. A mnie się zdaje, że to przyjemnie mieć pragnienie. Ja lubię, bo wtedy zimna woda

tak smakuje! Chciałabym mieszkać na księżycu. To takie ładne, srebrzyste miejsce zamieszkania!

Ilza mówi, że Tadzio powinien ją lubić więcej, niż mnie, bo ona jest zabawniejsza, ale to nieprawda. Ja jestem równie zabawną, o ile mnie nie dręczy sumienie. Przypuszczam, że Ilza chciałaby, żeby Tadzio ją wolał, ale ona nie jest zazdrosną dziewczynką.

Cieszę się, że ciotka Elżbieta i ciotka Laura pochwalają, obie, moją przyjaźń z Ilzą. To się rzadko zdarza, żeby obie pochwalały to samo. Przyzwyczajam się coraz bardziej do utarczek i kłótni z Ilzą i już się tak bardzo nie przejmuję. Przytem umiem się coraz lepiej kłócić, gdy się we mnie krew burzy. Kłócimy się raz na tydzień mniej więcej, ale godzimy się rychło, a Ilza mówi, że byłoby nudno, gdyby się czasami nie posprzeczać. Ona nigdy nie gniewa się dwa razy o to samo. Wczoraj nazwała mnie lizusem, jaszczurką i bezzębna żmija. Ale nie przejęłam się tem, bo wiem, że nie jestem ani lizusem, ani jaszczurką; ani bezzębna nie jestem, i ona też o tem wie. Ja nie wymyślam żadnych przezwisk, ponieważ to jest nieprzyzwoicie, panienci tak nie postępują; uśmiecham się tylko, a to irytuje Ilzę bardziej, niż gdybym wrzeszczała i tupała nogami tak, jak ona. Dlatego też to robię. Ciotka Laura mówi, że nie powinnam sobie notować skrętnie wyrazów, używanych przez Ilzę, że powinnam raczej dawać jej dobry przykład, bo ona jest biednym dzieckiem, nikt jej nie pilnuje i nie wychowuje. Chciałabym, żeby mi było wolno używać niektórych jej wyrazów, bo są one takie pełne zacięcia! Ona je słyszy z ust swego ojca. Moje ciotki są trochę *dziwaczne*, zdaje mi się. Razu pewnego,

gdy był u nas na podwieczorku ksiądz pastor Dare, użyłam w toku rozmowy wyrazu: „byk”. Opowiadałam, że Ilza i ja przelekłyśmy się, idąc przez pastwisko, bo spotkałyśmy tam byka. Gdy pastor odszedł, ciotka Elżbieta skrzyczała mnie okropnie i zabroniła mi używać kiedykolwiek wyrazu „byk”. A ona rozmawiała podczas herbaty o tygrysach (w związku z misjonarzami), nie rozumiem, dlaczego rozmowa o bykach jest mniej przyzwoita, niż rozmowa o tygrysach. Oczywiście byki są bardzo drapieżnymi zwierzętami, ale tygrysy również. Ciotka Elżbieta mówi, że ja im zawsze wstyd robię, kiedy mają gości. W zeszłym tygodniu przyjechała tu z wizytą pani Lockwood z Shrewsbury, rozmawiała o pani Foster Beck, która jest młodziutką mężatką; ja się odezwałam, że doktor Burnley uważa ją za djabelnie ładną osobę. Ciotka Elżbieta zawołała: EMILKO! bardzo przykrym głosem. Była blada ze złości. — To doktor Burnley powiedział, zawołałam, płacząc, ja tylko powtarzam jego słowa. Istotnie dr. Burnley powiedział to tegoż dnia w obecności pana Jamesona, który również mieszka w Shrewsbury, podobnie jak pani Lockwood. Widziałam tego samego dnia jeden z ataków wściekłości dra Burnleya. Pani Simms coś spociła w kuchni. Widok tej złości był przerażający. Jego duże żółte oczy rzucały iskry, kopnął krzesło, porwał słomiankę i cisnął nią w ścianę, wyrzucił za okna wazon i mówił *straszne rzeczy*. Siedziałam na sofie i patrzyłam na niego, oszołomiona. To było takie zajmujące! Żałowałam, że ochłonął z gniewu tak szybko, on ma usposobienie Ilzy i nigdy nie trwa w uniesieniu. Ale na Ilzę nigdy się nie gniewa. Ilza mówi, że wołałaby

żeby się na nią gniewał, to byłoby lepsze, niż to niezwracanie żadnej uwagi na własne dziecko. Ona jest, biedaczka, taką samą sierotą, jak ja. Ostatniej niedzieli poszła do kościoła w swej wyblakłej, starej sukience niebieskiej. Na przodzie widniała duża plama. Ciotka Laura płakała, przyszedłszy do domu, a potem rozmówiła się z panią Simms, bo nie śmiała mówić o tem z doktorem Burnleyem. Pani Simms była niezadowolona, powiedziała, że to nie jej rzecz doglądać sukienek Ilzy. Ale namówiła dra Burnleya, żeby sprawił Ilzie nową sukienkę z białego muślinu. Zapowiedziała jej, żeby więcej dbała o swoje rzeczy, na co Ilza wpadła w istny szal, pobiegła do swego pokoju i podarła w strzępy swoją nową, muślinową sukienkę. Pani Simms oświadczyła, że nie będzie się już troszczyć o takie dziecko, dla którego jedynie odpowiedniemi ubraniami jest stara, wyblakła sukienka. Ona widocznie nie wie, że ta sukienka była poplamiona. Zabrałam więc Ilzy starą sukienkę do Srebrnego Nowiu i ciotka Laura oczyściła ją, naprawiła i ukryła plamę pod nowo zrobioną przez siebie kieszonką. Ilza mówi, że podarła muślinową sukienkę w jednym z tych dni, kiedy nie wierzy w Boga i wszystko jej jest jedno, co czyni. Niedawno znalazła Ilza w nocy mysz w swoim łóżku: wyrzuciła ją na podłogę prosto. Och, jaka ona odważna, jabym się nigdy na to nie zdobyła. To nieprawda, że dr. Burnley nigdy się nie uśmiecha. Widziałam go uśmiechniętego już parę razy, chociaż nieczęsto. Uśmiecha się ustami, nie oczami i to jest trochę przykre i niepokojące. Przeważnie śmieje się głośnym, sarkastycznym śmiechem, zupełnie tak jak wujaszek „Małego Jima”.

W tych dniach była na obiad zupa jęczmienna, bardzo wodnista.

Ciotka Laura daje mi 5 centów na tydzień za zmywanie statków. Wolno mi wydać tylko centa tygodniowo, a cztery centy składamy do skarbonki, umieszczonej w saloniku. Skarbonka jest gliniana, a pieniądze wkłada się w szparkę, zrobioną na wierzchu. Słysząc brzęk pieniędzy wewnątrz, gdy ich już jest kilka. To jest bardzo zajmujące. (Nie powinnam pisać „zajmujące”, bo nie kazałeś mi używać zbyt często tych samych wyrazów, ale nie mogę znaleźć innego słowa, któreby równie dobrze oddawało moje wrażenie). Skarbonka jest własnością ciotki Laury, ale ona pozwala mi z niej korzystać. Uścisnęłam ją. Rzecz jasna, że nigdy nie ściskam ciotki Elżbiety. Ona jest zbyt sztywna i nieprzystępna. Ona nie pochwała tego że ciotka Laura płaci mi za zmywanie. Drzę na myśl, co by to było, gdyby się dowiedziała ciotka Elżbieta, że kuzyn Jimmy podarował mi dolara w zeszłym tygodniu.

Żałuję, że mi dał tak dużo! To mnie gnębi. To jest okropna odpowiedzialność. Tak trudno będzie mądrze wydać tyle pieniędzy, a także ukryć taką sumę przed ciotką Elżbietą! Mam nadzieję, że nigdy nie będę miała miliona dolarów. Pewna jestem, że toby mnie strasznie martwiło. Trzymam mego dolara tam, gdzie listy. Włożyłam go do koperty i napisałam na niej: Dar Kuzyna Jimmy Murraya. W razie mej nagłej śmierci oddadzą mu ten dar, a ciotka Elżbieta zrozumie, że doszłam do takiej sumy uczciwą drogą.

Teraz, kiedy się ochłodziło, każe mi ciotka Elżbieta nosić spódniczkę z cienkiej flaneli. Nie cierpię

tej spódniczki. Tak mnie pogrubia! Ale ciotka Elżbieta mówi, że muszę ją nosić, bo ty umarłeś na suchoty. Takbym pragnęła mieć ubranie zdrowe i ładne zarazem. Czytam teraz historję o Czerwonym Kapturku. Uważam, że najbardziej interesującą postacią jest tutaj wilk. Czerwony Kapturek był głupiutką istotką, łatwo dającą się wyprowadzić w pole.

Wczoraj napisałam dwa poemaciki. Jeden jest krótki, jest to „Oda do Kwiatuszka, który wyrósł na Trawniku przy Srebrnym Nowiu”.

Drugi jest długi, napisałam go na papierze listowym. Nazywa się „Król Lasów”. Królem jest wielka brzoza w ogrodzie Wysokiego Jana. Tak lubię tę brzozę! Aż mnie coś boli w sercu, gdy patrzę na nią. Czy rozumiesz ten rodzaj bólu? Ilza też ją lubi i przeważnie tam się bawimy, o ile nie idziemy do Tadzia. Mamy tam trzy ścieżki. Nazywają się Ścieżka Wczorajsza, Ścieżka Dzisiejsza i Ścieżka Jutrzejsza. Najładniejsza jest Ścieżka Dzisiejsza. Wczorajsza jest trochę zaniedbana przez Wysokiego Jana, nazwałyśmy ją tak dlatego, że *była* ładna. Jutrzejsza jest wąska, dopiero ją się toruje, chodząc między drzewkami, a nazywamy ją tak dlatego, że ona czasem będzie ładna i szeroka. Ale nie myśl, Ojcze ukochany, że już zapomniałam o naszych miłych drzewach dokoła domku w wąwozie. Myślę o nich zawsze, kładąc się spać. Ale dobrze mi jest tutaj. To niepoczciwie, że mi tu dobrze, co, Ojcze? Ciotka Elżbieta mówi, że szybko minęła mi nostalgia, ale ja jeszcze często tęsknię za domem. Tylko, że tego nie widać, cierpię *w duszy*. Poznałam Wysokiego Jana. Ilza jest z nim bardzo zaprzyjaźniona i często chodzi do niego, aby się przy-

glądać jego pracy. Jest on stolarzem. On powiada, że sporządził tyle drabin, że może się po nich dostać do nieba bez jednego pacierza, ale to jest tylko żart. Jest on w gruncie rzeczy bardzo pobożny. Jest katolikiem, chodzi do kaplicy Białego Krzyża co niedziela. Ja też chodzę do niego z Ilzą, chociaż może nie powinnam, skoro on jest takim wrogiem mojej rodziny. Jest on bardzo dobrze wychowany, dla mnie ogromnie uprzejmy, ale niezawsze mi się ten człowiek podoba. Kiedy zadaję mu jakieś poważne pytanie, on zawsze kiwa głową nademną, zanim odpowie. To jest obrażające. Nigdy mu nie zadaję naturalnie pytań co do religji, ale Ilza.. owszem. Ona go lubi, ale mówi, że on spaliłby nas wszystkich żywcem, gdyby miał władzę. Zapytała go wprost, czy takby postąpił, a on przyjrzał nam się, mrugając oczami i odrzekł, że szkodaby mu było takich ładnych małych protestantek. To była swawolna odpowiedź. Pani Wysoka Janowa jest miłą kobietą i wcale niezrozumiała. Wygląda jak rumiane jabłuszko.

W dniu deszczowe bawimy się u Ilzy. Robimy, co się nam podoba. Nikt nas nie pilnuje, tylko o ile doktor jest w domu, musimy się zachowywać spokojnie, bo nie znosi on hałasu, chyba, że sam go robi. Dach jest płaski, więc możemy przez strych wdrapywać się tam, co bardzo lubimy. To takie przyjemne siedzieć na dachu domu. Okazało się, że ja umiem krzyzczeć głośniej, niż Ilza. Człowiek nigdy nie wie, co potrafi, zanim spróbuje swych sił. Ale podczas tego konkursu krzyku (na dachu!) narobiłyśmy za wiele hałasu i ciotka Elżbieta rozgniewała się. Zapytała, dlaczego krzyczałyśmy tak głośno. Wstrętne pytanie,

bo nieraz trudno mi odpowiedzieć, dlaczego coś czynię. Czasami chcę się przekonać, czego doznam, robiąc daną rzecz. A czasami chcę mieć zajmujące tematy do opowiadania moim wnukom. Nieprzyzwoitością jest mówienie o wnukach. Dowiedziałam się bowiem, że już mówienie o dzieciach jest nieprzyzwoitością. Pewnego wieczora, gdy przyjechali goście do ciotki Elżbiety, zapytała mnie ciotka Laura, nad czem tak rozmyślam; kiedy odpowiedziałam, że wybieram imiona dla moich dzieci, bo mam zamiar mieć ich dziesięcioro, ciotka Elżbieta rzekła cierpko: lepiej będzie, Lauro, abys w przyszłości nie pytała tego dziecka, o czem ono myśli. Szkoda byłoby, bo lubię opowiadać moje myśli ciotce Laurze, o ile są interesujące.

Szkoła rozpoczyna się za tydzień. Ilza poprosi pannę Brownell, żeby jej wolno było siedzieć przy mnie. Mam zamiar postępować tak, jakby Rhody nie było tam wcale. Tadzio postąpi tak samo. Będzie chodził do szkoły, bo dr. Burnley powiada, że już jest zdrow i że chłopiec musi się uczyć. Jego matce bardzo się to wszystko nie podoba. Tadzio mówi, że ona niechętnie posyła go do szkoły, ale cieszy ją jego nienawiść do panny Brownell. Ciotka Laura mówi, że najwłaściwszem zakończeniem listu jest: twoja kochająca. A zatem jestem twoją bardzo cię kochającą Emilją Byrd Starr.

P. S. Jesteś niezmiennie moim najdroższym przyjacielem, Ojczy. Ilza mówi, że kocha mnie bardziej, niż kogokolwiek na świecie, bardziej, niż czerwone buciki, które podarowała jej niedawno pani Simms."



## CÓRA EWY

Srebrny Nów słynny był ze swych jabłek. Tej pierwszej jesieni, którą Emilka tam spędzała, ogródek owocowy dał obfity plon. Jabłka nie były „tabu”; Emilce wolno było jeść, ile jej się podobało, nie wolno jej było tylko zabierać sobie owoców do łóżka. Ciotka Elżbieta, zwolenniczka wzorowego porządku, nie życzyła sobie obierzyn na pościeli. A ciotka Laura wdrygała się na samą myśl, że człowiek, jedzący owoce pociemku, może połknąć robaka, bo go nie dojrzy. Ale Emilka miała nieograniczoną możność zaspokajania swego apetytu; mogła jeść jabłka w obrębie domu, za dnia, ile tylko mogła i zechciała, lecz w naturze ludzkiej jest jakiś dziwny pęd do tego, co cudze, jakgdyby to cudze miało inny, lepszy smak, niż to, co nasze i co dozwolone. Zresztą, ów przebiegły wąż w raję wiedział o tem dobrze. Emilka, jak większość ludzi, odznaczała się owym pociągiem do własności cudzej i zakazanej, to też przyszło jej na myśl, że u Wysokiego Jana rosną najsmaczniejsze jabłka. Miał on zwyczaj układania swych jabłek w szeregi na belce pod niskim sufitem swego warsztatu stolarskiego. Samo przez się było zrozumiałe, że ona i Ilza mogły się poczęstować, ilekroć odwiedzały tę izbę, pokrytą trocinami, pełną kurzu. Emilka szczególnie lubiała trzy odmiany jabłek Wysokiego Jana, a z tych bodaj że najsubtelniejszy smak miały wielkie zielone „słodkie jabłka”; które dzieci zazwyczaj jadają najchętniej. Emilka uważała za stracony każdy

dzień, w ciągu którego nie schrupała przynajmniej jednego zielonego, słodkiego jabłka Wysokiego Jana.

Na dnie duszy miała Emilka świadomość, że właściwie nie powinna wcale odwiedzać Wysokiego Jana. Zapewne, nigdy jej nie zabroniono tam chodzić, dlatego poprostu, że do głowy nie przyszło ciotkom, iż członek ich rodziny mógłby się tak dalece zapomnieć, tak zaniedbać najświętszy obowiązek solidarności rodowej i rzucić zasłonę na nieporozumienia Murrayów i Sullivanów, nieporozumienia, trwające już od dwóch pokoleń. Było to dziedzictwo, które każdy porządny Murray musiał szanować aż do śmierci. Ale gdy Emilka wybiegała na pola z tą rozwichrzoną Ilzą, tradycje traciły swoją moc, zwłaszcza wobec pokusy zielonych, słodkich jabłek.

W pewien wieczór wrześnieowy powędrowała samotnie aż do jego warsztatu. Ściemniało się. Była sama w domu od chwili powrotu ze szkoły. Ciotki i kuzyn Jimmy pojechali do Shrewsbury i przyrzekli, że wrócą o zmierzchu. Ilza również pojechała z ojcem do miasta, ale do Charlottetown, nie do Shrewsbury, gdyż szło o poważny zakup: pod wpływem pani Simms postanowił doktor kupić córce palto zimowe. Emilce z początku było bardzo miło wśród tej ciszy, wobec takiej niezależności. Czuła, że jest ważną osobą, ponieważ jej powierzono dogładanie domu. Zjadła kolację, którą ciotka Laura zostawiła na fajerce, ażeby nie wystygła i poszła do mleczarni, gdzie wypiła sześć kubków mleka. Nie miała na to najmniejszej ochoty, ale zwykle zabraniano jej wypijania mleka, odstawionego na śmietankę, więc należało skorzystać z tak wybornej okazji, która może się już nie powtó-

rzyć tak rychło. Ciotki nigdy się nie domyśliły, że to ona jest sprawczynią ubytku mleka, każda z nich posądzała drugą o to drobne nadużycie, tak że Emilce uszło to wykroczenie płazem. Z tego nie należy, rzecz jasna, wyciągać wniosków niesłusznych; Emilka powinna była zostać wyśledzona i ukarana za nieposłuszeństwo: powinno było sumienie skłonić ją do wyznania winy; ale z żalem muszę stwierdzić, że sumienie Emilki nigdy jej nie dręczyło z tego powodu ani przez chwilę. Natomiast przesądzone było, że przyjdzie jej tegoż wieczora wycierpieć bardzo wiele z przyczyny całkiem odmiennej.

Sciemniło się zupełnie i Emilka nie miała najmniejszej ochoty wracać do pustego, ponurego domu. Zakradła się więc do warsztatu Jana, gdzie nie zastała nikogo. Ale niektóre szczegóły wskazywały na intensywną pracę Wysokiego Jana, przerwana niedawno zapewne i na niezbyt długo. Emilka usiadła więc na deskach i rozglądała się dokoła, szukając, coby można zjeść. Jabłka leżały rzędem na półce pod sufitem. Emilka czuła niepohamowany apetyt na „słodkie”.

Wspięła się na palce i wybrała największe jabłko. Przystawiła stołek do ściany i zdjęła upatrzoną zdobycz z półki. Jadła chciwie. Właśnie trzymała w ręku ogryzek, gdy wszedł Wysoki Jan. Kiwnął głową i rozejrzał się dokoła, jakby od niechcienia.

— Właśnie jadłem kolację — rzekł. — Żony niema, więc muszę myśleć sam o sobie.

Zaczął piłować deski w milczeniu. Emilka siedziała na schodkach przy wejściu i liczyła pestki w ogryzku jabłka. Wsłuchiwała się w gwizd i śpiew

Królowej Wichrów i układała „Opis Warsztatu Wysokiego Jana przy Świetle Latarni”. Zaraz po powrocie opisze to na strychu. Właśnie szukała w myśli właściwego wyrazu, który jej brakował do zakończenia jednego ze zdań opisu, gdy wtem Wysoki Jan zwrócił się ku niej gwałtownym ruchem i przestał heblować deski.

— Co się stało z tem wielkiem słodkiem jabłkiem, które leżało na tej półce? — spytał dziwnym głosem

— Ja... ja... je... zjadłam — wyjąkała Emilka.

Wysoki Jan załamał ręce i patrzył na Emilkę z przerażeniem

— Niech nas Święci mają w swej opiece, dziecko! Nie zjadłaś chyba *tego* jabłka, powiedz zaraz, że to nieprawda, że *tego* jabłka nie ruszyłaś!

— Nie wiedziałam, że nie wolno — rzekła Emilka, wylękniona. — Zjadłam je.

— Nie wolno! Słuchaj, mała! To jabłko było przesycone trucizną na szczury! Te bestje dręcą mnie, są istną plagą, więc postanowiłem z niemi skończyć. A teraz ty przychodzisz i zjadasz to jabłko, które byłoby zadało śmierć niechybną najmniej tuzinowi tych bestyj!

Wysoki Jan ujrzał przed sobą zbielałą twarzyczkę. Mignął tylko przed nim bawełniany fartuch: Emilka wybiegła przed warsztat i pędziła przez ciemne pole. Niósł ją pierwszy odruch chorego zwierzęcia: być w swojej norze! Pragnęła dobiec do domu, zanim umrze. Przebyła pole w zdumiewającym tempie i wpadła, jak bomba, do domu. Wszędzie ciemno i cicho. Nikogo jeszcze niema! Emilka wydała krzyk roz-

paczy. Skoro przyjdą, zastaną ją sztywną i zimną, zczerniałą.... Wszystko na tym kochanym świecie będzie już dla niej skończone na zawsze, a dlaczego? Dlatego że zjadła jabłko, które w jej mniemaniu pysznie się nadawało do tego celu. Nie, to nie powinno być... ona nie chce umrzeć.

A jednak.... Musi umrzeć. Jedyłą jej nadzieją był powrót rodziny, zanim ona zamknie oczy na wieki. To takie straszne umierać tak samotnie w tym wielkim, opustaszalym Srebrnym Nowiu! Nie śmiała udać się dokądkolwiek o pomoc, o ratunek. Może umrzeć po drodze, w ciemnościach, och, toby było okropne! Nie przyszło jej zresztą na myśl, że może być ocalona. Mniemała, że połknięcie trucizny nieodwołalnie powoduje śmierć.

Ręce jej drżały, ale zdołała zapalić świecę. Teraz było mniej strasznie, przynajmniej widać było przedmioty otaczające. Emilka, blada, wylękniona, samotna, postanowiła, że musi mężnie spojrzeć śmierci w oczy. Nie wolno jej shańbić Starrów i Murrayów. Splotła mocno dłonie i usiłowała opanować swe drżenie. Jak długo jeszcze będzie żyć? Wysoki Jan powiedział, że ta trucizna zabiłaby „tuzin tych bestyj”. Zdaje się, że mrucał, że zdechłyby „w mgnieniu oka”? Co to znaczy? Jak to długo trwa „mgnienie oka”? Czy to będzie bolało, ta śmierć? Miała mgliste pojęcie o działaniu trucizny: słyszała kiedyś, że są to dotkliwe cierpienia. Och! A jeszcze przed chwilą taka była szczęśliwa! Sądziła, że będzie żyć lata całe, że napisze wielki poemat i będzie sławna podobnie jak pani Hemans. Posprzeczała się z Ilzą poprzedniego wieczora i jeszcze nie naprawiła tego, nigdy tego już

nie naprawi. A Ilza tak się zmartwi! Trzeba napisać do niej słówko i przebaczyć jej. Czy zdąży? Och, jakie ma już zimne ręce! Może to znaczy, że już umiera? Słyszała, czy też czytała gdzieś, że ręce człowieka lodowacieją przed śmiercią. Ciekawa była, czy jej twarz czernieje. Porwała świecę i wbiegła po schodach do garderoby. Tam wisiało zwierciadło, jedyne w całym domu, które nie było umieszczone za wysoko dla Emilki. Wystarczało unieść pokrowiec, a już mogła się w niem przejrzeć. Każdego innego dnia byłaby Emilka zdrętwiała z przerażenia na samą myśl wejścia wieczorem do garderoby przy migocącym światełku świecy. Ale teraz, ten wielki lęk wyrugował wszelkie pomniejsze obawy. Przyjrzała się swemu odbiciu w zwierciadle: tak, blade bywają tylko twarze zmarłych. Tak, tak, to jest oblicze umierającej, niewątpliwie!

W Emilce coś się zbudziło, jakaś cecha dziedziczna, drżmiąca na dnie jej duszy. Przestała drżeć. Przyjmowała wyrok losu z żalem i goryczą, lecz spokojnie.

— Nie chcę umierać, ale skoro mam umrzeć, to musi to być śmierć godna wnuczki Murrayów — rzekła. Przeczytała kiedyś podobnie brzmiące zdanie, wysoce odpowiednie do obecnych okoliczności. Teraz trzeba się śpieszyć. List do Ilzy jest sprawą najpilniejszą. Emilka poszła do pokoju Elżbiety, ażeby się przekonać, że jej szuflada po prawej stronie biurka jest w porządku. Poczem weszła na strych. Pełno tu było cieni, rzucanych przez świecę na ściany i na podłogę, ale Emilki nie mogły już one przestraszyć.

— I pomyśleć, że tak źle się dziś czułam, bo moja

spódnica mi się nie podoba — rozmyślała, sięgając po swój ukochany papier listowy. Będzie to ostatni list, jaki napisze kiedykolwiek. Do ojca nie trzeba pisać, zobaczy go niebawem. Ale Ilza musi otrzymać list jej należny, droga, kochająca, gorąco kąpana Ilza, która właśnie dzień przedtem zwymyślała ją w obelżywy sposób i trapiąca będzie teraz do końca życia wyrzutami sumienia.

„Najdroższa Ilzo”, pisała Emilka drżącą nieco ręką, z zaciśniętymi mocno ustami. „Umrę niebawem. Otrułam się jabłkiem, które Wysoki Jan przygotował dla szczurów. Nie zobaczę cię już nigdy, ale piszę te słowa, aby Ci powiedzieć, że cię Kocham i zwalniam cię z wyrzutów sumienia. Nie żałuj, że mnie nazwałś gadziną i krwiozerczą małpą. Przebaczam ci, tak, że możesz się tem nie przejmować. Żałuję, że ci odpowiedziałam, iż jesteś niegodna nawet mej pogardy: ani przez chwilę nie myślałam tego, co mówiłam. Pozostawiam Ci w spadku wszystkie potłuczone talerze i półmiski. Proszę, pożegnaj Tadzia w moim imieniu. On już mnie nie nauczy, jak uwiązywać robaka na wędce. Przyrzekłam mu, że się tego nauczę, bo nie chciałam, żeby mnie miał za tchórza, ale cieszę się, że do tego nie doszło, bo teraz rozumiem, co czuje taki robak. Ja nie czuję się chora, ale nie wiem, jakie są objawy otrucia, a Wysoki Jan powiedział, że ta trucizna wystarczyłaby do zabicia tuzina szczurów, a zatem minuty moje są policzone. O ile ciotka Elżbieta się zgodzi, przeznaczam dla Ciebie mój wenecki naszyjnik. Jest to jedyny cenny przedmiot, jaki posiadam. Nie pozwól, żeby zrobiono cokolwiek złego Wysokiemu Janowi, bo on nie miał zamiaru mnie otruć.

To moja własna wina, że byłam taka łakoma. Może ludzie pomyślą, że on to zrobił rozmyślnie, dlatego że jestem protestantką, ale ja jestem pewna, że nie. Proszę, powiedz mu, żeby nie miał wyrzutów sumienia. Zdaje mi się, że czuję ból w żołądku, czyli że koniec się zbliża. Bywaj zdrowa i pamiętaj o tej, która umarła tak młodo —

Twej wiernej

Emilji.”

Składając kartkę we dwoje, usłyszała Emilka turkot kół. W chwilę później spotkały Laura i Elżbieta Murray na progu kuchni małą istotkę o tragicznej twarzyczce, ze świecą w jednej ręce, a kawałkiem czerwonego papieru w drugiej.

— Emilko, co się stało? — krzyknęła Laura.

— Umieram — odrzekła Emilka uroczyście. — Zjadłam zatrute jabłko, które Wysoki Jan przeznaczył dla szcurów. Minuty moje są policzone, ciotko Lauro.

Laura Murray padła na ławkę kuchenną, trzymając się za serce. Elżbieta stała się kredowo biała, podobnie jak Emilka.

— Emilko, czy to jakaś nowa zabawa? — zapytała surowo.

— Nie — zawołała Emilka z oburzeniem w głosie. — To prawda. Czy przypuszczasz, że osoba umierająca myśli o zabawie? I proszę, ciotko Elżbieto, oddaj ten list Ilzie i przebacz mi, że byłam niegrzeczna (choć ja niezawsze byłam niegrzeczna wtedy, kiedy tobie się zdawało, że tak było), i nie pozwól nikomu patrzeć na mnie, gdy będę leżała martwa, bo ja



zczernieję... a zwłaszcza nie daj spojrzeć na mnie Rhodzie Stuart.

Przez ten czas ciotka Elżbieta oprzytomniała.

— Przed ilu minutami zjadłaś to jabłko, Emilko?

— Przeszło przed godziną.

— No, to gdybyś była zjadła przed godziną zatrute jabłko, byłabyś już teraz chora, lub nieżywa....

— Och — zawołała Emilka z ulgą nie do opisania. W sercu jej zrodziła się nadzieja, wielka, słodka, kojąca.... Więc jest dla niej jeszcze deska ratunku? Wtem odezwała się w niej ponownie rozpacz:

—Ale czułam ból w żołądku, schodząc po schodach.

— Lauro — rzekła ciotka Elżbieta — zabierz to dziecko do jadalni i daj jej sporą ilość musztardy z wodą. Natychmiast! To nie zaszkodzi, a może pomóc, o ile rzeczywiście połknęła truciznę. Ja idę po doktora, ale po drodze zobaczę się z Wysokim Janem.

Ciotka Elżbieta wyszła; wyszła bardzo szybkim krokiem, tak szybkim, że nie o ciotce Elżbiecie powiedzielibyśmy: wybiegła. Emilce ciotka Laura dała ów emetyk i w dwie minuty później dziewczynka nie miała już najmniejszych wątpliwości, że umiera i uważała, że im rychlej, tem lepiej. Gdy ciotka Elżbieta wróciła, Emilka leżała na sofie, biała jak poduszki, na których spoczywała, słaba, jak więdnąca lilja.

— Czy doktor był w domu? — zawołała ciotka Laura, zrozpaczona.

— Nie wiem. Nie jest potrzebny. Tak zresztą odrazu myślałam. Był to jeden z żartów Wysokiego Jana. Myślał, że przerazi Emilkę na chwilę, ot tak, dla zabawy, dla zabawy takiej, jak on to rozumie. Marsz

do łóżka, panno Emiljo. Zasłużyłaś na wszystko to, co przecierpiałaś i nie żal mi cię ani trochę. Nie powinnaś była chodzić do Wysokiego Jana. Od szeregu lat nie doznałam takiego wstrząsu.

— Ale ja czułam ból w żołądku — wyjąkała Emilka, której lęk, oraz woda z musztardą odebrały wszelką przytomność umysłu.

— Każdy, kto je jabłka od rana do nocy, musi odczuwać bóle w żołądku. Tej nocy ręczę ci, że już nie będziesz miała boleści, mówiąc poprostu, musztarda im zapobiegła. Zabieraj świecę i idź.

— Dobrze — rzekła Emilka, podnosząc się z trudem. — Nienawidzę tego łapserdaka Wysokiego Jana.

— Emilko! — zawołały obie ciotki jednocześnie.

— On zasłużył na nienawiść — odrzekła Emilka mściwie.

— Och, Emilko, takiego okropnego wyrazu użyłaś! — Ciotka Laura była czemś szczególnie poruszona.

— Dlaczego, co to jest takiego. „łapserdak”? — spytała Emilka, zaintrygowana. — Kuzyn Jimmy używa go często, gdy jest z czegoś niezadowolony. Użył go dzisiaj, powiedział, że ta łapserdacka jałówka znów weszła w szkodę

— Emilko — rzekła ciotka Elżbieta z miną osoby, przechodzącej tortury. — Kuzyn Jimmy jest mężczyzną, a mężczyźni używają czasami wyrazów, zwłaszcza w uniesieniu, całkiem nieodpowiednich dla małych dziewczynek.

— Ale co to znaczy: łapserdak? — obstawała

Emilka. — To nie jest brzydkie słowo, co? A więc jeżeli nie, to dlaczego nie wolno mi go używać?

— To nie jest wyraz odpowiedni dla panienek — rzekła ciotka Laura.

— W takim razie nie będę go używać już nigdy — odrzekła Emilka — ale Wysoki Jan *jest* łapserdakiem.

\*

Ciotka Laura śmiała się tak serdecznie po odejściu Emilki, że aż ciotka Elżbieta ją upomniała, mówiąc, iż kobieta w jej wieku powinna mieć więcej rozumu.

— Elżbieto, sama wiesz, że to było przezabawne — zaprotestowała Laura.

Gdy Emilka była już na pierwszym piętrze, uśmiechnęła się ciotka Elżbieta również.

— Powiedziałam wysokiemu Janowi kilka słów prawdy, on już nie będzie straszyć dzieci swemi historjami. Gdy odchodziłam, miotał się ze złości.

Emilka, wyczerpana, usnęła natychmiast, położywszy się do łóżka. Ale w godzinę później obudziła się. Ciotka Elżbieta nie przyszła jeszcze do sypialni, więc okiennice nie były zamknięte i Emilka zobaczyła ukochaną, zaprzyjaźnioną gwiazdkę, mrugającą do niej życzliwie. W oddali morze szumiało, wabiące. Życie takie znów było dobre, och, jak błogo jest żyć! Będzie można pisać listy i poezje. Emilka już miała jedną strofkę nowego wiersza, zatytułowanego „Myśli Osoby Skazanej na Nagłą Śmierć”, można będzie się bawić z Ilzą i z Tadzkiem, biegać po łąkach z Nieznoś-

nikiem, przyglądać się, jak ciotka Laura zbiera śmietankę z mleka, pomagać kuzynowi Jimmy paść krowy, czytać książki i biegać po ścieżce Dzisiejszej, ale — już nie będzie można chodzić do warsztatu Wysokiego Jana. Postanowiła, że nigdy już nie będzie się zadawać z Wysokim Janem po tem jego barbarzyńskim okrucieństwie. Tak była na niego oburzona za to wystraszenie jej, takiej jego przyjaciółki... Strasznie była oburzona i rozżalona, czuła, że nie uśnie. Zaczęła snuć obrazy bez końca: ona umiera, Wysokiego Jana aresztują i skazują na śmierć za zabójstwo i wieszają go na szubienicy równie wysokiej, jak on sam. Emilka jest świadkiem tej okropnej sceny, chociaż umarła oddawna. Wreszcie odcina trupa i chowa go wśród ogólnego szmeru niechęci... tu łzy trysnęły jej z oczu, łzy współczucia dla Wysokiego Jana. Przebaczyła mu. Ostatecznie nie był może wcale łapserdakiem.

Opisała to wszystko nazajutrz na swym czerwonym papierze listownym, na strychu

14

## PAŹDZIERNIK

W październiku zaczął kuzyn Jimmy „gotować ziemniaki dla świń”, które to nieromantyczne określenie służy zajęciu nawskroś poetycznemu, tak przynajmniej uważała Emilka, której zamiłowanie piękna i malowniczości znalazło pełne zaspokojenie podczas tych długich wieczorów odchodzącego roku w Srebrnym Nowiu.

W kącie starego sadu stało kilka drzew, świerków przeważnie, u ich stóp zaś umieszczono olbrzymi rondel żelazny, a raczej kocioł, podparty dokoła dużymi kamieniami, kocioł takich rozmiarów, że można w nim było wygodnie ugotować całego wołu. Emilka sądziła, że ten kocioł pochodzi jeszcze z czasów bajecznych, że w nim gotował sobie strawę jakiś olbrzym przedhistoryczny. Kuzyn Jimmy powiedział jej, że ten kocioł ma dopiero sto lat, że stary Hugo Murray sprowadził go z Anglii.

— Używaliśmy go stale, a mianowicie w nim gotujemy ziemniaki dla świń Srebrnego Nowiu — rzekł. — Mieszkańcy Czarnowody uważają nas za zacofanych. Wszędzie już teraz mają kuchnie współcześnie urządzone z wmurowanymi piecami. Ale dopóki Elżbieta rządzi w Srebrnym Nowiu, jest to nie do pomyslenia.

Emilka była pewna, że żaden piec wmurowany w kuchnię nie będzie miał tyle uroku, co ten kocioł. Pomagała kuzynowi Jimmy napełniać go ziemniakami. Po kolacji kuzyn Jimmy rozpałał ogień pod kotłem i podsyczał go przez cały wieczór. Czasami schylał się i przyglądał się ogniewi bacznie, poczem dorzucał drzewa, a Emilka lubiła patrzeć na iskry, sypiące się na wszystkie strony, na coraz to intensywniejszy płomień różowego światła. Czasem kuzyn poruszał ziemniaki długim drągiem, a czasem siadał obok Emilki i deklamował jej swoje poezje. Emilka lubiła to najbardziej, bo poezje kuzyna Jimmy były piękne ponad wszelkie oczekiwanie, a kuzyn Jimmy miał nadspodziewanie gorliwego słuchacza w tej dziewczęcej o bladej twarzy i chciwych oczach.

Stanowili parę nader poważną, rzadko kiedy się śmiejącą, a byli razem bardzo szczęśliwi. Czarnowodzianie mniemali, że kuzyn Jimmy jest kaleką, a raczej człowiekiem niedorozwiniętym. On zaś przebywał w świecie wysnionym, którego oni poprostu nie znali. Po sto razy deklamował swoje poezje pod tymi drzewami, gotując ziemniaki dla świń; duchy jesieni nawiedzały gaik iglasty, w którym siedzieli. Gdy deklamował, przestawał być „tym biednym Jimmy Murrayem”, stawał się księciem w krainie swej fantazji. Stawał się na chwilę mocnym, pięknym i wspaiałym, stawał się wiarogodnym mistrzem marzenia wobec skupionego, podbitego świata duszy dziecięcej. Żaden z poważnych, rozsądnych mieszkańców Czarnowody nie przeżywał nigdy takich momentów. Jimmy nie byłby się zamienił z nikim. Emilka, słuchając tych cudów, wysnutych z umysłu Jimmy'ego, czuła niejasno, że ten mały człowieczek byłby mógł, gdyby nie owo nieszczęsne pchnięcie w plecy, stanąć w obliczu królów, zamiast marnować swój wielki talent w Srebrnym Nowiu.

Ale Elżbieta pchnęła go ongi, wrzuciła go do studni w Srebrnym Nowiu, naskutek czego zajmował się gotowaniem ziemniaków dla świń i deklamował wiersze Emilce, — Emilce, która również pisywała poezje, która kochała te wieczory tak bardzo, że po nich usnąć nie mogła, dopóki nie ułożyła w myśli ich opisu, leżąc w łóżku z otwartymi oczami. „Promyk” przychodził co wieczór prawie, po tych posiedzeniach poetyckich z kuzynem Jimmym. Królowa Wichrów rzucała się na dachy, albo przędła na ukrytym kołowrotku niewidzialną nić; Emilka nigdy nie była tak

bliską zobaczenia jej. Powietrze było przesycone zapachem płonących szyszek, które kuzyn Jimmy podłożył pod kocioł; kociak Emilki, pokryty gęstem futerkiem, Kicia II, skakał i pisał dokoła, jak maleńki, uroczy demon nocy; ogień rzucał czerwone blaski, zewsząd dochodziły słodkie szepty. „Wielki gęsty mrok” roztaczał dokoła niej nastrój tajemnic, których rąbka dzień nigdy nie uchyla przed oczyma naszej duszy; a ponad wszystkim unosiła się purpura nieba wieczornego, już usianego gwiazdami.

Z czasami przychodzili wieczorem Ilza i Tadzio. Emilka zawsze wiedziała, kiedy Tadzio przyjdzie, bo gdy dochodził do starego sadu, gwizdał swój „sygnał”, którym się posługiwał dla porozumiewania się z nią jedną, śliczny, zabawny sygnałik, naśladujący trzy ćwierknięcia ptaszęce, pierwsza nuta cicha, druga wyższa, trzecia przeciągła, najśłodsza, podobna do echa, które najpierw oddaje pełnię dźwięku, a potem stopniowo zamiera. To wezwanie zawsze oddziaływało silnie na Emilkę. Zdawało jej się, że wyrywa jej ono serce z piersi, że ona musi mu ulec. Rozmyślała, że Tadzio mógłby ją zewsząd wywołać tym gwizdkiem, choćby poprzez świat cały: wystarczyłyby te trzy magiczne tony. Skoro je słyszała, biegła szybko do sadu i oznajmiała Tadziovi, czy kuzyn Jimmy chce się z nim widzieć, czy nie, bo zdarzały się wieczory, w które kuzyn Jimmy nie chciał niczyjej obecności prócz Emilki. Nie byłby nigdy deklamował swych poezji Ilzie lub Tadziovi; ale opowiadał im ładne bajki i powiastki, oraz wspomnienia o starych, zmarłych Murrayach, leżących na cmentarzyku miejscowym. Te opowieści były często tak dziwne, jak

bajki o dobrych wrózkach lub gnomach. Ilza deklamowała lepiej, niż kiedykolwiek dotychczas. Tadzio niekiedy wyjmował z kieszeni papier i ołówek, przysuwał się do kotła i przy świetle ogniska rysował kuzyna Jimmy'ego, pilnującego ziemniaków, portrety Ilzy i Emilki, tańczących dokoła ognia, portret Kici II, portrety nieznanymi, nigdy niewidzianymi postaciami, które wyłaniały się z mroków przeszłości dzięki czarowi żywego słowa. Cudowne wieczory spędzało dokoła ogniska tych czworo dzieci.

— Czy nie lubisz świata w nocy, Ilzo? — spytała raz pewnego Emilka.

Ilza rozejrzała się szybko dokoła, biedna, zaniedbana Ilza, która w ciągu całego swego krótkiego życia wdychała do takiego koleżeństwa, jak przyjaźń z Emilką, i która pod wpływem miłości przenikała dziedzinę, należną jej z urodzenia.

— Tak — odrzekła — i ja zawsze wierzę, że *jest* Bóg, skoro spędzam tu wieczór z wami.

Potem gdy ziemniaki były gotowe, kuzyn Jimmy dawał każdemu z nich po jednym. Rozłamywali owe ziemniaki na dwie połowy, posypywali solą, którą Emilka przyniosła i ukryła pod jedną z sosen w małym pudełeczku, jedli z rozkoszą. Żaden bankiet tak nie smakował bogom, jak tym dzieciom ta uczta, złożona z ziemniaków i soli. Wreszcie nadchodziła ciotka Laura, a częściej jeszcze dochodził jej srebrzysty głos, wołający w ciemną, mroźną dal: Emilko! Ilza i Tadzio zegnali się pośpiesznie. Emilka zaś brała na ręce Kicię II i układała ją starannie do snu w psiej budzie, czysto i porządnie utrzymywanej, chociaż



psów już w niej nie było od szeregu lat. Emilka byłaby nieszczęśliwa, gdyby się coś stało Kici II.

„Stary Kelly”, wędrowny kupiec podarował jej to kocię. Stary Kelly przychodził do Czarnowody co dwa tygodnie między majem a listopadem. Chodził tak od lat 30, albo zajeżdżał na wózku, ciągnionym przez gniadego kuca. Perspektywa jazdy na tym wózku zachwycała Emilkę, jakkolwiek była dla niej mało prawdopodobna. Ale zdawało jej się, że to jest z pewnością rozkosz niecodzienna.

Stary Kelly i ona byli wielkimi przyjaciółmi. Lubiała jego czerwoną, wygoloną twarz, jego błękitne oczy, płowe włosy, jego usta ściągnięte komicznie na skutek ciągłego pogwizdywania w ciągu dziesiątków lat. Stary kupiec zawsze miał w kieszeni jakiś upominek dla Emilki, który jej wręczał ukradkiem, gdy ciotka Elżbieta się odwracała. Nie omieszkał też jej powiedzieć za każdą swą bytnością w Srebrnym Nowiu, że już chyba niebawem pomyśli Emilka o wyjściu zamąż; stary Kelly mniemał, że najpewniejszym sposobem uradowania wszelkiej istoty żeńskiej, bez względu na wiek, jest przekomarzenie się z nią na temat jej rychłego małżeństwa.

Razu pewnego podarował jej maleńkie kocię. Emilka przyjęła ten dar, oczarowana, ale gdy stary kupiec się oddalił, ciotka Elżbieta oświadczyła, że w Srebrnym Nowiu nie będzie więcej kotów.

— O, proszę cię, ciotko Elżbieto, pozwól mi zatrzymać tego kociaka — błagała Emilka. — On ci nie będzie przeszkadzał ani trochę. Ja mam dużo doświadczenia w zakresie wychowywania kotów. A taka jestem samotna, gdy nie mam małego kociaka. Nie-

znośnik ugania się za innymi kotami, nigdy mi nie dotrzymuje towarzystwa, a przytem jest z natury taką przyklepką, jak była moja Kicia. *Proszę* cię, ciotko Elżbieto!

Ciotka Elżbieta nie ustąpiła. Była tego dnia w bardzo złym humorze, niewiadomo dlaczego, a w takim nastroju była pozbawiona wszelkiego rozsądku. Nie zważała na niczyje argumenty, Laura i Jimmy mieli trzymać język za zębami. Kuzyn Jimmy otrzymał polecenie zabrania małego kociaka nad brzeg rzeczki i utopienia go w Czarnej Wodzie. Emilka wybuchnęła płaczem, słysząc okrutny ten rozkaz, a to pogorszyło tylko sprawę i humor ciotki Elżbiety. Taka była rozgniewana, że kuzyn Jimmy nie śmiał nawet przemycić kociaka do kuchni, jak początkowo miał zamiar.

— Zabieraj tę bestję nad jezioro, rzuć ją do wody, wracaj zaraz i powiedz mi, że to już załatwione — rzekła Elżbieta ze złością. — Żądam posłuszeństwa! Srebrny Nów nie stanie się przytułkiem dla wszystkich zbytecznych kotów Starego Kelly'ego.

Kuzyn Jimmy wykonał polecenie, a Emilka nie tknęła obiadu. Po południu przekradła się w żalobnym nastroju do sadu i przebiegłszy pastwisko, dotarła do jeziora. Nie byłaby umiała powiedzieć, dlaczego tam poszła, ale czuła, że pójść tam musi. Zbliżywszy się do jeziora, posłyszała przeraźliwe miauczenie. Wśród roślin nadbrzeżnych siedział skurczony z zimna mały kotek, cały zmoczony, a stary worek, w który go zaszył Jimmy, pływał nieopodal, rozdarty, popruty, po stawie.

Emilka nie zastanawiała się ani chwili nad kon-

sekwencjami swego czynu. Weszła w muł nadbrzeżny po kolana i podniosła kocię. Było jej gorąco z oburzenia, tak że nie czuła zimna wody, ani mroźnego wiatru, jaki ją owiewał. Pędem pobiegła zpowrotem do Srebrnego Nowiu. Widok cierpienia zwierząt przejmował ją stale wielkiem współczuciem, wyprowadzał ją wręcz z równowagi. Wpadła do kuchni, trzymając kocię w objęciach.

— Ciotko Elżbieto — zawołała — to kocię wcale się nie utopiło i ja zatrzymam je tutaj.

— Nie zatrzymasz go — odrzekła ciotka Elżbieta.

Emilka patrzyła ciotce prosto w oczy. Czuła tę dziwną moc, która wstąpiła w nią wówczas, gdy ciotka Elżbieta przyniosła nożyczki, aby obciąć jej włosy.

— Ciotko Elżbieto, to biedne maleńkie kocię jest przemarznięte, o mało co nie zdechło, jest takie beżmiernie biedne i opuszczone. Cierpiało przez kilka godzin. Ono *nie może* zostać utopione powtórnie.

W oczach jej było znów spojrzenie Archibalda Murraya, w głosie jej był ton Archibalda Murraya. To się zdarzało wtedy tylko, kiedy cała jej istota była wstrząśnięta do głębi przez szczególnie potężne wzruszenia. Teraz miotał nią żal i gniew.

Na widok spojrzenia swego ojca, patrzącego na nią oczami Emilki, ustąpiła Elżbieta Murray bez walki. To była jej słaba strona. To zjawisko nie byłoby miało takiej mocy, gdyby Emilka była podobna do Murrayów. Ale widzieć nagle przed sobą Murrayowskie spojrzenie, nałożone, niczem maska, na obce rysy, włożone w obce oczy, to był taki wstrząs dla jej ner-

wów, że przeciwstawić się temu nie miała sił. Upiór, wychodzący prosto z grobu, nie byłby jej mógł bardziej przerazić.

Odwróciła się plecami do Emilki, ale Emilka wiedziała, że zwyciężyła po raz drugi. Mały szary kotek pozostał w Srebrnym Nowiu i stawał się coraz tłuszcieszy i figlarniejszy. Ciotka Elżbieta niczem nie dała nigdy poznać, że dostrzega jego obecność, chyba gdy szło o wypędzanie go z domu w nieobecności Emilki. Ale dopiero po upływie długich tygodni uzyskała Emilka istotne przebaczenie. Ciężła jej atmosfera niechęci i zawziętości. Ciotka Elżbieta bywała szlachetnym zwycięzcą, ale była bardzo przykra, jako zwyciężona. Całe szczęście, że Emilka nie mogła przybierać Murrayowskiego spojrzenia „na zawołanie”.

15.

RÓŻNE TRAGEDJE

Emilka, stosownie do zakazu ciotki Elżbiety, wyłączyła wyraz „byk” ze swego słownika. Ale ignorowanie byków nie usuwało ich z powierzchni ziemi, zwłaszcza zaś nie oddalało z sąsiedztwa angielskiego byka pana James’a Lee. Byk ten paś się zwykle na pastwisku, położonem na zachód od Czarnowody i miał jaknajgorszą opinię. Wyglądał bardzo groźnie; Emilce śniło się czasami, że ją goni, a ona nie może uciekać. I nadszedł taki dzień listopadowy, w którym ów sen stał się jawą.

Na końcu pastwiska znajdowała się studnia, zaciekawiająca Emilkę, ponieważ kuzyn Jimmy opowiedział jej straszną historję na ten temat. Studnię wykopali przed 50 laty dwaj bracia. Była to bardzo głęboka studnia, co uważano za osobliwość w tej okolicy nizinnej, w bliskości morza i jeziora. Bracia kopali 90 stóp w głąb, zanim trafili na wodę. Wyłożono kamieniami ściany studni, ale na tem roboty stanęły. Tomasz i Szymon Lee pokłócili się o jakąś drobną różnicę poglądów, a mianowicie: o gatunek drzewa. W uniesieniu uderzył Szymon Tomasz młotkiem w głowę, zabijając go na miejscu.

Studnia pozostała niedokończona. Szymon Lee poszedł do więzienia, gdzie wkrótce zmarł. Folwark przeszedł na własność trzeciego brata, ojca pana James'a, który zamieszkał w opustoszałym domku i zabił studnię deskami. Kuzyn Jimmy dodał, że duch zabitego Tamasza nawiedza prawdopodobnie okolice studni, ale za to nie może ręczyć nawet on, poeta, chociaż napisał wiersz na temat tej tragedji. Był to poemat pełen grozy, Emilce krew się ścinała w żyłach gdy słuchała go nocą przy kotle z ziemniakami. Od tej pory pragnęła zobaczyć zbliska starą studnię.

Sposobność nadarzyła się pewnej soboty, kiedy błąkała się samotnie po starym cmentarzu. Za nim ciągnęło się pastwisko pana Lee i nigdzie nie było widać byka, ani innego zwierzęcia. Emilka postanowiła zwiedzić studnię i pobiegła w dół, stawiając czoło wichrowi, który dał z przeraźliwą siłą od zatoki. Królowa Wichrów była tego dnia istną olbrzymką, podnosiła tumany piasku na wybrzeżu. Ale Emilka

nie bała się tej dobrej znajomej, mężnie dotarła wśród wiatru i kurzu do starej studni.

Uniosła deskę, pierwszą z brzegu, przyklękła na sąsiednich deskach i patrzyła w dół. Na szczęście deski były mocne, stosunkowo nowe, w przeciwnym razie drobne dziewczę ze Srebrnego Nowiu byłoby poznało wnętrze studni dokładniej, niż sobie życzyła. Niewiele widziała: ciemności, wśród których tu i ówdzie odróżniała kamienie, tworzące ściany. Rozczarowana, podniosła się Emilka z klęczek i szła zpowrotem. Uszedłszy 10 kroków, stanęła jak wryta. Byk pana James'a Lee szedł jej naprzeciw i był już tylko oddalony o 20 kroków, nie więcej.

Parkan znajdował się nieopodal za Emilką. Mogła z łatwością schronić się za tę wysoką, mocną palisadę, gdyby była natychmiast uciekła. Ale ona nie mogła się ruszyć. Jak napisała do ojca następnego wieczora: była „sparaliżowana” ze strachu i tak samo nie mogła postąpić ani kroku, jak w swych snach. I byłoby się niechybnie stało coś strasznego, gdyby nie obecność pewnego chłopca, którego Emilka nie zauważyła, a który siedział na pastwisku przez cały ten czas i obserwował ją, sam niewidziany. Teraz skoczył na równe nogi.

Emilka poczuła jakieś ciężkie ciało, rzucające się na nią. Chłopiec przewrócił ją, poczem schylił się i cisnął bykowi w pysk podjęty z ziemi kamień. Równocześnie zaczął uciekać w kierunku bocznym. Byk, rozjuszony zwrócił, się ku temu intruzowi.

— Uciekaj! — krzyknął chłopiec do Emilki.

Emilka nie ruszyła się. Mimo jej przerażenia, było w niej coś, co nie pozwalało jej się schronić, do-

póki jej rycerski obrońca był narażony na niebezpieczeństwo. On dopadł do parkanu w ciągu pół minuty. Wówczas, nie wcześniej, pobięła Emilka również i przesadziła parkan jednym susem w tej chwili właśnie, gdy byk pędził na przełaj przez pastwisko, zmierzając prosto ku niej; widocznie postanowił kogoś ukarać. Cała drżąca, posunęła się dziewczynka wzdłuż parkanu i spotkała na zakręcie swego wybawcę. Przez chwilę stali, przyglądając się sobie nawzajem.

Chłopiec był Emilce nieznany. Twarz miał szczupłą, pogodną, o ostrych rysach, o śmiało patrzących w świat szarych oczach i o bujnych, kędzierzawych włosach. Miał na sobie tak mało odzieży, jak tylko pozwalała najelementarniejsza przyzwoitość, ale na głowie miał coś, co możnaby nazwać pozorem kapelusza. Emilce podobał się. Nie miał subtelnego wdzięku Tadzia, ale wywierał pewien urok, urok siły fizycznej, a przytem ocalił ją od strasznej śmierci.

— Dziękuję — rzekła Emilka nieśmiało, podnosząc na niego swe wielkie szare oczy, które wydawały się błękitne z pod długich, ciemnych rzęs. Było to wejście bardzo powabne, które nic na tem nie traciło, że było nieświadome swego czaru. Nikt jeszcze nie powiedział Emilce, jak pociągające było to nieśmiałe, nieoczekiwane wzniesienie oczu.

— Czy to nie podły rozpruwacz? — spytał chłopiec swobodnie. Włożył ręce do kieszeni, mocno poszarpanych i przyglądał się Emilce tak bacznie, że spuściła oczy, zmieszana. Była nie mniej urocza z tym wyrazem skromności i jedwabistą frendzlą rzęs na policzkach.

— Straszny jest — rzekła, wzdrygając się. — A ja byłam tak przestraszona... —

— Czyżby? A ja myślałem, że umyślnie stoisz i patrzysz zimno na niego. aby go poskromić. Jak to jest, kiedy człowiek się boi?

— Czy ty się nigdy nie boisz?

— Nie, nie wiem, jak to jest... Jak ci na imię? —

— Emilja Byrd Starr.

— Mieszkasz w okolicy?

— W Srebrnym Nowiu.

— Tam, gdzie mieszka głupi Jimmy Murray?

— On nie jest głupi! — zawołała Emilka, oburzona.

— Wszystko jedno. Nie znam go. Ale go poznam. Zgodzę się służyć na chórze w kościele tak, jak o to prosił.

— Nie wiedziałam o tem — rzekła Emilka, zdziwiona. — Rzeczywiście będziesz służyć na chórze?

— Tak. Sam o tem nie wiedziałem aż do tej chwili. On prosił tę starą bestję, ciotkę Tomaszową, żeby mnie przysyłała do niego na naukę, ale nie miałem na to ochoty. Teraz widzę, że się zgodzę. Chcesz wiedzieć, jak ja się nazywam?

— Naturalnie.

— Perry Miller. Mieszkam z moją starą ciotką Tomaszową tam na dole. Tatuś był kapitanem okrętu, nieraz z nim jeździłem po morzach, dopóki żył wszędzie jeździliśmy. Chodzisz do szkoły?

— Tak.

— Ja nie. Nigdy nie chodziłem. Ciotka Tomaszowa za daleko mieszka. Nie przypuszczałem zresz-



ta, żeby mi się to mogło uśmiechać... Hm, myślę, że teraz zacznę jednak chodzić do szkoły.

— Czyżbyś nie umiał czytać?...

— Owszem, Bazgrać też. Tatuś nauczył mnie niektórych rzeczy za życia. Od tej pory nie naprzykrzano mi się nauką. Ale jeżeli zacznę chodzić do szkoły z własnej woli, będę się uczył piorunem. Ty chyba jesteś okropnie mądra?

— Nie, niebardzo. Ojciec mówił, że jestem genjuszem, ale ciotka Elżbieta mówi, że jestem tylko dziwaczna.

— Co to jest genjusz?

— Nie jestem pewna... Czasami jest to osoba, pisząca wiersze. Ja piszę wiersze.

Perry patrzył na nią bacznie.

— Ho, ho! To i ja zacznę pisać wiersze.

— Mnie się nie zdaje, żebyś umiał — rzekła Emilka trochę lekceważąco, prawdę powiedziawszy — Tadzio nie umie, a on jest bardzo mądry.

— Kto to jest Tadzio?

— Jeden z moich przyjaciół. — W głosie Emilki był odcień chłodu.

— W takim razie — rzekł Perry, krzyżując ramiona na piersiach — przebiję nawyloc twojego przyjaciela.

— Nie uczynisz tego! — zawołała Emilka, tak oburzona, że zapomniała na razie o niebezpieczeństwie, z jakiego wybawił ją Perry.

— Mniejsza o to — rzekł Perry niedbale. — Pójdę teraz do Jimmy'ego Murraya i powiem mu, że się godzę, zanim wrócę do domu. Nie gniewaj się. Jeżeli ty nie chcesz żebym kogoś poturbował, zostawię go w

spokoju. Tylko mnie musisz także lubić, to grunt.

— Ależ naturalnie, że cię lubię — rzekła Emilka, jakgdyby to było aż nadto zrozumiałe. Uśmiechnęła się swym słodkim, promiennym uśmiechem, czyniąc z Perry'ego swego niewolnika, bezwiednie, rzecz jasna.

W dwa dni później zamieszkał Perry Miller w Srebrnym Nowiu, jako chłopiec stajenny, służący na chórze w kościele w niedziele i święta, a w dwa tygodnie później miała Emilka wrażenie, jakgdyby go znała oddawna.

„Ciotka Elżbieta nie miała ochoty, żeby go kuzyn Jimmy zgodził” — pisała do ojca. „On należał do tych chłopców, którzy popełnili straszną rzecz ubiegłej nocy. Pozamieniali wszystkie konie, przywiązane do parkanu na czas kazania wieczornego. Gdy ludzie wyszli z konfesjonału, działały się rzeczy okropne. Ale kuzyn Jimmy powiada, że strasznie jest trudno znaleźć porządnego chłopca do pomocy w gospodarstwie, umiejącego zarazem służyć do mszy, a przytem mówi, jesteście coś winni Perry'emu za ocalenie mi życia. Więc ciotka Elżbieta ustąpiła i pozwala mu siedzieć z nami przy stole, ale wieczorem musi siedzieć sam w kuchni. A my wszyscy idziemy do saloniku, ale mnie wolno pomagać Perry'emu w odrabianiu lekcji. Perry jest już prymusem w swojej klasie. Jest dopiero w trzeciej, chociaż ma już lat 12. Panna Brownell powiedziała mu coś ironicznego, gdy po raz pierwszy przyszedł do szkoły, on zaś podniósł głowę do góry i zaśmiał się przeciągle. Panna Brownell zbiła go za to, ale już nigdy go nie wyśmiewa. Ona nie lubi, żeby z niej drwić, miarkuję to. Perry nie boi się nicze-

go. Myślałam, że przestanie chodzić do szkoły, bo go panna Brownell wybiła, ale on mówi, że taki drobiazg nie może go odwieść od kształcenia się, skoro raz postanowił się uczyć. Jest on ogromnie stanowczy.

Ciotka Elżbieta też jest stanowcza. A o Perrym mówi, że jest uparty. Ja uczę Perry'ego gramatyki. On chce mówić porządnie. Powiedziałam mu, że nie powinien nazywać swej ciotki Tomaszowej starą bestją, ale on powiada, że musi, bo ona nie jest młodą bestją. Ciotka Elżbieta mówi, że nie powinnam tak się przyjaźnić z chłopcem-najemnikiem. Ale on jest miły, chociaż ma obejście trochę *surowe*. Tak się wyraziła ciotka Laura. Nie wiem, co to znaczy, ale domyślam się, że to ma być to jego mówienie wszystkiego prosto z mostu. A przytem on je strąki nożem. Lubię Perry'ego, ale inaczej, niż Tadzia. Czy to nie zabawne, drogi Ojczy, ile istnieje sposobów lubienia? Nie zdaje mi się, aby Ilza go lubiła. Ona się wyśmiewa z jego braku wiadomości i gra mu na nosie. bo jest obdarty, a przecież jej własna odzież dosyć pozostawia do życzenia. Tadzio niebardzo go lubi, narysował go tak zabawnie, że trzeba się śmiać, patrząc na tę podobiznę. Jest to twarz Perry'ego, a jednak to nie on. Kuzyn Jimmy nazywa to „karykaturą” i śmieje się, ale nie śmiałabym pokazać tego Perry'emu, bo obawiałabym się, że on przebiję Tadzia nawyloc. Pokazałam to Ilzie, a ona rozłościła się szalenie i podarła rysunek na drobne kawałki. Nie mogę pojąć, dlaczego.

Perry mówi, że umie deklamować tak, jak Ilza i że mógłby rysować także, gdyby mu na tem zależało. Widzę, że jemu sprawia przykrość myśl, iż ktoś umie

takie rzeczy, których on nie potrafi. Ale mówić on potrafi lepiej, niż my wszyscy. On miał zamiar być marynarzem tak, jak jego ojciec, ale teraz pragnie zostać prawnikiem, gdy dorośnie i wstąpić do parlamentu. Tadzio będzie artystą, o ile matka mu pozwoli, a Ilza deklamatorką na koncertach, to się inaczej nazywa, ale nie pamiętam tej nazwy. A ja będę poetką. Zdaje mi się, że jesteśmy grupą ludzi utalentowanych. Może to niedobrze, że tak myślę, drogi Ojcze.

Przedwczoraj zdarzyła się rzecz okropna. W sobotę zrana odmawialiśmy pacierze w rodzinnem gronie. Klęczeliśmy wszyscy uroczyście w kuchni. Spojrzałam na Perry'ego, a on zrobił taką zabawną minę, że wybuchnęłam śmiechem, zanim zdążyłam się opanować. (To była jedna straszna rzecz). Ciotka Elżbieta bardzo się rozgniewała. Nie powiedziałam, że to Perry pobudził mnie do śmiechu, bo się obawiałam, że go odprawią. Więc ciotka Elżbieta powiedziała, że nie pójdę za karę do Jennie Strangs na podwieczorek. (To było okropne rozczarowanie, ale to nie była straszna rzecz, ta najstraszniejsza). Perry był przez cały dzień poza domem z kuzynem Jimmy, a gdy wrócił wieczorem, zapytał szorstko: z czyjej przyczyny płaczesz? Odrzekłam, że płakałam troszeczkę, ale niebardzo, dlatego, że nie poszłam na podwieczorek, bo śmiałam się podczas pacierza. Perry poszedł prosto do ciotki i powiedział jej, że to jego wina, że on mnie pobudził do śmiechu. Ciotka Elżbieta odrzekła, że mimo to nie powinnam była się roześmiać. Ale ciotka Laura uniosła się i oświadczyła, że kara była zbyt surowa. Dodała, że pozwoli mi w poniedziałek wziąć do szkoły jej pierścionek z perłą i nosić go na palcu. Byłam ocza-

rowana tą obietnicą, bo tak pięknego nie ma żadna z dziewczynek. W poniedziałek podczas dyktanda podniosłam zaraz rękę do góry. Nie o to mi szło, żeby zadać istotnie ważne pytanie pannie Brownell, tylko o pokazanie mego pierścionka. Za tę brzydką pychę zostałam ukarana. Podczas rekreacji Cora Lee, jedna z „dużych”, z szóstej klasy, przyszła do mnie i poprosiła o pożyczenie jej pierścionka na parę minut. Nie chciałam się zgodzić, ale ona zagroziła mi, że w takim razie wszystkie dziewczynki urządzią mi „klasztor” (to jest okropnie przykre, drogi Ojcze, człowiek czuje się jak wyrzutek społeczeństwa). Więc pożyczyłam jej pierścionek aż do rekreacji popołudniowej, a ona przyszła wówczas do mnie z oznajmieniem, że go zgubiła (To jest to najstraszniejsze). Och, Ojcze najdroższy, to było niepojęcie straszne! Szalałam. Nie śmiałam wrócić do domu i spojrzeć w oczy ciotce Laurze. Przrzekłam jej, że będę pilnować pierścionka. Pomyślałam, że muszę zbierać pieniądze na nowy pierścionek dla ciotki, ale obliczyłam na palcach, że musiałabym zmywać statki w ciągu 20 lat, ażeby uzbierać potrzebną sumę. Płakałam z rozpacz. Perry zauważył moje łzy i po lekcjach podszedł do Cory Lee i powiedział: oddasz pierścionek, albo powiem o tem wszystkiem pannie Brownell. I Cora oddała pierścionek, mówiąc, że i tak miała zamiar mi go zwrócić. To był tylko żart. A Perry rzekł: nie rób podobnych żartów Emilce, bo ja tobie zrobię żart, który poczujesz! To bardzo pocieszające uczucie mieć takiego obrońcę! Drzę na samą myśl, coby to było, gdybym była musiała wrócić do domu i opowiedzieć ciotce Laurze, że zgubiono jej pierścionek. Ale ze strony Cory było

to okrucieństwem. Jabym nie umiała być tak okrutną dla dziewczynki, która jest sierotą.

Wróciwszy do domu, spojrzalam w zwierciadło, aby się przekonać, czy mi włosy posiwiały. Mówią, że to się zdarza. Ale moje nie zmieniły barwy.

Perry zna geografję lepiej, niż my wszyscy, bo on prawie wszędzie był ze swoim ojcem. Opowiada mi takie niebywałe historie! Opowiada, dopóki świeca nie zgaśnie. Kładzie się spać pociemku, bo ciotka Elżbieta nie chce mu dać więcej niż jedną świecę na wieczór.

Ilza i ja pokłóciłyśmy się wczoraj o to, czy wołałybyśmy być Joanną d'Arc czy Franciszką Willard. Jabym wołała być Franciszką Willard, bo ona żyje. Zaczęło się od spokojnej rozmowy, ale jeden z argumentów doprowadził do kłótni.

Wczoraj spadł pierwszy śnieg. Napisałam wiersz na jego cześć i przeczytałam ten wiersz Perry'emu, który odpowiedział, że także potrafi pisać wiersze i zaimprowizował wierszyk, ale, jak sam przyznał, gorszy, niż mój. Oboje piszemy zresztą nietyle o śniegu, ile o śladach łapek Kici na śniegu. Te ślady są śliczne, ale nie takie ładne, jak ślady myszy na podłodze. Myszki są prześliczne i takie poetyczne!

Szkoda, że nadeszła zima, bo nie możemy się bawić w naszym domku na wzgórzu, ani chodzić do Tadzia. Czasami wdrapujemy się na górę do domu Kentów, ale pani Kent krępuje nas strasznie. Siedzi przez cały czas i obserwuje nas. Chodzimy więc tylko wtedy do nich, gdy Tadzio mocno kaszle. A biedne świnię zarznięto, tak że kuzyn Jimmy nie gotuje już dla nich ziemniaków. Co mnie pociesza, to fakt, że nie muszę już nosić kapelusza od słońca. Ciotka

Laura sporządziła mi taki ładny czerwony kapelusik ze wstążkami, na który ciotka Elżbieta spogląda gniewnie, twierdząc, że jest on „krzyczący”. Coraz bardziej lubię szkołę, ale nie mogę polubić panny Brownell. Ona nie jest szlachetna. Obiecała, że da czerwoną wstążkę tej z nas, która najlepiej napisze klasówkę i że ta uczennica będzie miała prawo nosić tę wstążkę od piątku aż do poniedziałku. Ja napisałam o przygodach wędrowca na ścieżce Wysokiego Jana i umieściłam tam dużo własnych myśli, a ona powiedziała, że widocznie przepisałam to z jakiejś książki i dała wstążkę Rhodie Stuart. Ciotka Elżbieta rzekła: tyle czasu tracisz na bazgroty, że mogłaś być zdobyć tę wstążkę. Ale jej nie opowiedziałam, jak to było. Tadzio mówi, że dobry sportsmen nie skarży się nigdy na przegraną. Ja chcę być dobrym sportsmanem. Rhoda tak mnie teraz nienawidzi! Mówi, że dziwi ją przyjaźń dziewczynki ze Srebrnego Nowiu z najemnikiem. Głupia jest, bo Perry nie jest moim przyjacielem. Perry powiedział jej, że jest bardziej złośliwa niż mądra. To jest niegrzeczne, ale jest prawdą. Razu pewnego Rhoda powiedziała podczas lekcji, że księżyc jest położony na wschód od Kanady. Perry roześmiał się głośno. Panna Brownell kazała mu przesiadzieć całą rekreację w klasie, ale nigdy nie łaje Rhody za takie głupstwa. Ale najpodlejszą rzeczą, jaką Rhoda powiedziała, było to: przebaczam jej (mnie!) to, co uczyniła, jej postępek ze mną (z nią!). Krew we mnie zawrzała na te słowa, bo ona nie ma nic do przebaczenia. Także pomysł!

Napoczęliśmy już wielką szynkę, która wisiała w południowo - zachodnim kącie kuchni.

Tamtej środy Perry i ja pomagaliśmy kuzynowi Jimmy'emu torować ścieżkę pomiędzy kalarepą w pierwszej piwnicy. Chcieliśmy się przedostać do drugiej piwnicy. Była to pyszna zabawa.

Czytam Alhambrę. Wzięłam ją z naszej biblioteki. Ciotka Elżbieta nie przyznaje się, że niechętnie mi pozwala na tę książkę, gdyż jest to książka jej ojca, ale widzę po jej spojrzeniach, że jest niezadowolona. Tazio pożyczył mi bajki Andersena. Kocham je! Tylko obmyślam inne zakończenia dla niektórych.

Opowiadają, że pani Janowa Killigrew wzgardziła swą ślubną obrączką. Ciekawa jestem, dlaczego.

Kuzyn Jimmy mówi, że w grudniu będziemy mieli zaćmienie słońca. Mam nadzieję, że nie na Boże Narodzenie.

Mam popękaną skórę na rękach. Ciotka Laura smaruje mi je tłuszczem baranim co wieczór. Trudno jest pisać poezje, mając popękaną skórę na rękach. Ciekawa jestem, czy pani Hemans miała kiedykolwiek popękane ręce. W jej życiorysie niema o tem wzmianki.

Jimmy Ball będzie ministrem, gdy dorośnie. Jego matka powiedziała do ciotki Laury, że przeznaczyła go na ministra, gdy jeszcze był w kołysce. Ciekawa jestem, jak ona to zrobiła.

Jadamy teraz pierwsze śniadanie przy świetle świec. Lubię to bardzo.

Ilza była tu w niedzielę po południu, poszłyśmy na strych i rozmawiałyśmy o Bogu, bo tak przystoi w niedzielę. Musimy bardzo uważać, co robimy tego dnia. Tradycją Srebrnego Nowiu jest ściśle przestrzeganie



świętości dnia świętego. Dziadek Murray był pod tym względem nieubłagany. Ilza jest bardzo ciekawa. Pana Boga, chociaż w Niego nie wierzy przeważnie, niebardzo też lubi, gdy się o Nim mówi, ale stale się o Niego dopytuje. Mówi, że zdaje jej się, że polubiłaby Go, gdyby Go znała. Pisze teraz „Bóg”, przez duże „B”, bo lepiej jest nie narażać Mu się. Ja myślę, że Bóg jest taki jak mój Promyk, tylko że Promyk trwa sekundę, a On trwa wiecznie. Rozmawialiśmy tak długo, aż się nam jeść zachciało. Zeszliśmy na dół i jadłyśmy orzechy. Zapomniałam! Ciotka Elżbieta zabroniła mi jadać orzechy między posiłkami. To nie była kradzież, to było zapomnienie. Ale Ilza rozgniewała się wkońcu, powiedziała mi, że jestem Jakóbinką (nie wiem, co to jest i ona też nie wie, ale mówi, że to wszystko jedno), że żadna chrześcijanka nie kradłaby orzechów swej biednej, starej ciotce. Poszłam więc do ciotki Elżbiety i przyznałam się do winy, a ona powiedziała, że nie dostanę orzechów do kolacji. Ciężko mi było na duszy, gdy patrzyłam na innych, jedzących orzechy. Sądziłam, że Perry zjadł swoje bardzo szybko, a tymczasem on po kolacji wręczył mi je: schował je dla mnie do kieszeni. Zawinął je w chusteczkę do nosa, co było niezbyt apetyczne, ale je zjadłam, bo nie chciałam robić mu przykrości.

Ciotka Laura mówi, że Ilza ma ładny uśmiech. Ciekawa jestem, czy ja też mam ładny uśmiech. Spojrzałam w lustro w pokoju Ilzy i uśmiechnęłam się, ale nie wydało mi się to bardzo ładne...

Teraz noce są zimne, ciotka Elżbieta zawsze wkłada do łóżka butelkę z gorącą wodą. Lubię opierać palce u nóg o tę butelkę. Są to butelki po wódce.

Dziadek Murray trzymał w nich wódkę, nie gorącą wodę.

Teraz, kiedy spadł śnieg, kuzyn Jimmy nie może pracować w ogrodzie i jest bardzo samotny i opuszczony. Mnie się ogród podoba równie dobrze w zimie, jak w lecie. Jest w nim tyle poezji, tyle tajemniczości, jakby zatulonej w śnieg, w puszystą białą zasłonę. Dużo jest pięknych rzeczy na świecie, ale w niebie będzie ich jeszcze więcej. Czytałam dzisiaj o Anzonocie i jestem w bardzo pobożnym nastroju. Dobranoc, najdroższy z ojców.

*Emilja.*

*P. S.* To nie znaczy, że mam jeszcze jednego ojca. To jest tylko taki sposób powiedzenia: *bardzo bardzo drogi.*

*E. B. S."*

16.

## PANNA BROWNELL

Emilka i Ilza siedziały na ławce przed szkołą i pisały poezje. A raczej Emilka pisała, a Ilza czytała jej przez ramię i od czasu do czasu podsuwała jej jakiś rym. Przyznać należy, że moment był nieodpowiedni na to zajęcie, gdyż miały rozwiązywać zadanie arytmetyczne i panna Brownell sądziła, że pracują nad niem. Ale Emilka nigdy nie rozwiązywała zadań arytmetycznych, skoro odczuwała potrzebę pisania poezji, a Ilza wogóle niecierpiała arytmetyki. Panna Brownell, zajęta była przesłuchaniem innej klasy z geografji.

Słońce jasno świeciło, gdyż było to samo południe. Wszystkie okoliczności zdawały się sprzyjać wycieczce w krainę muz. Emilka pisała o widoku z okien szkolnych.

Na ławce tej przed domem nie wolno było siedzieć byle komu. Pozwolenie na to rozkoszne wygrzewanie się na słońcu otrzymywały tylko ulubienice panny Brownell, a do tych Emilka nie należała nigdy. Ale dzisiaj Ilza poprosiła o tę łaskę dla nich obu, a panna Brownell nie mogła udzielić pozwolenia jednej, a odmówić drugiej. Byłaby to chętnie uczyniła, gdyż należała do tych zawziętych natur, które nigdy nie przebaczą uraz. Panna Brownell pamiętała jeszcze Emilce pierwszy dzień jej pobytu w szkole, uważała, że Emilka była w owym pamiętnym dniu bardzo niegrzeczna dla swej nauczycielki i że niczem nie okupiła tej winy. Emilka nigdy nie słyszała słów uznania, była wciąż przedmiotem szyderstw panny Brownell, nigdy nie doznała najdrobniejszego przywileju, jakimi dość szczerze darzyła nauczycielka inne dziewczęta. Tak że możliwość siedzenia na słońcu była dla niej zupełną nowością.

Emilka była tak zatopiona w swej pracy twórczej, że nie słyszała, co się dzieje dokoła. Nie zauważyła, że lekcja geografji jest skończona, że panna Brownell zbliżyła się i stanęła za nią niespostrzeżenie. Emilka szukała rymu. Wtem rozległ się tuż za nią głos panny Brownell:

— Skończyłaś chyba to dodawanie, Emilko?

Emilka nie skończyła dodawania, lecz pokryła tabliczkę wierszami, których panna Brownell nie powinna, nie może zobaczyć, nigdy! Emilka zerwała się

i wyciągnęła z rozpaczą ramię po swą tabliczkę. Lecz panna Brownell trzymała ją w górze, nad głową, ze złośliwym uśmiechem na ustach.

— Co to jest? To nie wygląda na ułamki, ani na kolumny cyfr. „Widok z okien szkoły w Czarnowodzie”. Doprawdy, moje dzieci, zdaje się, że mamy wśród nas nielada poetę!

Słowa same w sobie były nieszkodliwe, ale ten nienawistny syk w głosie, ta pogarda, to szyderstwo! Emilka doznawała uczucia, jakgdyby ją sieczono różgami. Nic gorszego nie mogło ją spotkać, jak to wyszydzenie jej ukochanej poezji, jak czytanie jej przez te oczy, zimne, niezyczliwe, ośmieszające ją, obce oczy.

— Proszę, proszę, miss Brownell — wyjąkała — niech pani tego nie czyta. Ja to wytrę gąbką i zaraz zrobię dodawanie. Tylko proszę, niech pani tego nie czyta. To... to nic nie jest...

Panna Brownell zaśmiała się okrutnie.

— Zbyt skromna jesteś, Emilko, Jest to cała tabliczka wierszy. Mamy więc uczennicę, która pisuje *poezje*. A nam nie chce przeczytać tych *poezji*. Boję się, że jesteś egoistką, Emiljo. Pewna jestem, że nam wszystkim sprawi przyjemność ta lektura.

Emilka kurczyła się ile razy panna Brownell wymawiała z przekąsem ten wyraz: „poezja”. Inne dziewczynki chichotały, poczęści dlatego, że radowała je ośmieszanie koleżanki ze Srebrnego Nowiu, poczęści dlatego, że chciały się przypodobać nauczycielce, której intencje były aż nadto przejrzyste. Ale Jennie Strang, która pierwszego dnia pobytu Emilki w szko-

le tak ją prześladowała, ta nie śmiała się wraz z innymi i patrzyła ponuro na nauczycielkę.

Panna Brownell przybliżyła tabliczkę do oczu i zaczęła czytać głośno poemat Emilki. Czytała przez nos, akcentując nedorzecznie, wykonywując gesty pocieszne i rozmyślnie przesadne, czem ośmieszyła doszczętnie te wiersze, które Emilce wydawały się takie ładne. Uczennice śmiały się do rozpuku, a Emilka czuła, że gorycz tej chwili pozostanie niezatarta w jej sercu. Te milutkie pomysły, któremi się tak rozkoszowała, pisząc, były teraz wyszydzone, sprofanowane. Panna Brownell czytała dalej, przymykając oczy i trzęsąc głową, wymawiając każde słowo z umyślnym fałszywym patosem. Chichot przeszedł w głośny wybuch śmiechu całej klasy.

— Och, — myślała Emilka, zaciskając pięści pod fartuchem. — Pragnę, aby niedźwiedź, który pożarł niegrzeczne dzieci w Biblii, zjawił się tutaj i zjadł was wszystkie.

W krzakach dokoła szkoły nie było takich miłych, pożytecznych niedźwiedzi, tak że panna Brownell dokończyła czytania i wyszydzania poematu Cieszyła się ogromnie. Ośmieszanie jednej z uczennic zawsze było dla niej przyjemnością, a kiedy uczennicą tą była Emilka ze Srebrnego Nowiu, w której duszy i sercu ona stale przeczuwała coś całkiem odrębnego od siebie samej, przyjemność ta potęgowała się jeszcze, stawała się czemś wyszukanem, rozkosznem.

Gdy doszła do końca poemaciku, oddała tabliczkę zaczerwienionej Emilce.

— Zabieraj swoją *poezję*, Emilko — rzekła.

Emilka wytarła tabliczkę. Nie było gąbki pod ręką, ale Emilka przeszła po czarnej powierzchni dłonią, ścierając jedną stronę; przeszła dłonią po raz drugi i druga strona tabliczki oczyściła się z białych liter. Cały poemat zniknął, ośmieszony, zdegradowany, poemat, który należało wymazać ze wspomnienia bodaj. A jednak do końca swego życia, nie zapomniała Emilka bólu i upokorzenia, doznanego w tej godzinie.

Panna Brownell zaśmiała się znowu.

— Jaka szkoda wymazywać taką *poezję*, Emilko — rzekła. — A teraz może zrobisz swoje dodawanie. Wprawdzie nie jest ono poezją, ale ja w tej szkole nie po to jestem, żeby uczyć sztuki pisania wierszy. Uczę arytmetyki. Siadaj. Co takiego, Rhodo?

Rhoda Stuart wstała i trzymała ręką podniesioną do góry na znak, że chce coś powiedzieć.

— Miss Brownell — odezwała się z wyraźnym triumfem w głosie — Emilja Starr ma w swym pulpicie cały zeszyt wierszy. Dziś zrana czytała je Ilzie Burnley, gdy pani mniemała, że one uczą się historii.

Perry Miller odwrócił się na ławce i celny pocisk, złożony z tektury i chleba, przeleciał przez pokój i uderzył Rhodę prosto w twarz. Ale miss Brownell stała już przy pulpicie Emilki, do którego przyskoczyła, zanim dziewczynka zdążyła się ruszyć.

— Niech pani ich nie dotyka! Nie ma pani prawa! — zawołała Emilka namiętnie.

Ale panna Brownell trzymała już „zeszyt wierszy” w ręku. Pobiegła pod okno, Emilka za nią. Te poezje były jej bardzo drogie. Napisała je podczas deszczowych rekreacji, kiedy niepodobieństwem była

wszelka zabawa pod gołym niebem. Pisała w zeszycie podarowanym jej przez ciotkę Laurę który tu był najpewniej ukryty przed okiem ciotki Elżbiety. Miała zamiar zabrać dzisiaj do domu te wiersze i schować je na strychu wraz z listami do ojca. A teraz ta okropna kobieta przeczyta je całej klasie, czyhającej tylko na sposobność wyśmiewania jej myśli i uczuć, niedostępnych dla tej nieświadomie okrutnej, banalnej gromady.

Ale panna Brownell spostrzegła się, że czasu jej nie starczy. Poprzestała na odczytaniu głośnym tytułów, zaopatrując je w swoje komentarze.

Przez ten czas Perry Miller dawał ujście swym uczuciom, bombardując Rhodę Stuart kulkami tekturówkami w tak zawrotnym tempie, że Rhoda nie mogła się spostrzec, skąd pochodziły te ciosy i nie mogła „poskarżyć się” na nikogo. To psuło jej, bądź co bądź, przyjemność, jaką czerpała z upokorzenia Emilki. Co do Tadzia Kenta, który nie rzucał kulek, bo wolał subtelniejsze metody odwetu, ten zajęty był pilnie rysowaniem czegoś na kawałku papieru. Naza jutrz zrana znalazła Rhoda ten papier w swym pulpiciu; był to rysunek, przedstawiający małpę, zawieszoną za ogon na drzewie. Twarz tej małpy była twarzą Rhody Stuart. Pieniąc się ze złości, podarła Rhoda w drobne kawałki ów rysunek, gdyż próżność jej ucierpiałaby zanadto, gdyby czyjeś oko na nim spooczyło. Nie wiedziała, że Tadzio wykonał podobny szkic, przedstawiający pannę Brownell jako nietopierza o wejrzeniu wampira i wsunął ów rysunek do ręki Emilce, wychodząc ze szkoły.

— „Zagubiony djament”, „Romantyczna opo-

wieść”, — czytała panna Brownell. — „Oda do Brzozy”, wygląda na kawałek papieru wysmolonego w kuchni, Emilko... „Oda do Zegarum Słonecznego w Naszym Ogrodzie”, ditto... „Oda do mego ulubionego Kotka”, bardzo romantyczna oda do kociego ogona, zapewne?... „Oda do Ilzy”: „Szyja twoja jest śnieżnej białości”, niezupełnie, pozwolę sobie zauważyć. Szyja Ilzy jest mocno opalona. „Opis naszego Saloniku”, „Głosy Fijołków”, mam nadzieję, że głosy fijołków brzmią przyjemniej, niż twój głos, Emilko. „Domek Rozczarowany”, hm, tu widzę parę wierszy, których nie będziesz chyba podawać za twoje własne, Emilko. Nie mogłaś ich napisać.

— Owszem! Owszem! Ja je napisałam! — zawołała Emilka z rozpaczą. — I dużo innych, lepszych.

Panna Brownell zmięła nagle wiersze Emilki.

— Dostyc czasu straciliśmy nad tą błahostką — rzekła. — Wracaj na swoje miejsce, Emilko.

Zwróciła się w stronę pieca. Przez chwilę nie rozumiała Emilka jej zamysłów. Widząc, jak nauczycielka otwiera drzwiczki pieca i schyla się z papierami, jej papierami w rękę, skoczyła dziewczynka i rzuciła się, jak młody tygrys, na pannę Brownell.

— Nie spali ich pani, nie dostanie ich pani — jęknęła. Wyrwała zeszyt z rąk nauczycielki i ukryła go w kieszeni swego przedpotopowego fartucha. Patrzyła na pannę Brownell z zimną wściekłością. W oczach jej zjawilo się znowu Murrayowskie spojrzenie, a chociaż panna Brownell mniej była na nie wrażliwa, niż ciotka Elżbieta, niemniej czuła się nieswojo wobec tych utajonych mocy, wyzierających na nią z oczu tego dręczono-



nego dziecka. Czyniło ono wrażenie, że lada moment skoczy na nią, aby ją gryźć i drapać.

— Daj mi te wiersze, Emilko — rzekła niepewnym tonem.

— Nie dam — rzekła Emilka porywczo. — One należą do mnie. Nie ma pani do nich prawa. Pisałam je podczas rekreacji, nie przekroczyłam żadnych reguł. Pani zaś... — tu Emilka spojrzała niechętnie w zimne oczy panny Brownell — pani jest niesprawiedliwą, despotyczną osobą.

Panna Brownell wróciła na swoje miejsce.

— Przyjdę dzisiaj do Srebrnego Nowiu, w ciągu popołudnia, Emilko, ażeby powiedzieć o tem twojej ciotce Elżbiecie — rzekła.

Zrazu była Emilka zbyt zgorączkowana, zbyt ucieszona ocaleniem swych ukochanych poezji, aby się zastanawiać nad tą pogróżką. Dopiero gdy uniesienie minęło, ogarnął ją strach. Wiedziała, że czeka ją przejście nielada. Ale w żadnym razie nie odda swych poezji, ani jednego poematu nie poświęci, bez względu na to, co z nią zrobią. Wróciwszy do domu, pobiegła natychmiast na strych i ukryła wiersze we wnętrzu starej otomany.

Na płac jej się zbierało bezustannie, ale zwalczyła łązy. Panna Brownell przyjedzie, a panna Brownell nie powinna jej zobaczyć z zaczerwienionemi powiekami. Ale w sercu tem bardziej odczuwała piekący ból. Jej utajona świątynia została odkryta i zszeszczona, shanbiona. Niestety! Najgorsze przejście czeka ją dopiero, tego była pewna. Ciotka Elżbieta niechybnie stanie po stronie nauczycielki. Emilka wzdrygała się przed tą ciężącą nad nią grozą sądu najwyższej instan-

cji domowej. Wzdrygała się jak przystało na wrażliwą naturę, cofając się przed niesprawiedliwością. Sprawiedliwego wyroku nie byłaby się bała. Ale wiedziała, że tylko krzywda może ją spotkać, skoro stanie przed zjednoczonym trybunałem ciotki Elżbiety i panny Brownell.

— A ojcu nie mogę o tem napisać — pomyślała, ciężko oddychając. Wstyd, jaki spadł na nią, był zbyt gorzki, aby mogła „się wypisać”, tak, że znikąd nie było nadziei na ulgę jakakolwiek.

W zimie jadano kolację w Srebrnym Nowiu dopiero po powrocie kuzyna Jimmy z chórów popołudniowych. Pozostawiono więc Emilkę w spokoju. Siedziała na strychu, skulona, pogrążona w gorzkich rozmyślaniach.

Patrzyła przez okienko na senny krajobraz, który kiedyindziej byłby ją oczarował. Za białemi, odległemi pagórkami widniały czerwone obłoki, prześwitujące miejscami poprzez gałęzie drzew; nad ogrodem widniała delikatna koronka splecionych, nagich gałązek; na południo-wschodzie niebo płonęło purpurowym odblaskiem zachodu, a nad gajkiem Wysokiego Jana zawisł maleńki, uroczy półksiężyc: wschodzący nów srebrzysty. Lecz Emilka nie rozkoszowała się dzisiaj żadnem z tych zjawisk.

Teraz zobaczyła pannę Brownell, zmierzającą ku domowi pod białemi konarami brzoź; szła swym męskim krokiem.

— Gdyby ojciec mój żył — rzekła Emilka, spoglądając na nią z góry — wyszłabyś stąd prędzej, niż wejdiesz!

Minuty mijały, każda z nich wydawała się Emilce wiecznością. Wreszcie ciotka Laura przysłała po nią.

— Ciotka Elżbieta wzywa cię do kuchni, Emilko.

Głos ciotki Laury był łagodny i smutny. Emilka z trudem zapanowała nad łkaniem. Nienawistną jej była myśl, że ciotka Laura posądza ją o niegrzeczność, ale nie miała siły udzielić wyjaśnień, nie płacząc. Ciotka Laura byłaby jej współczuła, a to współczucie byłoby rozhartowało Emilkę. W milczeniu zeszała ze schodów, ciotka Laura za nią i weszły obie do kuchni.

Nakryte tu było do kolacji, świece płonęły dokoła stołu. Ciotka Elżbieta siedziała, wyprostowana, przy stole, twarz jej wyrażała nieugiętą stanowczość. Panna Brownell siedziała rozparta na fotelu na biegunach, jej wyblakłe oczy świeciły zwycięsko i drapieźnie. Była w nich przewrotność, jakby trucizna. Nos miała bardzo czerwony, co również nie dodawało jej wdzięku.

Kuzyn Jimmy stał, pochylony nad drzewem, które rąbał, pogwizdując od czasu do czasu. Był jeszcze bardziej podobny do gнома dzisiaj, niż kiedykolwiek. Perry'ego nie było widać nigdzie. Emilka była z tego bardzo niezadowolona. Obecność Perry'ego byłaby dla niej ostoją moralną.

— Przykro mi, Emilko; słyszę, że znowu byłaś dziś niegrzeczna w szkole, — rzekła ciotka Elżbieta.

— Nie, nie sędzę, żeby ci to było przykrem — odrzekła Emilka poważnie.

Teraz, gdy nastąpiło przesilenie, czuła się zdolna do stawienia czoła tym dwom okrutnicom. Notowała sobie w myśli, że zczasem, opisując tę scenę, nie na-

leży zapomnieć o brzydkich cieniach, jakie rzuca świeca na twarz ciotki Elżbiety, uwydatniając chudość jej policzków. A czy, na przykład, panna Brownell mogła być kiedykolwiek dzidziusiem, tłustym, roześmianym dzidziusiem? To było nie do wiary.

— Nie mów *mnie* impertynencji — rzekła ciotka Elżbieta.

— Widzi pani—rzuciła znacząco panna Brownell.

— Nie mam zamiaru mówić nic niewłaściwego, ale tobie nie jest przykro — obstawała przy swoim Emilka. — Jesteś niezadowolona, bo zdaje ci się, że wstyd przyniosłam Murrayom, lecz z drugiej strony cieszy cię troszeczkę, że ktoś podziela twe zdanie o mnie, mówiąc, iż jestem niegrzeczna.

— Cóż za *wdzięczna* natura — rzekła panna Brownell, wznosząc oczy ku górze. Oczom tym ukazał się w tejże chwili dziwny widok. Perry Miller, a raczej jego głowa, wyglądała ciekawie z ciemnego otworu w suficie. Twarz chłopca nie wyrażała bynajmniej szacunku, wykrzywił ją przekomiczny grymas. Twarz i głowa zniknęły natychmiast, pozostawiając pannę Brownell w zdumieniu. Siedziała, nieruchoma i patrzyła bez przerwy w czarną dziurę w suficie, obecnie już zupełnie pustą.

— Złe się zachowywałaś w szkole — rzekła ciotka Elżbieta, nie zważając na tę scenkę, której może nie spostrzegła nawet. — Wstyd mi za ciebie.

— Nie byłam taka niegrzeczna, jak myślisz, ciotko Elżbieto — rzekła Emilka stanowczo — Widzisz, to było tak...

— Nie chcę więcej słyszeć o tem — rzekła ciotka Elżbieta.

— Ale musisz mnie wysłuchać — zawołała Emilka — nie wolno przesłuchiwać tylko ją i być po jej stronie. Byłam trochę niegrzeczna, ale nie tak bardzo, jak ona twierdzi...

— Ani słowa więcej! Słyszałam już wszystko — rzekła ciotka Elżbieta surowo.

— Słyszała pani stek kłamstw — rzucił Perry, którego głowa ukazała się ponownie w czarnym otworze sufitu.

Wszyscy drgnęli, nawet ciotka Elżbieta, która momentalnie rozgniewała się bardziej, niż dotychczas, dlatego właśnie, że drgnęła.

— Perry Miller, zejźdź natychmiast stamtąd! — rozkazała.

— Nie mogę — odparł lakonicznie.

— Natychmiast, powtarzam!

— Nie mogę — powtórzył Perry patrząc bezczelnie na pannę Brownell.

— Perry Miller, masz zejść! Winien mi jesteś bezwzględne posłuszeństwo! Jeszcze jestem panią tego domu!

— Ech, dobrze, — rzekł Perry niedbale. — Skoro tak być musi!...

Spuścił się na dół, zawisł na rękach, dotykając palcami nóg najwyższych szczebli drabiny. Ciotka Laura drgnęła i wydała lekki okrzyk. Wszyscy byli zaskoczeni.

— Zdjąłem z siebie rzeczy, aby je wysuszyć — rzekł Perry od niechcienia — bo przemokłem, wpadłszy po ciemku w kubel z wodą, przeznaczoną dla krów. Moje rzeczy suszą się teraz, ale skoro pani mówi, że muszę zejść...

— Jimmy — zwróciła się błagalnie biedna Elżbieta Murray do kuzyna. Nie była na wysokości tej sytuacji.

— Perry, wracaj do owej dziury w suficie i ubierz się natychmiast! — rozkazał kuzyn Jimmy.

Nagle łydki mignęły w powietrzu i znikły. W ciemnym otworze sufitu słychać było dźwięki, jakgdyby sowa, lub puszczyk obrali sobie tam siedzibę. Ciotka Elżbieta odetchnęła z ulgą i zwróciła się do Emilki. Zdecydowana była, że musi odzyskać władzę i prestiż, Emilka zaś winna się ukorzyć.

— Emilko, uklęknij tutaj przed panią Brownell i przeproś ją za twoje zachowanie dzisiejsze — rzekła.

Na blade policzki Emilki wystąpił rumieniec protestu. Tego nie może uczynić, przeprosi pannę Brownell, ale nie na kolanach. Klękać przed tą okrutną kobietą? Za nic! Tego nie uczyni! Cała jej istota zbuntowała się przeciw temu nowemu upokorzeniu.

Panna Brownell była uradowana i wyczekiwania pełna. To będzie wielkiem zadośćuczynieniem ujrzeć przed sobą na kolanach to dziecko, jako małą pokutnicę. Nigdy już, myślała panna Brownell, nie spojrzy na nią Emilka temi śmiałymi, nieustraszonemi oczami, będącemi wyrazem niezawisłej, nieugiętej duszy, nie obawiającej się żadnych kar cielesnych, ani moralnych. Ta chwila będzie zawsze przytomna pamięci Emilki. Ona nie zapomni nigdy, przed kim klęczała, korna i skruszona. Emilka czuła to równie jasno, jak panna Brownell i uparcie trwała w pozycji stojącej.

— Ciotko Elżbieto, proszę cię, pozwól mi opowiedzieć, jak to było.

— Już słyszałam przebieg tego przykrego zdarze-

nia. Uczynisz to, co rozkazałam, Emilko, w przeciwnym razie będziesz poza obrębem życia domowego. Nikt nie będzie się do ciebie odzywał, nikt nie będzie się z tobą bawił, ani jadł razem, nikt nie będzie miał z tobą nic wspólnego, dopóki mi nie ulegniesz.

Emilka zadrżała. To była kara, której ona nie zniesie. Być odciętą od świata, od swego światka... wiedziała, że to złamie jej opór w krótkim czasie. To już lepiej ustąpić natychmiast, ale o goryczy! O wstydzie!

— Stworzenie ludzkie winno klęczeć li-tylko przed Bogiem — odezwał się nieoczekiwanie kuzyn Jimmy, patrząc w sufit.

Dziwna zmiana zaszła nagle w dumnej, gniewnej twarzy Elżbiety Murray. Stała nieruchomo, patrząc naprzemian na kuzyna Jimmy'ego, to znów na pannę Brownell, która zaczynała okazywać najwyższe zniecierpliwienie.

— Emilko — rzekła ciotka Elżbieta łagodniejszym tonem — niesłusznie postąpiłam, nie powinnam była zmuszać cię do ukłęknięcia. Ale musisz przeprosić twoją nauczycielkę, a potem ja cię ukarzę w jej nieobecności.

Emilka skrzyżowała ręce na plecach i spojrzała znowu prosto w oczy panny Brownell.

— Przykro mi że byłam dziś niegrzeczna—rzekła — i przepraszam panią za to.

Panna Bromwell wstała. Czowała się skrzywdzona: pozbawiono ją należnego jej triumfu. Jakakolwiek karę naznaczą Emilce ona już nie będzie jej świadkiem. Byłaby najchętniej zbiła „głupiego Jimmy Murraya”. Ale nie mogła sobie pozwolić na żaden wybuch, żaden

głośny protest. Elżbieta Murray była bogata i wpływo-  
wa. Zarząd szkolny liczył się bardzo z jej zdaniem.  
Płaciła najwyższe podatki gminne.

— Przebaczę ci twój dzisiejszy postępek, o ile  
będziesz się przyzwoicie zachowywać w przyszłości,  
Emilko, — rzekła zimno. — Czuję, że spełniłam tylko  
mój obowiązek, zawiadamiając twoją ciotkę o tem  
smutnem zdarzeniu. Dziękuję pani, panno Murray. Nie,  
nie mogę pozostać na kolacji, muszę wracać, zanim się  
ściemni zupełnie.

— Bóg czuwa nad podróżnymi — rzekł Perry od  
niechcenia, schodząc po drabinie, tym razem całkiem  
odziany.

Ciotka Elżbieta nie zważała na te słowa. Nie wy-  
padało jej zwracać uwagę na słowa chopca stajenne-  
go w obecności panny Brownell. Ta zniknęła za drzwia-  
mi, a ciotka Elżbieta spojrzała na Emilkę.

— Zjesz kolację sama i dostaniesz tylko chleb i  
mleko — oznajmiła. — I do nikogo nie będziesz mó-  
wić, aż do jutra rana.

— Ale myśleć mi wolno? — zapytała Emilka nie-  
spokojnie.

Ciotka Elżbieta nic nie odpowiedziała. Siedziała,  
wyniosła, przy stole, zastawionym do kolacji. Emilka  
poszła do śpiżarni i jadła tu samotnie kolację, czyli  
chleb z mlekiem. Dokoła niej pachniały kielbaski, któ-  
rych zapach i smak Emilka lubiła bardzo. A kielbaski  
Srebrnego Nowiu były ostatnim wyrazem kielbasek wo-  
góle. Receptę na sporządzenie ich przywiozła Elżbieta  
Burnley z Anglii; tajemnicy tej strzeżono zazdrośnie.  
A Emilka była głodna. Ale uniknęła najsroźszego losu,  
tego, który był ponad jej siły; mogło być gorzej. Nagle



przyszło jej na myśl, że może napisać poemat epiczny na modłę „Pieśni Ostatniego Minstrela”. Kuzyn Jimmy przeczytał jej te Pieśni ubiegłej niedzieli. Zaraz zaczęła układać pierwszą strofę. Gdy Laura Murray weszła do spiżarni, Emilka siedziała z łokciami opartymi o kredens, zapatrzona w dal, poruszając lekko ustami. W oczach miała blask, którego nie widuje się codziennie ani na morzu, ani na lądzie. Chleb i mleko stały niedojedzone, niedopite. Emilka zapomniała nawet o zapachu kiełbasek. Piła z najczystszej źródła, ze źródła natchnienia.

— Emilko — szepnęła ciotka Laura, zamykając drzwi i patrząc z miłością na siostrzeniczkę. — Mnie możesz opowiedzieć cały przebieg dzisiejszego zdarzenia, o ile ci to może przynieść ulgę. Ja nie sądzę, żebyś się tak bardzo źle zachowała, tylko nie powinnaś była pisać wierszy wtedy, kiedy masz odrabiać zadanie arytmetyczne. A tu oto, w tem pudełku masz kruche ciastka.

— Już nie pragnę opowiedzieć przebiegu dnia dzisiejszego nikomu, droga ciotko Lauro; taka jestem szczęśliwa! — odrzekła Emilka. — Tworzę poemat epiczny, nazywa się „Biała Pani”, już mam 20 wierszy, z których dwa są porywające. Bohaterka ma wstąpić do klasztoru, a ojciec jej ostrzega ją, iż, jeśli to uczyni, nigdy już nie ujrzy słońca, nie zazna radości, w ciągu tego życia, które on jej dał, nigdy, aż do grobu! Ciotko Lauro, przeczytam ci kiedyś te wiersze. Gdy je tworzyłam „promyk” rozbłysnął we mnie. Wobec tego nie zależy mi nawet na kruchych ciastkach.

Ciotka Laura uśmiechnęła się ponownie.

— Może w tej chwili ci nie zależy na nich, kochanie — rzekła. — Ale minuta natchnienia minie i wtedy nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie, że kruche ciostka w tem pudełku nie były liczone i że są one tak dobrze własnością Laury, jak Elżbiety.

17.

## LISTY

„Drogi Ojcze,

och, mam ci do opowiedzenia taką nadzwyczajną historję! Stałam się bohaterką niezwyklej przygody. W zeszłym tygodniu poprosiła Ilza, żebym poszła do niej i spędziła z nią wieczór do późnej nocy, bo jej ojciec wyjechał i wróci ostatnim pociągiem, a ona nie boi się wprawdzie, ale będzie się czuła bardzo opuszczona i samotna. Zapytałam ciotkę Elżbietę, czy pozwoli. Nie śmiałam w to wierzyć, drogi Ojcze, bo ona nie pochwała wieczornych przechadzek, zwłaszcza gdy chodzi o małe dziewczynki, ale ku mojemu zdumieniu zgodziła się i to odrazu. Słyszałam potem, jak mówiła do ciotki Laury, że to wstyd tak pozostawiać po całych nocach to biedne dziecko samo. To brzydko ze strony doktora. A ciotka Laura powiedziała, że ten biedak jest postrzelony. Nie był taki, dopóki jego żona... w tem miejscu zaczęło to być naprawdę zajmujące, gdy wtem ciotka Elżbieta trąciła łokciem ciotkę Laure, mówiąc, pst, pst, ściany mają uszy. Miała na myśli mnie, a nie ściany. Takbym chciała się dowiedzieć, dlaczego matka Ilzy umarła, albo co zrobiła in-

nego. Rozmyślam nad tem często, idąc do łóżka. Ilza nie ma pojęcia, co to było. Razu pewnego zadała to pytanie swemu ojcu, a on odrzekł (*głosem Stentora*): nie mów mi nigdy więcej o *tej kobiecie!* I jeszcze coś mnie dręczy. Rozmyślam ciągle o tym nieszczęsnym Szymonie Lee, który zabił swego brata przy starej studni. Jak strasznie musiało mu być na duszy! I nie wiem, co to jest być postrzelonym.

Poszłam więc do Ilzy i bawiłyśmy się na strychu. Lubię się tam bawić, bo możemy robić, co nam się podoba i nie zważać na otaczające przedmioty. Strych Ilzy jest bardzo ciasny i nie był chyba okurzany od szeregu lat. Nie lubię woni, jaka tam się unosi.

Gdyśmy się zmęczyły zabawą, usiadłyśmy na starej skrzyni i zaczęłyśmy gawędzić. Ładnie tu jest za dnia, rzekłam, ale w nocy jest tu z pewnością strasznie. Tu są myszy, rzekła Ilza, i pająki i duchy. Nie wierzę w duchy, rzekłam gniewnie. One nie istnieją. (Ale może jednak istnieją, drogi Ojcze). A mnie się zdaje, że ten strych nawiedzają duchy, rzekła Ilza. Podobno wszystkie strychy są nawiedzane nocą przez duchy i upiory. Niedorzeczności, rzekłam. Widzisz, drogi Ojcze, osobie ze Srebrnego Nowiu nie wypada wierzyć w duchy. Ale było mi nieswojo. Łatwo ci powiedzieć, rzekła Ilza, już rozzłoszczona, ale nie pozostałabyś tu sama jedna na noc. Owszem, bez wahania, odrzekłam. No, to spróbuj, rzekła Ilza; przyjdź tu w nocy i przenocuj tutaj. Wtedy spostrzegłam, że wplątałam się w nieprzyjemną historję, Ojcze drogi. Nie wiedziałam, co robić. Okropną rzeczą było zostać tu na noc, na tym odludnym strychu, ale gdybym się na to nie zdobyła, Ilza wyśmiewałaby się ze mnie, a co naj-

gorsza, powiedziałaoby Tadziowi, że jestem tchórzem. Rzekłam więc: uczynię to, Ilzo Burnley, i ani trochę się nie boję. (Ale się bałam, och tak! w duszy!) Myszy będą biegać po tobie, rzekła Ilza. Nie zamieniłabym się z tobą pod żadnym pozorem. Nie ładnie to ze strony Ilzy, że przedstawiała rzeczy w jeszcze gorszym świetle, byle mnie przerazić. Ale czułam, że mnie podziwiała i to mi dodało otuchy. Sprowadziłyśmy z rupieciarni stare łóżko, Ilza dała mi poduszkę i kołdrę. Ściemniło się przez ten czas i Ilza nie chciała wracać na strych. A zatem odmówiłam nader pilnie pacierze i z lampą w ręku udałam się na strych. Tak jestem teraz przyzwyczajona do świateł, że lampa mnie trwoży. Ilza mówi, że wyglądałam jak śmierć. Kolana ugięły się pode mną. Ojcie drogi, ale szłam dalej dla honoru Starrów i (i Murrayów również). Rozebrałam się w pokoju Ilzy, tak że poszłam prosto do łóżka i zgasiłam lampę. Ale nie mogłam usnąć. Księżyc zaglądał w okno strychu. Stare ubrania, zwieszające się ze ścian, wyglądały jak żywe istoty. Mówiłam sobie, że nie należy się bać. Ale potem poczułam, że zlekłabym się równie dobrze anioła, jak każdej innej postaci. Słyszałam chrobotanie myszy i szczurów. Pomyślałam, co ja zrobię, jeżeli szczur przebiegnie po mnie, a w następnej chwili przyszło mi na myśl, że nazajutrz opiszę strych w nocy i odmaluję moje uczucia podczas tej próby. Wreszcie usłyszałam powrót doktora, jego kroki w kuchni i w pokojach. To mi dodało otuchy i usnęłam. Śniła mi się rzecz straszna. A mianowicie: otworzyły się drzwi rupieciarni, wyszła z nich wielka gazeta i goniła mnie po całym strychu. Wtem gazeta zapaliła się, wybuchnął pożar, czułam dym i obudzi-

łam się z krzykiem. Siedziałam wyprostowana na łóżku, gazeta znikła, ale dym czuć było jeszcze w powietrzu. Spojrzałam na drzwi rupieciarni i zobaczyłam przez szparę odblask ognia, wówczas wrzasnęłam i zbiegłam na dół do pokoju Ilzy, a ona przebiegła przez hall i zbudziła swego ojca. On zaklął, ale zaraz wstał i wszyscy troje pobiegliśmy na strych i tak biegaliśmy na górę i na dół przez kilkanaście minut, wnosząc kubły wody, to znów schodząc po wodę z pustymi kubłami. Wreszcie ugasiiliśmy pożar. Zapaliły się worki wełniane, wiszące tuż przy kominie. Doktor stwierdził, że jeszcze parę minut, a byłoby za późno na wszelki ratunek. On jest sprawcą pożaru: widocznie padła iskra, kiedy sobie przyrządzał herbatę, wróciwszy do domu. Jakże się to stało, że ty odkryłaś ten pożar, Emilko, spytał. Spałam na strychu, odrzekłam. Spałaś na strychu, zdziwił się doktor, a cóż tam robiła? Ilza mówiła, że się nie ośmielę, odrzekłam, więc musiałam. Usnęłam, obudziłam się i poczułam dym. Ty, djabełku, rzekł doktor. To jest chyba straszna rzecz zostać nazwaną djabełkiem, ale doktor patrzył na mnie przy tych słowach z takim podziwem, że zrozumiałam, iż był to komplement. On tak dziwnie mówi! Ilza powiada, że on raz tylko jeden przemówił do niej czule. Było to wtedy, kiedy ją gardło bolało, a on nazwał ją „biednym zwierzątkiem”. Wyglądał tak, jakby mu było przykro, że ona jest chora. Pewna jestem, że Ilzie jest bardzo smutno z powodu nieczułości ojca, chociaż ona utrzymuje, że jej to jest obojętne. Ale, drogi Ojczy, jest do opowiedzenia jeszcze coś: wczoraj przyszła gazeta „Czas Tygodniowy”, gdzie jest wzmianka, iż panna Emilja Starr zauważyła, na szczę-

ście, pożar w mieszkaniu dra Burnleya w samą porę. Nie umiem ci opisać, czego doznałam, widząc moje nazwisko wydrukowane w gazecie. Poczułam się *ślawną*. I nikt mnie dotychczas nie nazywał „panną” na serjo.

Zeszłej soboty ciotka Elżbieta i ciotka Laura pojechały do Shrewsbury, a kuzyn Jimmy i ja pilnowaliśmy domu. Bawiliśmy się świetnie, kuzyn Jimmy pozwolił mi zebrać śmietankę z całego mleka, ze wszystkich naczyń! Ale po obiedzie zjawili się nieoczekiwani goście, a w domu nie było ciasta. To było straszne. Nigdy nie notowano nic podobnego w rocznikach Srebrnego Nowiu. Ciotka Elżbieta miała ból zębów, a ciotka Laura pojechała w odwiedziny do ciotki Nancy, tak że nie upieczono ciasta. Ja pomodliłam się i upiekłam ciasto według recepty ciotki Laury. Udało się całkiem dobrze. Kuzyn Jimmy pomógł mi nakryć do stołu, nalałam herbatę, nie uroniwszy ani kropelki na spodeczki. Byłbyś ze mnie dumny, Ojczy. Pani Lewis wzięła drugi kawałek ciasta, mówiąc, że poznałaby ciasto Elżbiety Murray nawet w Środkowej Afryce. Ja się nie odezwałam ani słowem przez wzgląd na honor rodzinny. Ale byłam bardzo dumna. Ocaliłam Murrayów od wstydu. Gdy ciotka Elżbieta wróciła do domu i usłyszała nasze opowiadanie, miała ponurą minę i skosztowała ciasta, po czym rzekła: no, jest w tobie przecież krew Murrayów. Pierwszy to raz pochwaliła mnie ciotka Elżbieta. Wyjęto jej trzy zęby, tak że już nie będzie cierpieć. Cieszy mnie to. Przed dojściem do łóżka przeczytałam w książce kucharskiej przepis na wszystkie potrawy, których chciałabym się nauczyć.

Widzę takie cudne białe obłoczki nad ścieżką Wysokiego Jana. Pragnęłabym móc pofrunąć i zaszyć się w nie. Nie mogę uwierzyć, żeby one były wilgotne i brudne, jak twierdzi Tadzio. Tadzio wyrł szczyrykiem swoje i moje inicjały na Królu Lasów, ale ktoś je wymazał. Nie wiem kto, czy Ilza, czy Perry.

Panna Brownell daje mi teraz stale złe stopnie, co gniewa ciotkę Elżbietę, ale ciotka Laura rozumie. Napisałam sprawozdanie z owego dnia, kiedy panna Brownell wyśmiewała się z moich poezji. Włożyłam je w kopertę, zaadresowałam do ciotki Elżbiety i ukryłam w otomanie. Jeżeli umrę na suchoty, ciotka Elżbieta znajdzie to sprawozdanie i zobaczy, jaka była dla mnie niesprawiedliwa. Ale chyba nie umrę, bo coraz bardziej tyję, a Ilza słyszała swego ojca, mówiącego do ciotki Laury, że byłabym ładna, gdybym miała rumieńce. Nie powinno się pragnąć być ładną, to bardzo źle, prawda, drogi Ojcze? Ciotka Elżbieta tak mówi, a kiedy jej zadałam pytanie: a czy ty nie chciałabyś być ładna, ciotko Elżbieto?, wyglądała na niezadowoloną z czegoś, ale nie wiem z czego.

Panna Brownell ma wciąż urazę do Perry'ego za ów pamiętny dzień wyszydzenia przez nią moich wierszy. Traktuje go podle, ale on jest dla niej niezmiernie uprzejmy, bo mówi, że po to jest w szkole jedynie, aby się uczyć. On twierdzi, że jego rymy są równie dobre, jak moje, a ja wiem, że nie, że są gorsze, więc mnie to wyprowadza z równowagi. O ile nie uważam podczas lekcji, panna Brownell mówi: zapewne stworzysz nowe arcydzieła, Emilko; wówczas wszyscy się śmieją. Nie, nie wszyscy. Nie powinienam przesadzać.

Tadzio i Perry i Ilza i Jennie nie śmieją się nigdy. Jakie to dziwne, że tak bardzo lubię teraz Jennie, a tak strasznie jej nienawidziłam, gdy przyszłam do szkoły po raz pierwszy. Ostatecznie nie jest ona piegowata cała, od stóp do głowy, bo przecież oczy jej nie są piegowate. Są małe, ale ładne i wesołe. Ona jest w szkole całkiem *popularna*. Nienawidzę Franka Barkera. Zabazgrał mi całą stronicę moich nowych czytanek. Ponieważ była to pierwsza, niezadrukowana kartka, więc ją wyrwałam, ale ciotka Elżbieta bardzo się o to rozgniewała i nawet, gdy jej wytłumaczyłam, jak to było, nie uspokoiła się od razu. Franek napisał tam różne rzeczy o Bogu, które wydały mi się niewłaściwe. Ilza mówi, że dla pewności będzie nazywać Boga Allahem, żeby uniknąć bluźnierstwa. Mnie się podoba ta nazwa, taka jest wdzięczna, taka melodyjna... ale nie wiem, czy to wypada, tak nazywać Pana Boga. Obawiam się, że nie.

20 maja.

Wczoraj były moje urodziny, Ojczy drogi. Niebawem upływa rok od chwili mego przyjazdu do Srebrnego Nowiu. Czuję się tak, jakgdybym zawsze tutaj mieszkała. Urosłam o dwa cale. Kuzyn Jimmy zmierzył mnie, robiąc znak na drzwiach mleczarni. Urodziny moje wypadły bardzo ładnie. Ciotka Laura upiekła pyszne ciasto i podarowała mi spódniczkę z haftowaną falbaną. Przeciągnęła przez nią niebieską wstążkę, ale ciotka Elżbieta kazała jej wstążkę wyciągnąć. Ciotka Laura podarowała mi też ten kawałek czerwonego brokatu, który leżał u niej w szufladzie. Marzyłam o nim od chwili, kiedy go zabaczyłam, ale



nigdy nie miałam nadziei, że go otrzymam. Ilza spytała mnie, co zamierzam z nim robić, a ja nic nie zamierzam z nim robić. Będę go tylko trzymać na strychu z innymi skarbami i spoglądać od czasu do czasu, bo jest piękny. Ciotka Elżbieta podarowała mi słownik. To jest prezent pożyteczny. Czuję, że powinnam się z niego cieszyć. Niebawem zauważysz postępy w mojej pisowni, mam nadzieję. Tylko, że gdy piszę o czymś z przejęciem, to bardzo trudno mi jest oderwać się od pisania i zajrzeć do słownika, jak się pisze dane słowo. Kuzyn Jimmy podarował mi dużą oprawną księgę o białych niezapisanych kartkach. Bardzo jestem z niej dumna. Tak przyjemnie będzie wpisywać do niej poezje. Ale do ciebie, Ojcze, będę nadal pisywać na papierze listowym, bo mogę składać te kartki dowolnie i adresować koperty tak, jakgdyby szły pocztą. Tadzio podarował mi mój portret. Namalował go farbami wodnymi i nazwał go „Uśmiechnięta Dziewczynka”. Wyglądam, jakgdybym pilnie słuchała czegoś, co napelnia mnie wielką radością. Ilza mówi, że jestem „pochlebiona”. Owszem, wyglądam na portrecie lepiej, niż w rzeczywistości, ale nie lepiej, niżbym wyglądała, gdybym miała grzywkę. Tadzio mówi, że namaluje prawdziwy, duży mój portret, skoro dorośnie. Perry poszedł aż do Shrewsbury pieszo, aby mi kupić naszyjnik z paciorków i zgubił go, wracając. Nie miał już więcej pieniędzy, więc wstąpił do swej ciotki Tomaszowej, wziął od niej kurczę i ofiarował mi je. On jest bardzo wytrwałym chłopcem. Wszystkie jaja, jakie złoży moja kura, sprzedawać będą wędrownemu kupcowi i ciągnąć stąd zyski osobiste. Ilza podarowała mi pudełko cukierków. Będę jeść te

cukierki po jednym raz dziennie, ażeby mieć je dłużej. Poczęstowałam Ilzę, ale ona odmówiła, mówiąc, że to byłoby podłe zjadać swój własny prezent, a że ja zaczęłam bardzo nalegać, więc wkońcu pokłóciłyśmy się. Ilza oznajmiła, że jestem miauczącym czworonogiem (co jest śmieszne!), że sama nie wiem, jak „się mam”. A ja odpowiedziałam, że wiem natomiast, jak się należy zachowywać. Ilza tak się rozgniewała, że poszła do domu, ale ochłonęła niebawem i wróciła na kolację.

Dzisiaj deszcz pada, słucha się tego, jak stapania dobrych wróżek po dachu, jak ich płasów. Gdyby deszcz nie był padał, Tadzio byłby zszedł do nas ze wzgórza i byłby mi pomógł w szukaniu Zaginionego Djamentu. Czy to nie byłoby cudowną rzeczą, gdybyśmy go odnaleźli?

Kuzyn Jimmy pracuje w ogrodzie. Ja mu pomagam, mam własny klombik. Co rano wybiegam przed dom, aby sprawdzić postępy młodych pędów. Jak one rosną przez noc! Wiosna jest taką uszczęśliwiającą porą roku. czy nie, drogi Ojczy? Dokoła altany pełno jest Błękitnych Krasnoludków. Kuzyn Jimmy tak nazywa fijołki, ja uważam, że to śliczna nazwa. On ma nazwy dla wszystkich kwiatów. Róże są Królowemi, lilje czerwcowe Śnieżkami, tulipany są Wesołym Ludkiem, narcyzy są Złocieniami, a chińskie Astry są Ponsowymi Przyjaciółmi.

Kicia II jest tu ze mną, siedzi na parapecie. Kicia jest cacanym kotkiem. „Cacany” nie znajduje się w słowniku. To jest moje własne określenie. Nie mogłam znaleźć wyrazu na określenie Kici II, więc użyłam tego słowa, którego niema w słowniku. To znaczy słod-

ki, przymilający się, śliczny, pieszczotliwy, wszystko razem i jeszcze coś, czego nie umiem wyrazić wogóle.

Ciotka Laura uczy mnie szyć. Mówi, że muszę umieć obrębiać niewidzialnym ścięciem (tradycja). Mam nadzieję, że nauczy mnie czasem robić koronki. Wszyscy Murrayowie ze Srebrnego Nowiu znani są z pięknych koronek (chciałam powiedzieć: wszystkie *panie* Murray...) Żadna z dziewczynek w szkole nie umie robić koronek. Ciotka Laura mówi, że robi mi do ślubu koronkową chusteczkę do nosa. Wszystkie panny młode w Srebrnym Nowiu miały do ślubu koronkowe chusteczki z wyjątkiem mojej matki, która uciekła. Ale tobie to nie sprawiło przykrości, że nie miała takiej chusteczki, wszak prawda, Ojcze? Ciotka Laura rozmawia ze mną dużo o mojej matce, ale ciotka Elżbieta nie wymawia nigdy jej imienia. Ciotka Laura chce mi pokazać pokój matki, ale dotychczas nie znalazła klucza od tego pokoju, tak dobrze schowała go ciotka Elżbieta. Ciotka Laura mówi, że ciotka Elżbieta bardzo kochała moją matkę. Moznaby wobec tego pomyśleć, że kocha i jej córkę. A tymczasem nie! Wychowuje mnie, bo jest to jej obowiązek.

1 czerwca.

Drogi Ojcze,

dzień dzisiejszy był bardzo doniosły. Napisałam pierwszy mój list. Mam na myśli pierwszy list, który naprawdę odszedł pocztą. Napisałam go do ciotki Nancy, która mieszka w Księżym Stawie i jest bardzo stara. Jestto właściwie moja babka cioteczna. Ona napisała do ciotki Elżbiety i oznajmiła, że powinnam pisywać od czasu do czasu do biednej sędziwej kobiety.

Serce mi zabiło współczuciem i zapragnęłam napisać do niej list. Ciotka Elżbieta powiedziała: „nie widzę dlaczego ty nie miała tego zrobić”. Kazała mi pisać starannie, a potem przeczytała, co napisałam. „Ciotka Nancy nie zapomni o tobie, jeżeli pozyskasz jej względy”, rzekła jeszcze ciotka Elżbieta. Napisałam mój list bardzo starannie, ale nie brzmiał dobrze, gdy go przeczytałam. Nie mogłam dobrze pisać, wiedząc z góry, że ciotka Elżbieta ma przeczytać to, co piszę. Czułam się sparaliżowana.

7 czerwca.

Ojcie drogi, mój list nie wywarł dobrego wrażenia na ciotce Nancy. Nie odpowiedziała mi, ale napisała do ciotki Elżbiety, że jestem widocznie bardzo głupim dzieckiem, skoro mogę pisywać takie głupie listy. To mnie dotknęło, ponieważ nie jestem głupia. Perry mówi, że wybierze się niebawem do Księżego Stawu i kości porachuje mojej babce ciotecznej Nancy. Powiedziałam mu, że nie powinien tak się wyrażać o mojej rodzinie, a swoją drogą nie rozumiem, w czymby porachowanie kości ciotki Nancy zmieniło jej pogląd na mój rozum. (Ciekawa jestem, jak się rachuje ludzkie kości).

Mam już trzy strofy „Białej Pani” gotowe. Zamknęłam bohaterkę w klasztorze, a teraz, ponieważ nie jestem katoliczką, nie wiem, jak ją stamtąd wydobyć. Zdaje mi się, że byłoby lepiej, gdyby moja bohaterka była protestantką. W zeszłym roku byłabym mogła dowiedzieć się od Wysokiego Jana, co zrobić, ale w tym roku nie mogę, bo nie rozmawiałam z nim od owego żartu z jabłkiem. Kiedy go spotykam na drodze, patrzę

prosto przed siebie. Nazwałam jego imieniem moją świnie. Kuzyn Jimmy podarował mi prosiątko na własność. Kiedy je sprzedamy, te pieniądze będą też moją własnością. Mam zamiar oddać część misjonarzom, a część złożyć w banku, ażeby mieć fundusz na moje kształcenie. A ja myślałam, że jeżeli kiedykolwiek będę miała świnie, nazwę ją „wuj Wallace”. Ale teraz wydaje mi się to nieodpowiednie nadawać świniom imiona moich własnych wujów, nawet jeżeli ich nie lubię.

Tadzio, Perry, Ilza i ja bawimy się w rycerzy i w uciśnione panny z czasów średniowiecza. Ilza i ja jesteśmy nieszczęśliwymi szlachciankami, a Tadzio i Perry są rycerzami. Tadzio sporządził wspaniałą zbroję z miedzi, której dostarczyły stare rondle, ale Perry zrobił jeszcze lepszą zbroję z cynowych garnków, a wysoki, uszkodzony rondelik stał się hełmem. Czasami bawimy się u Tadzia. Doznaję dziwnego uczucia, a mianowicie, że matka Tadzia nienawidzi mnie w tym roku. W zeszłym roku w lecie zносиła mnie zaledwie. Smok i Pierwiosnek są nieobecni. W ciągu zimy zniknęły tajemniczo obydwaj. Tadzio mówi, że z pewnością matka je otruła, bo, podług niej on je zanadto polubił. Tadzio uczy mnie gwizdać, ale ciotka Laura powiada, że to nieodpowiednie dla panienki! Czasami pragnę niemal, żeby moje ciotki były niewierzące, podobnie jak dr. Burnley. Jemu jest obojętne, czy Ilza zachowuje się, jak przystało na panienkę, czy nie. Ale nie, to nie byłoby dobrze, być niewierzącymi. To było przeciwne tradycji Srebrnego Nowiu.

Dzisiaj uczyłam Perry'ego, żeby nie jadł nożem. On pragnie nauczyć się wszystkich *prawideł etykiety*.

A ja mu pomagam w wyuczeniu się napamięć wiersza, który ma zadeklamować w dniu egzaminów szkolnych. Prosiłam Ilzę, żeby ona mu w tym dopomogła, ale ona była oburzona, że on mnie pierwszą poprosił o pomoc i nie zgodziła się. A powinnam była mu pomóc, bo on deklamuje znacznie lepiej ode mnie. Ja jestem zbyt *nerwowa*.

14 czerwca.

Ojcie drogi, dzisiaj miałyśmy klasówkę w szkole i dowiedziałam się, że trzeba zrobić znak następujący: „ ”, gdy się przytacza cudze słowa. Nie wiedziałam o tem dotychczas. Muszę przejrzeć moje listy do Ciebie i wszędzie powstawić te znaki. A po zapytaniu trzeba postawić znak następujący: ? A kiedy się opuszcza literę, należy zrobić apostrofę, czyli przecinek w powietrzu, o taki: '. Panna Brownell jest ironiczna, ale dużo umie i uczy nas ciekawych rzeczy. Piszę o tem, ponieważ chcę być szlachetną i stwierdzać zalety tych osób, których nienawidzę. A przytem ona jest zajmująca, chociaż nie jest miła. Opisałam ją na oddzielnym kawałku papieru listowego. Lubię opisywać ludzi, których nie lubię, bardziej nawet, niż tych, których lubię. Ciotka Laura jest przyjemniejsza w pożyciu domowem od ciotki Elżbiety, ale pisać wolę o ciotce Elżbiecie. Mogę opisywać jej wady, natomiast czuję się niegodziwą niewdzięcznicą, o ile mówię coś niezupełnie miłego o kochanej ciotce Laurze. Ciotka Elżbieta zamknęła na klucz bibliotekę i postanowiła, że nie będę czytywać jej książek, dopóki nie dorosnę. Jak-gdybym nie była o nie dbała, drogi Ojcie! Ona mówi, że nie dbałam o nie, bo w jednym tomie podkreśliłam

cienkim ołówkiem wszystkie wyrazy, które uważałam za piękne. To nic a nic nie szkodzi książce, drogi Ojcie. Oto niektóre z tych wyrazów: dolinka, perlisty, różnobarwny, kotlinka, lesisty, kwilący, wyzębiony, bukowy, kość słoniowa. Mnie wszystkie te wyrazy ogromnie się podobają, drogi Ojcie.

Ciotka Laura pozwala mi czytać swój egzemplarz „Pielgrzyma”. Nazwałam ten duży pagórek przy drodze do Białego Krzyża Rozkoszną Górą, bo to takie piękne wzgórze!

Tadzio pożyczył mi trzy tomy poezji. Jeden z nich zawiera same poezje Tennysona, nauczyłam się na pamięć „Pieśni Myśliwego”, tak że posiadam ją teraz na zawsze. Drugi tomik są to poezje pani Browning. Śliczne! Byłabym chciała ją znać osobiście. Przypuszczam, że ją poznam czasem, kiedy umrę, ale to jeszcze nieprędko! Trzeci tomik zawiera tylko jeden poemat pod tytułem: „Sorab i Rustum”. Płakałam nad nim, poszedłszy do łóżka. Ciotka Elżbieta spytała: „Dlaczego wciągasz nosem?” Ja nie wciągałam nosem, tylko bardzo szczerze płakałam. Opowiedziałam jej wszystko, a ona orzekła: „Jesteś widocznie szalona”. Ale nie mogłam usnąć, dopóki nie obmyśliłam innego, pomyselnego zakończenia tego poematu.

25 czerwca.

Ojcie drogi,  
data dzisiejsza jest dla mnie „feralna”. Upuściłam w kościele mego centa. Potoczył się ze strasznym hałasem. Czułam, że wszyscy na mnie patrzą. Ciotka Elżbieta była bardzo niezadowolona. Perry upuścił niebawem swego centa. Potem mi wyjaśnił, że zrobił

to umyślnie, żeby mnie było raźniej, ale mnie to nie sprawiło przyjemności żadnej, bo wszyscy myśleli, napewno, że to ja po raz drugi upuściłam mój pieniądz. Chłopcy są tacy dziwni. Mam nadzieję, że pastor nic nie słyszał. Zaczynam go lubić bardzo. Nie lubiłam go do zeszłego piątku. On ma w rodzinie samych chłopców, więc sędzę, że niezbyt dobrze rozumie małe dziewczynki. We wtorek przybył do Srebrnego Nowiu. Ciotka Laura i ciotka Elżbieta były nieobecne obie, ja byłam w kuchni sama. Pan Dare wszedł i usiadł na Nieznośniku, który spał na fotelu na biegunach. Jemu było wygodnie, ale Nieznośnikowi było niewygodnie. Nie siedział pastor wprawdzie na jego żołądku, gdyż w takim razie byłby go chyba zabił; siedział na jego nogach i ogonie. Nieznośnik miauczał, ale pan Dare jest przygłuchy i nie słyszał, a ja nie śmiałam mu nic powiedzieć. Ale kuzyn Jimmy nadszedł właśnie w chwili, kiedy pastor pytał mnie, czy znam katechizm, a ja odpowiedziałam: „Katechizm, czy tak? To, zdaje się, jest wyjątek z katechizmu również: człowieku prawego serca, posłuchaj tego biednego, niemego zwierzęcia. Wstań, jeśli jesteś chrześcijaninem”. Pan Dare wstał i rzekł: „Boże mój, szczególnie! Zdawało mi się, że coś się rusza pode mną”.

Pomyślałam sobie zaraz, że ci to opiszę, Ojcie drogi, bo mnie to rozśmieszyło.

Gdy pan Dare przestał mnie wypytywać, przyszło mi na myśl, że teraz kolej na mnie, że mam sposobność zadania mu szeregu pytań, dręczących mnie od szeregu lat. Zadałam mu pytanie, czy Pan Bóg bardzo się przejmuje różnemi drobnemi rzeczami, które ja robię i czy on przypuszcza, że moje kotki pójdą do



nieba. Odpowiedział mi, że ma nadzieję, iż nigdy nie robię nic złego, a zwierzęta nie mają duszy. Wtedy powiedziałam mu, że mi jest bardzo przykro, bo powinnam kochać Boga bardziej, niż cokolwiek na świecie, a tymczasem ja kocham wiele rzeczy bardziej, niż Boga. Zapytał: „Jakie rzeczy?”, a ja odpowiedziałam: kwiaty i gwiazdy i Królowę Wichrów i Trzy Księżniczki i różne temu podobne rzeczy. Uśmiechnął się i rzekł: „Ależ one są częścią Boga, Emilko, każda piękna rzecz jest częścią Boga”. W jednej chwili polubiłam go ogromnie i już nie jestem onieśmielona jego obecnością. Zeszłej niedzieli miał kazanie o niebie. Wydaje mi się na mocy tego kazania, że niebo jest nudną miejscowością. Ale ono jest chyba w rzeczywistości bardziej zajmujące, niż w jego opowiadaniu. Ciekawa jestem, co ja będę robić w niebie, skoro nie umiem śpiewać. Czy aby pozwolą mi pisać poezję? Ale kościół jest bardzo zajmujący. Ciotka Elżbieta i ciotka Laura zawsze czytają Biblię przed nabożeństwem, a ja lubię się rozglądać i widzieć wszystkich dokoła i zgadywać, o czym kto myśli. To tak przyjemnie słyszeć szelest jedwabnych sukien dokoła. Bufiaste rękawy są bardzo modne, ale ciotka Elżbieta nie chce ich nosić. Ciotka Elżbieta wyglądałaby chyba zabawnie z bufiastymi rękawami.

Twoja najbardziej kochająca córka  
Emilja B. Starr.

P. S. Ojcie drogi, tak cudnie jest pisać do Ciebie. Ale, ach! nigdy nie otrzymuję odpowiedzi od Ciebie.  
E. B. S.”

## OJCIEC CASSIDY.

W Srebrnym Nowiu panowało przygnębienie. Wszyscy byli niepocieszeni. Ciotka Laura płakała. Ciotka Elżbieta była tak podrażniona i niezdolna, że trudno z nią było wytrzymać. Kuzyn Jimmy snuł się jak duch pokutujący, a Emilka zrezygnowała z dociekań na temat matki Ilzy i ducha Szymona Lee, który zamordował własnego brata i rozmyślała o tej nowej trosce. Bo troska ta miała swe źródło w podeptaniu przez nią tradycji Srebrnego Nowiu, a mianowicie w jej odwiedzinach u Wysokiego Jana, czego ciotka Elżbieta nie omieszkła jej wypomnieć. Gdyby ona, Emilja Byrd Starr, nie była chodziła do Wysokiego Jana, nie byłaby nigdy zjadła słodkiego jabłka, a gdyby nie była zjadła słodkiego jabłka, Wysoki Jan nie byłby z niej zażartował, a gdyby nie był z niej zażartował, ciotka Elżbieta nie byłaby nigdy poszła do niego i powiedziała mu gorzkich prawd w Murrayowskim stylu; a gdyby ciotka Elżbieta nie była mu powiedziała tych gorzkich prawd, Wysoki Jan nie byłby zapalał żądzą zemsty i nie byłby powziął w swej wysoko osadzonej głowie pomysłu, który zasepił wszystkim czoła w Srebrnym Nowiu: Wysoki Jan postanowił wyciąć gaik, piękny gaik, położony na północ od domu Murrayów.

Zamiar ten oznajmił Wysoki Jan w sklepiku spożywczym w Czarnowodzie. A gaik ten uważali Murrayowie za swą kolebkę poniekąd, bo tu wylądował swego czasu ich angielski pradziad, według legendy ro-

dzinnej. Nowiny szybko rozchodziły się w Czarnowodzie, więc i ta dotarła rychło do Srebrnego Nowiu i wstrząsnęła jego mieszkańcami tak, jak nic nimi nie wstrząsnęło od długiego szeregu lat. W oczach ich równało się to katastrofie.

Elżbieta i Laura nie mogły w to uwierzyć. To było niewiarogodne. Ten gaik sosnowy był tutaj *zawsze, moralnie* należał on do Srebrnego Nowiu. Nawet Wysoki Jan Sullivan nie ośmielił się go wyciąć. Ale Wysoki Jan zażywał tej niepocieszającej opinji, że czyni to, co zapowiada: a jeżeli to uczyni... jeżeli uczyni...

— Srebrny Nów będzie zniszczony — biadała ciotka Laura — będzie wyglądał okropnie, całe piękno zostanie unicestwione, wiatry północne i burze morskie będą miały dostęp, a dotychczas było tu zawsze ciepło i zacisznie. Ogród Jimmy'ego będzie też zniszczony.

— Oto rezultaty przyjazdu Emilki do naszego domu — rzekła ciotka Elżbieta.

To były okrutne słowa, jeżeli nawet wziąć pod uwagę wszelkie okoliczności łagodzące, były to słowa okrutne i niesprawiedliwe, gdyż jej własny sarkazm i ostry język Murrayowski przyczyniły się do obecnego stanu rzeczy niemniej, niż Emilka. A Emilkę przeszły te wyrazy strasznym bólem, który przetrwał lata całe. Biedna Emilka miała już i bez tego dosyć utrapień. Teraz czuła się tak wyklętą, że nie mogła jeść, ani spać w nocy. Elżbieta Murray była wprawdzie gniewna i nieszczęśliwa, lecz snu jej to nie pozbawiało. Przy niej zaś leżała w ciemnościach drobna istotka, po której policzkach spływały wielkie łzy, nie przy-

nosząc ulgi jej zbolełemu sercu. Emilka uważała, że serce to jest złamane, że nie będzie mogła żyć nadal, cierpiąc tak bardzo. Niktby nie mógł.

Emilka pokochała Srebrny Nów, jakgdyby żyła tu od urodzenia. Kochała każdy kamień, każde drzewko, każdy gwóźdź w kuchni, każdą kępkę mchu na dachu mleczarni. Myśl, że piękność dworku ucierpi, była jej nieznośna. A cóż dopiero myśl, że ogród kuzyna Jimmy nie przetrzyma tego wycięcia gaiku, chroniącego owoce i jarzyny od wiatrów północnych! Emilka kochała ten ogródek nie mniej, niż sam kuzyn Jimmy. A przytem znikną jej ścieżki: Dzisiejsza, Wczorajsza i Jutrzejsza, zniknie z powierzchni ziemi ta altana, gdzie Ilza i ona spędziły tyle cudnych chwil, zniknie miejsce tylu uroczych wspomnień.

O, tak! Wysoki Jan dobrze przygotował swą zemstę, cios był wymierzony celnie!

Kiedy usłyszą dźwięk siekier, rąbiących pnie drzewne? Co rano Emilka nasłuchiwała z najwyższym napięciem niepokoju i trwogi. Co wieczór, wracając ze szkoły, drżała na myśl o widoku, jaki może ujrzy za chwilę. Chwilami wydawało jej się, że już dłużej ciężaru życia nie będzie mogła znosić. Codziennie wyrażała ciotka Elżbieta jakąś nagane, zwalającą na nią całą odpowiedzialność za to nowe nieszczęście. Dziewczynka stała się chorobliwie przewrażliwiona. Pragnęła nieomal, żeby Wysoki Jan zaczął już wyrąb gaiku i skończył z tem jaknajrychlej. Gdyby Emilka była kiedykolwiek słyszała historję o Damoklesie, byłaby mu współczuła z całej duszy. Gdyby była miała nadzieję, że to odniesie skutek, byłaby zrzuciła z serca pychę Murrayów i pychę Starrów i wszelką inną od-

mianę pychy i byłaby się zawlekleła na klęczkach do Wysokiego Jana, błagając go, aby cofnął swą mściwą rękę. Ale pewna była, że to byłoby daremne. Wysoki Jan niewątpliwie wykona swą groźbę. Dużo o tem rozprawiano w Czarnowodzie, niektórzy radzi byli temu nowemu upokorzeniu pychy Murrayów, temu umniejszeniu prestiżu Srebrnego Nowiu, inni zaś twierdzili, że jest to niski i nieszlachetny postępek ze strony Wysokiego Jana, dziwiąc się zarazem, że ten zawzięty człowiek nie uczynił już oddawna tego, co teraz obwieścił. Niecierpiał on zawsze Elżbiety Murray, jeszcze z ich wspólnych czasów szkolnych, kiedy nie oszczędzał go jej ostry język.

Razu pewnego siedziała Emilka na ławce w Czarnowodzie i płakała. Posłano ją, żeby złożyła kwiaty na grobie babki Murrayowej. Wykonała polecenie, a teraz nie miała odwagi wracać do domu, gdzie ciotka Elżbieta czyniła wszystkim życie wręcz nieznośnem, dlatego że była sama tak bardzo nieszczęśliwa. Perry przyniósł wiadomość, że Wysoki Jan oznajmił poprzedniego dnia kowalowi, iż w poniedziałek zrana zacznie wycinać gaik przy Srebrnym Nowiu.

— Nie przeżyję tego — szlochała Emilka.

Kilka róż jesiennych patrzyło na nią. Królowa Wichrów kołysała długą trawą, rosnącą na mogiłach, w których dumni Murrayowie, mężczyźni i kobiety, spali spokojnie, obojętni na dawne urazy i namiętności; słońce wrześnieowe przyświecało łagodnie, niebo było błękitne, bez chmurki.

— Nie rozumiem, dlaczego Bóg nie zatrzymuje ręki Wysokiego Jana — rzekła Emilka gwałtownie.

Z pewnością Murrayowie ze Srebrnego Nowiu mieli prawo spodziewać się aż tego po Opatrzności.

Tadzio nadszedł, gwizdząc. Zbliżył się do niej niedbałym krokiem.

— Co się stało? — zapytał.

— Wszystko się stało — odrzekła Emilka ze złością. Tadzio nie powinien był wyglądać tak obojętnie. Przyzwyczajona była do żywszego współodczuwania ze strony Tadzia i ta jego pozorna beztroska potęgowała jej zmartwienie.

— Czy nie wiesz, że Wysoki Jan zamierza w poniedziałek przystąpić do wycinania naszych sosen?

Tadzio pokiwał głową.

— Tak. Ilza mi powiedziała. Ale słuchaj, Emilko, przyszło mi coś na myśl. Wysoki Jan nie ośmieliłby się ruszyć ani jednej sosny, gdyby mu ksiądz zabronił.

— Tak?

— Tak; katolicy muszą czynić to wszystko, co im nakaze ich ksiądz.

— Nie wiem o tem, ja jestem presbiterjanką.

Emilka podniosła głowę do góry. Pani Kent była anglikanką, wszyscy o tem wiedzieli. Tadzio uczęszczał wprawdzie do presbiterjańskiej szkółki niedzielnej, ale w kołach presbiterjańskich boczoło się na niego z powodu religji matki.

— Gdyby twoja ciotka Elżbieta poszła do ojca Cassidy, do Białego Krzyża i poprosiła go, aby wpłynął na Wysokiego Jana, możeby on to uczynił — ciągnął dalej Tadzio.

— Ciotka Elżbieta nigdy tego nie uczyni — rzekła Emilka stanowczo. — Za dumna jest na to.

— Nawet dla ocalenia gaiku tego nie uczyni?

— Nawet dla ocalenia gaiku.

— No, to nie widzę innego wyjścia — rzekł Tadzio, zniechęcony. — Patrz, narysowałem tu oto Wysokiego Jana w czyścću. Trzech djabełków nadziewa go na rozpalone widły. Skopjowałem ten pomysł z ilustracji „Boskiej Komedji” Dantego. Mogę ci podarować ten rysunek.

— Nie, nie chcę. — Emilka podniosła się. Minęły te czasy, kiedy fikcyjne cierpienia Wysokiego Jana mogły ją pocieszyć. Ale przyszło jej coś do głowy, myśl śmiała, zuchwała bodaj. Teraz muszę wracać, Tadzio, zbliża się pora kolacji.

Tadzio schował do kieszeni swój wzgardzony rysunek, który był w istocie dziełem wielkiego talentu: wyraz udręki i trwogi na twarzy Wysokiego Jana go dzien był pędzla wielkiego artysty. Wrócił do domu, łamiąc sobie głowę, jakby mógł dopomóc Emilce. Niedobrze jest, gdy taka dziewczynka, jak Emilka, o słodkich szarych oczach i o uśmiechu, nasuwającym człowiekowi cały szereg najcudniejszych myśli, nie dających się ująć w słowa, gdy taka dziewczynka jest nie-szczęśliwa. Tadzio był tak zatroskany, że dodał jeszcze kilku djabełków do rysunku, przedstawiającego Wysokiego Jana w czyścću. Przedłużył też znacznie ich rozpalone widły.

Emilka wróciła do domu z rysem stanowczości dokoła ust. Zjadła na kolację więcej, niż zwykle, ale niedużo, gdyż wyraz twarzy ciotki Elżbiety mógł odebrać apetyt każdemu. Po kolacji wyslizgnęła się z domu głównem wyjściem. Kuzyn Jimmy pracował w ogrodzie, ale nie zawołał jej. Emilka stała przez

chwilę przed furką i patrzyła na ścieżkę Wysokiego Jana i na gąk, bujny, ciemno - zielonawy, śliczny. Czy sprofanują go obce kroki, obce siekiery w ciągu nocy poniedziałkowej? Ta myśl dodała Emilce bodźca. Przewyciężyła trwogę i wahanie i skierowała się szybkim krokiem na lewo, ku tajemniczej drodze, ciągnącej się wzdłuż Czarownej Góry. Nigdy przedtem nie szła tą drogą. Prowadziła ona prosto do Białego Krzyża. Emilka biegła do probostwa, do ojca Cassidy. Dwie mile dzieliły Srebrny Nów od probostwa, lecz Emilka przebiegła tę drogę bardzo rychło. Nie dlatego, że była to ładna droga, lecz dlatego, że chciała jaknajrychlej mieć już za sobą to, co najcięższe. Usiłowała obmyślić, co powie księdzu, ale tym razem nie dopisywała jej fantazja. Nie знаła księży katolickich i nie wiedziała, jak się do nich zwracać. Byli bardziej tajemniczy i niezbadani, jeszcze bardziej, niż pastorzy. Może ojciec Cassidy rozgniewa się strasznie za jej śmiałość i odmówi jej prośbie. Może to *jest* okropna śmiałość z każdego punktu widzenia. I zapewne na nic się nie przyda. Prawdopodobnie ojciec Cassidy nie będzie chciał się sprzeciwiać dobremu katolikowi, jakim jest Wysoki Jan i to na prośbę heretyczki. Ale dla ocalenia gajku byłaby Emilka gotowa stanąć przed całym kolegium Kardynałów. Była przerażona, okropnie zdenerwowana, ale nawet przez myśl jej nie przeszło zawrócić z drogi. Żałowała tylko, że nie włożyła weneckiego naszyjnika. Toby może zrobiło wrażenie na ojcu Cassidy.

Emilka doszła do probostwa. Na kapliczce widniały z czterech stron postacie czterech aniołów. Emilka uważała, że są oni bardzo piękni i żałowała, że nie-



ma ani jednego anioła na kościółku w Czarnowodzie. Dlaczego katolicy mają wszystkich aniołów? Ale nie pora na te rozważania, gdyż drzwi się otwierają i służąca spogląda pytająco.

— Czy ojciec Cassidy jest w domu? — spytała Emilka urywaniem głosem.

— Tak jest.

— Czy mogę się z nim widzieć?

— Proszę wejść — rzekła służąca. Widocznie nie-trudno było dotrzeć do ojca Cassidy; Emilka była przygotowana na jakieś tajemnicze ceremonje, a może nawet na odprawę. Służąca wprowadziła ją do małego saloniku i poszła po ojca Cassidy, który, jak mówiła, pracuje w ogródku. To brzmiało bardzo naturalnie i zachęcająco. Ojciec Cassidy nie może być taki straszny, skoro pracuje w ogródku.

Emilka rozglądała się ciekawie dokoła. Znajdowała się w ładnym pokoju: fotele były miękkie, wyściełane, pełno tu było kwiatów i obrazów. Nic niepokojącego nie mogła dostrzec, chyba tego ogromnego czarnego kota, siedzącego na bibliotece. Emilka ubóstwiała koty i zawsze żyła w przyjaźni z każdym nowo - poznanym kotem. Ale takiego kota nigdy nie widziała dotychczas. Miał złotawe, bezczelne oczy, oprawne w czarny aksamit sierści i zdawał się należeć do całkiem innej rasy zwierząt, niż jej znajome, poczciwe kociaki. Pan Dare nie trzymałby chyba takiej bestji w swoim domu. Emilka bała się znowu ojca Cassidy.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł ojciec Cassidy z najmiłszym uśmiechem na ustach. Emilka podniosła na niego badawcze spojrzenie, to swoje nagłe spojrzenie, które było jej zwyczajem, a raczej darem

niebios, i w jednej chwili przestała się bać ojca Cassidy. Był wysoki i barczysty, miał ciemne oczy i ciemne włosy. A taki był opalony, że cerę miał równie ciemną jak włosy. Emilka pomyślała, że wygląda on jak wielki orzech.

Ojciec Cassidy przyglądał jej się, ściskając jej dłoń. Emilka wyglądała prześlicznie. Była zarumieniona ze zmieszania i z wysiłku, oczy jej błyszczały. Ale najbaczniejszą uwagę zwrócił ojciec Cassidy na jej uszy. Emilce przyszło na myśl, że może nie są czyste?

— Spiczaste uszy! — rzekł ojciec Cassidy szep-tem. — Spiczaste uszy! Wiem, że to wysłanniczka dobrych wróżek, widać to odrazu. Siadaj, elfie i udziel mi ostatnich wiadomości z dworu Tytanji.

Emilka czuła się teraz jak u siebie. Ojciec Cassidy mówił jej językiem, mówił miękko, śpiewnym akcentem, jak przystało na Irlandczyka. Ale ona potrząsnęła głową ze smutkiem. Z takim ciężarem na sercu nie mogła przyjąć roli wysłanniczki krainy Elfów.

— Jestem tylko Emilją Starr z Srebrnego Nowiu — rzekła. I dodała szybko, nie chcąc się podszywać pod fałszywe pozory: — i jestem protestantką.

— Bardzo miłą małą protestantką — rzekł ojciec Cassidy. — Ale muszę przyznać, że doznałem rozczarowania. Do protestantów jestem przyzwyczajony, nie brak ich tutaj, ale już sto lat minęło, kiedy ostatni elf zapukał do moich drzwi.

Emilka była zdumiona. Z pewnością ojciec Cassidy nie miał jeszcze stu lat. Wyglądał najwyżej na 50. Możliwe, że księża katolicy żyją dłużej, niż inni ludzie. Niebardzo wiedziała, co ma powiedzieć.

— Widzę, że pan ma kota...

— Błąd! — Ojciec Cassidy potrząsnął głową przecząco i jęknął komicznie. — Kot ma mnie.

Emilka zrezygnowała z rozumienia słów ojca Cassidy. Był miły, ale niezrozumiały. Dała za wygraną. Musiała przystąpić do spełnienia swej misji.

— Pan jest jakby pastorem, prawda? — spytała nieśmiało. Nie była pewna, czy należy ojca Cassidy nazywać pastorem.

— Jakby — odrzekł z uśmiechem. — A pastorzy i księża nie mogą kłać; to też dlatego trzymam kota, który czyni to za mnie.

— Jak mu na imię? — spytała Emilka.

— Bey. Sam się tak nazwał. Moja matka go nie lubi, bo kradnie jej śmietanę. Ale mnie się to wydaje bezpodstawnym oskarżeniem. Słuchaj, Bey, mamy u siebie dobrą wróżkę. Pozbądź się choć raz twej flegmy, błagam cię.

Ale Bey nie pozbył się swej flegmy. Mrugał bezczelnie okiem, patrząc na Emilkę.

Jakie dziwne pytania zadawał ojciec Cassidy. Emilka pomyślała, że podobałyby się jej te pytania, gdyby nie była taka przygnębiona i zmartwiona. Nagle pochylił się ojciec Cassidy nad stołem i zapytał wręcz:

— I cóż cię trapi, dziecko?

— Taka jestem nieszczęśliwa — wyjąkała Emilka.

— Tak jak wielu, wielu ludzi. Każdy bywa nieszczęśliwy. Ale istoty o śpiczastych uszach nie powinny być nieszczęśliwe. Tylko zwykli śmiertelnicy mają prawo być nieszczęśliwi.

— O, proszę, proszę... Emilka zastanawiała się, jak go nazywać. — Czy obraziłby się, gdyby go protestantka nazwała „Ojciem”? Trudno, trzeba zaryzykować. — Proszę, ojciec Cassidy, w takim jestem kłopotcie, więc przychodzą prosić Cię o *wielką łaskę*.

Emilka opowiedziała księdzu całą historję od początku do końca. Bey i ojciec Cassidy słuchali z wyjątkową uwagą. Gdy skończyła, Bey mrugnął zyczliwie, a ojciec Cassidy podniósł brwi do góry.

— Hm — rzekł, więc ja mam odwieść Wysokiego Jana od wykonania tego zamysłu?

— Jeżeli to jest możliwe — szepnęła Emilka błagalnie. — Och, to byłoby cudnie!

— Obawiam się, że nie mam władzy odwieść go od rozporządzania swoją własnością, wiesz, elfie? —

Emilka zrozumiała, że ojciec Cassidy odmawia. Nie chce użyć władzy Kościoła dla poparcia sprawy protestanckiej. A zatem niema nadziei. Z oczu jej trysnęły łzy rozpacz.

— O, kochanie moje, nie płacz — prosił ojciec Cassidy. — Elfy nigdy nie płaczą, nie umieją płakać. Byłbym srodze zmartwiony, gdyby się okazało, że nie należysz do wybranego Ludu. Mówisz, że jesteś ze Srebrnego Nowiu, możliwe, ale dla mnie jesteś dzieckiem Odrodzenia, dzieckiem starych bogów. I dlatego muszę ocalić od zagłady twój lasek ukochany.

Emilka zdziwiła się.

— Sądzę, że mi się uda — ciągnął dalej ojciec Cassidy. — Sądzę, że jeżeli pójdę do Wysokiego Jana na przyjacielską pogawędkę i pomówię z nim serdecznie w cztery oczy, to trafię mu do sumienia. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, Wysoki Jan i ja. On jest roz-

sądnym człowiekiem. Trzeba tylko umieć z nim mówić, czyli umiejętnie pochlebić jego próżności. Pomówię z nim nie jako ksiądz z parafjaninem, lecz jako mężczyzna z mężczyzną. Powiem mu, że żaden przyzwoity Irlandczyk nie prowadzi wojny z kobietami, że żaden rozsądny człowiek nie burzy czegokolwiek bądź dla przyjemności dokuczenia innym. Powiem mu, że nie należy ścinać drzew, które nigdy nie odrosną za tego pokolenia. Drzewa ścina się tylko w razie koniecznej potrzeby, w przeciwnym razie powinno się takiego wandalę powiesić na jednym z drzew, zanim je zdążył ścinać.

(Emilka pomyślała, że wpisze tę sentencję ojca Cassidy do oprawnej książki kuzyna Jimmy).

— Ale tych ostatnich słów nie powiem Wysokiemu Janowi — kończył ojciec Cassidy. — A zatem, Emilko ze Srebrnego Nowiu, sądzę, że możemy uważać za rzecz załatwioną to, że twój gaik nie zostanie wycięty.

Emilka uczuła się bardzo szczęśliwa. Miała pełne zaufanie do ojca Cassidy. Pewna była, że on potrafi przekonać Wysokiego Jana.

— O, nigdy nie zdołam się panu odwdzięczyć! — wykrzyknęła z zapałem.

— To prawda, a zatem nie próbuj. A teraz powiedz mi to i owo. Czy masz rodzeństwo? I od jak dawna jesteś na świecie?

— Mam lat 12, nie mam rodzeństwa. A teraz pójdę już chyba do domu.

— Nie. Musisz coś przekąsić.

— O, dziękuję, już zjadłam kolację.

— Przed dwiema godzinami; poczem odbyłaś

przechadzkę dwumilową. Nie przekonasz mnie. Nie mam, niestety, pod ręką nektaru i ambrozji, czyli pożywienia elfów, ale matka moja robi najlepszy pudding w całej Irlandji. I śmietanę mamy dzięki naszej krowie i krem. Zaczekaj chwilkę. Nie obawiaj się Beya. On czasem zjada małych protestantów, ale tobie nic nie zrobi.

Gdy ojciec Cassidy wrócił, szła za nim jego matka z tacą w ręku. Emilka była przygotowana na widok otyłej, ciężkiej postaci, ujrzała zaś drobniutką kobietę o śnieżnych, srebrzystych włosach, o łagodnych błękitnych oczach i różowych policzkach.

— Czy nie jest to najcudniejsza z matek? — zapytał ojciec Cassidy. — Mieszkam z nią po to, ażeby patrzeć na nią. Zresztą — tu ojciec Cassidy zniżył głos — jest pewne podobieństwo między nią a tobą. Ona czasami przerywa sprzątanie i znika na pół dnia: spędza szereg godzin w lesie. Widocznie też ma coś wspólnego z dobrymi wrózkami.

Pani Cassidy roześmiała się i pocałowała Emilkę. Powiedziała, że musi kończyć przygotowania do wieszery i wyszła szybkim, drobnym kroczkiem.

— Siadaj, Emilko, Elfie i pogawędźmy jak para przyjaciół.

Emilka była głodna, przyjemnie głodna, czego nie zaznała już od dwu tygodni. Ciasto pani Cassidy było przewyborne, a śmietana przypominała krem swym smakiem.

— Cóż ty myślisz o mnie? — spytał ojciec Cassidy nagle, przyglądając się bacznie Emilce.

Emilka zarumieniała się. Zastanawiała się właśnie,

czy może poprosić ojca Cassidy o jeszcze jedną łaskę.

— Myślę, że pan jest niezwykle dobry — odrzekła.

— Jestem dobry, przyznaję — odrzekł ojciec Cassidy. — Taki jestem dobry, że uczynię wszystko, co zechcesz, bo czuję, że jeszcze chcesz czegoś.

— Mam kłopot, mam ten kłopot od początku lata. Widzi pan... ja jestem poetką.

— Święty Boże! Panna ze Srebrnego Nowiu, a zarazem Elf, a zarazem poetka, i to wszystko w jednej osobie, to trochę za wiele na skromnego księdza, takiego, jak ja. Weź jeszcze kawałek ciasta i opowiadaj.

— Otóż... ja piszę poemat epiczny.

— Kiedy zaczęłaś?

— Na wiosnę. Zatyłowałam go „Biała Pani”, ale teraz zmieniałam tytuł na: „Dziecię Morza”. Czy to nie jest lepszy tytuł?

— Znacznie lepszy.

— Napisałam trzy rozdziały i nie mogę iść na przód, bo zatrzymało mnie coś, czego nie wiem i czego nie mogę nigdzie znaleźć. Tak mnie to martwi!

— Cóż to jest?

— Mój poemat — mówiła Emilka, połykając z rozkoszą ciasto — opisuje bardzo piękną pannę, z bardzo dobrego domu, którą wykradziono jej prawdziwym rodzicom, gdy była dzieckiem i wychowano w chacie drwala.

— Jedna z siedmiu fabuł zasadniczych na świecie — mruknął ojciec Cassidy.

— Co?...

— Nic. Taki, ot, niedobry zwyczaj myślenia głośno.

— Ona ma narzeczonego, wysokiego pochodzenia, ale jego rodzina nie zgadza się na ich małżeństwo, ponieważ ona jest tylko córką drwala.

— Jeszcze jedna zasadnicza intryga... przepraszam cię...

— Wobec tego wysyłają go do Ziemi Świętej na wyprawę Krzyżową. Przychodzi wiadomość, że zginął, a wówczas Edyta... na imię jej Edyta... wstępuje do klasztoru.

Emilka urwała, bo sięgnęła po kawałek ciasta, a ojciec Cassidy podjął za nią wątek opowiadania.

— A teraz narzeczoney jej powraca zdrowie i całość, wykrywa się tajemnica jej urodzenia dzięki spowiedzi starej niańki na łożu śmierci, oraz dzięki znamieniu na ręce dziewczęcia.

— Skąd pan wie? spytała Emilka, zaskoczona.

— Domyśliłem się, umiem zgadywać. Ale co cię trapi w tem wszystkim?

— Nie wiem, jak ją wydobyć z klasztoru — przyznała się Emilka. — Przyszło mi na myśl, że może pan znajdzie na to sposób.

— Hm, zastanówmy się... To niełatwa sprawa, panienko. Jak się rzeczy miały? Edyta wstąpiła do klasztoru nie dlatego, że miała powołanie, lecz dlatego że miała złamane serce. Hm... to nie wystarcza... Czy Edyta jest jedynym dzieckiem swych rodziców?

— Tak.

— No, to sprawa jest jasna. Gdyby miała brata lub siostrę, to musiałabyś ich zgładzić ze świata, co jest niewskazane. Ale ponieważ jest jedynym dzieckiem



i spadkobierczynią szlacheckiego rodu, który wie dzie spór zaciekły z innym rodem, więc wyjściem z sytuacji będzie tylko małżeństwo Capulettich i Monteccich. —

— Oni się tak nie nazywają.

— Wszystko jedno. To jest zatem sprawa ogólnonarodowa, czyli można się tu odwołać do Ojca Świętego. Konieczna jest bowiem dla wybawienia cię z kłopotu dyspensa Rzymu...

— Dyspensa jest wyrazem trudnym do umieszczenia w poezji — rzekła Emilka.

— Niewątpliwie. Ale młode panienki, które piszą poezje, muszą umieć zwalczać trudności i być na nie przygotowane.

— Och, sądzę, że dam sobie radę — rzekła Emilka radośnie. — Taka jestem panu wdzięczna! Nie wie pan, jakiej ulgi doznałam! Teraz już za kilka tygodni skończę mój poemat. Przez całe lato wcale nad nim nie pracowałam. Ale naturalnie nie próżnowałam. Ilza i ja tworzyliśmy nową mowę.

— Nową... mowę? — czy dobrze zrozumiałem?

— Tak.

— A cóż masz do zarzucenia twej mowie ojczystej? Czy nie wystarcza ci ona, niezrozumiałe małe stworzonko?

— Owszem. Nie dlatego tworzyliśmy nową mowę. Kuzyn Jimmy sprowadził kilku chłopców, Francuzów, do sadzenia ziemniaków. To było takie nudne słyszeć, jak ci chłopcy mówią po francusku całymi dniami, a my nie możemy zrozumieć ani słowa. Ilza i ja wysiliłyśmy naszą fantazję, ażeby wymyślić mowę, której oni też nie będą mogli zrozumieć. Mowa ta robi

znaczne postępy, a kiedy już będziemy gotowe, chłopcy z Francji nie będą mogli podsłuchiwać naszych rozmów. To będzie bardzo zabawne!

— Nie wątpię. Ale dwie dziewczynki, które stwarzają nową mowę, ażeby „zrobić na złość” kilku biednym chłopcom francuskiej narodowości, to jest coś, o czym jeszcze nie słyszałam — rzekł ojciec Cassidy, bezradny. — Jesteście rewolucjonistkami. Drzę o przyszłość kraju.

— O, to nie jest doniosłe, to tylko zabawa. A przytem dziewczynki w szkole są na nas rozwścieczone, bo słyszą, że rozmawiamy jakimś językiem, którego nie znają zupełnie. Możemy dzięki temu utrzymać każdą tajemnicę.

— Znając naturę ludzką, mogę zrozumieć, na czem polega ta uciecha. Daj mi jakiś przykład tej mowy.

— Nat milian o ste Dolman bo te ta Shrewsbury fernas ta poe liatnos — rzekła Emilka płynnie. — To znaczy: w przyszłym roku pójdę do lasu w Shrewsbury na poziomki. Wrzasnęłam to Ilzie przez całe podwórze rekreacyjne przed paru dniami, och, jak się wszyscy zdziwili!

— Zdziwili? Hm, zrozumiała reakcja... Powiedz jeszcze coś w tym języku...

— Mo tral li dead seb ad li mo trene. Mo bertral seb mo bertrene das sten dead e ting setra. To znaczy: ojciec mój umarł, matka również. Mój dziadek i moja babka umarli oddawna. Zdaje mi się, że wkrótce będę umiała pisać poezje w naszym języku, a wówczas ciotka Elżbieta nie będzie mogła ich przeczytać nawet, gdyby je znalazła.

— Czy napisałaś już inne poezje prócz tego epicznego poematu?

— O tak, wiersze ulotne, około tuzina w sumie. —

— Czy zechciałabyś mi przeczytać jeden z tych wierszy?

Emilka była dumna. Chętnie powierzyła ojcu Cassidy swe cenne myśli i rymy.

— Zadeklamuję panu mój ostatni wiersz — rzekła, chrząkając z powagą. — Nazywa się „Marzenie Wieczorne”.

Ojciec Cassidy słuchał uważnie. Po pierwszych wierszach twarz jego zmieniła wyraz, zaczął przebieierać nerwowo palcami. Skończywszy, spuściła Emilka powieki i czekała, cała drżąca. Co będzie, jeżeli ojciec Cassidy powie, że one nie są dobre? Nie, on nie będzie taki niegrzeczny, ale ona domyśli się, co on chce powiedzieć.

Ojciec Cassidy nie odrazu przemówił. Ta cisza była straszna. Emilka sądziła, że on nie może pochwalić, a nie chce jej dotknąć naganą. „Marzenia Wieczorne” wydały się jej samej tandetą, zastanawiała się, jak mogła je deklamować ojcu Cassidy. Co za głupota!

Tak, to była tandetna poezja. Ojciec Cassidy zdawał sobie z tego sprawę. Ale jak na to dziecko... a przytem był tam jeden wiersz, który ratował wszystkie inne. To też ojciec Cassidy odezwał się wreszcie:

— Pisuj nadal poezje, moje dziecko.

— Doprawdy? — spytała Emilka, zdyszana.

— Sądzę, że zczasem osiągniesz pewne rezultaty. Jakie, nie wiem, nie umiałbym określić... ale pracuj dalej... koniecznie.

Emilka taka była szczęśliwa, że aż na płacz jej się zbierało. Były to pierwsze słowa zachęty, jakie usłyszała od kogokolwiekbądź; wyjątek stanowił jej ojciec, a własny ojciec miewa przecież o człowieku wygórowane mniemanie. Teraz to była opinja miarodajna. Do końca swej walki o uznanie nie zapomniała Emilka nigdy tych słów ojca Cassidy, ani tonu, jakim one zostały wypowiedziane.

— Ciotka Elżbieta łaje mnie za pisanie wierszy — rzekła. — Mówi, że ludzie pomyśla, iż jestem taka głupia, jak kuzyn Jimmy.

— Ścieżki genjuszu nigdy nie są gładkie. Ale weź jeszcze kawałek ciasta, ot, dla okazania jakiejś cechy ludzkiej, a nie samych nadludzkich.

— Nie, dziękuję. Muszę wracać do domu, zanim się ściemni.

— Ja cię odwiozę.

— O, nie, nie. To bardzo uprzejmie z pana strony, ale ja wolę pójść pieszo. To takie przyjemne... móc chodzić!

— Masz na myśli — rzekł ojciec Cassidy, mrużąc — że musimy trzymać to wszystko w tajemnicy przed starszą panią. Dobrze, idź z Bogiem i obydź zawsze widziała rozpromienioną twarzyczkę w twem zwierciadle!

Emilka tak była szczęśliwa, że nie czuła zmęczenia, wracając. Zbliżywszy się do Srebrnego Nowiu, przystanęła i z rozrzewnieniem patrzyła na otaczające ją piękno, które nie ulegnie zniszczeniu, miała już tę pewność. Wierzyła ojcu Cassidy.

## POJEDNANIE

Emilka nasłuchiwała z niepokojem w poniedziałek rano, ale żaden złowieszczy dźwięk nie dochodził jej uszu. Wieczorem tegoż dnia spotkała, wracając ze szkoły, Wysokiego Jana, który jechał pod górę bryczką.

— Czy wolno pani służyć windą, panno Emiljo ze Srebrnego Nowiu? — spytał uprzejmie.

Emilka wdrapała się na bryczkę, czuła się nie-swojo. Ale Wysoki Jan uśmiechał się bardzo przyjaźnie.

— A zatem podbiłaś serce ojca Cassidy — rzekł. — Powiedział do mnie: najśłodsza dziewczuszka, jaką kiedykolwiek widziałem na świecie. Aż się serce ścis-ka, że się jest biednym, samotnym księdzem.

— W ładną sytuację mnie wplątałaś — ciągnął dalej Wysoki Jan z uśmiechem — jestem równie dumny, jak Murrayowie, a twoja ciotka Elżbieta powiedziała mi rzeczy, których się nie zapomina. Więc postanowiłem wyciąć lasek, a ty przysyłasz mi księdza, który mi w twojem imieniu wyjeżdża z argumentami nie do odparcia. Ale zapowiedziałem mu, że muszę się z tobą porozumieć i że ostateczna decyzja zależy od ciebie.

— Cóż ja mam zrobić, panie Wysoki Janie? — spytała Emilka, poruszona.

— Musisz puścić w niepamięć tę historję z jabłkiem. A potem musisz nadal przychodzić do mnie. Brak mi ciebie, ciebie i Ilzy, więc skoro ja robię ci tak

wielkie ustępstwo, to przynajmniej muszę uzyskać wzamian naprawę naszych stosunków. Przypomnij sobie, jakie one były dobre przed ową aferą z jabłkiem.

— Ależ, panie Wysoki Janie, przyjdę bardzo chętnie, o ile mi ciotka Elżbieta pozwoli.

— Powiedz jej, że jeżeli nie pozwoli, wytnę do ostatniego pnia!... A przytem ty sama musisz mnie poprosić, żebym tego nie robił. O ile to uczynisz dość ładnie, nie dotknę ani jednego drzewka. W przeciwnym razie wytnę wszystko bez względu na księdza — zakończył Wysoki Jan.

Emilka zebrała myśli i siły. Złożyła ręce poprzez rzęsy, podniosła oczy na Wysokiego Jana, uśmiechnęła się tym swoim stopniowo rozkwitającym uśmiechem (Emilka miała instynktowną kokieterję kobiecą) i rzekła:

— Proszę, panie Wysoki Janie — odkaszlnęła — proszę, niech pan mi pozostawi ten uroczy gaik, który ja kocham, czy dobrze?

— Z pewnością, że to zrobię. Przyzwoity Irlandczyk zawsze czyni to, o co go prosi kobieta. To nas zgubiło. Zawsze byliśmy na łasce i niełasce spódniczek. Gdybyś była przyszła prosto do mnie, byłabyś osiągnęła ten sam rezultat, co idąc do probostwa. Ale musisz dotrzymać drugiej części układu. Jabłka już dojrzały, a szczurów niema: poszły do piekła.

Emilka wbiegła jak wichur do kuchni Srebrnego Nowiu.

— Ciotko Elżbieto, Wysoki Jan nie wytnie gajku, przyrzekł mi, że tego nie uczyni, ale ja mam wzamian odwiedzać go od czasu do czasu, o ile ty pozwoliś.

— Sądzę, że chodziłabyś bez względu na moje pozwolenie — rzekła ciotka Elżbieta. Ale głos jej był mniej ostry, niż zwykle. Nie byłaby przyznała, jak dalece słowa Emilki ją ucieszyły. Ale widać to było w całej jej postawie.

— Oto jest list do ciebie. Chciałabym wiedzieć, co to znaczy.

Emilka porwała list z ciekawością i niepokojem.

Po raz pierwszy otrzymywała prawdziwy list pocztą, napełniło ją to rozkoszą. Zaadresowany był energicznym charakterem pisma: WPanna Emilja Starr, Srebrny Nów, Czarnowoda. Ale....

— Otworzyłaś go! — zawołała Emilka, oburzona.

— Naturalnie. Nie będziesz otrzymywała listów bez mojej wiedzy, panienko. Chciałabym wiedzieć, jakim sposobem ojciec Cassidy pisuje do ciebie, skąd się to wzięło? I do tego takie niedorzeczności?

— Byłam u niego w sobotę — wyznała Emilka, widząc, że wyszło szydło z worka. — Prosiłam go, żeby wpłynął na Wysokiego Jana i nie dopuścił do wyścicia gaiku.

— Emiljo Byrd Starr!

— *Powiedziałam* mu, że jestem protestantką — zawołała Emilka. On rozumie wszystko. Zachowywał się, jak każdy człowiek. Wolę go, niż pana Dare'a.

Ciotka Elżbieta nic nie odpowiedziała. Zwiastunowi dobrej wieści dużo się przebacza. Poprzestała na niechętnym spojrzeniu, a Emilka zbyt była uszczęśliwiona, aby zwracać na to uwagę. Poszła ze swym listem na strych i tam czytała pilnie.

„Perełko - Emileczko”, pisał ojciec Cassidy.  
„Widziałem się z twym przyjacielem i pewien jestem,

że twój lasek będzie ocalony i że będziesz mogła tam płaść po dawnemu, rusałeczko. Powinnaś, mojem zdaniem poprosić osobiście pana Sullivana o względy dla twych kochanych drzewek, możesz być spokojna: on jest bardzo rozsądny. Trzeba tylko wiedzieć, kiedy, co i jak. Jak się ma nowa mowa? Jakie postępy czyni poemat epiczny? Mam nadzieję, że nie masz już kłopotów z wyprowadzeniem „Dziecięcia Morza” na czyste wody. Bądź nadal przyjaciółką wszystkich elfów, oraz

Twego pełnego podziwu przyjaciela  
James’a Cassidy.

P. S. Bey kłania Ci się. Jak się nazywa kot w Waszym języku? Chyba nie znalazłaś dźwięku bardziej kociej, niż „kot”, co, nieprawdaż?”

Wysoki Jan opowiadał szeroko o odwołaniu się Emilki do ojca Cassidy, radując się tem wydarzeniem, jako arcy pociesznem. Rhoda Stuart orzekła, iż ona zawsze wiedziała, że Emilja Starr jest przewrotną dziewczyną, panna Brownell oświadczyła, że nic jej nie zdziwi nigdy ze strony Emilki, a dr. Burnley nazywał ją Djabełkiem z akcentem coraz to większego podziwu. Perry powiedział, że Emilka jest „pyszny numer”, a Tadzio dumny był ze swego pomysłu, gdyż on pierwszy jej to doradził. Ciotka Elżbieta zносиła wszystko w milczeniu, a ciotka Laura była zdania, że mogło być gorzej. Ale uszczęśliwił Emilkę kuzyn Jimmy.

— Toby było zagładą mego ogrodu i ciosem dla mego serca, Emilko — rzekł. — Jesteś kochaną, dzielną dziewczynką, że temu zapobiegłaś.



W miesiąc później pojechała ciotka Elżbieta z Emilką do Shrewsbury, ażeby kupić dziewczynce zimowe palto. Spotkały w sklepie ojca Cassidy. Ciotka Elżbieta ukloniła się sztywno, ale Emilka rzuciła się ku niemu radośnie.

— Cóż słyhać z dyspensą Rzymu? — szepnął ojciec Cassidy.

Emilka była przerażona: gdyby tak ciotka Elżbieta usłyszała! Pomyśleć gotowa, że ona prowadzi tajne układy z Papieżem, takie, jakich nie prowadziła żadna dobra Presbiterjanka, ani szanująca się Murrayówna ze Srebrnego Nowiu. Ale ta druga Emilka, która w niej żyła podświadomie, dumna była z tajnego porozumienia między nią a księdzem. Skinęła głową poważnie, oczy jej wyraziły zadowolenie.

— Otrzymałam ją bez trudu — szepnęła.

— Świetnie — odrzekł ojciec Cassidy — życzę ci powodzenia, a życzę z całego serca! Do widzenia.

— Zegnaj, Ojcze Cassidy — odrzekła Emilka, uważając, że jest to pożegnanie bardziej w stylu intryg i spisków, niż „do widzenia”. Rozkoszowała się tem cichem porozumieniem przez resztę dnia. Ojciec Cassidy został wkrótce przeniesiony do innej parafji, ale Emilka zachowała o nim wspomnienie, jako o człowieku miłym i rozumiejącym bliźnich.

## POCZTĄ LOTNICZĄ

„Najdroższy Ojcze.

Serce mi krwawi dzisiaj z bólu i żałości. Kicia zmarła dziś zrana. Kuzyn Jimmy mówi, że widocznie została otruta. Och Ojcze drogi, tak się zmartwiłam! To była taka słodka koteczka! Płakałam, płakałam, płakałam bez końca. Ciotka Elżbieta była oburzona. Rzekła: „Nie robiłaś takiego hałasu, kiedy umarł twój ojciec.” Cóż za okrutne powiedzenie! Ciotka Laura była miłsza: ona powiedziała: „Nie płacz, dziecko, kupię ci innego kotka”. Widzę, że ona też nie rozumie. Ja nie chcę innego kotka. Żebym miała milion kotów, to nie zastąpią one Kici.

Ilza i ja pochowałyśmy ją w gajku Wysokiego Jana. Taka jestem wdzięczna Panu Bogu, że ziemia jeszcze nie jest zmarznięta. Ciotka Laura podarowała mi pudełko od obuwia, jako trumnę, oraz kawałek czerwonej bibułki, w którą zawinęłyśmy to biedne małe ciało. A na grobie położyłyśmy kamień, a ja rzekłam „Błogosławieni ci, co umierają w Panu” Kiedy powiedziałam o tem ciotce Laurze, zawołała: „Ach, Emilko, to okropne! Nie powinnaś tak mówić nad grobem kota”. A kuzyn Jimmy zapytał: „Czy nie sądzisz, Lauro, że taka niewinna istota jest częścią Boga? Emilka kochała to stworzenie, a wszelka miłość jest napewno częścią Boga.” Ciotka Laura odrzekła: „Może masz rację, Jimmy. Ale cieszę się, że Elżbieta tego nie słyszała. ”

Może kuzyn Jimmy nie jest całkiem przytomny

(tak mówią), ale ta przytomność, którą posiada, jest bardzo cenna.

Ale, Ojcze, taka jestem opuszczona i samotna bez Kici! Wczoraj wieczorem bawiła się ze mną, taka była śliczna i pieśczośliwa, a teraz leży zimna i martwa w gaiku Wysokiego Jana.

18 grudnia.

Drogi Ojcze,

jestem na strychu. Królowa Wichrów gniewa się o coś mocno tej nocy. Tak smutno świszczy za oknami. A jednak, kiedy ją usłyszałam po raz pierwszy dzisiejszego wieczora, rozbłysnął „promyk”, czułam się, jakgdybym właśnie zobaczyła coś, co się zdarzyło przed dawnym, czasem, coś tak uroczego, że byłam poruszona do głębi.

Kuzyn Jimmy mówi, że będzie padał śnieg. Cieszę się. Lubię zadymkę w nocy. Tak miło jest zatulić się w kołdrę i wiedzieć, że nas ta zawieja nie dosięgnie. Ale ciotka Elżbieta mówi, gdy się zatulam, że się kręcę. Jak można nie odróżniać wtulania się od kręcenia się?!

Cieszę się, że na Boże Narodzenie będzie śnieg. Obiad rodzinny Murrayów odbędzie się w tym roku w Srebrnym Nowiu. Tym razem na nas kolej. W zeszłym roku odbył się u wuja Olivera, ale kuzyn Jimmy miał grypę i nie mógł pojechać, więc ja zostałam z nim w domu. W tym roku będę mogła wszystkim przyjrzeć się zbliska, raduje mnie ta myśl, Opiśzę Ci potem wszystko, co zobaczę, najdroższy.

Muszę ci coś opowiedzieć, Ojcze. Wstydzę się, ale chyba lepiej, żebym Tobie się zwierzyła. Zeszłej sobo-

ty było przyjęcie urodzinowe u Elli Lee. Byłam zaproszona. Ciotka Elżbieta pozwoliła mi włożyć moją nową sukienkę z błękitnego kaszmiru. To bardzo ładna sukienka. Ciotka Elżbieta chciała początkowo, ażeby kaszmir był ciemno-bronzowy, ale ciotka Laura uparła się przy błękitnym. Przejrzałam się w zwierciadle i przypomniałam sobie, że ojciec Ilzy mówi: „Była bardzo ładna, gdyby miała rumieńce”. Więc zaczęłam szczypać policzki, aż się zaczerwieniły. Wyglądałam znacznie ładniej, ale to niedługo trwało. Wzięłam więc czerwony kwiat welwetowy ciotki Laury, zwilżyłam go i potarłam nim mocno twarz. Poszłam na zabawę, a dziewczynki wszystkie patrzyły na mnie, ale żadna nic nie powiedziała, tylko Rhoda Stuart chichotała i chichotała. Postanowiłam wrócić wcześniej do domu i umyć się, zanim mnie zobaczy ciotka Elżbieta. Ale wypadek zrządził, że ciotka Elżbieta poszła do sklepiku po jakiś sprawunek i spotkałyśmy się wpobliżu domu. Przyjrzała mi się i spytała: „Co zrobiłaś z twoją twarzą, Emilko?” Opowiedziałam jej wszystko, a ona rzekła poważnie: „Czy nie czujesz, że się poniżyłaś, Emilko?” To właśnie odczuwałam przez cały czas podwieczorku, tylko nie umiałam tego określić słowami. Ciotka Elżbieta nie gniewała się wcale. Kazała mi niezwłocznie umyć twarz, a potem słyszałam, (nie do uwierzenia!), jak się głośno śmiała w śpiżarni, opowiadając o tej mojej przygodzie ciotce Laurze. Nigdy niewiadomo, co pobudzi do śmiechu ciotkę Elżbietę. Zabawniejsze było to, że Nieznośnik poszedł za mną na rekolekcje środowe, a przecież z tego nie śmiała się ciotka Elżbieta bynajmniej. Zauważyłam go dopiero przed samym kościołem, więc go wzięłam na

rękę i weszłam. Ciotka Elżbieta nie zwracała na nas uwagi. Gdy pan pastor Dare rozpoczął kazanie, Nieznośnik zaczął miauczeć. To dźwięczało tak donośnie w wielkiej pustej nawie, że wszyscy spojrzeli w moją stronę. Czuję się winną i upokorzoną. Nie potrzebowałam się malować. Policzki mnie paliły i były purpurowe. Oczy ciotki Elżbiety świeciły złowieszczym blaskiem. Pan Dare nie przerwał modlitwy. On jest głuchy, więc nie słyszał miauczenia Nieznośnika, ale wszyscy inni słyszeli i chichotali. Po modlitwach przyszedł do naszej ławki pan Morris i wyrzucił Nieznośnika. Słysząc było szmer jego kroków między ławkami, a pan Morris gonił go zawzięcie. Drżałam z obawy, żeby go nie poranił, ani nie uderzył. Sama miałam zamiar wyłajać go nazajutrz, ale nie chciałam, żeby mu zrobiono krzywdę. Wreszcie dogonił Nieznośnika pan Morris i wyrzucił go z kościoła, gonitwa ta wyglądała pociesznie, ale na razie wcale się nie śmiałam, było mi zimno i gorąco naprzemian.

Gdyśmy przyszły do domu, ciotka Elżbieta rzekła: „Mam wrażenie, Emilko, że dostatecznym wstydem okryłaś dzisiaj nazwisko Murrayów. Nigdy już nie pójdziesz ze mną do kościoła”. Przykro mi, że shańbiłam znów Murrayów, ale niebardzo widzę, czem ja zawiniłam, a przytem nie pilno mi na rekolekcje, bo to nudne.

Ale owego wieczora nie było nudno, o nie, drogi Ojczel!

Czy zauważyłeś, że lepiej piszę? Postanowiłam pisać każdy list odrazu, a potem sprawdzać w słowniku wszystkie wyrazy, których nie jestem pewna. Czasami zdaje mi się, że danego wyrazu niema po co szu-

kać, a tymczasem stwierdzam przypadkiem, że nie-  
dobrze go napisałam.

Ilza i ja przestałyśmy rozmawiać naszym języ-  
kiem. Klóciłyśmy się o czasowniki. Ilza nie chciała  
żadnych konjugacyj. Chciała, ażeby każdy tryb i czas  
był oznaczony innym wyrazem poprostu. Ja odpowie-  
działam, że język, który ja tworzę, musi być prawdzi-  
wą mową ludzką, a Ilza była zdania, że dosyć ma utra-  
pień z gramatyką, więc żebym sobie tworzyła moją  
mowę bez niej. Ale to żadna przyjemność, więc da-  
łam spokój, bo było to bardzo zajmujące i takie za-  
bawne w szkole! Nie zdążyłyśmy nawet olśnić naszą  
mową francuskich chłopców, bo Ilzę gardło bolało  
i tylko raz jeden rozmawiałyśmy po naszymu. W ich  
obecności życie jest pełne rozczarowań.

W tym tygodniu miałyśmy egzaminy w szkole.  
Zdałam wcale dobrze ze wszystkiego, z wyjątkiem  
arytmetyki. Panna Brownell tłumaczyła coś, a ja by-  
łam zajęta układaniem powiastki w myśli i nic nie  
słyszałam, więc dostałam zły stopień. Powiastka nosi  
tytuł: „Tajemnica Mac Phersona”. Kupię trochę papie-  
ru za pieniądze z jajek i wszyję te kartki w moją księ-  
gę oprawną od kuzyna Jimmy i wpiszę tam tę opo-  
wieść. Z pieniędzmi z jajek mogę zrobić, co mi się  
podoba. Może będę pisywać powieści, skoro dorosnę,  
nietylko poezje? Ale ciotka Elżbieta nie daje mi czy-  
tać powieści, więc jakże się nauczę sposobu pisania  
ich? Jeszcze jedno mnie trapi: gdy dorosnę i napiszę  
powieść, może czytająca publiczność nie pozna się na  
niej?

Kuzyn Jimmy mówi, że jakiś człowiek w Księżym  
Stawie oznajmił mu rychły koniec świata. Mam na-

dzieję, że to nie nastąpi, zanim zdążę zobaczyć coś nie coś na świecie.

Parę dni temu nocowałem u Ilzy, ponieważ jej ojciec wyjechał. Ilza odmawia teraz pacierze i twierdzi, że ona może dłużej się modlić, niż ja. Ja powiedziałam, że to nieprawda i modliłam się tak długo, jak długo mogłam coś wymyślić. Mogłam wprawdzie udawać bez końca, że się modlę, ale to nie byłoby uczciwe. Pomyślałam: nie, Starrówna musi być uczciwa. Wstałam więc z klęczek i rzekłam: „wygrałaś”, a Ilza nic nie odpowiedziała. Obeszłam łóżko, bo ona klęczała po drugiej stronie i zobaczyłam, że usnęła. Gdy ją obudziliśmy, upierała się, że wygrała, bo byłaby mogła modlić się jeszcze bardzo długo, gdyby nie była usnęła.

Kiedyśmy poszły do łóżka, powiedziałam jej mnóstwo rzeczy, których lepiej było nie mówić. Co to było? Tajemnica!

Podczas lekcji historii panna Brownell przeczytała nam, że Sir Walter Raleigh musiał leżeć w lochu przez 14 lat. Perry spytał: „A czy nie wolno mu było wstawać od czasu do czasu?” Panna Brownell ukarała go za impertynencję, on zaś mówił całkiem poważnie. Ilza była wściekła na pannę Brownell, że go wybiła, a na Perry’ego, że zadaje takie głupie pytania, jak-gdyby nic nie umiał. Ale Perry mówi, że czasem napisze książkę historyczną i że tam nie będzie takich niewiarogodnych szczegółów.

Wykończam w myśli Dom Rozczarowany. Mebluję ślicznie pokoje. Jeden jest cały różowy, inny fioletowy, jeszcze inny biały, jest też pokój srebrzysty, błękitny, i złoty. Chciałabym, żeby Dom Rozczarowany

miał „gwiazdkę” na Boże Narodzenie. On nigdy nie dostaje gwiazdki.

Ach, Ojczy, właśnie myślałam o czemś miłym: gdy dorosnę i napiszę wielką powieść i zrobię wielkie pieniądze, kupię Dom Rozczarowany i dokończę budowę. Wtedy nie będzie on już Rozczarowany.

Nauczycielka Ilzy z niedzielnej szkółki zadała jej do wyuczenia się na pamięć 200 wierszy Biblii. Ale gdy Ilza przyniosła Biblię do domu, Dr. Burnley rzucał książkę na ziemię i skopał nogami. Pani Simms mówi, że Pan Bóg go skarże, ale dotychczas nic mu się nie stało. Biedny człowiek jest postrzelony. Dlatego tak źle postąpił.

Ciotka Laura zabrała mnie na pogrzeb pani Mason w zeszłym tygodniu. Lubię pogrzeby. Takie są dramatyczne!

W zeszłym tygodniu umarła moja świnka. Była to dla mnie *wielka strata finansowa*. Ciotka Elżbieta mówi, że kuzyn Jimmy ją przekarmił. Mnie się zdaje, że w gruncie rzeczy nie powinnam była nazwać jej Wysokim Janem.

Rysujemy teraz mapy w szkole. Rhoda Stuart otrzymuje zawsze najlepsze stopnie. Panna Brownell nie wie, że Rhoda opiera drukowaną mapę o okno, przykładając do niej czysty papier i rysuje podług prześwitującej w ten sposób mapy. Ja lubię rysowanie map. Norwegja i Szwecja wyglądają jak tygrys, Irlandja, jak mały piesek, który się odwraca od Anglji i trzyma łapki na piersiach, a Afryka wygląda jak wielka szynka wieprzowa. Australja jest bardzo przyjemna do rysowania.

Ilza uczy się teraz bardzo dobrze. Mówi, że nie



da się ubiec przeze mnie. Robi postępy i w deklamacji. Ciotka Laura bardzo ją chwali i powiedziała do jej ojca, że warto dać Ilzie wyższe wykształcenie. A Dr. Burnley odpowiedział, że nie będzie wydawał pieniędzy na próżno. Wyglądał przytem jak upiór, tak groźnie i ponuro. Ach, jak jabym chciała, żeby Dr. Burnley kochał Ilzę! Taka jestem szczęśliwa, że ty mnie kochałeś. Ojcze!

22 grudnia.

Drogi Ojcze,

dzisiaj odbył się egzamin szkolny. Była to wielka uroczystość. Wszyscy prawie byli obecni z wyjątkiem Dra Burnleya i ciotki Elżbiety. Dziewczynki miały na sobie najlepsze sukienki, ja nie. Wiedziałam, że Ilza nie ma nowej sukienki, więc też włożyłam starą, ażeby ona nie czuła się nieswojo. Ciotka Elżbieta życzyła sobie, żebym się porządnie ubrała, bo przecież *reprezentuję* Murrayów, jak mówi, ale gdy jej wytłumaczyłam, o co chodzi, popatrzyła na ciotkę Laurę i pozwoliła.

Rhoda Stuart wyśmiewa się z Ilzy i ze mnie, ale mnie to nie przeszkadza. Podczas deklamacji urwała nagle w połowie wiersza, bo zapomniała dalszego ciągu. A że zostawiła książki w domu, więc ja jedna umiałam dalszy ciąg. Patrzyłam na nią z triumfem, ale potem przyszło mi do głowy, że mnie by było tak strasznie zapomnieć wiersz w toku deklamacji, w obecności takiego tłumu słuchaczy. A przytem honor szkoły był w grze. Więc jej podpowiedziałam następne wyrazy po cichutku. Dobrnęła jakoś do końca. Co najdziwniejsze, drogi Ojcze, że teraz już się nie czuję

tak, jakgdybym jej nienawidziła. Jestem jej raczej życzliwa i to jest o wiele przyjemniejsze uczucie. To bardzo przykre nienawidzić kogoś.

28 grudnia.

Ojczy drogi,

Boże Narodzenie minęło. Było bardzo ładnie. Nigdy jeszcze nie widziałam tylu dobrych rzeczy naraz. Przybyli do nas na obiad gwiazdkowy wuj Wallace i ciotka Elżbieta i wuj Oliver i ciotka Addie i ciotka Ruth. Wuj Oliver nie przywiózł żadnego ze swych dzieci, więc byłam rozczarowana. Przybył również Dr. Burnley z Ilzą. Wszyscy się przebrali na wieczór. Ciotka Elżbieta miała na sobie ową czarną jedwabną suknię z kołnierzem koronkowym. Wyglądała bardzo ładnie i byłam z niej dumna. Przyjemnie jest, gdy nasi krewni dobrze wyglądają, nawet jeśli ich się nie lubi. Ciotka Laura włożyła suknię z brązowego jedwabiu, a ciotka Ruth szarą. Ciotka Ewa była bardzo elegancka. Miała suknię z trenem.

Ja włożyłam sukienkę z kaszmiru, tę niebieską i przewiązałam włosy błękitną wstążką. Ciotka Ruth pokiwała głową na mój widok i rzekła: „Urosłaś, Emilko! Mam nadzieję, że jesteś grzeczniejsza!”

Ale nie miała tej nadziei naprawdę, to było wiadać. Zwróciła mi zaraz uwagę, że rozwiązało mi się sznurowadło u bucika.

— Ona lepiej wygląda — rzekł wuj Oliver. — Nie zdziwiłbym się, gdyby wyrosła na piękną, zdrową dziewczynę, mimo wszystko

Ciotka Ewa westchnęła i potrząsnęła głową z powątpiewaniem. Wuj Wallace nic nie powiedział, tyl-

ko dłoń mi uściśnął. Ręce miał zimne, jakby był rybą. Ja nadeptałam na tren ciotki Ewy, a ciotka Ruth powiedziała: „Jakiem nieznośnym dzieckiem jesteś, Emilko!”. Cofnęłam się za ciotkę Ruth i pokazałam jej język. Wuj Oliver chlipie, jedząc zupę. Wyjęliśmy wszystkie srebra do owego obiadu. Kuzyn Jimmy dzielił indyka i dał mi dwa kawałki piersi, bo wie, że ja lubię białe mięso. Ciotka Ruth rzekła: „Gdy ja byłam małą dziewczynką, poprzestawałam na skrzydle indyczem”. Kuzyn Jimmy dołożył mi wówczas jeszcze jeden kawałek białego mięsa. Ciotka Ruth zamilkła na razie, a po chwili zwróciła się do mnie wprost: „Widziałam się w Shrewsbury z twoją nauczycielką, Emilko i niezbyt dobre rzeczy słyszałam o tobie. Gdybyś była moją córką, mam nadzieję, że inne sprawozdanie usłyszałabym, nie tak ujemne”.

„Cieszę się, że nie jestem twoją córką”, pomyślałam. Ale nie powiedziałam tego na głos, bo ciotka Ruth dodała: „Proszę cię, nie patrz na mnie tak głupio, kiedy mówię do ciebie, Emilko”. A wuj Wallace dodał: „Szkoda że ona ma taki niemądry wyraz twarzy”.

— Jesteście zarozumiali, despotyczni i niegodziwi — rzekłam w duchu. Zresztą Dr. Burnley zawsze to mówi.

„Widzę plamę z atramentu na jej palcu”, rzekła znów ciotka Ruth. (Pisałam poezje przed obiadem).

Wtem zaszedł fakt najbardziej niespodziewany. Krewni zawsze gotują nam niespodzianki. Ciotka Elżbieta odezwała się mówiąc: „Zyczę sobie, Ruth, abyś ty i Wallace, ażebyście oboje zostawili to dziecko w spokoju”. Uszom nie wierzyłam. Ciotka Ruth była

niezadowolona, ale zostawiła mnie w spokoju i tylko sapła, gdy kuzyn Jimmy dodał mi jeszcze jeden kawałek białego mięsa.

Poza tem obiad był dobry i miły. A kiedy już przyszła kolej na pudding, wszyscy zaczęli rozmawiać, a ja z rozkoszą słuchałam. Opowiadali historie i zabawne zdarzenia z życia Murrayów. Nawet wuj Wallace śmiał się, a ciotka Ruth opowiedziała to i owo o mojej babce ciotecznej, Nancy. Byli ironiczni, ale zajmujący. Ciotka Elżbieta wyjęła z szuflady poemat, który został napisany na cześć ciotki Nancy przez jej narzeczonego, kiedy była młoda. Wuj Oliver odczytał te wiersze. Ciotka Nancy była widocznie bardzo piękna. Ciekawa jestem, czy ktoś napisze kiedykolwiek wiersz na moją cześć? Może gdybym nosiła grzywkę, znalazłby się taki. Spytałam: „Czy ciotka Nancy była doprawdy taka ładna?“, a wuj Oliver odrzekł: „Podobno była śliczna przed 70 laty“, a wuj Wallace dodał: „Ona się dobrze trzyma, dożyje stu lat napewno“; na co wuj Oliver odparł: „Ona tak się przyzwyczaiła żyć, że wcale nie umrze, będzie żyć wiecznie“.

Dr. Burnley opowiedział historję, której nie rozumiałam. Wuj Wallace spojrział w stronę okna, a wuj Oliver zasłonił usta serwetką. Ciotka Addie i ciotka Ewa popatrzały na siebie z ukosa i spuściły oczy w talerz, uśmiechając się lekko. Ciotka Ruth była najwyraźniej obrażona, a ciotka Elżbieta patrzyła zimno na Dra Burnleya i rzekła: „Zdaje się, że pan zapomniał o obecności dzieci“. Dr. Burnley odrzekł bardzo grzecznie: „Przepraszam cię, Elżbieto“. On umie się zachowywać, jak wielki pan, skoro chce. On jest bardzo przy-

stojny, gdy się ubierze odświętnie i ogoli. Ilza mówi, że jest z niego dumna, nawet wtedy, gdy on jej nie cierpi.

Po obiedzie rozdano prezenty. To jest tradycja Murrayowska. Nigdy nie miewamy drzewek, ani pończoch na kominku\*), lecz obnosi się dokoła stołu wielkie ciasto, a w niem są ukryte prezenty, do których uwiązane są wstążki z imionami obdarzonych osób. To bardzo zabawne. Moi krewni podarowali mi wszyscy prezenty pożyteczne, z wyjątkiem ciotki Laury. Ona mi dała flakon perfum. Uwielbiam go. Tak lubię ładne zapachy. Ciotka Elżbieta nie pochwała używania perfum. Dała mi nowy fortuch, ale muszę stwierdzić z wdzięcznością, że nie jest on już „dzidziusiowaty”. Ciotka Ruth dała mi Nowy Testament i rzekła: „Mam nadzieję, Emilko, że będziesz czytywać codziennie potrosze tę Księgę, aż ją przeczytasz do końca”. „Ależ, ciotko Ruth, przeczytałam Nowy Testament ze dwanaście razy (to prawda), uwielbiam niektóre ustępy!” „Pismo Święte nie jest książką do czytania taką, jak powiastki”, odrzekła lodowato ciotka Ruth. Wuj Wallace i ciotka Ewa dali mi parę rękawiczek, a wuj Oliver i ciotka Addie całego dolara, nowiutkiego, z błyszczącego srebra. Kuzyn Jimmy dał mi grzebień do włosów. Perry zostawił dla mnie jedwabną zakładkę do książki. On sam musiał nas opuścić i spędzić wieczór wigilijny ze swoją ciotką Tomaszową. Udało mi się ocalić dla niego orzechy i rodzenki. Ja podarowałam jemu i Tadziewi chusteczki do nosa (Tadzia chusteczka była *trochę najład-*

---

\*) W Kanadzie dzieci otrzymują prezenty gwiazdkowe bądź pod choinką tak jak w Polsce, bądź też, tak jak we Francji, w tradycyjne „pończosze”, którą dziecko kładzie w wieczór wigilijny na kominku.

*niejsza*), a Ilzie dałam grzebień. Kupiłam to wszystko sama za pieniądze z jajek. (Nie będę miała już tak prędko pieniędzy z jajek, bo moja kura przestała składać jajka). Wszyscy byli zadowoleni, a wuj Wallace uśmiechał się do mnie. Gdy się uśmiechał, wydawał mi się mniej brzydki.

Po obiedzie bawiliśmy się z Ilzą w kuchni. Później była jeszcze obfita kolacja, ale nikt nie mógł jeść dużo, bo wszyscy zjedli za dużo na obiad. Ciotka Ewa miała ból głowy, a ciotka Ruth wyraziła zdziwienie, dlaczego ciotka Elżbieta robi takie „bogate” kiełbaski. Ale reszta była w dobrym humorze, a ciotka Laura podtrzymywała ten nastrój. Ona umie wszystkich rozweselić. A na koniec rzekł wuj Wallace (jeszcze jedna tradycja Murrayowska): „Wspomnijmy teraz tych, którzy już odeszli”. Podobał mi się sposób wypowiedzenia tych słów: uroczysty i pełen prostoty zarazem. W takich chwilach szczęśliwa jestem, że płynie w moich żyłach krew Murrayów. Pomyślałam o Tobie, Ojcie ukochany, o Matce i o biednej Kici i o prababce Murrayowej i o moim złotym zeszycie, spalonym z powodu ciotki Elżbiety. Dla mnie była to jakby osoba. Wreszcie złożyliśmy ręce i zaśpiewaliśmy pobożny hymn, zanim wszyscy się rozjechali. Już się nie czułam obco wśród Murrayów. Ciotka Laura i ja odprowadzałyśmy gości do powozów. Ciotka Laura objęła mnie ramieniem i rzekła: „Twoja matka, Emilko, i ja, stałyśmy tak zawsze na ganku i odprowadzałyśmy gości wigilijnych”. Śnieg skrzypiał, dzwonki na saniach dźwięczały srebrzyście między drzewami, a na dachach zabudowań gospodarskich błyszczał mróz w świetle księżyca. Wszystko było takie piękne i kochane (dzwonki,

mróz i ta cudna biel zimowej nocy), że wkońcu nawiedził mnie „promyk” i to było najlepsze, najcenniejsze”.

21.

### „ROMANTYCZNE, ALE NIEPRZYJEMNE”

Zaszły pewne zdarzenia w Srebrnym Nowiu, ponieważ Tadzio Kent powiedział Ilzie Burnley komplement, a Emilce Starr to się niebardzo podobało. Bywało, że mocarstwa waliły się w gruzy z tej samej przyczyny.

Tadzio ślizgał się w Czarnowodzie i zabrał ze sobą obie dziewczynki. Żadna z nich nie miała łyżew. Nikt nie dbał dostatecznie o Ilzę, ażeby jej kupić łyżwy, a co do Emilki, to ciotka Elżbieta nie pochwałała ślizgawki, jako sportu dla dziewczynek. Panny ze Srebrnego Nowiu nigdy się nie ślizgały. Ciotka Laura miała wywrotowe poglądy, że ślizgawka byłaby rzekomo dobrym sportem dla Emilki, a, co niemniej ważne, ochroniłaby jej podeszwy od zbyt szybkiego zniszczenia, gdyż dziewczynka, chodząc po lodzie, ślizgała się na obuwiu poprostu. Żaden z tych argumentów nie przekonał ciotki Elżbiety, a ostatni argument nasunął jej tylko zakaz „ślizgania się” na podeszwach bucików. Emilka bardzo się tem przejęła. Napisała do ojca: „Nienawidzę ciotki Elżbiety. Taka jest niesprawiedliwa! Nigdy nie postępuje szlachetnie”. Razu pewnego wsunął Dr. Burnley głowę do kuchni, uchyliwszy drzwi zaledwie i rzucił pytanie: „Co ja słyszę,

Elżbieto? Nie pozwalasz Emilce ślizgać się? Dlaczego?”

— Ona niszczy obuwie — rzekła lakonicznie Elżbieta.

— Dajże jej się ślizgać dowoli! Ona musi być dużo na powietrzu. Powinna sypiać pod gołym niebem — tu doktor popatrzał wrogo na Elżbietę.

Elżbieta trzęsła się, gdy doktor opuszczał Srebrny Nów. Znała jego niedorzeczne poglądy na zapobieganie gruźlicy. Chcąc go udobruchać, pozwoliła Emilce spędzać dnie całe na świeżem powietrzu, byle nie nudził co do snu przy otwartych oknach, gdyż to rozumiał Burnley przez „sypianie pod gołym niebem”.

— On więcej się troszczy o Emilkę, niż o własne dziecko — rzekła Elżbieta do Laury.

— Ilza jest zdrowa — odrzekła Laura z uśmiechem. — Gdyby była wątłym dzieckiem, Allan przebaczyłby jej to, że... że jest dzieckiem swej matki.

— Pst... — rzuciła Elżbieta. Ale już było zapóźno. Emilka, która właśnie wchodziła do kuchni, usłyszała słowa ciotki Laury i rozmyślała nad niemi przez cały dzień w szkole. Dlaczego Ilzie można przebaczyć, lub nie, to że jest córką swojej matki? Wszak każdy jest dzieckiem swej matki, ona też! Gdzie tu jest zbrodnia? Emilka tak silnie dociekała tego zagadnienia, że nie uważała podczas lekcji i naraziła się na ostrze ironji panny Brownell.

Ale wróćmy do Czarnowody, gdzie Tazio po objechaniu terenu ślizgawkowego odprowadzał właśnie Emilkę na ławkę, na której czekała na nich Ilza. Jej złote włosy tworzyły aureolę nad śnieżnym czołem. Policzki miała zaróżowione, a oczy jej błyszczą-



ły jak djamenty. Artystyczny zmysł Tadzia nie mógł pozostać nieczuły wobec tej piękności, radował się nią.

— Czy Ilza nie jest śliczna? — spytał.

Emilka nie była zazdrosna. Nie to ją ubodło, że ktoś chwali Ilzę. Lecz, mimo wszystko, nie podobało jej się to. Tadzio patrzył na Ilzę ze zbyt dużym podziwem. Olśniewa go, myślała Emilka, to migocące w słońcu złoto włosów Ilzy.

— Gdybym miała grzywkę nad czołem, Tadzio uważałby mnie również za ładną — pomyślała z goryczą. Naturalnie ciemne włosy nie są takie ładne jak jasne. Ale ja mam zbyt wysokie czoło, wszyscy to mówią. A na portreciku, namalowanym przez Tadzia, wyglądam ładnie, bo mi przysłonił czoło lokami.

To w niej nurtowało. Prześladowały ją złe myśli, gdy wracała do domu; kolacji nie zjadła, bo nie miała grzywki. Cała jej tęsknota kilkumiesięczna za grzywką wezbrała w niej naraz ze wzmożoną siłą. Wiedziała, że ciotki Elżbiety nic nie ugnie. Rozbiegając się do snu, weszła na krzeselko, aby się przejrzeć w zwierciadło i spuściła sobie parę loczków na czoło. Efekt był olśniewający, przynajmniej w oczach Emilki. Przyszło jej nagle na myśl: ażeby tak przyciąć sobie samej włosy na grzywkę? Toby zajęło minutę, nie więcej. A cóż może uczynić ciotka Elżbieta wobec faktu dokonanego? Będzie się bardzo gniewać i z pewnością wymierzy jej jakąś karę. Ale grzywka będzie grzywką, przynajmniej dopóki nie odrośnie.

Emilka z zaciśniętymi zębami poszła po nożyczki. Podzieliła włosy na dwie części. Nożyczki pracowały przez chwilę. Czarne loki spadały na ziemię. W ciągu

minuty miała Emilka upragnioną grzywkę. Zmieniało to charakter jej fizjonomji. Czyniło ją wyzywającą, zagadkową. Emilka patrzyła z triumfem na swe odbicie w zwierciadle.

Wtem ogarnął ją strach. Och, cóż ona zrobiła?! Jakże się będzie gniewać ciotka Elżbieta! Nagle zbudziło się sumienie i dręczyło dziewczynkę okrutnie. Niedobra była, postępując w ten sposób. Nie należało obcinać włosów na grzywkę, skoro ciotka Elżbieta na to nie pozwoliła. Ciotka Elżbieta przygarnęła ją, stworzyła jej w Srebrnym Nowiu ognisko domowe... wszak Rhoda Stuart powiedziała w szkole, że Emilka „żyje z łaski”. A ona odpłaciła jej za to nieposłuszeństwem i niewdzięcznością. Córka Starra nie powinna była tego zrobić. W panicznym strachu, udręczona wyrzutami sumienia, porwała Emilka na nowo nożyczki i zaczęła przycinać włosy aż do nasady. Coraz gorzej! Widać było, że na tem czole istniała grzywka, którą obcięto, unicestwiono. Gniewu ciotki Elżbiety nie da się uniknąć. A na dobitkę zrobiła z siebie straszdyło. Emilka wybuchnęła płaczem, pozbierała obcięte loki z podłogi, wrzuciła je do kosza od papieru, zgasiła świecę i wsunęła się pod kołdrę w chwili, kiedy ciotka Elżbieta wchodziła właśnie do sypialni.

Emilka ukryła twarz w poduszkach i udawała, że śpi. Bała się, że ciotka Elżbieta zada jej jakieś pytanie i będzie chciała na nią patrzeć, mówiąc do niej. Według tradycji Murrayowskiej należało patrzeć w oczy ludziom, do których się mówi. W pokoju było ciemno, zupełnie ciemno. Emilka wzdychała i przewracała się z boku na bok. W łóżku była butelka z gorącą wodą, a ona, wiedząc o tem, miała nogi lodo-

wate, a nie śmiała oprzeć ich o butelkę. Niegodna była tej przyjemności, zbyt niegrzeczna była, zbyt niewdzięczna.

— Przestać się kręcić — rzekła ciotka Elżbieta.

Emilka przestała się kręcić. Ale psychicznie nie uspokoiła się bynajmniej. Nie mogła usnąć. Przyczyną mogły być równie dobrze zimne nogi, jak dręczące ją sumienie. Drżała na myśl o dniu jutrzejszym. Ciotka Elżbieta zobaczy, co się stało. Żeby to już było jutro! Żeby to już mieć za sobą! Emilka zapomniała się i gwałtownie przewróciła się na drugi bok.

— Dlaczego jesteś taka niespokojna? — spytała ciotka Elżbieta, wysoce niezadowolona. — Czy się przeziębiłaś?

— Nie, ciotko Elżbieto.

— No, to śpij. Znieść nie mogę tego wiercenia się. Zupełnie tak, jakbym miała w łóżku węgorza. O, Boże!

Ciotka Elżbieta, poruszywszy się żywiej z kolei, dotknęła nogą lodowatej nóżki Emilki.

— Boże mój, dziecko, nogi masz jak sople lodu. Masz, przyłóż je do butelki.

Ciotka Elżbieta pchnęła butelkę w kierunku nóg Emilki, która jak kotka przytuliła skostniałe palce do gorącego naczynia. Jak przyjemnie, jak ciepło, jak dobrze!

Nagle pojęła Emilka, że nie zdoła czekać aż do jutra.

— Ciotko Elżbieto, mam coś na sumieniu, muszę ci to wyznać... \*\*

Ciotka Elżbieta była zmęczona i senna, nie miała

najmniejszej ochoty na spowiedź nocną. Rzekła niezbyt uprzejmym tonem:

— Co zrobiłaś?

— Przycięłam sobie włosy na grzywkę, ciotko Elżbieto.

— Grzywkę?

Ciotka Elżbieta usiadła na łóżku.

— Ale zaraz obcięłam ją doszczętnie — zawołała Emilka pośpiesznie. — Ostrzygłam włosy aż do skóry.

— Cóż za straszycie zrobiłaś z siebie! — rzekła, krzywiąc się niemiłosiernie. — Nigdy jeszcze nie widziałam tak brzydkiej twarzy, jak twoja w tej chwili. A przytem postąpiłaś w sposób wysoce nieodpowiedni.

Tym razem zgadzała się Emilka z ciotką Elżbietą, co niezawsze im się zdarzało.

— Żałuję bardzo, że to zrobiłam — rzekła z błagalnym wejrzeniem.

— Będziesz jadać kolacje w spiżarni przez cały tydzień — orzekła ciotka Elżbieta. — I nie pojedziesz ze mną w przyszłym tygodniu do wuja Olivera. Przyrzekłam, że cię zabiorę. Ale nie mogę zabrać ze sobą kogoś, kto tak wygląda.

To było okrutne. Emilka cieszyła się bardzo na tę bytność w domu wuja Olivera. Ale najgorsze już minęło. Nogi jej zaczynały się rozgrzewać. Postanowiła zrzucić wszelki ciężar z serca, skoro już raz zaczęła się spowiadać.

— Jeszcze coś powinnam ci wyznać, ciotko Elżbieto.

Ciotka Elżbieta odwróciła się, mrużąc. Emilka wzięła to mrużenie za oznakę zgody.

— Ciotko Elżbieto, pamiętasz tę książkę, którą znalazłam u Dra Burnleya i przyniosłam do domu? Pytałam, czy mogę ją czytać. Tytuł brzmiał: „Historja Henryka Esmonda”. Ty przyjrzałaś się tej książce i oznajmiłaś, że nie masz nic przeciw temu. Więc ją przeczytałam. Ale, ciotko Elżbieto, to nie była historyczna książka, to była powieść. *A ja wiedziałam o tem, przynosząc ją do domu.*

— Wiesz, że zabroniłam ci czytać powieści, Emiljo Starr. Są to złe książki, które zgubiły już niejedną duszę.

— To było bardzo nudne — broniła się Emilka, jakgdyby niepoczciwość i nuda nie mogły iść w parze. — A przytem ja czułam się podczas czytania, bardzo nieszczęśliwa. Tam każdy kochał się nie we właściwej osobie. Postanowiłam więc, ciotko Elżbieto, że ja się nie zakocham nigdy. To wywołuje za wiele powikłań:

— Nie mów o rzeczach, których nie rozumiesz i o których dzieci nie powinny myśleć. To jest rezultat czytania powieści. Powiem Drowi Burnleyowi, żeby zamykał na klucz bibliotekę.

— O, nie czyn tego, ciotko Elżbieto! — zawołała Emilka z patosem. — Tam już niema powieści. Ale czytałam tam taką zajmującą książkę. O tem, co jest w nas, wewnątrz. Doszłam już do rozdziału o wątrobie i jej niedomaganiach. Obrazki są takie ciekawe! Pozwól mi jej dokończyć.

To było gorsze, niż powieści. Ciotka Elżbieta by-

ła zgorzszona. Nie można czytać o organach wewnętrznych.

— Czy ci nie wstyd, Emiljo Starr? Nie? W takim razie ja się wstydzę za ciebie. Małe dziewczynki nie czytają takich książek.

— Ależ, ciotko Elżbieto, dlaczego nie? Ja mam wątrobę, czyż nie? I serce i płuca i żołądek i... —

— Dosyć, Emilko. Ani słowa więcej.

Emilka usypiała, nieszczęśliwa. Żałowała, że wspomniała o „Esmondzie”. Wiedziała, że nie będzie miała możliwości dokończenia tamtej drugiej książki. I tak też się stało. Biblioteka Dra Burnleya była od tej pory zamknięta na klucz, a doktor zabronił jej i Ilzie wchodzić do jego gabinetu. Był w złym humorze, bo usłyszał przykre słowa od Elżbiety Murray.

Emilce nie było dane zapomnieć o jej nieśczęsnej grzywce. W szkole sprzeciwiano jej się z tego powodu, a ciotka Elżbieta patrzyła na jej czoło wymownie, ilekroć wzrok jej spoczął na twarzy dziewczynki. Pogarda tego spojrzenia paliła wstydem czoło Emilki. Niemniej, gdy obcięte włosy zaczęły odrastać i tworzyć loczki nad czołem, Emilka doznała znacznej pociechy. Grzywka była faktem dokonanym, a jako taki — bezapelacyjnym; uroda zaś dziewczynki zyskała na tem niewątpliwie. Wiedziała, że skoro tylko włosy odrosną bardziej, ciotka Elżbieta każe je zczesać do tyłu. Ale na razie cieszyła się swą pięknnością.

Grzywka była właśnie w pełnej krasie, gdy nadszedł list od babki ciotecznej Nancy.

Skierowany był do ciotki Laury (ciotka Nancy

i ciotka Elżbieta niebardzo się lubiły). „Jeżeli macie fotografię tego dziecka, Emilki, przyslijcie mi ją”, pisała ciotka Nancy. Jej samej nie chcę oglądać jest głupia, wiem, że jest głupia. Ale chcę zobaczyć, jak wygląda dziecko Julki. No, i dziecko tego czarującego Douglasa Starra. Bo on *był* czarujący. Jakimiż głupcami byliście wszyscy, robiąc taki hałas z powodu uciezki Julki do tego chłopca. Gdybyście wy obie, ty i Elżbieta, były również uciekły, każda ze swoim ukochanym, za czasów kochania, młodości, lepiejby było dla was obu”.

Tego listu nie pokazano Emilce. Ciotka Elżbieta i ciotka Laura odbyły długą naradę i oznajmiły Emilce, że pojedą z nią do Shrewsbury, aby ją sfotografować na intencję ciotki Nancy. Na Emilce wywarło to silne wrażenie. Włożyła swą kaszmirową sukienkę, a ciotka Laura przyszyła do stanika koronkowy żabocik i pozwoliła jej ozdobić szyję weneckimi paciorkami. Kupiono nowe buciki na guziki przy tej sposobności.

— Tak się cieszę, że mnie fotografują, gdy mam jeszcze grzywkę — myślała Emilka.

Ale w garderobie u fotografa, zczesła ciotka Elżbieta wtył krótkie włosy i przypięła je małemi szpilczkami.

— Och, proszę cię, ciotko Elżbieto, pozwól mi zachować tę grzywkę — błagała Emilka — Tylko do fotografii. Potem ją zaczeszę.

Ciotka Elżbieta była nieubłagana. Grzywkę zaczesano wtył i zrobiono zdjęcie. Ciotka Elżbieta zadowolono była z rezultatu.

— Wygląda ponuro. Ale schludnie. A przytem

widzę na tej fotografii podobieństwo do Murrayów, którego nie zauważyłem przedtem — rzekła do ciotki Laury. — To się będzie podobało ciotce Nancy. Ona jest bardzo solidarna pod powłoką szorstkości i chłodu.

Emilka byłaby najchętniej wrzuciła w ogień wszystkie odbitki. Niecierpiała ich. Wyglądała na nich ohydnie. Cała jej twarz była *czołem*. Ciotka Nancy pomyśli na mocy tego zdjęcia, że ona jest głupsza, niż jest w rzeczywistości. Gdy ciotka Elżbieta rozkazała Emilce zanieść fotografię na pocztę i wysłać, dziewczynka odrazu zorientowała się, co uczyni. Poszła na strych, wyjęła z otomany ową akwarelę, wykonaną przez Tadzia, przedstawiającą ją samą. Rozmiar był ten sam. Emilka podarła swą podobiznę w drobne kawałki, które wsunęła nogą pod kanapę.

— To nie ja jestem — rzekła. — Wyglądam ponuro, bo czuję się niedobrze, bo jest mi ponuro na duszy. Powodem jest grzywka... Ale zazwyczaj nie wyglądam ponuro, więc to nie byłoby w porządku posyłać komuś to zdjęcie, jako moją podobiznę.

Włożyła obrazek Tadzia w tekturę, poczem usiadła i napisała list.

— Kochana babciu cioteczna Nancy,

Ciotka Elżbieta poleciła mi przesłać ci moją fotografię, ale mnie się zdjęcie nie podoba, bo wyglądam na niem zbyt brzydko, więc posyłam natomiast inną podobiznę mojej osoby. Ten portrecik namalował *artysta, zaprzyjaźniony ze mną*. Zupełnie tak wyglądam, gdy się uśmiecham i gdy mam grzywkę. Po-



życzam ci tylko ten portrecik, nie mogę ci go *podarować*, bo on ma wysoką wartość.

Twoja posłuszna siostrzenica  
Emilja Byrd Starr.

P. S. Nie jestem taka głupia, jak ci się zdaje.

E. B. S.

P. S. 2. Nie jestem *wcale* głupia”.

Emilka włożyła list do paczki, oszukując tem samem bezwiednie urząd pocztowy i wyszła z domu, aby nadać przesyłkę. Skoro już wychodziła z poczty, odcznęła z ulgą. Droga do domu wydała jej się bardzo przyjemna. Przyroda śmiała się do niej. Emilka zaczęła układać wiersz o wiośnie. Niema prawdziwego poety, któryby nie napisał przynajmniej jednego wiersza o wiośnie.

Tak była pogrążona w pracy twórczej, że nie zauważyła dziwnej postaci, zbliżającej się do niej powoli. Nagle stanęła oko w oko ze starą, zgarbioną kobietą, och, jaką starą!

— Jestem ciotką Tomaszową, ciotką chłopaka — rzekła staruszka.

— Aha! — Emilka uspokoiła się. Już się nie bała. — Jak się pani miewa? — dodała, chcąc być grzeczną.

— Uprzejma i niezbyt dumna... — rzekła ciotka Tomaszowa, przyglądając jej się ciekawie. — Byłam w tym wielkim domu z parą pończoch dla chłopaka, ale chciałam zobaczyć ciebie.

— Mnie — zdziwiła się Emilka.

— Tak. Chłopak mówi o tobie dużo, a w mojej

głowie powstał plan. Ale chcę się upewnić, zanim się pozbędę moich pieniędzy. Nazywasz się Emilja Byrd Starr, a jesteś właściwie Murrayówną. Czy wyjdiesz zamaż za chłopaka, jeżeli dam mu odpowiednie wykształcenie?

— Ja! — zdumiała się Emilka ponownie. To było wszystko na co się zdobyła. Czyba śni? Czy to może być jawa?

— Tak, ty. Jesteś na pół Murrayówną i to byłby dla niego duży krok naprzód. On jest szykowny i będzie zczasem bogatym człowiekiem i panem okolicy. Ale nie wydam na niego ani centa, dopóki nie dasz mu słowa.

— Ciotka Elżbieta nie pozwoli — zawołała Emilka, zbyt wystraszona, aby odmówić w swem własnem imieniu.

— Jeżeli jesteś choć trochę Murrayówną, to potrafisz wybrać sama męża — rzekła ciotka Tomaszowa, przybliżając tak bardzo swą twarz do Emilki, że jej krzaczaste brwi dotknęły nosa dziewczynki. — Powiedz, że wyjdiesz zamaż za mego chłopca — a pośle go do gimnazjum.

Emilka nie była zdolna wymówić słowa. Nie mogła też uciec, stała jak wryta. Czekąca, kiedy się skończy ten przykry sen.

— Powiedz! — nalegała ciotka Tomaszowa, uderzając swym kijem o kamienie.

Emilka tak była wystraszona, że pragnęła tylko odzyskać władzę w nogach i móc się ratować ucieczką. Lecz w tejże chwili wyskoczył z pobliskiego rowu — Perry. Był błąd z gniewu, porwał ciotkę Tomaszową za ramiona bez najmniejszego szacunku.

— Wrócisz natychmiast do domu! — rozkazał ze złością.

— Ależ, mój drogi — rzekła łagodnie ciotka Tomaszowa. — Ja staram się zrobić ci coś bardzo dobrego. Proszę ją, żeby wyszła za ciebie zamąż, gdy... —

— Ja sam potrafię się oświadczyć! — Perry był coraz bardziej podrażniony. — Ty tylko możesz zepsuć wszystko. Wracaj, mówię ci, wracaj do domu!

Ciotka Tomaszowa pokiwała głową.

— Dobrze, wiem, co mi pozostaje. Nie będzie Murrayówny, nie będzie pieniędzy!

Kiedy zniknęła za zakrętem ścieżki, zwrócił się Perry do Emilki. Z bladego stał się purpurowy.

— Nie zważaj na nią, ona jest zwarjowana — rzekł. — Rzecz jasna, że gdy dorosnę, poproszę cię o twą rękę, ale...

— To będzie niemożliwe... Ciotka Elżbieta...

— Ech, wtedy się zgodzi. Ja będę czasem premierem Kanady.

— Ale ja nie będę czekać... z pewnością nie doczekam się...

— Owszem, będziesz na mnie czekać, skoro dorośniesz. Ilza jest ładniejsza, to prawda, ale ja sam nie wiem, dlaczego wolę ciebie.

— Nie mów do mnie nigdy więcej w ten sposób! — rozkazała Emilka, odzyskując poczucie swej godności.

— Dobrze. Dopiero, gdy będziemy dorośli... Wstydzę się nie mniej, niż ty — rzekł Perry. — Ale musiałem coś powiedzieć, skoro ciotka tak mnie już wkołała. Za to nie można mnie ganić, to też nie bierz mi

tego za złe. Ale pamiętaj, że ja ci się czasem oświadczę. Zdaje mi się, że Tadzio Kent też to uczyni.

Emilka odchodziła szybkim krokiem, ale na te słowa odwróciła się raz jeszcze.

— Jeżeli on mi się oświadczy, wyjdę za niego zamaż.

— Jeżeli to zrobisz, łeb mu utnę — huknął Perry, rozwścieczony.

Emilka odeszła pewnym krokiem i udała się na strych, ażeby przemyśleć to, co usłyszała.

— Było to romantyczne, ale nieprzyjemne — doszła do wniosku. I tak ów poemat o wiosnie nie został dokończony już nigdy.

## 22.

### ZAPROSZENIE.

Od ciotki Nancy nie nadeszła żadna odpowiedź, ani potwierdzenie odbioru fotografji Emilki. Ciotka Elżbieta i ciotka Laura nie dziwiły się temu milczeniu, znając zwyczaje ciotki Nancy, ale Emilka była zatroskana. Może ciotce Nancy nie podobało się to, co ona zrobiła? A może doszła do wniosku, że Emilka jest za głupia, aby się nią zajmować wogóle?

Emilka napisała do ciotki Nancy bardzo grzeczny, światowy list, w którym energicznie protestowała przeciw zarzutowi głupoty i domagała się odpowiedzi. Rzecz jasna, że nie śmiała wysłać tego listu. Złożyła go starannie, włożyła w otomanę, kryjącą listy do oj-

ca, poczem przestała myśleć o ciotce Nancy, gdy, wtem... nadszedł list od staruszki.

Elżbieta i Laura rozmawiały na ten temat, zapominając, że Emilka siedzi na progu kuchni. Emilka wyobrażała sobie właśnie, że stoi w salonie królowej Wiktorji. Biało ubrana, pochylała się ku ręce królowej, gdy zbudził ją z marzeń ostry głos ciotki Elżbiety:

— Jak uważasz, Lauro, czy pozwolić Emilce na te odwiedziny u ciotki Nancy?

Emilka nadstawiła ucha. Jaki znowu wiatr powiał?

— Sądząc z jej listu, ona bardzoby pragnęła zobaczyć ją zbliska — odrzekła Laura.

Elżbieta zachnęła się.

— Kaprys, kaprys. Wiesz, jakie ona miewa przywidzenia. Zanim Emilka przyjedzie, kaprys minie. Nancy nie będzie już miała zastosowania dla małej.

— Tak, ale z drugiej strony, jeżeli jej dziecka nie pošlemy, ona nam tego nie przebaczy, nam, albo Emilce. Będzie obrażona. Trzeba pozwolić Emilce spróbować szczęścia...

— Nie widzę o jakie szczęście ci chodzi. Jeżeli ciotka Nancy ma istotnie pieniądze poza swoją rentą roczną, a tego nikt nie wie napewno, chyba Karolina! Jeżeli zatem ma pieniądze, to pozostawi wszystko Priestom. Lili Priest jest jej ulubienicą. Ciotka Nancy zawsze wolała rodzinę swego męża, niż swą własną. Emilka może jej się podobać, one są dobrane wzajemnie, obie są nudne. Ale wiesz, jak ona się wyraża o rodzinie, ona i ta wstrętna stara Karolina.

— Emilka za młoda jest, aby zrozumieć — odrzekła Laura.

— Więcej rozumiem, niż wam się zdaje — krzyknęła Emilka od progu.

Ciotka Elżbieta drgnęła.

— Emiljo Starr, czy nie nauczyłaś się jeszcze, że nie należy podsłuchiwać?

— Ja nie podsłuchiwałam. Sądziłam, że wiecie o mojej obecności. Nie mam na to rady, że moje uszy słyszą. Dlaczego nie szeptałyście? Gdy szepczecie, wiem, że macie tajemnice i usiłuję nie słyszeć. Czy mam jechać w odwiedziny do ciotki Nancy?

— Jeszcze nie postanowiłyśmy nic w tej sprawie — odrzekła ciotka Elżbieta zimno. Emilka nie dowiedziała się niczego więcej przed upływem tygodnia. Sama nie wiedziała, czy chętnieby pojechała, czy nie. Ciotka Elżbieta zaczęła w tych dniach wyrabiać sery (Srebrny Nów znany był ze swych serów), Emilka przyglądała się temu zajęciu z zaciekawieniem i była tem pochłonięta. Pochłaniały ją również zabawy z Ilzą i z Tadzkiem i z Perrym. Bawili się w „Sen Nocny Letniej” i uważali, się że jest to świetna zabawa. Tadzko namalował śliczne dekoracje na starych żaglach, których dostarczył Perry: Ilza sporządziła rekwizyty teatralne z papieru i bibułki, Emilka zaś opracowała dramat Szekspira, przystosowując go do okoliczności i warunków lokalnych. Następnie podzielili role między siebie: Emilka była Tytanją i Hermją, oraz szeregiem dobrych wróżek, Ilza była Hipolitą i Heleną, oraz szeregiem dobrych wróżek, a chłopcy byli tem, czego wymagał dialog w danych miejscach. Ciotka Elżbieta nie wiedziała o tem wszystkim. Byłaby szybko położyła kres tej zabawie, bo uważała wszelki teatr

za coś występnego. Ciotka Laura była dopuszczona do spisku, podobnie jak kuzyn Jimmy i Wysoki Jan.

Odjeżdżać chociażby na czas krótki od tego wszystkiego byłoby rzeczą przykrą, ale z drugiej strony Emilkę paliła ciekawość zobaczenia ciotki Nancy i jej domu w Księżym Stawie. Właściwie miała raczej ochotę jechać. Gdy zobaczyła, że ciotka Laura prasuje jej białą spódniczkę, a ciotka Elżbieta wydobywa z głębi strychu starą, zakurzoną walizkę, zrozumiała, zanim jej cokolwiek powiedziano, że odwiedziny w Księżym Stawie są rzeczą postanowioną: wyjęła więc z otomany list do ciotki Nancy i dopisała post scriptum, przepraszające za przedwczesny akt oskarżenia.

Ilza dąsała się o ten wyjazd Emilki. Perspektywa spędzenia samotnego miesiąca bez nieodstępnej towarzyski nie uśmiechała jej się bynajmniej. Nie będzie już zabaw wieczornych przy świetle księżycy, nie będzie już z kim się kłócić. Zresztą Ilza nigdy jeszcze nie była u nikogo w odwiedziny, więc fakt ten sprawiał jej podwójną przykrość.

— Jabym za nic na świecie nie pojechała do Księżego Stawu — rzekła Ilza. Ten dom ciotki Nancy jest nawiedzany przez duchy. Tam straszy.

— Nieprawda.

— Owszem! Tam straszy duch, którego się czuje i słyszy, a którego widzieć nie można. Och, nie chciałabym za skarby być na twojem miejscu! Ciotka Nancy jest wstrętną babą, a ta starucha, która z nią mieszka, jest czarownicą. Ona rzuci zły urok na ciebie. Wyjedziesz stamtąd, ale umrzesz wkrótce potem.

— Nie umrę... ona nie jest czarownicą!

— Jest! Za jej sprawą szczerkają co noc kamien-

ne psy z obu stron zajazdu. Gdy tylko ktoś podejdzie, wydają dźwięk: ham, ham, ham! ...

Ilza była urodzoną deklamatorką. Jej ham, ham, ham było przejmujące. Ale było to za dnia, a Emilka była waleczna jak lew przy dziennem świetle.

— Zazdrosna jesteś — rzekła i odeszła.

— Bynajmniej, ty nędzna istoto — wołała za nią Ilza. — Fumy ma, bo jej ciotka posiada kamienne psy przy bramie zajazdowej! Ja znam w Shrewsbury kobietę, która ma stokroć „kamienniejsze” psy, niż twoja ciotka!

Ale nazajutrz zrana żegnała Ilza serdecznie Emilkę i zobowiązała ją do pisywania raz na tydzień. Emilka miała jechać do Księżego Stawu ze starym Kellym. Ciotka Elżbieta miała zamiar odwiedzić ją, ale nie czuła się dobrze tego dnia, a ciotka Laura nie chciała pozostawić siostry samej. Kuzyn Jimmy naprawiał płot. Emilka nie byłaby mogła pojechać w oznaczonym terminie, a to byłoby wysoce niewłaściwe, gdyż oznajmiono jej przyjazd ciotce Nancy na dany dzień, a ciotka Nancy nie lubiła czekać daremnie. Gdyby Emilka nie zjawiła się punktualnie przed obliczem ciotki Nancy, ta byłaby zdolna zatrzaskać spóźnionej drzwi przed nosem i kazać jej wracać do domu. Tylko to przeświadczenie mogło skłonić Elżbietę Murray do powierzenia Emilki staremu Kelly'emu.

Emilka była zachwycona. Lubiła starego kupca i uważała tę wyprawę w jego czerwonym pojeździe za istną przygodę.

— Cieszę się — mówił stary Kelly po drodze — zawsze lubiłem jeździć z ładnymi dziewczętami. A kiedyż ślub?



— Czyj ślub? -

— Święta naiwności! Twój własny, rzecz jasna!

— Nie mam zamiaru wyjść zamąż — rzekła Emilka, naśladowując wcale nieźle ton i sposób mówienia ciotki Elżbiety.

— Hm, sama panna Elżbieta lepiejby nie powiedziała... Może i racja...

— Miałam na myśli — rzekła Emilka, przerażona, że może uraziła starego Kelly'ego tą odprawą wszystkich mężczyzn — że jestem za młoda, aby wyjść zamąż.

— Im młodsza, tem lepiej. A tu oto jest pudełko cukierków dla ciebie. Stary Kelly zawsze częstuje damy. A teraz opowiedz mi o nim.

— O kim?

— O twoim chłopcu, naturalnie.

— Ja nie mam mego chłopca. Panie Kelly, nie powinien pan rozmawiać ze mną o takich rzeczach.

— Zapewne, gdybym był wiedział, że to niepożądany temat. Ale ja źle nie myślałem, wierz mi prosto trafiłem kulą w płot.

Nastąpiło dłuższe milczenie. Emilka przyglądała się krajobrazowi i już zaczynała snuć w duszy marzenia, już jej świły nowe rymy...

— A więc jedziesz w odwiedziny do starszej pani z Księżego Stawu? — spytał znowu stary Kelly. — Nigdy tam nie byłaś?

— Nie. —

— Tam jest istne zatrzęsienie Priestów. To jest ród równie dumny jak Murrayowie. Ale słuchaj, drogie dziecko — dodał stary Kelly, zniżając głos — nie wychodź nigdy zamąż za żadnego z Priestów.

— Dlaczego? — spytała Emilka, która nie miała zamiaru wyjść za Priesta, ale ciekawa była, dlaczego nie ma tego uczynić.

— Oni są trudni w pożyciu. Ich żony umierają młodo. Starsza pani z Księżego Stawu pochowała wprawdzie swego męża, ale ona miała szczęście Murrayów. Jedyne przyzwoite Priest jest to Garbus Priest, a on jest za stary dla ciebie.

— Ilza mówi, że Karolina Priest jest czarownicą.

— Możliwe. Zawsze lepiej mieć się na baczności. Masz, weź do kieszeni tę podkowę końską i rób nią znak krzyża, gdybyś się znalazła w trudnym położeniu. Nie będę ci przeszkadzać, jeżeli zapalę fajkę?

Nie, Emilce nie przeszkadzało to bynajmniej. Mogła przynajmniej puścić wodze swym myślom, a były one znacznie przyjemniejsze, niż te opowiadania starego Kelly'ego. Droga do Księżego Stawu była śliczna, wiła się wzdłuż zatoki. Jechali przez mosty na rzekach i strumieniach, a po lewej ręce odsłaniały się widoki na coraz to inne stawy i jeziora. Wreszcie ujrzeli największe z nich: Księży Staw. Emilka chciwemi oczami wchłaniała ten krajobraz, pełen uroku i postanowiła nagle, że musi co rychlej opisać dokładnie to, na co patrzy. Zapakowała przezornie do walizki księgę oprawną kuzyna Jimmy.

Skręcili tuż nad jezioro. Boczna droga prowadziła do siedziby ciotki Nancy, zwanej również Księżym Stawem. Powietrze było tu rzadsze, chłodniejsze, niż w Srebrnym Nowiu. Kwiaty upajająco pachniały dookoła. Emilka zmartwiona była, gdy zajechali przed bramę, że ta czarowna podróż już się skończyła. Przed

tą bramą widniały dwa wielkie psy kamienne o ponurych fizjonomjach.

Wielkie drzwi, prowadzące do hallu, stały otworem. Na progu stała drobna postać kobieca. Stary Kelly zaczął się śpieszyć. Postawił szybko na ziemi Emilkę i jej walizkę uściskał jej rękę i szepnął: „Nie zgub aby podkowy. Do widzenia. Miej zimną głowę, a gorące serce”. Zniknął, zanim stara kobieta zbliżyła się do nich.

— A więc to jest Emilka ze Srebrnego Nowiu!

Słowa te wypowiedział ostry, nieomal piskliwy głos kobiety. Szczupła dłoń, twarda i koścista, objęła jej rączkę i skierowała ją ku drzwiom. Nie było tu czarownic, zapewne, niemniej Emilka dotknęła ręką końskiej podkowy w kieszeni.

23.

## UKŁAD Z DUCHAMI

— Twoja ciotka jest w saloniku — rzekła Karolina Priest. — Chodź ze mną. Czy jesteś zmęczona?

— Nie — rzekła Emilka, idąc za Karoliną i przyglądając jej się. Jeżeli to była czarownica, to w każdym razie bardzo drobna i niepozorna. Była wzrostu Emilki. Miała na sobie jedwabną suknię i pelerynkę, wszystko czarne, skromne. Włosy były żółtawe, a twarz pomarszczona bardziej, niżby się wydawało możliwe. Miała zielone oczy, które, jak to ustali Emilka w przyszłości, były cechą charakterystyczną rodziny Priestów.

— Może jesteś czarownicą — myślała Emilka.  
— Lecz mnie się zdaje, że ja potrafię dać ci radę.

Przeszły przez obszerny hall i szły przez szereg wielkich pokojów o gotyckich oknach. Emilka czuła się jak bohaterka starych romansów poetyckich, wędrująca o północy w ślad za jakimś złowieszczym, a tajemniczym przewodnikiem. Zdążyła przeczytać kilka takich opowieści, zanim padło „tabu” na bibliotekę dra Burnleya. Drżała. Było to okropne, lecz zajmujące.

Wreszcie dotarły do wielkiej jadalni, gdzie stół był nakryty do kolacji. Karolina przeprowadziła Emilkę przez ten pokój do przeciwległych drzwi, krzywiąc się tak okropnie, że mimowoli wykrzywiła się twarz każdemu, kto w takiej chwili patrzył na nią. Zapukała do owych drzwi. Usłyszały odpowiedź: „proszę!”. Zeszły z czterech stopni (zabawny dom!) i znalazły się w wielkim pokoju, gdzie pod ścianą stało ogromne łóżko. Ciotka Nancy siedziała na fotelu z czarną laską, opartą o kolana. Jej długie białe ręce, wciąż jeszcze piękne, leżały, złożone, na jedwabnym fartuchu.

Emilka była rozczarowana. Przeczytano jej przed paru miesiącami ów poemat, w którym nieznany poeta sławił piękność Nancy Murrayówny, jej cerę różaną, jej oczy o blasku djamentów, tak że spodziewała się widoku kobiety niemłodej, ale ładnej. Tymczasem 90 letnia ciotka Nancy miała siwe włosy, żółte, pomarszczone policzki, a tylko oczy jej były jeszcze błyszczące i żywe. Wyglądała, jak sędziwa dobra wróżka, któraby była zdolna rozgniewać się srodze, gdyby jej ktoś dokuczył. Prawda, że dobre wróżki nie noszą nigdy długich, złotych kolczyków w uszach, kolczyków, które nieomal sięgały do linji ramion.

— A więc to jest córeczka Julki! — rzekła, podając Emilce pomarszczoną dłoń. — Nie patrz na mnie z takim zdumieniem, dziecko. Nie bój się. Nie pocałuję cię. Nigdy nie narzucam pocałunków bezbronnym istotom, dlatego tylko że mają one nieszczęście być mojami krewnami. No, do kogo ona jest podobna, Karolino?

Emilka w duchu zrobiła grymas. Analizowano teraz jej rysy poszczególne w jej obecności tak, jakby jej nie było.

— Niebardzo podobna do Murrayów — rzekła Karolina, pochylając się tak blisko nad twarzą Emilki, że dziewczynka mimowoli cofnęła się o krok. — Nie taka ładna jak Murrayówny.

— Do Starrów też nie jest podobna. Jej ojciec był przystojnym mężczyzną, tak przystojnym, że byłabym ja sama z nim uciekła, gdybym była o 50 lat młodsza. Ona nie ma w sobie żadnego rysu Julki, o ile dobrze widzę. Julka była ładna. Jesteś mniej urodziwa, niż na tym obrazku, który mi przysłałaś. Ale byłam na to przygotowana. Nie należy nigdy dowierzać obrazkom i opisom. Gdzie się podziała twoja grywka, Emilko?

— Ciotka Elżbieta zaczesła ją.

— Dobrze. Zczesziesz ją znowu na czoło, dopóki jesteś w moim domu. Masz pewien rys podobieństwa z babką Murrayową, masz jej brwi. Twój dziadek był dorodnym mężczyzną, tylko strasznie despotycznym. Prawie tak despotycznym jak Priestowie, nieprawdaż, Karolino?

— Proszę cię, ciotko Nancy — rzekła Emilka niespodziewanie — nie lubię, gdy mi się mówi, że wyglą-

dam tak, jak ten lub ów: wyglądam jak ja sama, jestem podobna do siebie, ot i wszystko!

Ciotka Nancy roześmiała się.

— Ognista natura, jak widzę. Dobrze. Nigdy nie lubiłam pokornej młodzieży. A zatem nie jesteś głupia, co?

— Nie. Nie jestem głupia.

Tym razem skrzywiła się ciotka Nancy. Sztuczne zęby wyglądały drapieźnie w jej brunatnej starej twarzy, stanowiąc jaskrawy kontrast swą śnieżną białością.

— Dobrze. Mózg więcej jest wart, niż uroda. Rozum nie przemija, piękność — bardzo szybko. Ot, ja na przykład. Karolina tu obecna, nie miała nigdy ani rozumu, ani piękności, prawda, Karolino? Chodźmy na kolację. Bogu dzięki, żołądek mi dopisuje lepiej, niż uroda.

Ciotka Nancy dowlekła się z pomocą laski do stołu w jadalni. Usiadła po jednej stronie stołu, Karolina po drugiej, Emilka między niemi. Czuła się nieswojo. Ale już tworzyła w myśli opis tego, co widziała, przeznaczony dla pamiętnika od kuzyna Jimmy.

— Ciekawa jestem, czy ktokolwiek będzie opłakiwał twoją śmierć — rozmyślała, patrząc intensywnie na Karolinę.

— Opowiedz mi teraz — rzekła ciotka Nancy — jak się to stało, skoro nie jesteś głupia, że wystosowałeś do mnie za pierwszym razem taki idjotyczny list. Boże, jakież on był niedorzeczny! Czytuję go Karolinie za karę, gdy jest niegrzeczna.

— Nie mogłam napisać innego listu, bo ciotka Elżbieta zapowiedziała zgóry, że go przeczyta.

— Wierzę, to całkiem do niej podobne. No, tu-

taj, możesz pisać, co ci się podoba, mówić, co ci się podoba i robić, co ci się podoba. Nikt się nie będzie wtrącał do ciebie, ani cię wychowywał. Zaprosiłam cię w odwiedziny, a nie na tresurę. Masz jej, przypuszczam, dosyć w Srebrnym Nowiu. Możesz biegać, dokąd chcesz i mieć swego chłopaka, jednego z Priestów, chociaż młode pokolenie nie dorównywa starszemu, to nie ludzie, co za moich czasów.

— Nie chcę mieć swego chłopca — odparła Emilka. Czuła niesmak. Stary Kelly rozmawiał już z nią dzisiaj o chłopcach, a teraz ciotka Nancy porusza ten sam niepotrzebny temat.

— Nie mów mnie takich rzeczy — rzekła ciotka Nancy, śmiejąc się. — Nie było jeszcze takiej Murraýówny w Srebrnym Nowiu, któraby nie miała swego chłopca. Ja miałam ich tuzin, gdy byłam w twoim wieku. Wszyscy mali chłopcy z Czarnowody bili się między sobą z mego powodu. Karolina nie miała nigdy narzeczonego, ani wielbiciela, nieprawdaż, Karolino?

— Nigdy tego nie pragnęłam — odrzuciła Karolina.

— Osiemdziesięcioletnia i dwunastoletnia mówią to samo, a obie kłamią — rzekła ciotka Nancy. — Po co być hypokrytką w rodzinnem gronie? Zwłaszcza, gdy niema mężczyzn. Karolino, czy zauważyłaś, jakie ładne ręce ma Emilka? Takie ładne, jak moje za czasów mojej młodości. A łokieć ma krągły i miękki jak kotek. Kuzyn Justyn Murray miał taki łokieć. Dziwne: ona ma więcej rysów Murrayowskich, niż Starrowskich, a przecież jest w całości bardziej podobna do Starrów, niż do Murrayów. Szkoda, że Gustawa niema w domu, Karolino. Czuję, że podobałaby mu się Emil-

ka. Gustaw jest jedynym z Priestów, który pójdzie do nieba, Emilko. Pokaż mi twoje pięciny, mała.

Emilka odruchowo wysunęła nogę. Ciotka Nancy skinęła głową, zadowolona.

— Pięciny Mary Shipley. Tylko jedna na całe pokolenie miewa takie. Ja je miałam. Murrayówny mają zbyt cienkie nogi w kostce. Emilko, nie jesteś pięknoscią, ale gdy się nauczysz umiejętnie się posługiwać swemi oczami, rękami i nogami, będziesz uchodzić za piękność. Mężczyzn łatwo jest oszołomić, a kobiety będą ci dopomagać swoją zazdrością.

Emilka doszła do wniosku, że nadarza się wyborna sposobność zbadania czegoś, co oddawna nie dawało jej spokoju.

— Stary Kelly powiedział, że ja mam oczy: — „przyjdź—do—mnie”! Czy to prawda? I na czem to właściwie polega?

— Stary Kelly jest głupcem. Nie masz oczu: — „przyjdź—do—mnie” toby było przeciwne tradycji Murrayowskiej, masz raczej oczy, nakazujące pewną odległość, chociaż te rzęsy zdają się kłamać temu zadawać. Czy weźmiesz jeszcze jedno ciastko, Emilko?

— Jeszcze nie wzięłam ani jednego — odrzekła Emilka z pewną urazą.

Nie wiedziała, dlaczego obie panie się roześmiały. Karolina śmiała się nieprzyjemnie, była w jej głosie nuta oschłości nawet gdy się śmiała.

— Co myślisz o nas? — spytała nagle ciotka Nancy. — Powiedz prawdę, co myślisz o nas?

Emilka była strasznie zakłopotana. Właśnie w tej chwili pomyślała, że napisze o ciotce Nancy: „po-



marszczona jak cytryna". Ale tego nie można powiedzieć! *Niemożliwe!*

— Powiedz prawdę, nie wstydz się — nalegała ciotka Nancy.

— To nie jest szlachetne pytanie — zawołała Emilka.

— A zatem — rzekła ciotka Nancy, skrzywiona niemiłosiernie — myślisz, że jestem starą sową, że Karolina nie jest ludzką istotą. Słusznie, ona nie jest człowiekiem. Nigdy nim nie była, ale mnie powinnaś była widzieć 70 lat temu! Byłam najładniejsza ze wszystkich ładnych Murrayówien. Mężczyźni szaleli za mną. Kiedy wyszłam zamaż za Natana Priestę, o mało go nie zabili jego trzej bracia. Jeden zabił siebie samego. Szkoda tylko, że te czasy nie mogą wrócić. Kobiety nie lubiły mnie, rzecz jasna. Ty mnie ubóstwiałaś, nieprawdaż, Karolino? I jeszcze mnie ubóstwiasz, nieprawdaż? Karolino, takbym chciała, żebyś nie miała brodawki na nosie!

— Jabym chciała, żebyś miała brodawkę na języku odrzekła Karolina ze złością.

Emilka zaczynała odczuwać zmęczenie. Przytem było jej nieswojo. Wszystko to było zajmujące, ale chociaż ciotka Nancy była uprzejma na swój dziwaczny sposób, to jednak w domu byli i Ilza i Tadzio i Perry, którzy teraz zaczną się bawić bez niej; Nieznosnik usiądzie na progu mleczarni i będzie czekał na kuzyna Jimmy, który mu da kolację. Emilka odczuła nagle nostalgję za Srebrnym Nowiem, taką samą, jak ongi za Borem Majowym.

— Dziecko jest zmęczone — rzekła ciotka Nancy.

— Zaprowadź ją do łóżka, Karolino. Umieść ją w czerwonym pokoju.

Emilka poszła za Karoliną. Przeszły znów przez szereg pokojów, przez kuchnię i jeszcze przez kilka dużych izb. Gdzie ją prowadzono, u Boga? Wreszcie weszły do dużego pokoju. Karolina postawiła lampę na stole i spytała, czy Emilka ma koszulkę.

— Naturalnie, że mam. Czy pani sądzi, że ciotka Elżbieta pozwoliłaby mi przyjechać bez nocnej koszuli?

Emilka była oburzona.

— Nancy powiedziała, że możesz spać zrana, jak długo ci się podoba — rzekła Karolina. — Dobranoc. Nancy i ja spiamy w starym skrzydle domu, a inni członkowie rodziny śpią w swoich trumnach, w grobie.

Z tem spostrzeżeniem wyszła Karolinka z pokoju i zamknęła drzwi.

Emilka usiadła na pokrytej brokatem otomanie i rozejrzała się dokoła. Firanki przy oknach były też brokatowe, czerwone, tapeta była tejsze barwy, zdobna w girlandy róż. Było to bardzo ładne, jasne obicie, Emilka patrzyła na nie z rozkoszą. Na podłodze leżał zielony dywanik, tak plastycznie zahaftowany czerwonymi różami, że Emilka bała się po nim stąpać. Doszła do wniosku, że jest to bardzo piękny pokój.

— Ale mam tu spać sama, więc muszę odmówić pacierze bardzo starannie, — pomyślała.

Rozebrała się szybko, zgasiła światło i położyła się do łóżka. Nakryła się pod samą brodę i leżała, patrząc w wysokie sklepienie. Tak przywykła do łóżka ciotki Elżbiety z baldachimem nad głową, że czuła się nieswojo w tem współczesnem, wielkiem łożu. Ale

przynajmniej okno było na oścież otwarte, widocznie ciotka Nancy nie podzielała obaw ciotki Elżbiety. Nie miała wstępu do nocnego powietrza. Emilka widziała przed sobą rozległe pola zbożowe, opromienione blaskiem księżyca. Ale pokój był duży, ciemny. Czuli się okropnie daleko od jakiejkolwiek żywej duszy ludzkiej. Była samotna, stęskniona. Rozmyślała o starym Kellym, ale to nie pomagało, przeciwnie. Straszne to było, spać w samotnym pokoju. Nigdy dotychczas nie spała sama. Nagle drgnęła. Jak to okno zaszeleściało! Jakgdyby coś, czy ktoś, miał wejść lada chwila do pokoju. Pomyślała o duchach Ilzy, o owym duchu, którego się nie widzi, a tylko go się słyszy i czuje, pomyślała o owych kamiennych psach, o ich domniemanem „ham, ham, ham” o północy. Gdzieś zaszeleścił pies. Emilka poczuła zimny pot na czole. Co chciała powiedzieć Karolina, mówiąc o tych, którzy śpią w trumnach, w swych grobach? Podłoga zatrzeszczała. Czy niema czegoś, lub kogoś tam za drzwiami? Czy w kącie nic się nie rusza? Zewsząd dochodzą jej uszu tajemnicze dźwięki.

Wtem usłyszała hałas tuż za sobą. To było niewątpliwe. Ktoś poruszył się tuż za jej łóżkiem. Były to szelesty i szmery i zgrzyty. Ustawiały i ponawiały się po chwili. To nie była gra wyobraźni... To był fakt.

Emilka drżała pod kołdrą. Przerażenie jej dochodziło do paroksyzmu. Teraz już nie przewidywała grozy, lecz stała wobec niej, oko w oko. Księży Staw był straszną, tajemniczą a wrogą miejscowością. Ilza miała słuszność. Tu straszyle. A ona, Emilka, leży tu sama, o kilka mil odległości od wszystkiego, co żyje.

To było okrucieństwem ze strony ciotki Nancy kazać jej spać w pokoju, w którym straszy. Ciotka Nancy wie z pewnością o tem, okrutna stara ciotka Nancy. Och, żeby już być w Srebrnym Nowiu zpowrotem, przy boku ciotki Elżbiety! Ciotka Elżbieta nie jest idealną towarzyszką łoża, ale, bądź co bądź, jest istotą ludzką z krwi i kości. A zamknięte hermetycznie okna nie dopuszczają równie dobrze upiorów, jak powietrza.

— Może nie byłoby od rzeczy odmówić powtórnie pacierze — pomyślała Emilka.

Ale i to niewiele pomogło.

Do końca życia nie zapomniała Emilka tej pierwszej nocy w Księżym Stawie. Taka była zmęczona, że usypiała chwilami, lecz niebawem budziła się, zalana potem przerażenia i znów słyszała szmery, szelesty, a nawet jęki tuż za sobą. Przypomniały jej się wszystkie duchy i upiory, o których kiedykolwiek czytała w powieściach, wykradanych z bibliotek rodzinnych.

Ciotka Elżbieta ma słuszość, nie należy czytać powieści — myślała. — Och, ja umrę ze strachu, wiem, że tu umrę. Wiem, że jestem tchórzem, ale nie.. mogę... być... odważniejsza... nie mogę...

Gdy nadszedł ranek, pokój był widny, słoneczny i wolny od tajemniczych dźwięków. Emilka wstała, ubrała się i poszła do starego skrzydła domu. Była blada, oczy miała podkrążone, wyraz ust stanowczy.

— Jakże spałaś? — spytała uprzejmie ciotka Nancy.

Emilka nie odpowiedziała na to pytanie.

— Jadę do domu dziś jeszcze — rzekła.

Ciotka Nancy zdumiała się.

— Do domu? Nonsens! Czy tak tęsknisz?

— Nie tęsknię, nie tak dalece.. ale muszę wracać...

— Niemożliwe. Tu niema nikogo, ktoby cię dzisiaj zawiózł do Srebrnego Nowiu. Czy może ci się zdaje, że Karolina cię odwiezie?

— W takim razie pójdę pieszo.

Ciotka Nancy uderzyła gniewnie laską o podłogę.

— Pozostaniesz tutaj, dopóki ja zechcę, panienko! Moja wola decyduje w tym domu. Karolina wie coś o tem, prawda, Karolino? Siadaj i jedz śniadanie, jedz!

Ciotka Nancy patrzyła piorunującym wzrokiem na Emilkę.

— Nie pozostanę tutaj — rzekła Emilka. — Nie przeleżę drugiej nocy w tym okropnym pokoju, w którym straszysz. To było okrucieństwem z twojej strony, ciotko Nancy, tam mnie umieścić. Gdybym była Salome (tu Emilka zmierzyła ciotkę od stóp do głowy) zażądałabym twojej głowy na misie wzamian za tę mękę.

— Klituś-bajduś! Co to za nonsensy o jakimś pokoju, w którym straszysz? Nie mamy duchów w Księżym Stawie! Nieprawdaż, Karolino? Uważamy je za niehigieniczne.

— Są straszliwe duchy w tamtym pokoju właśnie, przez całą noc słychać było krzyki i jęki i tajemnicze szmery... Tam w ścianie, za mojem łóżkiem. Nie pozostanę tu... nie pozosta...

Łzy trysnęły, chociaż Emilka panowała nad niemi siłą woli. Tak była wyczerpana nerwowo po tej okropnej nocy, że nie mogła się opanować. Był to wybuch nieomal histeryczny.

Ciotka Nancy patrzyła na Karolinę, a Karolina patrzyła na ciotkę Nancy.

— Powinnyśmy były jej o tem powiedzieć, Karolino. To nasza wina. Zupełnie zapomniałam. Od tak dawna nikt nie spał w czerwonym pokoju! Nic dziwnego, że ona się przelekła. Emilko, biedne dziecko, wstydzę się. Powinnam rzeczywiście złożyć ci w ofierze moją głowę na misie, ty mściwy bębnie. Powinnyśmy były ci powiedzieć...

— O czym?...

— O jaskółkach w starym kominie. Słyszałaś bowiem jaskółki. Wielki komin środkowy przechodzi właśnie za ścianą twego pokoju. Są tam gniazda jaskółcze. Te ptaki robią tyle hałasu: fruują, szeleszcząc skrzydłami, gadają i kłócą się między sobą.

Emilka zawstydzila się bardzo, znacznie bardziej, niż powinna była się wstydzić, gdyż starsi od niej ludzie przebyli mękę strachu w czerwonym pokoju w Księżym Stawie z tego samego powodu. Nancy Priest umieszczała niektórych rozmyślnie w tym pokoju, aby im dopiec. Ale w danym wypadku trzeba jej oddać tę sprawiedliwość, że poprostu zapomniała ostrzec Emilkę.

Emilka nic już nie mówiła o pójściu do domu pieszko. Karolina i ciotka Nancy były dla niej bardzo dobre przez cały dzień. Po południu dostała wyborny podwieczorek. A wieczorem poszła prosto do czerwonego pokoju i spała przez całą noc bez obudzenia. Szelesty i krzyki były równie wyraźne jak poprzedniej nocy, ale przecież jaskółki są czem innym, niż duchy.

— Zdaje mi się, że polubię Księży Staw — rzekła do siebie Emilka.

## NOWA ODMIANA SZCZĘŚCIA

20 lipca.

Ojcie drogi,

Spędziłam dwa tygodnie w Księżym Stawie i nie pisałam do ciebie ani razu. Ale myślałam o Tobie codziennie. Musiałam pisać do ciotki Laury, do Ilzy i do Tadzia, a także do kuzyna Jimmy i do Perry'ego, a poza tem miałam tyle uciech! Pierwszej nocy, którą tu spędziłam, nie przypuszczałam, że będę zadowolona. Ale jestem bardzo szczęśliwa, tylko jest to inny rodzaj szczęścia niż ten, który odczuwam w Srebrnym Nowiu.

Ciotka Nancy i Karolina są dla mnie bardzo dobre i pozwalają mi robić, co mi się podoba. To jest bardzo przyjemne. Względem siebie wzajemnie są bardzo ironiczne. Ale mnie się zdaje, że one tak, jak Ilza i ja, dokuczają sobie, lecz bardzo się kochają. — Pewna jestem, że Karolina nie jest czarownicą, ale chciałabym wiedzieć, o czem ona myśli, gdy jest sama. Ciotka Nancy nie jest dziś już ładna, ale wygląda bardzo *arystokratycznie*. Niedużo chodzi z powodu swego reumatyzmu, przeważnie siedzi w saloniku i czyta, albo robi koronki, albo gra w karty z Karoliną. Ja rozmawiam z nią często, bo ona mówi, że ją to bawi. Opowiadam jej wiele rzeczy, ale nigdy jej nie powiedziałam, że pisuję poezje. Chciałaby z pewnością, żebym jej zadeklamowała moje wiersze, a czuję, że nie jest ona właściwą osobą do słuchania moich utworów. I nie mówię z nią również o Tobie, ani o Matce, chociaż ona

usiłuje wyciągnąć mnie na słówka. Opowiedziałam jej o Wysokim Janie i o jego gajku i o tej ślicznej ścieżce, która należy do jego posiadłości, o ojcu Cassidy. — Śmiała się i oświadczyła, że ona zawsze lubiła księży katolickich, bo są to jedyni ludzie na świecie, z którymi kobieta może rozmawiać dłużej niż 10 minut, nie narażając się na obmowę ze strony innych kobiet.

Ciotka Nancy mówi dużo różnych rzeczy w tym rodzaju. Rozmawia z Karoliną o bardzo wielu zdarzeniach, które zaszły w rodzinie Murrayów i Priestów. Urywają dopiero wtedy, kiedy rozmowa zaczyna być interesująca, zupełnie tak samo, jak ciotka Elżbieta i ciotka Laura! Nie rozumiem wielu, wielu rzeczy, ale je notuję i dowiem się zczasem, co one znaczą. Opisałam ciotkę Nancy i Karolinę w oprawnej księdze od Jimmy'ego. Trzymam ją za szafą w swoim pokoju, bo pewnego razu zastałam Karolinę, szperającą w moim kufrze. Nie wolno mi nazywać ciotki Nancy „babcią cioteczną”. Ona twierdzi, że czuje się wtedy, jak Metuzalem. Opowiada mi o ludziach, którzy się w niej kochali. Mnie się wydaje, że oni się zachowywali wszyscy jednakowo. Nie mam wrażenia, żeby to było zajmujące, ale ciotka mówi, że owszem. Opowiada mi o zabawach i wieczorach tanecznych z przed wielu, wielu lat. Księża Staw jest większy, niż Srebrny Nów, meble są znacznie ładniejsze, ale trudniej się do nich przyzwyczaić.

Dużo jest tutaj ciekawych szczegółów. Rozglądam się bacznie dokoła. Jest tu naprzykład taki chiński gabinet, ohydny, ale taki niezwykły! Leży tam wąż, co-prawda martwy, ale dżę, ilekroć na niego spoglądam, a on taką ma minę, jakgdyby chciał się rzucić na mnie.



Ciotka Nancy ma w swoim pokoju piękne zwierciadło z czasów króla Karola, oraz biurko, na którym jest wyrzeźbiony chiński smok z długim ogonem. Stoi tam również taki przyrząd z piaskiem do gotowania jajek, bardzo mi się to podoba, ale mniej, niż ta srebrna kula, zwisająca od lampy w ogrodzie. Widać w niej wszystko, jak w czarownem zwierciadle. Ciotka Nancy przyrzekła mi, że kiedy umrze, ja tę kulę odziedziczę. Szkoda, że to powiedziała, bo ja tak bardzo pragnę mieć tę kulę, że mimowoli zastanawiam się, kiedy ciotka umrze, a zdaję sobie sprawę, jak to brzydko! Odziedziczę również jej złote kolczyki. To są rodzinne klejnoty Murrayów. Ciotka Nancy mówi, że klejnoty Priestów muszą powrócić do rodziny Priestów. Przykro mi, że te kolczyki ściągać będą uwagę na moje uszy, czego bynajmniej nie pragnę.

Muszę tu sypiać sama. Bałam się z początku, ale teraz jestem raczej zadowolona. Już nie trwożą mnie jaskółki. Bywa trochę nieprzyjemnie być tak daleko od wszystkiego, co żyje. Ale z drugiej strony, tak jest miło móc wyciągnąć nogi i przewrócić się na drugi bok, wiedząc, że nikt nie zacznie się o to gniewać. A kiedy się budzę w nocy i przyjdzie mi na myśl jakiś wiersz, mogę wstać i napisać go natychmiast. A w nocy przychodzą najlepsze pomysły. W domu bywa, że mam natchnienie w nocy, a potem do rana zapomnę, co chciałam napisać.

Wolno mi chodzić do kuchni i pomagać Karolinie w gotowaniu. Karolina jest dobrą kucharką, ale czasem źle coś przyrządzi, a to irytuje ciotkę Nancy, która lubi dobre rzeczy. Wczoraj zupa była zbyt wodnista. Ciotka Nancy zapytała: „Czy to zupa, czy wo-

dzianka?" Na to Karolina: „To zupa, dosyć dobra dla Priestów, a zatem i dla Murrayów”. A ciotka Nancy odrzekła: „Kobieto, Priestowie zjadali zawsze resztki ze stołu Murrayów”. Karolina rozplakała się ze złości. A ciotka Nancy zwróciła się do mnie: „Emilko, nie wychodź nigdy zamaż za żadnego Priesta”. To samo mówił stary Kelly, wioząc mnie tutaj. Żaden z Priestów, których tu widuję, nie podoba mi się zbytnio, ale robią oni wrażenie takich samych ludzi, jak wszyscy inni.

Wolę śniadania w Księżym Stawie, niż śniadania w Srebrnym Nowiu. Jadamy grzanki i bekony i marmeladę, bardzo to jest dobre.

Niedziele spędza się tutaj o wiele weselej, niż w Srebrnym Nowiu, ale mniej uroczyście. Ciotka Nancy nie chodzi do kościoła, ale nie robi koronki tego dnia: gra więc w karty z Karoliną przez cały dzień. Ale powiada, że ja nie powinnam tego robić, że to bardzo zły przykład. Lubię oglądać biblię ciotki Nancy. Są tam takie zajmujące rzeczy! Pełno tam leży kartek i dokumentów rodzinnych, oraz kawałki materiału, trochę włosów, wiersze, pisane ongi do ciotki Nancy. Znalazłam mój własny akt urodzenia i doznałam dziwnego uczucia...

Po południu przychodzi ktoś z rodziny Priestów i pozostaje na kolacji. Stale odwiedza ciotkę Nancy Leslie Priest. Jest to jej ulubiony siostrzeniec, tak mówi Jim. Zapewne dlatego, że mówi komplementy. Ale ja widziałam, jak mrugał do Izaaka Priesta, prawiać owe komplementy. Nie lubię go. Traktuje mnie, jak-gdybym była małym dzieckiem. Ciotka Nancy mówi im wszystkim straszne rzeczy, ale oni się śmieją. Kie-

dy odchodzą, ciotka Nancy wyśmiewa się z nich wobec Karoliny. Karolina nie jest zadowolona, ponieważ ona jest panną Priest, a zatem ona i ciotka Nancy kłócą się stale w niedzielę wieczorem i nie rozmawiają ze sobą w poniedziałek zrana.

Wolno mi czytać wszystkie książki z biblioteki ciotki Nancy, z wyjątkiem tomów z jednej półki. Ciekawa jestem, dlaczego tych nie mam czytać. Ciotka Nancy mówi, że to są francuskie powieści, ale ja zajrzałam na minutę do jednej z nich i zobaczyłam, że jest napisana po angielsku. Czyżby ciotka Nancy kłamała?

Brak mi tutaj Ilzy, Tadzia i Perry'ego. Znalazłam tu pyszne miejsca do zabawy, ale cóż! kiedy jestem sama. Otrzymałam dziś list od Ilzy. Pisze, że nie mogą grać Snu Nocy Letniej do mego powrotu. Jak przyjemnie jest czuć się tak nieodzowną!

Ciotka Nancy nie lubi ciotki Elżbiety. Nazywa ją „tyranem”. Opowiada, że Jimmy Murray był bardzo mądrym chłopcem. „Elżbieta Murray zabiła w nim rozum i nic jej się nie stało. Gdyby była zabiła jego ciało, byłaby zwykłą morderczynią. Tamto było gorsze, jeżeli o moje zdanie chodzi”. Ja czasami nie lubię ciotki Elżbiety, drogi Ojczy, ale czułam, że powinnam stanąć po stronie mojej rodziny, więc rzekłam: „Nie chcę słuchać takich rzeczy o mojej ciotce Elżbiecie.”

I rzuciłam na ciotkę Nancy Murrayowskie spojrzenie. Rzekła: „Bębnie nieznośny, mój brat Archibald nie umrze nigdy, dopóki ty będziesz na świecie. A skoro nie chcesz słuchać takich rzeczy, nie kręć się dokoła nas, gdy rozmawiamy, ja i Karolina. Ja zauważyłam, że *lubisz* słyszeć to i owo”.

To była ironja, drogi Ojczy, ale czuję, że ciotka

Nancy mnie lubi, chociaż nie będzie mnie lubić bardzo długo. Jim Priest mówi, że ona jest „sfiksowana” i że nigdy nie kochała nikogo, nawet swego męża. Ale ona, ilekroć drwi ze mnie, rozkazuje następnie Karolinie, żeby mi dała kawałek ciasta, tak, że nie mogę się przejmować jej ironją. Pozwala mi też pić prawdziwą herbatę. Lubię herbatę. W Srebrnym Nowiu pijam tylko rumianek, bo ciotka Elżbieta twierdzi, że to zdrowo. Ciotka Nancy mówi, że najzdrowszym sposobem odżywiania się, jest jeść, kiedy ma się ochotę i nie odmawiać sobie niczego. Ale ona nie była nigdy zagrożona suchotami. Ciotka Nancy mówi, że nie mam się czego obawiać: ja też nie umrę na suchoty, bo jest we mnie za dużo pieprzu. To jest bardzo pocieszające zdanie. Nie lubię tylko, gdy ciotka Nancy mówi o różnych częściach mojej osoby i o wrażeniu, jakie one będą wywierały na mężczyznach. Tak się głupio czuję wówczas!

Będę teraz częściej pisywać, drogi Ojczy. Zaniedbałam cię.

P. S. Jeżeli w niniejszym liście są błędy ortograficzne, to dlatego, że zapomniałam przywieźć mój słowniczek.

22 lipca.

Och, drogi Ojczy, jestem w strasznym kłopotcie. Nie wiem, co zrobić. Zbiłam lustro ciotki Nancy z czasów Karola I. Mam wrażenie, że jest to okropny sen.

Poszłam dziś do saloniku obejrzeć owego węża. Przechodząc obok zwierciadła ciotki Nancy, zawadziłam o nie rękawem: spadło z gwoździa i rozbiło się w drobne kawałki. Uciekłam, ale po chwili wróciłam, po-

zbierałam skrętnie szczątki zwierciadła i ukryłam je za sofą. Ciotka Nancy sypia teraz w innym pokoju i nie wchodzi do tamtej sypialni, bo tam słońce dogrzewa zanadto i jest strasznie gorąco. Może nie zauważy. Ale mnie to prześladowuje. Myślę o tem ciągle. Nic mnie nie cieszy. Wiem, że ciotka Nancy będzie się gniewać i nigdy mi nie przebaczy, jeżeli się o tem dowie. Nie mogłam spać przez całą noc, tak mnie dręczyła ta troska. Jim Priest przyszedł się ze mną bawić, ale powiedział, że jestem nudna i poszedł do domu. Priestowie mówią zwykle to, co myślą. Oczywiście, jestem nudna. Jakżeby mogło być inaczej? Zastanawiam się, czy modlitwa mogłaby tu pomóc? Ale nie wiem, czy wolno mi się modlić z chwilą, gdy oszukuję ciotkę Nancy.

24 lipca.

Drogi Ojcze, świat jest dziwny. Nic się na nim nie dzieje tak, jak sobie wyobrażamy. Tej nocy znowu nie zmrużyłam oka. Taka byłam udręczona. Pomyślałam, że jestem tchórzem i że nie postępuję według naszych tradycyj rodzinnych. Wkońcu nie mogłam już wytrzymać: znoszę złą opinię innych ludzi o mnie, ale nie mogę znosić długo mojej złej opinji o sobie samej. Więc wyszłam z łóżka i poszłam do saloniku. Ciotka Nancy siedziała tam jeszcze i grała w samotnika. Zawołała, co mnie u Boga Ojca sprowadza o tej godzinie. Odrzekłam szybko: „Zbiłam, ciotko Nancy, twoje lustro z czasów Karola I i ukryłam kawałki za sofą”. Czekałam na uderzenie pioruna. Ciotka Nancy zaś rzekła: „Cóż za szczęście! Zawsze miałam ochotę zrzucić je na podłogę, ale nigdy nie miałam odwagi... Priestowie czekali tylko na moją śmierć i zawczasu sprze-

ezali się między sobą, kto odziedziczy to zwierciadło, a teraz nikt go już mieć nie będzie. Idź do łóżka i śpij spokojnie”. Zapytałam: „Więc nie gniewasz się wcale, ciotko Nancy?” „Gdyby to była pamiątka po Murra-yach, byłabym bardzo rozgniewana. Ale nie dbam bynajmniej o własność Priestów”.

Więc wróciłam do łóżka, drogi Ojcze i czułam się bardzo dobrze, ale już mniej bohatersko.

Miałam dziś list od Ilzy. Pisze mi, że Nieznośnik jest ojcem kociąt, które wychowuje kotka Wysokiego Jana. Zapewne dlatego, ażeby ich ciotka Elżbieta nie potopiła. Powinnam wracać do domu i doglądać tych kociąt. Mam też list od Tadzia, ale właściwie jest to szereg obrazków, przedstawiających Ilzę i Perry’ego i gaik Wysokiego Jana. Patrząc na te obrazki odczułam, jak bardzo tęsknię za domem.

28 lipca.

Ojcze drogi, odkryłam całą prawdę, dotyczącą matki Ilzy. Jest to takie okropne, że nawet Tobie nie mogę tego napisać. Nie chce mi się w to wierzyć, ale ciotka Nancy mówi, że to prawda. Nie sądziłam, że na świecie zdarzają się tak okropne rzeczy. Nie, nie mogę w to uwierzyć i nie uwierzę, chociaż oni mówią, że to prawda. *Ja wiem*, że matka Ilzy nie mogła uczynić czegoś takiego. To jakaś ohydna pomyłka. Taka jestem nieszczęśliwa, tak się czuję, jakgdybym nie mogła już być szczęśliwa nigdy w życiu. Zeszłej nocy płakałam w poduszkę tak, jak bohaterki książek ciotki Nancy.

## „NIE MOGŁA TEGO UCZYNIĆ.”

Ciotka Nancy i Karolina Priest urozmaicały sobie szare dni starości wymianą wspomnień z lat minionych. Opowiadały sobie zdarzenia rodzinne w obecności Emilki, nie licząc się bynajmniej z jej młodocianym wiekiem. Mówiły o narodzinach, skandalach, tragedjach, zgonach, o wszystkim, co przechodziło im przez sędziwe głowy. Nie szczędziły szczegółów. Ciotka Nancy lubowała się w szczegółach. Nie zapominała o niczem, nie opuszczała żadnego szczegółiku; grzechy i słabostki, które zostały dawno pogrzebane wraz z ich przedstawicielem, były tu stale odkopywane i roztrąsane przez tę bezwzględną starszą panią.

Emilka nie była pewna, czy to lubiła, czy nie. Było to zajmujące, zaspokajało pewien głód wrażeń w dziewczynce, ale niejednokrotnie czuła się potem bardzo nieszczęśliwa, jakgdyby otworzono nagle okno na brzydki, nieczysty obraz, nieprzeznaczony dla jej niewinnych oczu. Jak słusznie powiedziała ciotka Laura, młodość była, do pewnego stopnia, jej tarczą ochronną, lecz niemniej nie mogła nie rozumieć takich żalonych historyj, jak opowiadanie o matce Ilzy, której wstyd i ból odkopała ciotka Nancy pewnego dnia popołudniu.

Emilka leżała. skulona na kanapie, w owo upalne czerwcowe popołudnie i czytała książkę. Za gorąco było na zabawę w ogrodzie. Emilka czuła się bardzo dobrze. Królowa Wichrów odzywała się do niej co chwila od strony morza, drzewa szumiały za oknami, odkryte

białem, wonnem kwieciem. Zapach ten wdzierał się chwilami do pokoju, upajający, rozkoszny. Świat był cudny. Otrzymała list od ciotki Laury, a w nim wiadomość, że jedno z kociąt, chowanych u Wysokiego Jana, czeka na nią w Srebrnym Nowiu. Emilka uważała po śmierci Kici II, że nigdy nie zapragnie innego kotka. Ale teraz czuła, że owszem... Było jej dobrze. Było jej tak dobrze, że byłaby chętnie złożyła jakieś dary dziękczynne na ołtarzu bogów, gdyby była wiedziała o istnieniu bogów i o zwyczajach pogańskich.

Ciotka Nancy dosyć miała „Samotnika”. Odsunęła karty i zaczęła robić koronkę.

— Emilko — spytała — czy ciotka Laura wspomina o małżeństwie d ra Burnleya?

Emilka, wyrwana nagle ze skupienia, z jakim czytała, podniosła oczy, znudzona. Czarnowoda cała mówiła o tej plotce. A teraz i w Księżym Stawie poruszano ten sam temat.

— Nie! Pewna jestem zresztą, że on się nie ożeni. Dr Burnley nie cierpi kobiet.

Ciotka Nancy zachichotała.

— Ech, już 11 lat od chwili ucieczki jego żony. Każdy inny mężczyzna byłby się już pocieszył. Ale Allan Burnley jest uparty zarówno w miłości, jak w nienawiści. Kocha jeszcze swoją żonę i dlatego nienawidzi jej pamięć i wszystkie inne kobiety.

— Nigdy nie słyszałam dokładnie, jak to było — rzekła Karolina. — Kim była jego żona?

— Beatrix Mitchell, z tych Mitchellów ze Shrewsbury. Miała lat 18, gdy Allan się z nią ożenił. On zaś liczył już 35 wiosen. Emilko, nie zrób nigdy takiego



głupstwa: nie wychodź zamąż za człowieka znacznie starszego od ciebie.

Emilka milczała. Zapomniała o swojej lekturze. Słuchała z rozszerzonymi źrenicami. Czuła, że jest na tropie tajemnicy, która dręczyła ją tak długo. Bała się, tylko, że ciotka Nancy urwie, lub zmieni temat.

— Słyszałam, że była to piękność — rzekła Karolina.

— To kwestja gustu. Była ładna niezawodnie. Miała znamię nad lewą brwią, jakby czerwone serduszko. Zawsze patrzyłam na to znamię, gdy ją widziałam, oczu nie mogłam od niego oderwać. Allan szalał za nią. Ona była zalotna przed ślubem. Ale muszę jej oddać sprawiedliwość, że po ślubie zachowywała się wzorowo, przynajmniej napozór. Była trzpiotem, zawsze się śmiała, śpiewała i tańczyła. To nie była żona dla Allana Burnleya, jeżeli o moje zdanie chodzi. A on mógł się być ożenić z Laurą Murray. Ale czy mężczyzna waha się kiedykolwiek, gdy ma do wyboru trzpiota i rozsądną kobietę? Zawsze zwycięży trzpiot, Karolino. Dlatego ty nigdy nie wyszłaś zamąż. Byłaś zbyt rozsądna. Ja zdobyłam mego męża, udając trzpiota. Pamiętaj o tem, Emilko. Masz rozum, ukryj go! Więcej zdziałał cienką pęcina, niż rozumem.

— Mniejsza o nogi Emilki — rzekła niechętnie Karolina, spragniona dalszego ciągu — mów dalej o Burnleyach.

— A więc, kuzyn jej Leon Mitchell z Shrewsbury, przystojny chłopak, marynarz, zakochał się w Beatrixy. Mówią, że Beatrix kochała go przed ślubem, ale że ją zmuszono do małżeństwa z Burnleyem, który

był lepszą partją. Kto wie? Plotka kłamie 10 razy, a za jedenastym mówi prawdę. Ona twierdziła, że kocha Allana, a on jej wierzył. Gdy Leon przyjechał z podróży morskiej i zastał Beatrycę zamężną, przyjął to dość obojętnie. Ale nie wyjeżdżał z Czarnowody. Widywali się często. Beatrix miała tyle protektorów! Byli prawie rodzeństwem, jak mówiła, a ona żyła tak samotnie w Czarnowodzie! On zaś miał tylko jedynego brata. Allan wierzył w nią bez zastrzeżeń, był zaślepiony. On odwiedzał pacjentów, a Leon skracał młodej żonie chwile czekania. Wreszcie statek Leona zawinął do portu, miał niebawem wyjechać do Ameryki Południowej. Pojechał, a z nim i lady Beatrix.

Dziwny dźwięk rozległ się w kąci kanapy. Gdyby ciotka Nancy i Karolina były spojrzwały w tę stronę, zobaczyłyby że dziecko siedzi tam kredowo białe z oczami rozszerzonymi przerażeniem. Ale nie spojrzwały na nią. Robiły pilnie koronki i plotkowały, bardzo zadowolone ze swego trybu życia.

— Cóż się stało z doktorem? Jak on to zniósł? — pytała Karolina.

— Kto to wie? Przybył do domu późnym wieczorem. Dziecko spało w kołysce, a służąca siedziała przy niem. Powiedziała Allanowi, że pani Burnley wyjechała z kuzynem, że go odprowadza i wróci niebawem. Allan czekał. Nie wątpił o niej nigdy, ale ona nie wróciła. Nie miała zamiaru wracać. Zrana statek odpłynął. Na pokładzie znajdowała się Beatrix, wszyscy wiedzieli o tem. Allan nic nie powiedział, tylko zabronił wymawiania jej imienia w swej obecności. Ale statek, na którym odpłynęli, zatonął. Taki był koniec Beatryczy, jej piękności i jej śmiechu i jej miłości.

— Ale nie był to koniec jej wstydu i hańby, jaką okryła dom i rodzinę.

— Ech, mąż powinien pilnować żony... Na miłość Boską, dziecko, co tobie się stało?...

Emilka stała przed kanapą i zdawała się odpychać oburącz od siebie jakiegoś niewidzialnego wroga.

— Nie wierzę w to — krzyknęła z rozpaczą. — Nie wierzę, żeby matka Ilzy to uczyniła. To niemożliwe... ona nie mogła tego uczynić... Nie! Nie matka Ilzy! — powtarzała Emilka.

— Trzymaj ją, Karolino! — zawołała ciotka Nancy.

Ale Emilka przebiegła przez pokój i stanęła na progu.

— Nie dotykajcie mnie! — krzyknęła namiętnie. — Nie dotykajcie mnie! Wy... wy chętnie mówicie o tem zdarzeniu!

Wybiegła z pokoju. Ciotka Nancy przez chwilę wyglądała, jak człowiek, który się wstydzi. Po raz pierwszy zdarzyło jej się, że przyłapano na gorącym uczynku obmowy jej stary język, miłujący skandale. Wzruszyła ramionami.

— Nie może przejść przez życie, owinięta w wate. Sądziłam, że ona oddawna słyszała o tem wszystkim w Srebrnym Nowiu. No, jeżeli teraz opowie, czego się tu dowiedziała, tym dwom cnotliwym dziewczynom, ściągnie na mnie gromy niełada! Karolino, przestańże wypytywać mnie o skandale rodzinne w obecności tego dziecka. Nienasycona jesteś, gdy chodzi o plotki! W twoim wieku! Dziwię ci się bardzo i wstyd mi za ciebie!

Ciotka Nancy i Karolina robiły nadal koronki i

snuły nalał nic wspomnień. Emilka zaś leżała w czerwonym pokoju na łóżku i rzewnie płakała. To było okropne. Matka Ilzy uciekła i zostawiła na pastwę losu swoje dzieciątko. Dla Emilki było to czemś potwornem, okrutnem, dziwnem poprostu. Nie mogła w to uwierzyć, tu zachodziła jakaś pomyłka. Z pewnością!

— Może ją zaskoczył ten odjazd — próbowała ją usprawiedliwiać Emilka. — Może weszła na pokład, żeby ucałować brata ciotecznego, aż tu, nagle, dano sygnał odjazdu, podniesiono kotwicę i po chwili była na pełnem morzu. Nie mogła już wrócić i musiała opuścić swoje kochane maleństwo.

Ta historia prześladowała Emilkę całemi dniami. O niczem innem nie mogła myśleć. Dręczyło ją to niemal fizycznie. Była zrozpaczona. Bała się powrotu do Srebrnego Nowiu i spotkania z Ilzą. Będzie trzeba ukrywać starannie przed nią tę straszną prawdę. Ilza nie wiedziała o niczem. Spytała razu pewnego Ilzę, gdzie jest pochowana jej matka. Ilza odrzekła: „Nie wiem. Zapewne na cmentarzu, gdzie leżą wszyscy Mitchellowie.”

Emilka załamała ręce. Była równie wrażliwa na szpetotę i ból ludzki, jak na piękno i szczęście, a to przeżycie było ohydne i dręczące zarazem. A jednak nie przestawała o niem myśleć, dniem i nocą. Życie w Księżym Stawie uległo zmianie. Ciotka Nancy i Karolina już nie plotkowały w jej obecności. Emilka czuła, że były zadowolone, gdy wychodziła z pokoju, bo wtedy miały swobodę, nie były skrupowane. Nie mogła pisywać pamiętnika w księdze od Jimmy'ego, nie mogła nawet pisywać do ojca. Coś stanęło pomiędzy nią a jej zwykłemi przyjemnościami. Czyste źródło

zostało zatrute. Miała wrażenie, że już nigdy nie zna szczęścia, tak silną była jej reakcja na to pierwsze zetknięcie z grzechem i występkiem. A na dnie była w niej wciąż ta wątpliwość: nie, matka Ilzy nie mogła tego uczynić! Ale jak tego dowieść? Niepodobna Docięka, „tajemniczy”, która ją dręczyła od szeregu miesięcy, ale rozbijała się teraz o inną zagadkę, niedocieczoną po wsze czasy: dlaczego Beatrix Burnley nie wróciła nigdy do swego dziecięcia?

Bo ta wiara była niewzruszalna w Emilce: według niej, matka Ilzy odjechała przypadkiem i mimowoli. Ale, dlaczego nie powróciła? Prawda! Statek się rozbił. Umarła.

26

## NAD ZATOKĄ

— Ciekawa jestem — zastanawiała się Emilka — jak długo jeszcze pożyję.

Wcześniej, niż zwykle, odbyła swoją codzienną przechadzkę nad zatoką. Wieczór był ciepły, wietrzny. Powietrze było przepojone żywicą, miękkie, zatoka była turkusowa. Ta część wybrzeża, na którem się znajdowała Emilka, taka była odludna i dziewicza, jakdyby nigdy nie stąpnęła tu noga ludzka. Emilka szła w zamyśleniu, nie patrząc na ziemię. Wtem zdradliwy, mchem pokryty teren wybrzeża ustąpił pod jej ciężarem. Dziewczynka ześlizgnęła się po stromej pochyłości ku morzu. Czyniła nadludzkie wysiłki uczenia się czegokolwiek po drodze, ale im bardziej

319

walczyła, tem szybciej osuwały się mchy i piaski, tem zawrotniej spadała wdół. Była już tylko o 30 stóp od morza, na skraju urwistej skały, niemal prostopadłej. Sekunda jeszcze, a nie będzie dla niej ratunku. Emilkę ogarnęła rozpacz i groza; wtem poczuła, że się zatrzymuje: mchy leciały wdół nadal, ale ona zawisła na samym brzegu; występ skalny, zawieszony nad morzem, przytrzymał ją, ale powierzchnia ta była tak znikoma i krucha, że najmniejszy ruch dziewczynki mógł spowodować dalszy upadek, stoczenie się w przepaść, w głębiny morskie.

Leżała cichutko, usiłując zebrać myśli, usiłując opanować przerażenie. Była bardzo oddalona od wszelkich domostw, nikt nie byłby mógł usłyszeć jej krzyku. Nie śmiała się poruszyć, bo każdy jej ruch mógł wywołać oberwanie się wąskiego skrawka ziemi, na którym leżała. Jak długo zdoła tak przeleżeć bez ruchu? Noc nadchodziła. Ciotka Nancy zacznie się niepokoić, gdy się ściemni i pośle Karolinę na poszukiwania. Ale Karolina nigdy jej nie znajdzie. Nikomu nie przyjdzie do głowy tu jej szukać, tak daleko od Księżego Stawu. Przeleżeć tak całą noc... czekać na pomoc, która może nigdy nie nadejdzie.... Emilka z trudem zapanowała nad drżeniem, które mogło być katastrofalne w tej sytuacji.

Spojrzała już raz śmierci w oczy, a przynajmniej sądziła, że spojrzała jej w oczy owego wieczora, kiedy Wysoki Jan powiedział jej, że zjadła zatrute jabłko. Ale obecne położenie była stokroć gorsze. Umrzeć tutaj, w samotności, zdala od domu! Oni tam nie dowiedzą się nawet, co się z nią stało, nigdy jej nie odzyskają. Sępy, lub kruki wydziobią jej oczy. Tak plas-

tycznie uprzytomniała sobie różne okropności, że nieomal zadrżała ze zgrozy. Zniknie ze świata tak, jak zniknęła matka Ilzy.

Co się stało z matką Ilzy? Nawet w obecnem rozpaczliwym położeniu zadawała sobie Emilka to pytanie. Nigdy więcej nie zobaczy ukochanego Srebrnego Nowiu, ani Tadzia, ani mleczarni, ani gaidu Wysokiego Jana, ani zegaru słonecznego, ani cennego zbioru rękopisów, ukrytego na strychu w starej otomanie.

— Muszę mieć dużo odwagi i cierpliwości — myślała. Jedyną szansą ocalenia jest zachowywać się jaknajspokojniej. Mogę się modlić w duszy. Kojącą jest myśl, że On mnie słyszy. On jeden przynajmniej. O Boże, Boże Ojca mego, proszę, spraw cud i uratuj mi życie, bo nie zdaje mi się, żeby to była dla mnie odpowiednia chwila do skonania. Daruj, że nie klęczę, Ty widzisz przecież, że nie mogę się poruszyć. A jeżeli umrę, to proszę, spraw, żeby ciotka Elżbieta nie znalazła moich listów do Ojca. Spraw, żeby je znalazła ciotka Laura. I nie pozwól, proszę, Karolinie sprzątać w moim pokoju po mojej śmierci, bo znalazłaby moją księgę oprawną od kuzyna Jimmy i przeczytałaby, co o niej napisałem. Przebacz mi, Boże, moje grzechy, a zwłaszcza moją niewdzięczność i obcięcie grzywki. Proszę, niech Ojciec mój nie będzie zbyt daleko ode mnie, Amen.

Szczegół charakterystyczny: przyszło jej na myśl post-scriptum.

— I jeszcze jedno: spraw, Panie Boże, och, spraw to *koniecznie*, żeby się przekonano, że matka Ilzy nie uczyniła *tego*.

Leżała bez ruchu. Zachód zaczynał kłaść na wodzie złote i czerwone wstęgi. Wiatr wieczorny wzniósł się, wielki kamień oderwał się od skały w pobliżu Emilki i z hałasem potoczył się na dół. Odłam skały, na którym spoczywała jedna noga dziewczynki, był również luźno połączony z resztą skały. Mógł się oderwać z kolei pod naporem wiatru i stoczyć się lada chwila. Patrzała pod górę z rozpaczą, żegnając się z tym cudnym światem otaczającym, na który niebawem przestanie spoglądać.

Wtem... ujrzała tuż nad sobą twarz mężczyzny!

Usłyszała: „Boże Wielki!”, wymówione półgłosem z akcentem niekłamane go przerażenia. Widziała, że ma on jedną łopatkę trochę wyższą, niż drugą. To jest niezawodnie Dean Priest, zwany Garbusem Priestem. Emilka nie śmiała się odezwać. Oczy jej tylko mówiły: „Ratuj mnie!”

— Jakbym mógł ci dopomóc? — spytał Dean Priest, zwracając się raczej do siebie, niż do dziewczynki. — Nie mogę cię dosięgnąć, a mam wrażenie, że najmniejszy ruch twój oderwie tę ziemię od reszty skały. Muszę iść po gruby sznur, a przez ten czas pozostaniesz tu sama. Czy możesz poczekać, dziecko?

— Tak — wyjąkała Emilka. Uśmiechnęła się, żeby dodać mu otuchy, uśmiechnęła się tym słodkim uśmieszkiem, który zaczynał się w kącikach ust i opromieniał stopniowo całą twarzyczkę. Dean Priest nie zapomniał nigdy tego uśmiechu, oraz tych stanowczych oczu dziecięcych, wyzierających z małej twarzyczki, zagrożonej rozbiciem o skały morskie.

— Pośpieszę się bardzo — upewnił ją. — Nie mogę iść szybko, jestem trochę ułomny, jak widzisz.



Ale nie bój się, ja cię wybawię z niebezpieczeństwa. Zostawię ci mego psa, żeby ci dotrzymywał towarzysztwa. Chodź tu, Tweed!

Zagwizdał; wielki, złotawy pies nadbiegł, kręcąc ogonem.

— Siadaj tu, Tweed, zaczekaj, aż wrócę. Nie szczekaj, nie kręć ogonem. Mów do niej tylko oczami.

Tweed posłusznie usiadł na tylnych łapach, a Dean Priest zniknął.

Emilka leżała i układała opis tego zdarzenia, aby zamieścić je w pamiętniku. Była jeszcze trochę wystraszona, ale niebardzo. Już się widziała piszącą nazajutrz przy biurku w czerwonym pokoju. To będzie bajecznie ciekawe!

Świadomość, że ten duży pies leży przy niej, była jej nader miła. Nie była tak biegła w rasach psów, jak w rasach kotów. Ale wystarczyło, że to stworzenie patrzyło na nią niemal ludzkim wzrokiem, wiernie, przyjaźnie; pilnowało jej wyraźnie. Szary kotek jest cudnem stworzonkiem, ale żaden kot nie siedziałby tak przy niej i nie dodawałby jej otuchy swem wejrzeniem.

— Zdaje mi się — pomyślała Emilka — że pies jest lepszy od kota, zwłaszcza w ciężkich chwilach naszego życia.

Pół godziny upłynęło, zanim Dean Priest wrócił.

— Bogu dzięki, że nie spadłaś, — mruknął — nie musiałem biec tak daleko, jak przewidywałem, znalazłem sznur w pustej łódce przy brzegu i wziąłem go. A teraz gdy spuszczę sznur, czy będziesz miała dosyć siły aby się go ucześcić i gdyby ziemia się

obsunęła zawisnąć na nim tak długo, aż zdołam cię wciągnąć na górę?

— Spróbuję — odrzekła Emilka.

Dean Priest zawiązał węzeł u końca sznura i spuścił ku Emilce. Poczem uwiązał sznur dokoła grubego pnia drzewnego.

— Już — rzekł.

Emilka szepnęła w duchu: „Boże drogi, dopomóż” i chwyciła za węzeł. W tej samej chwili zawisła całym ciężarem nad przepaścią, gdyż występ skalny odłamał się i runął w przepaść. Dean Priest drżał na całym ciele. Czy ona zdoła utrzymać sznur tak długo?

Ciągnął sznur ku sobie ze wszystkich sił. Emilka pomagała mu w tej pracy, gdyż opierała się nogami o stromą ścianę skalną gdzie tylko mogła. W przeciągu minuty była przy nim o odległość ramienia. Porwał ją za rękę i wciągnął na wybrzeże. Była ocalona.

— Bardzo panu dziękuję — rzekła Emilka, przypominając sobie zasady dobrego wychowania. — Ocalił mi pan życie. A teraz... może usiądę na chwilę... Dziwne mam uczucie w nogach. Zupełnie tak, jakgdyby drżały.

Emilka usiadła, drząc bardziej, niż przez cały czas trwania niebezpieczeństwa. Dean Priest oparł się o stary świerk. I on drżał również. Czoło ocierał chusteczką. Emilka przyglądała mu się ciekawie. Słyszała o nim dużo od ciotki Nancy, były to często złote uwagi. Zawsze nazywała go „Garbusem” z odzieniem pogardy, a Karolina stale ją poprawiała, mówiąc z naciskiem: „Dean”. Emilka wiedziała, że

ukończył on szkołę i uniwersytet, że ma lat 36, co uważała za podeszły wiek; że ma krzywą łopatkę i jedną nogę krótszą; że jedyną jego namiętnością były książki; że mieszka ze starszym bratem i dużo pod różuje; że cała rodzina Priestów obawia się ostrza jego języka. Ciotka Nancy nazywała go „cynikiem”. Emilka nie wiedziała, co to jest cynik, ale to brzmiało interesująco. Przyglądała mu się bacznie i stwierdziła, że ma on delikatne, subtelne rysy i bujne, ciemne włosy. Wargi miał wąskie i stanowcze, ładnie zarysowane. Podobały jej się te usta. Gdyby była starsza byłaby zrozumiała dlaczego: był w nich wyraz dobroci, czułości, a zarazem siły.

Chociaż był ułomny, tchnął wielką godnością i pewną mocą wewnętrzną, co zresztą cechowało wszystkich Priestów i co niejednokrotnie brano za pychę. Zielone oczy Priestowskie, które w spojrzeniu Karoliny były badawcze i nieprzyjemne, które w twarzy Jima Priesta były bezczelne, patrzyły tutaj w świat marząco i tęsknie.

— Cóż, czy podobam ci się? — spytał siadając również na kamieniu i uśmiechając się. Głos miał piękny, melodyjny i pieszczotliwy.

Emilka zarumieniła się. Wiedziała, że nie należy się przyglądać nikomu tak natarczywie. A prztem on jej się wcale nie podobał, tak że była wdzięczna, iż nie nalegał. Zadał jej inne pytanie.

— Czy wiesz, kim jest twój przypadkowy wybawca?

— Pan jest chyba Gar... panem Deanem Priestem. — Emilka znów się zarumieniła. Byłaby o mały włoszek popełniła wielki nietakt.

— Tak, ja jestem Garbusem Priestem. Nie powinnaś się za mnie wstydzić tego przezwiska. Nieraz je słyszałem. To jest Priestowska koncepcja humoru.

Zaśmiał się nieprzyjemnie. — Powody tego przezwiska są dosyć widoczne. To jest wszystko, co wyniosłem ze szkoły. Jak się to stało, że się tam ześlizgnęłaś?

— Myślałam o różnych rzeczach i nie patrzyłam na drogę — rzekła Emilka.

— Słowem, marzyłaś. Spełnią się twoje marzenia. Widzę, że urodziłaś się pod szczęśliwą gwiazdą. Byłaś dzisiaj o krok od śmierci, a jednak zjawilem się w porę. Jak się nazywasz, o ile masz nazwisko! Zaczynam w to wątpić, gdyż masz śpiczaste uszy. Może wdałem się w kontakt z dobrymi wrózkami?

— Jestem Emilja Byrd Starr ze Srebrnego Nowiu — odrzekła Emilka dość chłodno. Zaczynała być wrażliwa na kwestję swych uszu. Czy rzeczywiście było w nich coś niesamowitego?

A przecież w tym garbusie było coś, co ją pociągało. Emilka szybko się decydowała co do swej sympatji lub antypatji dla osób nowo-spotykanych. Wiedziała w ciągu kilku minut, czy kogoś lubi, czy nie, czy też jest obojętna. Doznawała dziwnego wrażenia, że zna Dean Priesta od szeregu lat, może dlatego, że wiecznością wydał jej się ten czas, który spędziła na oczekiwaniu jego powrotu ze sznurem. Nie był przystöjny, nie podobał jej się, ale już go polubiła, przywiązała się do tej mądrej twarzy o magnetycznych zielonych oczach.

— A więc ty jesteś tą panienką, która przybyła w odwiedziny do Księżego Stawu? — spytał Dean

Priest, zdziwiony. — No, to moja ciotka Nancy powinna lepiej cię pilnować, moja *droga* ciotka Nancy.

— Widzę, że pan nie lubi ciotki Nancy — rzekła Emilka.

— Czy lubimy zwykle tych ludzi, którzy nas niecierpią? Zapewne zdążyłaś zauważyć, że moja pani Ciotka mnie nienawidzi.

— O, nie sędzę, żeby była aż taka niedobra — rzekła Emilka. — Ma chyba dodatnie o panu pojęcie, bo mówi, że pan jest jedynym Priestem, który pójdzie prosto do nieba.

— Ona nie uważa tego za komplement, chociaż tak się tobie wydaje w twojej niewiności. A ty jesteś córką Douglasa Starra? Znałem twego ojca. Kolegowaliśmy w Akademji Królewskiej, potem rozeszły się nasze drogi. On poświęcił się dziennikarstwu, ja dalszym studjom. Był to mój jedyny przyjaciel ze szkolnej ławy, jedyny chłopiec, który mnie nie nazywał garbusem i nie wyśmiewał, chociaż nie mogłem grać w piłkę nożną, ani w tenisa. Emilja Byrd Starr... Starr powinno być twem imieniem, bo to znaczy „gwiazda” po angielsku, a ty wyglądasz jak gwiazdka. Oczy twe tak błyszczą, cała twoja osobowość promieniuje tak mocno... Byłabyś bardziej na swoim miejscu na niebie porannem przed wschodem słońca, niż na ziemi, lub nawet na niebie wieczornem. Będę cię nazywał Gwiazdką.

— Czy to znaczy, że uważa mnie pan za ładną dziewczynkę? — spytała Emilka wprost.

— Nie zastanawiałem się, czy jesteś ładna, czy brzydka. Czy według ciebie gwiazda musi być ładna?

Emilka zamyśliła się.

— Nie — rzekła wreszcie. — To nie jest odpowiednie określenie gwiazdki.

— Widzę, że jesteś artystką słowa. Tak, naturalnie to nie jest określenie. Gwiazdy są wielkie, fascynujące, świetlane. Nieczęsto widzujemy gwiazdę wcieloną w ludzką postać. Zdaje mi się, że będę czekał na ciebie.

— Już jestem gotowa do drogi — rzekła Emilka.

— Hm, nie to miałem na myśli. Mniejsza o to. Chodź, Gwiazdeczko. Pójdziemy powoli. Nie wiedziałem, że pójdę do Księżego Stawu dziś jeszcze. A więc uważasz, że nie jestem przystojny?

— Tego nie powiedziałam — zawołała Emilka.

— Słowami nie. Ale ja umiem czytać w myślach, Gwiazdeczko. Bogowie udzielili mi tego daru. Uważasz, że ty sama jesteś ładna?

— Raczej tak... od czasu, jak ciotka Nancy pozwala mi nosić grzywkę — rzekła Emilka.

— Grzywka! Co za brzydki wyraz!

— Tak, nieładny. Nie używam go nigdy w poezji, ale w prozie...

W ten sposób dowiedział się Dean Priest, że Emilka pisuje poezje. Dużo jeszcze zrobił czarujących odkryć przez czas tej wędrowni do Księżego Stawu.

Emilka była zazwyczaj wstrzemięźliwa w słowach wobec ludzi obcych, ale tu odczuwała instynktownie tyle życzliwości, tyle zrozumienia, że nieświadomie zwierzała się Deanowi, jak staremu przyjacielowi. Otworzyła mu drzwi do swego sanktuarjum duchowego, mówiła z nim całkiem swobodnie.

Przytem czuła nanowo tętno życia. Czuła, że żyje i żyć będzie. Czuła się „jakgdyby ptaszek znowu śpiewał w jej serduszku”. Tak określiła sama swe odczuwanie w liście do ojca, napisanym nazajutrz. Och, jak przyjemnie było stapać po pewnym gruncie!

Opowiedziała mu wszystko o sobie samej, o swych projektach, o swej twórczości. Tylko jednego nie powiedziała: nie wspomniała o swej trosce z powodu matki Ilzy. *O tem* nie mogła mówić z nikim. Ciotka Nancy mogła się nie obawiać: Emilka nie będzie szerzyć plotek, zasłyszanych w Księżym Stawie.

— Napisałam dzisiaj wiersz, gdy padał deszcz i nie mogłam wyjść z domu. Zaczyna się od słów:

*Siedziałam przy oknie zachodniem,  
Patrzyłam na smutną zatokę...*

— Czy nie usłyszę dalszego ciągu? — spytał Dean, który doskonale wiedział, że Emilka czeka tylko na tę prośbę.

Emilka, uradowana, wyrecytowała cały poemcik. Kiedy doszła do wierszy najlepszych w jej mniemaniu, zwolniła tempa i spojrzała na niego z podejrzliwością, aby sprawdzić, czy on ją podziwia. Ale on szedł ze spuszczonej twarzą, twarz jego nic nie zdradziła. Była trochę rozzarowana.

— Hm... — rzekł, kiedy skończyła. — Masz lat 12, czy tak? Zobaczmy, co będzie za 10 lat, na razie nie myślmy o tem.

— Ojciec Cassidy radził mi pisać dalej — zawołała Emilka.

— Zbyteczne. Pisać będziesz w każdym razie,

bez niczyjej rady. Masz żyłkę pisarską, to jest nieuleczalne. Co zamierzasz zrobić z temi wierszami?

— Mam zamiar być wielką poetką, albo wybitną powieściopisarką — odrzekła Emilka poważnie.

— To tylko kwestja wyboru — rzucił Dean sucho. — Lepiej może byłoby pisać powieści, to podobno lepiej popłaca.

— Co mi przeszkadza przy pisaniu powieści — zwierzyła się Emilka — to sprawa miłości. Pewna jestem, że nigdy nie będę umiała o tem pisać. Już próbowałam — dodała naiwnie — i nic nie mogłam wymyślić.

— Nie troszcz się o to — rzekł Dean — ja cię tego nauczę zczasem.

— Doprawdy? — ucieszyła się Emilka. — Taka będę panu wdzięczna, jeżeli pan zechce rzeczywiście nauczyć mnie tego. Zdaje mi się, że wszystko inne potrafię ułożyć wcale ładnie.

— A więc zawrzemy układ, pamiętaj. Nie szukaj innego nauczyciela. A cóż ty robisz w Księżym Stawie, gdy nie piszesz poezji? Czy nie czujesz się osamotniona w towarzystwie tych dwóch staruszek?

— Nie. Wystarcza mi moje własne towarzystwo — odrzekła Emilka z powagą.

— Możliwe. Gwiazdki są takie odrębne od reszty świata, cieszą się własnem światłem, ono im wystarcza. Czy lubisz istotnie ciotkę Nancy?

— Tak, naprawdę. Ona jest dla mnie bardzo dobra. Nie każe mi nosić kapeluszy od słońca i pozwala mi chodzić boso przed południem. Ale po południu muszę nosić obuwie zapinane na guziki, a ja niecierpię takiego obuwia.



— Naturalnie. Tybyś wolała sandaalki utkane z promieni księżycowych. Gwiazdeczko, nie jesteś zewnętrznie podobna do twego ojca, ale przypominasz go niejednem. Czy może jesteś podobna do twej matki? Nigdy jej nie widziałem.

Emilka uśmiechnęła się. Zrodził się w niej w tym momencie zmysł humoru.

— Nie — rzekła. — Mam tylko uśmiech i rzęsy mojej matki. Ale mam czoło ojca, oczy i włosy mojej babki Starrowej, nos wuja Jerzego, a ręce ciotki Nancy, łokcie kuzyna Gustawa, pęciny praprababki Murrayowej, a brwi dziadka Murraya.

Dean Priest roześmiał się.

— Zlepek, podobnie jak my wszyscy. Ale duszę masz własną, za to ręczę.

— Och, tak się cieszę, że pana lubię — rzekła Emilka impulsywnie. To byłoby nienawistne uczucie nie lubić kogoś, kto mi ocalił życie. Wcale się nie martwię, że to właśnie pan.

— To dobrze. Bo, widzisz, twoje życie należy od tej chwili do mnie. Uratowałem je, więc jest moją własnością. Nie zapominaj o tem nigdy.

W Emilce zawrzał bunt. Niemiłą jej była myśl, że życie jej należy do kogokolwiek prócz niej samej. Nie miała ochoty na takie postawienie kwestji, nawet ze strony człowieka tak jej sympatycznego, jak Dean Priest. Dean obserwował ją bacznie. Zrozumiał i uśmiechnął się.

— To ci się niezupełnie podoba? Widzisz, zawsze płacimy karę za wszelkie zdarzenia, wykraczające poza obręb codzienności. Dzisiejsze wrażenia przypawiły cię o utratę wolności.

Śmiał się. Żartował, to było jasne, ale Emilka czuła się nieswojo. Zerwała kwiatek przydrożny, rzuciła go na ziemię i zdeptała. Dean przyglądał jej się, ubawiony. Jego dziwne oczy bardzo były miłe, gdy patrzył teraz na nią.

— Ty wyjątkowa istoto! Ty niepodległa naturo! Będziemy przyjaciółmi, już jesteśmy przyjaciółmi. Jutro przyjdę do Księżego Stawu, żeby przeczytać twój opis Karoliny i mej czcigodnej ciotki. Pewien jestem, że będę zachwycony. A nie zapuszczaj się w przyszłości w zakątki tak odległe od wszelkiej cywilizacji. Dobranoc, moja gwiazdka poranna.

Patrzył za nią, aż zniknęła mu z oczu.

— Cóż za dziecko! — szepnął. — Nigdy nie zapomnę jej wzroku, kiedy leżała na owej skale śmierci, biedna duszyczka wystraszona! Nigdy nie spotkałem istoty, tak przepełnionej intensywną radością życia. Tak, to córka Douglasa Starra, który nigdy nie nazywał mnie garbusem.

Podniósł z ziemi zdeptany kwiatek. Wróciwszy do domu, włożył zmięte płatki między kartki starego tomu poezji, gdzie zaznaczył czerwonym ołówkiem dwuwiersz:

*Ona jest najcudowniejszą różą,  
To dziecię słońca i zorzy.*

## EMILKA ŚLUBUJE.

Po raz pierwszy od chwili śmierci ojca znalazła Emilka przyjaciela, który ją rozumiał całkowicie i podzielał jej sposób patrzenia na przyrodę. Przyjacielem tym był Dean Priest. Kochać jest łatwo, jest to uczucie nader pospolite, ale rozumieć... jakie to rzadkie! Wędrowali dniami całymi po okolicy, korzystając z pięknych dni sierpniowych, rozmawiali o cudnych, nieśmiertelnych zjawiskach i zażywali owych „rozkoszy odwiecznych przyrody”, o których tak pięknie mówi Wordsworth.

Emilka pokazała Deanowi wszystkie swoje poezje i „opisy” w pamiętniku. On przeczytał je z całą powagą i podobnie, jak jej ojciec, rzucił kilka uwag krytycznych, które jej nie uraziły, bo wiedziała, że są słuszne.

— Dzięki tobie wierzę w dobre wróżki na nowo — rzekł Dean — a to oznacza młodość. Dopóki człowiek wierzy w dobre wróżki, dopóty nie jest stary.

— A ja sama nie mogę w nie uwierzyć — zaprotestowała Emilka. — A jakbym chciała!

— Ależ ty sama jesteś dobrą wróżką, w przeciwnym razie nie żyłabyś w krainie cudów. Do tej krainy nie można kupić biletu, wiesz? Albo same czarodziejki wręczają człowiekowi paszport, albo go niema.

— Czy „kraina cudów” nie jest ślicznym wyrażeniem? — spytała Emilka, rozmarzona.

— Tak, bo oznacza coś, za czem tęskni ludzkie serce — odrzekł Dean.

Gdy mówił do niej, doznawała Emilka wrażenia, jakgdyby jej własne marzenia i ukryte nadzieje odzwierciadlały się w nim ze wzmożonym urokiem. O ile Dean był cynikiem, to przed Emilką taił swój cynizm. Lecz nie: w jej towarzystwie nie był cynikiem i w głębi duszy, stawał się bowiem znów niewinnym chłopcem, o nienaruszonej, czystej wizji świata zewnętrznego i wewnętrznego. A ona kochała go właśnie za owe światy, jakie roztaczał przed nią.

A taki umiał być wesół, tak nieoczekiwanie zabawny i rozśmieszający. Opowiadał jej anegdotki, pobudzał ją do śmiechu. Opowiadał jej dziwne stare baśni o zapomnianych bogach, o festynach dworskich, o zaręczynach królów. Zdawał się znać historję wszystkich krajów, jak podręcznik historyczny. Opisywał jej różne zdarzenia w niezwykle pięknych słowach. Mówił o Atenach, a Emilka, słuchając z podziwem, dochodziła do wniosku, jak olbrzymie znaczenie ma trafny dobór wyrazów w opowiadaniu i w tworzeniu obrazu. Lubiła myśleć o Rzymie, jako o „mieście o siedmiu wzgórzach”. Dean znał Rzym i Ateny; gdzie on nie był!

— Nie znam nikogo, ktoby tak mówił, jak pan, tylko w książkach spotykam takie opisy — rzekła.

Dean śmiał się. Był w tem śmiechu odcień goryczy, tak częsty u wielu ludzi, rzadszy u niego, niż u innych. Dean zawdzięczał swemu uśmiechowi reputację cynika. Ludzie nieraz wyczuwali, że się śmiał z nich, a nie z nimi.

— Mojem towarzystwem były książki przez całe życie — rzekł. — Cóż dziwnego, że mówię stylem książkowym?

— Pewna jestem teraz, że chciałabym studjować historję — rzekła Emilka. — Z wyjątkiem historji Kanady. Tej nie lubię, taka jest nudna. Z początku nie, gdy Kanada należała do Francji i dużo było bitew, ale potem już jest tylko polityka.

— Szczęśliwe kraje, podobnie jak szczęśliwe kobiety, nie mają historji — rzekł Dean.

— Mam nadzieję, że ja będę miała historję mego życia — zawołała Emilka. Pragnę mieć niezwykle przygody.

— Wszyscy tego pragniemy, biedni głupcy! Czy wiesz, co się składa na historję życia? Ból i wstyd i bunt i przelew krwi i złamane serce. Gwiazdeczko, zadaj sobie pytanie, ile serc krwawiło i pękło z bólu, zanim złożyły się na te fascynujące karty dziejowe, które pochłaniają dziś twoją uwagę. Opowiadałem ci o Leonidasie i Spartanach. Oni mieli matki, siostry narzeczone. Gdyby byli mogli stoczyć bezkrwawą walkę słowną, byłoby to stokroć lepiej, lecz mniej dramatycznie.

— Ja nie mogę tak rozumować — rzekła Emilka, zmieszana. Nie umiała określić swych uczuć tak, jakby potrafiła dorosła kobieta. — Bohaterowie Termopilów posłużyli za natchnienie wielkim artystom w ciągu stuleci.

— Tak, wy, kobiety, sądzicie według waszego odczuwania. Dobrze więc, miej nadzieję, że doznasz niezwykłych przygód, ale pamiętaj, że jeżeli w życiu twojem zaistnieje dramat, ktoś będzie musiał okupić go swym bólem. Ty, albo ktoś inny.

— Och nie! Tegobym nie chciała.

— W takim razie musisz się wyrzec wielkich

przygód i poprzestać na mniej silnych wrażeniach. Coby się stało przed kilku dniami, gdybym cię nie był znalazł na owej samotnej skale?

— Ale mnie pan znalazł — zawołała Emilka. Ja lubię niebezpieczeństwo, zwłaszcza gdy już minęło — dodała. — Gdyby wszyscy ludzie byli szczęśliwi, nie byłoby o czym czytać.

Tweed rzucił się radośnie ku niej. Emilka pogłaskała go. Polubiła go bardzo, nie przeniewierzając się bynajmniej rodzinie kotów.

— Lubię psy jedną stroną mego serca, a koty drugą — stwierdziła.

— Ja lubię koty, ale nigdy nie miałam kota w domu, — rzekł Dean. — One są zbyt wymagające, za wiele żądają. Psy chcą tylko być kochane, a koty pragną uwielbienia. Nie zrzekły się tradycji pogańskich.

Emilka nie podzielała tego zdania.

— Koty nie wymagają uwielbienia — rzekła. — Lubią tylko, żeby je pieścić.

— Tak, żeby je pieściła ich kapłanka. Gdybyś się była urodziła przed 5 tysiącami lat, Emilko, byłabyś kapłanką Nilu, otoczoną pysznymi kotami, drapieżnikami w stosunku do innych ludzi, a łaszczących się tobie.

— Ach — westchnęła nagle Emilka — w tej chwili poczułam „promyk”, a zarazem tęsknotę do domu. Dlaczego?

— Dlatego, że niewątpliwie jesteś taką kapłanką, a raczej byłaś nią w poprzednim wcieleniu twej jaźni i moje słowa zbudziły w tobie to wspomnienie. Czy wierzysz w teorię reinkarnacji, gwiazdeczko? Z

pewnością nie, jesteś wychowywana przez rdzennych kalwinistów w Srebrnym Nowiu.

— Co to znaczy reinkarnacja? — spytała Emilka, a gdy Dean wytłumaczył jej treść tego wierzenia, pomyślała, że jej się ono bardzo podoba, ale że ciotka Elżbieta napewno by go nie pochwałała.

— A zatem i mnie nie wolno w to wierzyć — rzekła z powagą.

Wtem, niespodziewanie i przedwcześnie skończyły się te cudne dni wyczasów. Było rzeczą postanowioną, że Emilka pozostanie w Księżym Stawie do końca sierpnia. Ale już w połowie miesiąca rzekła nagle ciotka Nancy:

— Wracaj do domu, Emilko. Mam cię dosyć. Bardzo cię lubię, nie jesteś bynajmniej głupia, jesteś raczej ładna i bardzo dobrze wychowana (możesz powiedzieć Elżbiecie, że przynosisz zaszczyt Murrayom), ale mam już dosyć twojej obecności. Wracaj do domu.

W Emilce walczyły sprzeczne uczucia. Dotknięta była niemile wyrażeniem ciotki Nancy: „mam już dosyć twojej obecności”, każdy czułby się obrażony. Nurtowało to w niej przez kilka dni, rozmyślała, jaką ciętą odpowiedź powinna była dać ciotce Nancy i dopiero, kiedy ją znalazła i wpisała do pamiętnika, poczuła ulgę, jakgdyby istotnie wypowiedziała te słowa.

Przytem żał jej było wyjeżdżać z Księżęcego Stawu. Pokochała ten stary piękny dom, tę zatokę, ogród ze srebrzystą kulą i czerwony pokój i łóżko samotne, zapewniające jej całkowitą swobodę. Ale nade wszystko żał jej było odjeżdżać od Deana Priesta. A z drugiej strony rozkoszowała się zgóry myślą o

Srebrnym Nowiu, o swych przyjaciółach: Tadziu i jego kochanym gwizdku, Ilzie i jej zdrowem kaleczeństwie. Perryem i jego niezmordowanych aspiracjach do czegoś wyższego, Nieznośniku i młodym kociaku, oraz o wyśnionym świecie „Snu Nocy Letniej”. Kuzyn Jimmy będzie teraz pracował w ogrodzie, kwiaty są w pełnym rozkwicie, jabłka sierpniowe dojrzały. Emilka wmyśliwszy się w te radosne perspektywy, pogodziła się szybko z myślą o odjeździe. Zaczęła się pakować ochoczo.

Jedno ją tylko martwiło. Ciotka Nancy nie chciała jej zwrócić portreciku, namalowanego przez Tadzia. — Zatrzymuję go — rzekła ciotka stanowczo. — Zczasem obrazek ten nabierze wartości, jako pierwowociny talentu wielkiego artysty.

— Ja ci go pożyczyłam, ciotko Nancy, wyraźnie ci to zapowiedziałam — wołała Emilka, oburzona.

— Jestem starym djabełem pozbawionym skrupułów — odrzekła ciotka Nancy chłodno. — Tak mnie zresztą nazywają wszyscy Priestowie poza moimi plecami. Czy nie, Karolino? Mam ochotę na ten obrazek i nie oddam go. Każę go oprawić w ramki i zawieszę go tutaj, w saloniku. Ale zapiszę ci go w testamencie wraz z przedmiotami, które już ci obiecałam. Nie zostawię ci ani grosza pieniędzy, nie licz na to.

— Nie są mi potrzebne — odrzekła Emilka wyniośle. — Będę sama zarabiała stopy złota. Ale to nieszlachetnie z twojej strony, że zatrzymujesz mój obrazek. Ten portret został podarowany mnie, a nie tobie.



— Nigdy nie byłam szlachetna — rzekła ciotka Nancy. — Wszak prawda, Karolino?

— Nigdy — mruknęła Karolina opryskliwie.

— Widzisz więc. A teraz nie rób awantur, Emilio. Byłaś bardzo dobrem dzieckiem przez cały ten czas, ale uważam, że na ten rok spełniłam mój obowiązek względem ciebie. Wracaj do Srebrnego Nowiu, a gdy Elżbieta nie będzie ci pozwalać na to i owo, powiedz jej, że ja ci zawsze pozwalałam na wszystko. Nie wiem, czy to co pomoże, ale spróbuj. Elżbieta, jak wszyscy moi krewni, zastanawia się wciąż, co ja zrobię z mojami pieniędzmi.

Kuzyn Jimmy przyjechał po Emilkę. Jakże się cieszyła widokiem jego miłej twarzy, jego poczciwych oczu i gęstej brody! Ale zrobiło jej się bardzo smutno, gdy się zwróciła do Deana.

— Jeżeli pan chce, mogę pana pocałować na pożegnanie, — rzekła drżącym głosem.

Emilka nie lubiła całować się z nikim. Nie miała też ochoty pocałować Deana, ale tak bardzo go lubiła, że uważała za stosowne rozszerzyć dla niego granice kurtuazji.

Dean spojrział na nią z uśmiechem. Taka młodziutka, taka czysta, tak słodko zażenowana.

— Nie, nie chcę cię pocałować... jeszcze nie. Pierwszy nasz pocałunek nie powinien być pocałunkiem pożegnania. Byłby to zły omen. Gwiazdka poranna, żałuję, że odjeżdżasz. Ale niebawem cię zobaczę. Moja najstarsza siostra mieszka w Czarnowodzie, jak wiesz, a ja poczułem nagle wzbierającą w mem sercu miłość braterską. Będę ją podobno często odwiedzał, począwszy od dzisiaj. Ale niezależnie od

tego pamiętaj, że przyrzekłaś pisywać do mnie raz na tydzień. A ja zawsze ci odpiszę.

— Tak, grube, miłe listy — prosiła Emilka, — Uwielbiam grube listy.

— Grube! Będą one poważnej objętości, Gwiazdko. A teraz nie powiem ci nawet wyrazu: żegnaj. Zawrzemy pakt, gwiazdeczko. Nigdy nie będziemy się żegnali ze sobą. Będziemy się rozchodzili z uśmiechem, ilekroć to będzie konieczne.

Emilka zdobyła się na wysiłek: uśmiechnęła się... i odjechała.

Ciotka Nancy i Karolina wróciły do saloniku. Dean zagwizdał na Tweeda i poszedł nad zatokę. Czuł się tak opuszczony, że śmiał się w duchu, z siebie samego.

Emilka i kuzyn Jimmy mieli sobie tyle do powiedzenia, że podróż wydała im się bardzo krótka.

Srebrny Nów był biały i lśniący w blaskach zachodzącego słońca. Trzy Księżniczki stały na swoim miejscu, równie książęce i dostojne jak dawniej. Stara zatoka szumiała smętnie.

Ciotka Laura wybiegła im na spotkanie, jej śliczne niebieskie oczy wyrażały wielką radość. Ciotka Elżbieta była w kuchni, zajęta gotowaniem kolacji, ale i ona wyglądała mniej krzywo i wyniośle, niż zwykle i przyrzadziła Emilce wyborny krem na deser. Perry przybiegł bosy, zasmolony, aby opowiedzieć Emilce jak najrychlej ploteczki o kotkach i cielętach i o prosiętach również. Ilza przyszła śpiesznie. Emilka stwierdziła, że nie uprzytomniała sobie dostatecznie na odległość jak bardzo Ilza była żywa, jak błyszczące ma oczy, jak złote i jedwabiste włosy, bar-

dziej złote, niż kiedykolwiek pod błękitną czapeczką jedwabną, którą pani Simms kupiła jej w Shrewsbury. Ilza rzuciła się Emilce na szyję z wybuchem niepohamowanej czułości, a w 10 minut później pokłóciła się z nią o małe kocię, gdyż Emilka nie pozwoliła jej go zabrać do siebie.

— Powinnam go dostać, ty złowieszcza hieno — huknęła Ilza. — Jest ono równie dobrze mojem, jak twojem, świnio! Nasza stara kotka jest matką tego kociaka, a zatem jest on bardziej mój, niż twój, bo Nieznośnik jest *tylko* ojcem.

— Ilzo, ten sposób wyrażania się jest wysoce nieprzywoity — odezwała się ciotka Elżbieta, blada z oburzenia. — A jeżeli będziecie się kłóciły z powodu tego kociaka, to każę go utopić, pamiętajcie!

Ilza uspokoiła się, gdy Emilka ofiarowała jej udział w posiadaniu kociaka i prawo ochrzcenia go dowolną nazwą. Ilza nazwała go Różyczką. Emilce nie podobało się to miano, gdyż kuzyn Jimmy nazwał kociaka Małym Tomem, sądziła więc, że jest to raczej przedstawiciel płci męskiej. Ale tu znów wywołała gniew ciotki Elżbiety, która oświadczyła, że jest to dyskusja na tematy niedozwolone.

— Zgodzę się zatem na Różyczkę — pomyślała Emilka — a nazywać go będę Różanym, bo brzmi bardziej *po męsku*.

Kociak był szarawy, co przypominało Emilce jej ukochaną, utraconą Kicię. Pachniał tak ładnie futerkiem, ciepłem i czystem!

Po kolacji usłyszała gwizdek Tadzia w starym sadzie, ten sam czarowny sygnał, co dawniej, przed

wyjazdem. Emilka wybiegła na spotkanie. Właściwie, nie było na całym świecie nikogo, kto by się równać mógł z Tadzkiem. Poszli razem do pani Kent, gdyż Tadzio chciał pokazać Emilce szczeniaczka, którego podarował mu dr. Burnley. Pani Kent nie robiła wrażenia zadowolonej na widok Emilki, była chłodniejsza i bardziej milcząca, niż dotychczas. Siedziała i patrzyła na dzieci, które bawiły się z pieskiem. W oczach miała ponury błysk chwilami. Emilka czuła się nieswojo, patrząc na nią, zwłaszcza gdy ich oczy spotykały się przypadkiem. Nigdy jeszcze nie odczuła tak wyraźnie antypatji pani Kent, jak dzisiaj.

— Dlaczego twoja matka mnie nie lubi — spytała bez ogródek, gdy zanieśli małego Leosia do szopy.

— Bo ja cię lubię — odrzekł Tadzio lakonicznie. — Ona nie znosi tych, których ja lubię. Obawiam się, że niebawem otruje Leosia. Wolałbym, żeby... mnie mniej kochała — wybuchnął, buntując się po raz pierwszy przeciw tej nienormalnej miłości i zazdrości macierzyńskiej, którą instynktownie odczuwał jako więzy, jako niewolę. — Matka mówi, że nie potrzebuję łaciny ani algebry, bo nie chce, żebym chodził w tym roku do szkoły. Mówi, że się ze mną nie rozstanie, nigdy! Mniejsza o łacinę i o matematykę, ale chciałbym się kształcić na artystę, pojechać czasem do wyższych uczelni, gdzie wykładają wielcy malarze. Ona mnie nie puści od siebie, niecierpi moich obrazów, bo sądzi, że ja je miłuję bardziej, niż ją. Tak nie jest, ja kocham matkę, ona jest dla mnie dobra, miła, pełna słodyczy. Ale jej się zdaje, że ja wolę obrazy, niż ją, więc pali to, co ja maluję. Już kilka spaliła. Zniknęły nagle ze ściany szopy i nie mogę

nigdzie ich znaleźć. Jeżeli zrobi coś złego Leosiowi, *znieawidzę ją.*

— Powiedz jej to — rzekła Emilka gwałtownie. — Niech wie, że ty się domyślasz, kto jest sprawcą śmierci Smoka i Pierwiosnka. Powiedz wręcz, że wiesz o tem i że przestaniesz ją kochać, jeżeli coś się stanie Leosiowi. Tak się przerazi, że nic mu nie zrobi, jestem tego pewna. Powiedz jej to łagodnie, nie obrażaj jej uczuć dla ciebie, ale powiedz koniecznie. To będzie najlepiej dla wszystkich osób zainteresowanych — zakończyła Emilka, naśladując wybornie ciotkę Elżbietę, stawiającą jakieś ultimatum.

— Zdaje mi się, że to zrobię — rzekł Tadzio, mocno strapiiony. — Nie mogę się pogodzić z myślą o zniknięciu Leosia w ślad za mojami kotami, jest to jedyny pies, jakiego miałem kiedykolwiek, a ja zawsze pragnąłem mieć psa. Ach, Emilko, jak ja się cieszę, że już wróciłaś!

Bardzo jest miło to słyszeć, a szczególnie z ust Tadzia. Emilka wróciła do Srebrnego Nowiu, uszczęśliwiona. W kuchni świece płonęły, migocąc pod wpływem wietrzyku sierpniowego, wdzierającego się chwilami przez otwarte drzwi i okna.

— Zapewne nie będą ci się podobać świece, Emilko. Przyzwyczaiłaś się do lampy w Księżym Stawie — rzekła ciotka Laura z westchnieniem. Jednym z głównych powodów goryczy Laury Murray był upór, z jakim Elżbieta obstawała przy świecach.

Emilka rozglądała się dokoła w zamyśleniu. Jedna ze świec kiwała się rytmicznie pod powiewem wiatru wieczornego, jakgdyby jej się kłaniała na powitanie.

— Sama nie wiem, ciotko Lauro... — odrzekła z wolna. — Można się zaprzyjaźnić ze świecami. Sądzę, że lubię to oświetlenie, mimo wszystko.

Ciotka Elżbieta usłyszała te słowa, wchodząc do kuchni w tejże chwili. W jej niebieskich oczach zabłysło coś nakształt zadowolenia.

— Masz trochę oleju w głowie — rzekła.

— To jest drugi komplement, jaki od niej słyszę — pomyślała Emilka.

— Zdaje mi się, że Emilka urosła przez czas swego pobytu w Księżym Stawie — rzekła ciotka Laura, przyglądając jej się uważnie.

— Nie widzę tego — odrzekła cierpko ciotka Elżbieta — sukienka jej nie jest ani trochę krótsza, niż przedtem.

— Pewna jestem, że urosła — nalegała Laura.

Kuzyn Jimmy zmierzył Emilkę, chcąc położyć kres sprzeczce. Okazało się, że głowa jej sięgała poprzedniego znaku na drzwiach mleczarni.

— Widzisz — triumfowała Elżbieta, ciesząc się, że ma słuszność w tej kwestji również.

— Ale ona inaczej wygląda — westchnęła Laura.

Laura miała słuszność. Emilka urosła istotnie, ale nie postacią zewnętrzną. Dusza jej dojrzała, i tę zmianę odczuła w niej kochająca troskliwość ciotki Laury. Z Księżego Stawu powróciła nie ta sama Emilka, która wyjechała ze Srebrnego Nowiu. To już nie było dziecko. Opowiadania ciotki Nancy o przeżyciach różnych członków rodziny, przecierpiany niepokój, dotyczący przeszłości doktorowej Burnley, straszna godzina zmagania się ze śmiercią na skale nadmorskiej, przyjań z Deanem Priestem, wszystko to wpły-

nęło na przedwczesną dojrzałość jej umysłu i jej uczuciowości. Gdy poszła na strych nazajutrz i przejrzała swoje rękopisy, stwierdziła ze zdumieniem, że nie były one bynajmniej tak wartościowe, jak mniemała dotychczas. Niektóre były w jej oczach wręcz głupie. Wstydziła się ich, tak dalece się wstydziła, że zniosła je ukradkiem do kuchni i spaliła. Ciotka Elżbieta bardzo była niezadowolona, kiedy, przyszedłszy do kuchni, zastała piec pełen popiołu i nie mogła gotować kolacji, zanim go nie uprzętnęła.

Emilka już się nie dziwiła, że panna Brownell wyszydziła jej utwory, jakkolwiek to nie łagodziło jej goryczy. Uważała sama, że część tych wierszy nadaje się tylko do pieca, a część zyskałaby na staranem opracowaniu i przerobieniu. Zaczęła pisać nowy poemat „Powrót do domu z Wakacji”. Ponieważ miał tu być uwzględniony każdy, kto wchodził w skład rodziny Murrayów i Priestów, poemat zapowiadał się obszernie i mógł z powodzeniem wypełnić przyjemnie kilka tygodni czasu. Dobrze było w domu, bardzo dobrze!

— Niema na świecie tak uroczego zakątka jak Srebrny Nów — myślała Emilka.

Faktem, który uwidoczniał zmiany, jakie zaszły w niej samej i w jej życiu, było przyznanie jej własnego pokoju. Ciotce Elżbiecie zanadto przypadła do gustu kilkutygodniowa samotność w sypialni, aby z niej miała rezygnować powtórnie. Postanowiła, że nie będzie już sypiać z towarzyszką łoża, która nagle o późnej godzinie zadawała najbardziej nieprzewidziane pytania.

Zatem, po długiej naradzie z Laurą, uchwalono,

że Emilka przeprowadzi się do pokoju swej matki. Podczas nieobecności Emilki sprzątnięto go i urządzono na dzień jej przybycia. Wieczorem oznajmiła jej ciotka Elżbieta, że od tej pory będzie sypiać w tym właśnie pokoju.

— To będzie mój własny, wyłącznie mój pokój?  
— spytała Emilka.

— Tak. Mamy nadzieję, że będziesz dbać o czystość i porządek w twojej sypialni.

— Nikt tam nie sypiał od czasu... wyjazdu twojej matki — rzekła ciotka Laura głosem, którego dźwięk nie podobał się wyraźnie ciotce Elżbiecie.

— Matka twoja — rzekła Elżbieta, patrząc zimno na Emilkę ponad światłem świecy, które nadawało męski wygląd jej ściągłej twarzy — *uciekła*, wzgardziła swą rodziną, łamiąc serce swego ojca. Była głupią, niewdzięczną, nieposłuszną dziewczyną. Mam nadzieję, że ty nigdy nie shańbisz rodziny podobnym występkiem.

— Och, ciotko Elżbieto! — zawołała Emilka zadyszana z wrażenia — gdy trzymasz tak świecę, twarz twoja wygląda jak trupia głowa! O, jakie to ciekawe!

Ciotka Elżbieta skrzywiła się i poszła na górę. Szkoda było czasu na perswazje i mądre wywody wobec takiego dziecka.

Emilka, pozostawiona po raz pierwszy na noc w pokoju matki, rozglądała się ciekawie dokoła. Nie mogła się położyć do łóżka, nie przetrząsnawszy przedtem wszystkich kątów. Pokój był bardzo staroświecki, jak zresztą wszystkie pokoje w Srebrnym Nowiu. Gąbka była usiana złotymi gwiazdami, na ścianach wi-



siały stare obrazki, oraz dewizy i przysłowia, haftowane włóczką. Były to dzieła jej ciotek, lub też „premie” z czasów ich młodości. Jeden z obrazków przedstawiał dwa anioły stróże. Emilka popatrzyła na ten obrazek z lekceważeniem.

— Nie lubię aniołów ze skrzydłami z piór — rzekła stanowczo. — Aniołowie powinni mieć skrzydła utkane z tęczy.

Na podłodze leżał ładny dywanik, łóżko było wysokie, miętko wysłane, ale ku radości Emilki nie było baldachimu. W oknach wisiały muślinowe firanki. Nad małym stolikiem o wygiętych nóżkach umieszczono zwierciadło owalne w zniszczonej ramie. Emilka z zachwytem stwierdziła, że może się cała przejrzeć w tem lustrze i że nie wygląda w niem jak straszdyło. Dwa wysokie czarne krzesła i wyblakła otomana dopełniały umeblowania. W pobliżu okna zauważyła Emilka kominek.

— Ciekawa jestem, czy ciotka Elżbieta pozwoli mi palić ogień na tym kominku — pomyślała Emilka.

Pokój przepojony był tym urokiem, cechującym wszystkie pokoje, w których umeblowanie jest gustowne, a ściany i podłoga są szarmonizowane w tonach i w stylu z całym otoczeniem. Emilka zdawała sobie z tego sprawę. To był jej pokój; już go polubiła, czuła się tu zadomowiona, jakgdyby w nim mieszkała oddawna.

— Tu jest moje właściwe miejsce — wyszeptwała, uszcześliwiona.

Czuła się rozkosznie bliską swej matki, jakby Julja Starr uplastyczniła się nagle, jakby jej się objawiła. Pochłaniała ją myśl, że tę koronkową serwetę

zrobiła zapewne jej matka własnymi rękami. W pokój unosił się lekki, mdły zapach. To dusze wszystkich róż, które tu kwitły w ciągu długiego szeregu wiosen i letnich miesięcy, zdawały się meldować, że są tu więzione, niczem w czyścicu kwietnym. Było coś w tym mistycznym, tajemniczym zapachu, co wywołało w Emilce „promyk”, czem uświęcony został ten pokój raz na zawsze.

Na jednej ze ścian wisiał portrecik matki, namalowany, kiedy była małą dziewczynką. Emilka przyglądała mu się z rozrzewnieniem. Posiadała fotografię matki, jako młodej mężatki, spuściznę po ojcu. Ale ciotka Elżbieta po przyjeździe do Srebrnego Nowiu z Boru Majowego zawiesiła tę fotografię w saloniku, gdzie Emilka widywała ją rzadko. Ta podobizna tutaj, przedstawiająca złotowłosą, rumianą dziewczynkę, była jej własnością. Mogła na nią patrzeć, rozmawiać z nią dowoli.

— Och, matko — mówiła — o czym ty myślałaś, kiedy byłaś taką małą dziewczynką, jak ja obecnie? Szkoda, że nie mogłam cię wówczas poznać! Pomyśleć, że nikt tu nie sypiał od chwili, kiedy uciekłaś stąd z ojcem! Ciotka Elżbieta mówi, że źle postąpiłaś, ale mnie się nie zdaje. Przecież nie uciekłaś z obcym człowiekiem. W każdym razie ja się cieszę, że uciekłaś, bo w przeciwnym razie nie byłoby mnie na świecie.

Emilka, bardzo zadowolona z istnienia tejsze Emilki, otworzyła okno, położyła się do łóżka, czując w duszy takie napięcie szczęścia, które graniczy z bólem. Następnego dnia, pisząc do ojca, rozpoczęła list od słów: „Droży Rodzice”.

„I zawsze od tej pory będę pisywać do Ciebie, za-

równy jak do Ojca, Matko. Żałuję, że przez taki przeciąg czasu Cię zaniedbywałam. Ale nie uprzytomniałam sobie Ciebie, dopóki nie zobaczyłam Twego pokoju. Pierwszego dnia zrana zasałam łóżko bardzo starannie, ciotka Elżbieta nie znalazła żadnej usterki, okurzyłam wszystkie meble, a, wychodząc, przyklekłam i ucałowałam próg. Sądziłam, że nikt mnie nie widzi, ale ciotka Elżbieta dostrzegła ten gest i oświadczyła, że oszalałam. Dłaczego ciotka Elżbieta myśli, że ktoś oszalał, ilekroć widzi, że ten ktoś postępuje inaczej, niż ona? Odrzekłam: „Nie, ja tylko kocham tak bardzo ten pokój” Ona wzruszyła ramionami i rzekła: „Lepiejbyś kochała Pana Boga”. Ależ ja Boga kocham, drogi Ojciec... i Matko... kocham Go bardziej, niż kiedykolwiek, od chwili, kiedy mam własny, ukochany pokój. Widzę stąd cały ogród i gaj Wysokiego Jana i kawałek Czarnowody poprzez drzewa. Pod temi drzewami przechodzi Ścieżka Wczorajsza. Teraz chodzę wcześniej spać. Lubię leżeć sama w moim własnym pokoju i układać w myśli poezje, oraz opisy widoku, jaki się przede mną roztacza przez otwarte okno.

Ach, Ojciec drogi i Matko, będziemy mieli nowego nauczyciela. Panna Brownell nie wraca, wychodzi zamaż. Ilza powiedziała, że jej ojciec na wieść o tem zawołał: „Niech Bóg ma w swej opiece tego człowieka!” Nowym nauczycielem jest pan Carpenter. Ilza widziała go, gdy przyszedł do jej ojca i mówi, że ma on bujne siwe włosy i nosi okulary. Jest żonaty i będzie mieszkał w tym małym domku w wąwozie przy szkole. To takie zabawne mieć nauczyciela w okularach i wyobrazić sobie, że on ma żonę.

Cieszę się, że jestem w domu. Ale brak mi Deana

i srebrzystej kuli. Ciotka Elżbieta popatrzyła bardzo surowo na widok mojej grzywki, ale nic nie powiedziała. Ciotka Laura radzi mi nic nie mówić i nosić ją nadal. Ale ja czułam, że źle postępuję w stosunku do ciotki Elżbiety, więc zaczesalam grzywkę do tyłu, tylko zostawiłam *trozeczkę* włosów na czole. Nie czuję się całkiem w porządku wobec ciotki Elżbiety, ale coś musiałam zostawić na czole, ażeby wyglądać możliwie. Bufiaste rękawy wychodzą z mody, więc nigdy ich nosić nie będę. Ale to mnie nie martwi, bo nie podoba mi się ta moda. Rhoda Stuart będzie zmartwiona, bo ona marzyła o chwili, kiedy dorośnie i zacznie nosić bufiaste rękawy.

Tadzio i ja mieliśmy wczoraj wieczorem bajeczną przygodę. Nie powiemy o niej nikomu, po części dlatego, że była taka ładna, a po części dlatego, że skrzyczanoby nas okropnie za coś, cośmy zrobili.

Poszliśmy aż do Domku Rozczarowanego i zastaliśmy jedno okno uchylone. Otworzyliśmy je zupełnie i wdrapaliśmy się do środka. Podłogi nie są tam jeszcze gotowe, wszystko jest w tym stanie, w którym rzemieślnicy pozostawili te mury przed laty. Poczulałam nagle, że płaczę. W jednym z pokoiów był śliczny kominek. Podnieśliśmy kilka polan drzewa, walających się na podłodze i rozpaliliśmy ogień. (Za to właśnie skrzyczanoby nas!). Postanowiliśmy, że gdy dorośniemy, kupimy Domek Rozczarowany i zamieszkamy w nim wspólnie. Tadzio mówi, że on przypuszcza, iż trzeba się pobrać, ale ja myślę, że znajdzie się jakiś sposób wyjścia z tej sytuacji bez takiej nudnej historii. Tadzio będzie malował obrazy, a ja będę pisała poezje i co rano będziemy jadali na pierwsze

śniadanie grzanki, bekony i marmeladę tak, jak w Księżym Stawie. Będziemy mieli zawsze dużo dobrych rzeczy w spiżarni, Tadzio będzie mi pomagał zmywać statki, a srebrzystą kulę zawiesimy nad kominkiem, bo już wtedy ciotka Nancy będzie oddawna nieboszczką.

Zostawiliśmy płonący ogień na kominku i wyskoczyliśmy przez okno. Dziś jeszcze Tadzio mówi do mnie *tajemniczym tonem*: „Grzanki, bekony i marmelada”, a Ilza i Perry wychodzą z siebie, bo nie mogą dociec, co to znaczy.

Kuzyn Jimmy zgodził do pomocy w gospodarstwie Jimmy Joe Belle. Jimmy Joe Belle jest Francuzem. Tu jest dużo Francuzów, a kiedy Francuzka wychodzi zamaż, nazywają ją imieniem męża. Naprzykad: Marja wychodzi za Leona, od tej pory mówią o niej: Marja Leonowa. A w tym wypadku tutaj jest odwrotnie. Jimmy Joe Belle nosi imię swej żony, bo ona była bogata i ona nosi spodnie. Tak mi powiedział kuzyn Jimmy. Nic nie rozumiem. Jimmy Joe też nosi spodnie, więc dlaczego nazywać go imieniem żony? To że ona *też* je nosi, nie jest dostatecznym powodem. Nie spocznę, dopóki tego nie docieknę.

Piękny jest teraz ogród kuzyna Jimmy. Piwonje zakwitły. Staram się je lubić, bo widzę, że tu nikt ich nie lubi, ale w głębi serca kocham róże jesienne. Nie ma na to rady, że najbardziej każdy lubi róże.

Ilza i ja szukamy dziś przez cały dzień czterolistnej koniczyny, ale nie możemy jej znaleźć. Wreszcie przypadkiem znalazłam jedną, idąc po mleko. Kuzyn Jimmy mówi, że to oznacza szczęście, ale że nie należy go szukać, bo szczęście zawsze przychodzi niespodziewanie.

Dobrze, że jestem znowu z Ilzą. Klóciłyśmy się dopiero dwa razy od dnia mego powrotu. Mam zamiar nie klócić się już z Ilzą, ponieważ nie sędzę, żeby to było nas godne, chociaż jest bardzo zajmujące. Ale trudno będzie dotrzymać postanowienia, bo nawet gdy ja się zachowuję najspokojniej i nie mówię ani słowa, Ilza przypuszcza, że to umyślnie, żeby ją drażnić i zaczyna mi wymyślać bardziej, niż kiedykolwiek. Ciotka Elżbieta mówi, że do kłótni zawsze potrzebne są dwie osoby, ale ona nie zna Ilzy tak dobrze, jak ja ją znam. Ilza nazwała mnie dzisiaj pełzającym albatrosem. Ciekawa jestem, ilu zwierząt nazwami ochrzczi mnie Ilza w przyszłości. Nigdy bowiem nie powtarza dwa razy jednego. Chciałabym, żeby się nie przekomarzała tak bardzo z Perry'm. (Przekomarzać się — oto jest wyraz, którego się nauczyłam od ciotki Nancy). Mam wrażenie, że ona nie może znieść Perry'ego. On namawiał Tadzia, żeby przeskoczyli przez dach chlewu. Tadzio nie chciał. Powiedział, że toby nie przyniosło nikomu najmniejszego pożytku, więc nie widzi powodu, dla którego miałby się narażać na upadek. Perry przeskoczył przez chlew i nic mu się nie stało. Gdyby nie był skoczył na obie nogi, byłby skręcił kark, jak mówi kuzyn Jimmy. Zaczął się wyśmiewać z Tadzia, jako z tchórza, a wtedy Ilza wpadła w istny szał i nawymyślała mu okropnie. Ona nie znosi, jeżeli ktoś powie coś ujemnego o Tadzium, ale ja uważam, że on sobie sam poradzi.

Ilza nie będzie mogła studjować w szkole dramatycznej. Ojciec jej nie pozwala. Ale ona mówi, że to nie szkodzi. Ucieknie, gdy podrośnie i poradzi sobie. To brzmi niepokojąco, ale jest w tem zacięcie.

Dziwnie się czułam, jakgdybym była winną, gdy zobaczyłam Ilzę po raz pierwszy po moim powrocie. Dlaczego? Bo słyszałam o jej matce... Nie wiem, dlaczego czuję się winną, bo przecież ja nic z tem nie miałam wspólnego. Teraz to dziwne uczucie minęło, ale taka jestem nieszczęśliwa, ile razy o tem myślę! Chciałabym o tem zapomnieć, albo też znaleźć istotne powody tego wszystkiego. Bo pewna jestem, że nikt ich nie zna.

Dziś otrzymałam list od Deana. Pisuje cudne listy, takie, jakgdybym była dorosła. Przysłał mi mały wierszyk, który wyciął dla mnie z jakiegoś czasopisma. Wierszyk ten przypomniiał mu mnie, pisze Dean, chociaż jestem tam mowa o szarotce i o wspinaniu się na szczyty alpejskie. Ja zaś nie mam nic wspólnego z Alpami. Ale podczas czytania rozbłysnął „promyk”, wzięłam więc kawałek papieru listowego i kopertę i napisałam:

Ja, Emilja Byrd Starr, ślubuję niniejszem uroczyście, że wejdę na jakiś szczyt alpejski i wyryję moje imię na jednym z kamieni.

Włożyłam ten kawałek papieru do koperty, na której zkolei napisałam: „Ślub, uczyniony przez Emilję Byrd Starr, liczącą lat 12 i 3 miesiące” i ukryłam to w otomanie na strychu.

Teraz piszę powieść kryminalną i staram się odczuwać tak, jak człowiek, który jest mordercą. To straszne, ale fascynujące. Czuję się prawie tak, jakgdybym ja sama kogoś zamordowała.

Dobranoc, drodzy Rodzice

Wasza kochająca córka

Emilja”.

„P. S. Zastanawiałam się, jak się będę podpisywać, gdy dorosnę i zacznę drukować moje utwory. Nie wiem, jak będzie lepiej: Emilja B. Starr, czy E. B. Starr, czy też Emilja Byrd Starr, czy może E. Byrd Starr. Czasami myślę, że może dobrzeby było obrać „pseudonim”, tak się nazywa zmyślane nazwisko, które się przybiera. Znalazłam ten wyraz w moim słowniku. Słuchałabym, jak ludzie rozmawiają o moich utworach w mojej obecności, nie domyślając się, kim jestem i dlatego mówiliby to, co myślą naprawdę. To by było ciekawe, ale niezawsze pocieszające. Chyba będę podpisywać:

E. Byrd Starr”.

28.

## ZWOLENNIK MARZEŃ

Kilka tygodni zajęło Emilce dociekanie, czy lubi pana Carpentera, czy nie. Wiedziała, że nie ma do niego niechęci, chociaż przywitał się z nią w szkole po raz pierwszy temi słowami: — Ty jesteś tą dziewczynką, która pisze poezje? Lepiej zajęłabyś się igłą i szydełkiem. Zbyt wielu głupców na całym świecie usiłuje pisywać poezje i robi „fiasco”. Ja sam próbowałem niegdyś. Teraz nabrałem rozsądku.

— Lepiejbyś pilnował swych paznokci, bo są brudne — pomyślała Emilka.

Wywrócił on cały dotychczasowy porządek szkolny, tak że Ilza, która była uosobieniem anarchji i nie-



nawidziła rutybę, była jedyną uczennicą przychylną mu od pierwszego wejrzenia. Inne nie lubiły go, nie wyłączając Rhody Stuart, ale większość przywykła do nieprzyzwyczajania się nigdy do niczego. Emilka rozstrzygnęła wkońcu, że lubi go „szalenie”.

Pan Carpenter był mężczyzną w wieku lat 40 do 50, był wysoki, miał gęste, sterczące włosy, szpakowate wąsy i brwi, rozwichrzoną brodę, jasne błękitne oczy, w których życie jeszcze nie zgasiło blasku i ściągła, zwiędła twarz, mocno porysowaną. Mieszkał w małym dwuizbowym domku przy szkole z nieśmiałą, cichą żoną. Nigdy nie mówił o przeszłości, nigdy nie wyjaśniał, dlaczego w tym wieku nie ma lepszego stanowiska, jak posada nauczyciela w szkółce powiatowej, nędznie wynagradzana. Ale niebawem prawda wydobyła się na światło dzienne: pan Carpenter był w młodości bardzo utalentowanym chłopcem i rokował najpiękniejsze nadzieje, lecz rozpił się pod wpływem wesołych kolegów i „zjechał na psy”. Najgorsze było to, że już miał wyższe stanowisko w szkolnictwie, gdy został przeniesiony do tej „dziury”, Czarnowody, bez widoków awansowania kiedykolwiek na lepszą posadę. Może był zrezygnowany, a może nie. Tego nikt nie wiedział, nawet ta cicha, brunatna myszka, jego żona. Fakt, że był dobrym nauczycielem; to jedno było ważne dla mieszkańców Czarnowody. Jeżeli nawet „wypuszczał się” na wódkę, to wybierał na te wyprawy wieczory sobotnie i był w poniedziałek zupełnie trzeźwy. Nie wzbudzał litości i nie pozował na bohatera tragedji. Ale czasami, patrząc na niego podczas lekcji arytmetyki, gdy siedział, pochylony nad zadaniami, doznawała Emilka uczucia wielkiego żalu, żalu

za niego, nie do niego, przyczem sama nie rozumiała bynajmniej, dlaczego.

Był on naturą wybuchową, to też przynajmniej raz dziennie dawał sobie ujście. Ale uniesienie jego nigdy nie trwało długo. W ciągu kilku minut zjawiał się na twarzy pana Carpentera dobrotliwy uśmiech, a nikt nie był zmartwiony, ani zmieszany jego łajaniem. Nigdy nie mówił nic zjadliwego w stylu panny Brownell, nic takiego, coby nurtowało całemi miesiącami. Słowa jego padały tu i owdzie, słuszne, lub niesprawiedliwe, ale spływały szybko i bez uszczerbku dla nikogo.

Umiał ocenić żart, nawet jeżeli odnosił się do niego.

— Czy słyszysz, co mówię? — zwrócił się razu pewnego do Perry'ego.

— No, chyba — odrzekł Perry chłodno — pana słyhać bodaj w Charlottetown. — Pan Carpenter przyjrzał mu się uważnie, poczem wybuchnął głośnym, niepohamowanym śmiechem.

Jego metody nauczania tak były odmienne od metod panny Brownell, że początkowo uczniowie czuli zamęt w głowie. Panna Brownell była katem co do porządku. Pan Carpenter pozornie nie dbał o ład. Ale często dawał dzieciom tyle pracy, że nie miały czasu na robienie nieporządku. Historji uczył w ten sposób, że rozdzielał między swych uczniów role i każdy przedstawiał jakąś postać historyczną. Nie nudził datami nikogo, ale daty te same utrwały się stopniowo w pamięci. Naprzykład, kiedy człowiek klęczał przez kilka minut na progu drzwi, a Perry Miller w masce ze starego jedwabiu ciotki Laury, stał nad nim, a raczej nad

„nią”, jako kat z siekierą w ręku; kiedy „człowiek zastanawiał się, co będzie, jeżeli on uderzy za mocno”, to nie zapomina ów „człowiek” tak rychło daty tego zdarzenia. A skoro ktoś brał udział w bitwie pod Waterloo wraz z całą szkołą i słyszał głos Tadzika Kenta: „Do mnie, gwardja!”, rozbrzmiewający z siłą na dziedzińcu rekreacyjnym, och! to łatwo przychodziło pamiętać rok 1815.

Historję zastępowała dla odmiany geografja, wykładana w ten sam sposób: szkoła i dziedziniec zostały podzielone na różne kraje, porysowane jak mapa, a dzieci przebierały się za zwierzęta, zamieszkujące daną strefę, dany klimat. Gdy Perry Miller przez cały dzień nie pił wody, bo przebywał pustynią arabską wraz z całą karawaną i nie mógł znaleźć oazy, a potem wypił tak dużo, że dostał kurczy żołądka i ciotka Laura czuwała przez całą noc przy jego łóżku, — to ani Perry, ani jego koledzy i koleżanki nie mogli zapomnieć, gdzie jest położona owa pustynia. Kumoszki miejscowe były oburzone tym systemem nauczania i wyrażały przeświadczenie, że dzieci za dobrze bawią się w szkole, ażeby mogły się nauczyć czegokolwiek.

Łaciny i francuskiego uczono się, rozmawiając, a nie pisząc zadania. W popołudnia piątkowe odkładano wszystkie lekcje na bok i pan Carpenter kazał dzieciom deklamować wiersze, przemawiać i czytać ustępy z Biblii. To był ulubiony, ukochany dzień Ilzy. Pan Carpenter szlifował jej talent starannie a niemiłosiernie. Klócili się nieraz bez końca, Ilza wpadała w istny szal i wymyślała nauczycielowi, a cała szkoła słuchała ze zdumieniem, zadając sobie pocichu pytanie, dlaczego Ilza nie ponosi żadnej kary, tylko zawsze zmuszona

jest ustąpić po długiej utarczce. Ilza uczęszczała teraz do szkoły regularnie, czego dotychczas nigdy nie czyniła. Pan Carpenter powiedział jej, że gdyby była nieobecna raz tylko jeden bez dostatecznych przyczyn i dowodów, to nie brałaby udziału w następnym „ćwiczeniu” piątkowym, a tego Ilza nie byłaby przeżyła.

Pewnego dnia znalazł pan Carpenter w pulpicie Tadzia jego autoportret, naszkicowany ołówkiem. Tadzio pewien był, że usłyszy nagane, a tymczasem ten dziwny pan Carpenter ściągnął tylko brwi. popatrzył na Tadzia poważnie, odłożył rysunek i rzekł:

— Nie znam się na rysunkach, ale, do licha, mam wrażenie, że lepiejbyś zrobił, żebyś się przestał zajmować arytmetyką, a przez ten czas rysował i malował.

Wieczorem tego dnia poszedł pan Carpenter do pani Kent i przejrzał w szopie rysunki Tadzia. Następnie pomówił z jego matką. Nikt nie wie, o czym mówili, ani tem mniej *co* mówili. Ale, wychodząc, miał pan Carpenter wygląd człowieka niezadowolonego, zaskoczonego czemś nieoczekiwanem. Od tej pory pilnował bacznie postępów Tadzia w szkole, przyczem podarował mu kilka książek o teorji rysunku; zastrzegł się, żeby Tadzio nie zabierał ich do domu, czego chłopcu nie trzeba było powtarzać. Wiedział on dobrze, że w przeciwnym razie książki zniknęłyby bez śladu równie tajemniczo jak jego koty. Usłuchał rady Emilki, powiedział swojej matce, że przestałby ją kochać, gdyby się cokolwiek zdarzyło Leosiowi i Leoś rósł i rozwijał się jak najpomyślniej. Ale Tadzio był zbyt dobry, zbyt przywiązany do matki, aby nadużywać podobnej groźby. Wiedział, że przeplakala całą noc po

wizycie pana Carpentera, że modliła się, klęcząc, w swej małej sypialce przez cały prawie dzień następny, że przez cały tydzień przyglądała mu się gorzkimi, smutnymi oczami. Pragnął, ażeby była bardziej podobna do innych matek, ale kochał ją z całego serca; spędzali cudne chwile w swym szarym domku na wzgórzu. Tylko w obecności innych ludzi bywała pani Kent dziwna i zazdrosna.

— Ona jest przemiła, gdy tylko jesteśmy sami — mówił Tadzio do Emilki.

Perry Miller był przedmiotem szczególnych wysiłków pana de Carpentera w piątki po południu: uczył go pan Carpenter dykcji i zagrzewał do niezmordowanej pracy w tym kierunku. To też Perry nie przestawał powtarzać półgłosem różnych tyrad, nawet w kuchni wieczorem wciąż je sobie przepowiadał, dopóki ciotka Elżbieta nie kładła temu kresu. Emilka nie rozumiała, dlaczego pan Carpenter chwalił z uprzejmym uśmiechem innych chłopców, którzy recytowali sucho, bez wdzięku, bez wyrazu, a gniewał się na Perry'ego, gdy ten jednego słowa, co najwyżej jednego zdania, nie oddał z właściwym akcentem albo też, wykonał dany gest o pół sekundy za wcześnie.

Nie rozumiała również, dlaczego on poprawiał jej ćwiczenia stylistyczne czerwonym ołówkiem i łajał ją za używanie zbyt wielkiej ilości przymiotników, za zbyt dużą rozwlekłość; a Rhoda Stuart i Nana Lee słyszały ciągle pochwały za swoje ćwiczenia, na których widniało znacznie mniej poprawek. A jednak lubiła nauczyciela coraz bardziej, a z nadejściem zimy nie pojmowała, jak mogłaby się uczyć pod innym kierunkiem.

Emilka tak urosła tej zimy, że ciotka Laura musiała „wypuścić” obręby u jej sukienek. Ciotka Ruth, która przybyła w odwiedziny na tydzień, oświadczyła, że Emilka rośnie kosztem sił swoich, jak wszystkie gruźlicze dzieci.

— Ja nie jestem gruźlicza — rzekła Emilka. — Starrowie wszyscy są wysokiego wzrostu — dodała złośliwiej, niżby się można było tego spodziewać po jej niespełna 13 latach.

Ciotka Ruth, która bardzo była wrażliwa na swój brak wzrostu, sapała.

— Dobrzeby było, gdybyś ich tem jednym przypominała — rzekła. — Jakże ci się powodzi w szkole?

— Bardzo dobrze! Jestem najświetniejszą uczennicą w mojej klasie — odrzekła Emilka spokojnie.

— Ty, zarozumiałe dziecko! — rzekła ciotka Ruth.

— Nie jestem zarozumiała — Emilka spojrzała na nią z oburzeniem. — Pan Carpenter tak się wyraził o mnie, a on nie jest pochlebcą. Zresztą nie mogę nie zdawać sobie z tego sprawy.

— No, to dobrze, że będziesz miała głowę na karku, ponieważ wdzięków nie posiadasz — rzekła ciotka Ruth. — Nie masz cery, o której wartoby było mówić, a te krucze włosy dokoła twej białej twarzy są trochę przerażające. Widzę, że wyrośniesz na dziewczynę pozbawioną urody.

— Nie powiedziałaśbyś tego w oczy osobie dorosłej — rzekła Emilka z nagłą powagą, która zawsze doprowadzała ciotkę Ruth do pasji, gdyż nie mogła zrozumieć tego tonu u dziecka. — Nie przypuszczam, żeby cię to wiele kosztowało zdobyć się na grzeczność

w stosunku do mnie, równą twojej grzeczności dla innych ludzi.

— Wskazuję ci twoje wady, ażebyś się z nich poprawiła — rzekła ciotka Ruth lodowato.

— To nie moja wina, że mam bladą twarz i czarne włosy — zaprotestowała Emilka. — Nie mogę tego zmienić.

— Gdybyś była inną, niż jesteś... — zaczęła ciotka Ruth — jabym...

— Ale ja nie chcę być inną, niż jestem — odrzekła Emilka stanowczo. Nie miała bynajmniej zamiaru pochylić sztandaru Starrowskiego przed ciotką Ruth. — Chcę być sobą przedewszystkiem, chociaż miałabym być pozbawioną urody. Zresztą — dodała niespodziewanie, wychodząc z pokoju wolnym krokiem — nie jestem teraz bardzo ładna, ale gdy pójdę do nieba, będę z pewnością piękną.

— Są tacy, którzy uważają, że Emilka jest bardzo ładna — rzekła ciotka Laura, ale nie powiedziała tego, zanim Emilka nie oddaliła się tak, że już do słyszeć jej słów nie mogła. Na to była Laura bądź co bądź, dość Murrayówną.

— Nie wiem, gdzie oni to widzą — rzekła ciotka Ruth. — Ona jest próżna i niegrzeczna i mówi same rzeczy nieprzyjemne, a zdaje jej się, że to jest właśnie oryginalne. Słyszałaś ją przed chwilą. Ale czego najbardziej w niej nie lubię, to tego braku wszelkiej dziecięcości, który ją cechuje. A przytem skryta, nieprzenikniona jak głębiny morskie. Tak jest, jak głębiny morskie. Jeszcze się o tem przekonasz. I to na swojej skórze, o ile nie weźmiesz pod uwagę mego ostrzeże-

nia. Ta mała jest zdolna do wszystkiego. Ty i Elżbieta nie trzymacie jej dość krótko.

— Ja robiłam, co mogłam — rzekła Elżbieta sztywno. W duszy uważała, że Laura i Jimmy przeskadzali jej niejednokrotnie w jej pracy pedagogicznej, ale irytowały ją uszczypliwe zdania Ruth.

Wuj Wallace również zaatakował Emilkę w ciągu tej zimy.

Przyglądał jej się za swą bytnością w Srebrnym Nowiu i doszedł do wniosku, że jest ona dużą dziewczyną.

— Ile masz lat, Emilko? — Zadawał jej to pytanie za każdym razem, gdy ją widział.

— Trzyście w maju.

— Hm... Co zamierzasz z nią zrobić, Elżbieto?

— No, przecież ona niebawem będzie dorosła. Niezimmno.

— No, przecież ona niebawem mbędzie dorosła. Niemożliwą jest rzeczą, żebyś wiecznie na nią łożyła...

— Nie liczę nato — przerwała Emilka bez tchu.

—... czas więc najwyższy postanowić, co ona robić będzie.

— Kobiety z rodu Murrayów nie zarabiały nigdy na życie — rzekła ciotka Elżbieta, jakgdyby to zamykało dyskusję.

— Emilka jest tylko w połowie Murrayówną — rzekł Wallace. — Zresztą czasy się zmieniły. Ty i Laura nie będziecie żyły wiecznie, Elżbieto, a po waszej śmierci Srebrny Nów przypadnie w udziale synowi Olivera, Andrzejowi. Mojem zdaniem, Emilka powinna być przygotowana do zarobkowania.

Emilka nie lubiła wuja Wallace'a, ale w tej chwi-



li była mu bardzo wdzięczna. Jakieby nie były jego motywy, proponował on coś, co było po jej myśli.

— Według mnie — mówił Wallace — powinna ona wstąpić do Akademji Królewskiej, ażeby otrzymać dyplom nauczycielski. Nauczanie jest zajęciem odpowiedniem dla damy z dobrej rodziny. Ja gotów jestem przyczynić się materialnie do pokrycia kosztów, stąd wynikających.

Słupy byłby widział, że wuj Wallace uważa się za wielce wspaniałomyślnego w tej chwili.

— W takim razie — myślała Emilka — zwrócę ci czasem każdy grosz, który na mnie wyłożysz. Niech tylko zacznę zarabiać na siebie.

Ale ciotka Elżbieta była jak skała.

— Nie dowierzam dziewczętom, które same wyruszają w świat — rzekła. — Nie mam zamiaru oddać Emilki do Akademji. Pan Carpenter już mnie nagabywał o jej wstąpieniu do liceum. Bardzo był stanowczy; za moich czasów nauczyciele znali lepiej mores. Ale zdaje mi się, że mnie zrozumiał odrazu. Z twojej strony dziwi mnie to, Wallace. Twej własnej córki nie posłałeś do Akademji i nie kazałeś jej pracować.

— Moja córka ma rodziców, którzy o niej myślą — odparł Wallace z patosem. — Emilka zaś jest sierotą. Sądzę, że wolałaby sama na siebie pracować, niż żyć z czyjejś łaski.

— Tak jest! — zawołała Emilka. — Tak, nie mylisz się wuju Wallace. Och, ciotko Elżbieto, pozwól mi wstąpić do konserwatorjum. Pozwól! Zwrócę ci do ostatniego grosza kosztą mych studjów, skoro tylko zacznę zarabiać. Daję ci na to słowo honoru.

— Tu nie o pieniądze chodzi — odrzekła ciotka Elżbieta wyniośle i sucho.

Podjęłam się łożyć na twe wychowanie. Emilko i dotrzymam słowa. Gdy będziesz starsza, pošę cię do wyższej szkoły w Shrewsbury na parę lat. Nie jestem wrogiem wykształcenia. Ale nie staniesz się niewolnicą obcych ludzi, żadna Murrayówna nigdy nie pracowała na chleb powszedni.

Emilka zdała sobie sprawę, że dalsza dyskusja byłaby daremna. Odczuwała to samo gorzkie rozczarowanie, co po wizycie pana Carpentera. Gdy wyszła z pokoju, ciotka Elżbieta popatrzyła na Wallace'a.

— Czy już zapomniałeś, co wynikło z oddania Julki do Akademji? — spytała znacząco.

Emilce nie wolno było wstąpić do wyższej uczelni, Perry natomiast wykonał to z tą samą stanowczością, jaką wykazywał we wszystkim, co przedsiębrał. Stanowisko Perry'ego w Srebrnym Nowiu uległo gruntownej zmianie. Ciotka Elżbieta już nie mruzczała gniewnie: „Najemnik”. Przyznawała nawet, że ten niewątpliwy najemnik niezawsze nim pozostanie i już nie brońi Laurze naprawiania jego odzieży, ani Emilce pomagania mu w lekcjach. Nie ciskała gromów, gdy kuzyn Jimmy zaczął mu płacić skromną pensyjkę, chociaż starsi chłopcy zadowoleni bywali, że mają utrzymanie i dach nad głową. Ale ciotka Elżbieta chciała się przyczynić do kariery przyszłego premjera. Chłopiec musi mieć aspiracje i ambicje. Co innego dziewczynka. Miejsce dziewczynki jest w domu.

Emilka pomagała Perry'emu w rozwiązywaniu zadań z algebry, przesłuchiwała go z łaciny i z francuskiego. Korzystała przytem więcej, niżby się to było

podobało ciotce Elżbiecie, gdy się orjentowała w tym przedmiocie, więcej nawet, niż uczniowie gimnazjum, koledzy Perry'ego. Dla dziewczynki, która w swoim czasie wynalazła nowy język, była nauka obcych, już istniejących języków, czemś zdumiewająco łatwą. Kiedy Jerzy Mates zadała Emilce swoją francuszczyznę (o której pan Carpenter powiedział, że może Bóg ją rozumie) pytanie: „Czy masz atrament mojej babki i szczotkę do obuwia mojej kuzynki i parasol męża mojej ciotki w twoim pulpicie?“, Emilka odpowiedziała płynnie i poprawnie: „Nie, ale mam w moim koszyku pióro twego ojca, ser, kałamarz i ręcznik służącej twego wuja”.

Ażeby się pocieszyć po rozczarowaniu, jakiego doznała, nie wstępując do liceum żeńskiego, pisała Emilka coraz więcej poezji. Szczególną rozkoszą było pisywanie ich w zimowe wieczory przy zamkniętych okiennicach, wsłuchując się w szum drzew i świst wichru za oknami. Pisywała również nowele, historie nieszczęśliwych miłości, gdzie po bohatersku zwalczała trudności, jakie jej nastęrczały djalogi miłosne; pisywała również historie o bandytach i piratach i to lubiła najwięcej, bo bandyci i piraci nie rozmawiają stylem zakochanych. Czasami pisywała powieści historyczne o wasalach, giermkach, paziach i księżniczkach, których djalogi przeplatała chętnie urywkami zdań francuskich. Słowem — pisywała o wszystkim. Obmyślała nową powieść, ale wkońcu zmieniała zamiar, gdyż zdała sobie sprawę, że nie zdobędzie dostatecznej ilości papieru. Listowego papieru już nie miała, a księga kuzyna Jimmy, przeznaczona na pamiętnik, nie była dość gruba. Coprawda ilekroć jedna taka księga była

zapisana, zawsze zjawiała się w tajemniczy a nieoczekiwany sposób nowa w szufladzie jej biurka. Kuzyn Jimmy miewał widocznie przecucia, co stanowiło właśnie jego Jimmy'owaty charakter.

Pewnej nocy, leżąc w łóżku i patrząc przez otwarte okno w księżyc, oświetlający dolinę, olbrzymi na czystym niebie bez jednej chmurki, powzięła świetną myśl.

Pośle swój najnowszy poemat do „Tygodnika”, wychodzącego w Charlottetown.

„Tygodnik” miał kącik poetycki, gdzie często drukowano wiersze „młodych talentów”. W duchu uważała Emilka swoje utwory za lepsze, niż większość „poezji” zamieszczanych w „Tygodniku” i prawdopodobnie nie myliła się.

Tak była przejęta tą myślą, że nie mogła usnąć do późnej godziny, wcale nie chciała spać. Tak cudnie było leżeć tutaj, natężyć wzrok w ciemnościach i wyobrażać sobie przebieg wypadków. Widziała już swoje wiersze wydrukowane, podpisane: E. Byrd Starr, widziała oczy ciotki Laury, jaśniejące dumą i zachwytem, widziała, jak pan Carpenter pokazuje te wiersze obcym ludziom: „To są utwory mojej uczennicy, zdolnej dziewczynki!”, widziała zazdrość, lub podziw w oczach koleżanek i kolegów, widziała siebie samą na szczycie górskim, niekoniecznie alpejskim, uświetniająca swym podpisem martwy kamień przy schronisku.

Nareszcie nadszedł dzień następny. Emilka poszła do szkoły, tak roztargniona, tak pochłonięta swym projektem, że odpowiadała źle na wszystkie pytania pana Carpentera. Niezadowolenie zacnego nauczyciela ma-

to ją dziś obchodziło. Ciałem była w Czarnowodzie, ale duszą — w przestworach nieziemskich.

Skoro tylko wykłady się skończyły, pobiegła do domu na strych. Przepisała starannie kilka wierszy, uważając na kropki nad „i”, oraz na poprzeczną kreskę w „t”. Pisała na linjowanym papierze, aby nie „zjeźdźać”. Pisała po obu stronach papieru, nie znając przepisów drukarskich. Następnie przeczytała je głośno, rozkoszując się poszczególnymi zwrotami.

— Tak, to są dobre wiersze — szepnęła — dziwię się teraz, że mnie przysły na myśl.

Nazajutrz wysłała swe utwory do redakcji i od tej pory żyła w wyczekiwaniu. Gdy przyszedł numer „Tygodnika”, otworzyła go drżącymi rękami i najpierw zajrzała do „kącika poety”.

Ale nie było nigdzie śladu „Marzenia Wieczornego”, ani innego utworu Emilki.

Emilka poszła na strych i z rozczarowania płakała na starej otomanie. Czuła się tak, jakby ją ktoś spoliczkował. Doznała straszego upokorzenia i pewna była, że się z niego nie podźwignie.

Jakże się cieszyła, mimo swe nieszczęście, że przynajmniej nie wspomniała o tem Tadziovi! A taką miała pokusę! Zapanowała nad swą potrzebą zwierzeń tylko dlatego, że wyobrażała sobie z radością zdziwienie i dumę Tadzia, gdy mu nagle pokaże swój utwór wydrukowany, swój podpis na łamach „Tygodnika”; Powiedziała o wysyłce wierszy tylko Perry’emu, który teraz strasznie się rozłościł na widok twarzyczki, zalannej łzami.

— Pojadę do Charlottetown i leż rozbiję wydawcy „Tygodnika” — rzekł Perry z wyrazem oczu, który

w 30 lat później poskramiał najoporniejszych członków jego partji.

— To się na nic nie zda — rzekła Emilka sucho. — Jemu się te wiersze nie podobały, uważał, że nie są godne druku i to mnie tak boli, Perry, on ich nie uważa za dobre. Rozbicie mu głowy nie zmieni *tego* faktu

Tydzień upłynął, zanim odzyskała równowagę wewnętrzną. Wreszcie napisała powiastkę, w której wydawca „Tygodnika” odgrywał rolę skończonego potwora, aż, zdemaskowany, szedł do więzienia pod eskortą policji. To jej ulżyło. Zapomniała o porażce „Marzenia Wieczornego”, pisząc „Odeę do cudnego kwietnia”.

Ale to doświadczenie dało jej znowu do myślenia i wzmogło jej krytycyzm. Często, czytając teraz swe rękopisy, dochodziła do wniosku, że te same wiersze, które wzbudzały w niej naiwny podziw przed laty, nadają się tylko do spalenia. To też wrzucała je do pieca, ale to ją trochę bolało. Niszczyć to, co kochamy, jest zawsze niewdzięcznym zadaniem.

29.

## ŚWIĘTOKRADZTWO.

Tej zimy zdarzył się cały szereg utarczek pomiędzy ciotką Elżbietą a Emilką. Zazwyczaj odnosiła zwycięstwo ciotka Elżbieta. Było w niej dążenie do przeprowadzenia swej woli nawet w najdrobniejszych, najmniej ważnych szczegółach. Ale razu pewnego znowu spotkała się z tą granitową warstwą w naturze

Emilki, której nic skruszyć nie mogło, nic przelamać. Marja Murray była również cicha, uległą istotą, jak świadczyły kroniki rodzinne z przed stu lat. Ale i w niej był ten rys niezłomności, jak o tem świadczyło owo: „Tu pozostanę”, od którego nie odstąpiła. Gdy ciotka Elżbieta próbowała zwalczyć w Emilce ten moment, zawsze źle na tem wychodziła. Zamiast wyciągać stąd wnioski na przyszłość, ponawiała za każdym razem niebezpieczny eksperyment. Czasami rozumiała, że Emilka zaczyna wychodzić z lat dziecięcych i tem bardziej dążyła do okiełznania tej natury dziewczęcej, bujnej i niezależnej, przypominającej aż nadto indywidualność zmarłej Julki Murray-Starr. Elżbieta Murray przeświadczona była, że Emilka postąpi tak, jak postąpiła jej matka, o ile nie będzie trzymana „w ryzie”.

Jedną z kwestyj spornych, jaka się wyłoniła w tym okresie, było odkrycie, dokonane przez ciotkę Elżbietę, że Emilka wydaje na papier więcej pieniędzy, osiąganym ze sprzedaży jaj, niżby pochwałała ciotka. Co Emilka robi z taką ilością papieru? O to się poróżniły, aż wreszcie ciotka Elżbieta wykryła, że Emilka pisuje powieści i nowele. Emilka przez całą zimę pisywała nowele „pod nosem” ciotki Elżbiety, a ciotka Elżbieta nie domyślała się tego. Przypuszczała stale, że Emilka pisuje ćwiczenia szkolne. Ciotka Elżbieta wiedziała, że Emilka tworzy jakieś głupie rymy, które nazywa „poezjami”, ale to jej nie przeszkadzało. To było głupie, ale nieszkodliwe, przytem Emilka niezawodnie wyrośnie z tego. Jimmy także napsuł trochę papieru taką niepotrzebną tandetą. I Jimmy byłby z tego wyrósł, z pewnością, gdyby nie ten wypo-

dek; Elżbieta zawsze czuła ból w sercu, gdy to sobie przypominała: ten wypadek sprawił, że stał się na całe życie kaleką umysłowym poniżej poziomu dziecka.

Ale pisanie powieści, nowel, było inną sprawą. Ciotka Elżbieta była zgorszona. Wszelka fabuła, fikcja była w jej oczach rzeczą okropną. Elżbieta Murray została wychowana w tych pojęciach i wytrwała w nich do późnego wieku. Była pewna, że w tem jest coś złego, coś grzesznego, tak, jak w grze w karty, lub tańcu, albo w chodzeniu do teatru, w pisaniu lub czytaniu nowel. A tu zachodził wypadek szczególnie ważny: w Emilce objawiał się w tym „grzechu” rys dziedziczny, obarczenie skłonnościami Douglasa Starra. Żaden Murray ze Srebrnego Nowiu nie splamił się nigdy pisaniem powieści, nigdy żadnemu przez myśl to nie przeszło. To był obcy chwast, który należało wypłenić z całą bezwzględnością. Ciotka Elżbieta wystąpiła do boju; nie spotkała się z powojem, lecz z granitem, z ową warstwą nie do skruszenia, którą już znała z kilku utarczek poprzednich. Emilka zachowała się grzecznie i rozsądnie, przestała kupować papier za pieniądze, osiągnięte z jajek; ale oświadczyła ciotce Elżbiecie, że nie może zrezygnować z pisania powieści i pisywała je nadal na odwrocie listów handlowych, nadsyłanych przez firmy rolnicze na ręce kuzyna Jimmy.

— Czy nie wiesz, że źle jest pisać powieści? — spytała ciotka Elżbieta.

— Och, ja jeszcze nie pisuję powieści — odrzekła Emilka — nie mam dosyć papieru. Pisuję przeważnie krótkie opowiadania, lub nowelki. I to nie jest nic złego. Ojciec lubił powieści.

— Twój ojciec... — zaczęła ciotka Elżbieta i ur-



wała. Przypomniała sobie, że Emilka „wyprasza sobie” wszelkie ujemne wyrazy pod adresem swego ojca. Ale sam fakt, że musiała urwać w środku zdania, drażnił Elżbietę, która przez całe życie mówiła, co jej się podobało, wszędzie, a zwłaszcza w Srebrnym Nowiu.

— Nie będziesz już więcej pisywać tego rodzaju historii — rzekła ciotka Elżbieta gwałtownie. — Zabraniam ci, pamiętaj, zabraniam ci tej pisaniny.

— Ależ ja muszę pisać, ciotko Elżbieto — rzekła Emilka poważnie, składając swe smukłe, piękne ręce ponad stołem i patrząc prosto w twarz ciotki Elżbiety. Miała to stanowcze, mocne spojrzenie, które ciotka Ruth nazywała niedzięcikiem. — Widzisz, to jest *we mnie*. Nie mam na to rady. Ojciec kazał mi pisać wytrwale. Nie przestań nigdy pisywać, powiedział przed śmiercią. Przepowiadał, że czasem będę sławna. Czy nie chciałabyś mieć sławnej siostrzenicy, ciotko Elżbieto?

— Nie będę się wdawać w dyskusje na ten temat — odparła ciotka Elżbieta.

— To nie jest dyskusja, to jest wyjaśnienie. — Emilka była drażniąco uprzejma. — Pragnę tylko, żebyś zrozumiała, dlaczego ja *muszę* pisywać nowele, nawet wbrew twej woli, co mnie bardzo martwi.

— Jeżeli nie zaprzestaniesz tych niedorzeczności, Emilko, w takim razie...

Ciotka Elżbieta urwała znowu, bo nie wiedziała, co się stanie w takim razie. Emilka była za duża, aby się dać zastraszyć, albo dać się zamknąć w spiżarni. A zagrozić Emilce: „W takim razie wypowiem ci dom w Srebrnym Nowiu”, tego ciotka Elżbieta powiedzieć nie mogła. Nie byłaby bowiem *mogła* rozstać się z Emilką,

choć ta świadomość była dopiero w jej uczuciowości i nie przeniknęła jeszcze do jej umysłu. Czuła tylko, że jest bezsilna i to ją gniewało; Emilka zaś pozostała panią sytuacji i w dalszym ciągu pisywała nowele. Gdyby ciotka Elżbieta była zażądała, żeby Emilka przestała haftować, albo szydełkować, dziewczynka byłaby usłuchała, chociaż przepadała za temi zajęciami, ale zrezygnować z pisania!... nie! I dlaczego? Z równem powodzeniem mogłaby ciotka Elżbieta zażądać, od niej aby przestała oddychać. Dlaczegoż nie mogła jej zrozumieć? Emilce wydawało się to czemś tak prostem i naturalnem.

— Tadzio nie może nie rysować, a Ilza nie może nie deklamować, podobnie i ja nie mogę nie pisywać poezyj i nowel. Czy nie wnikasza w to, ciotko Elżbieto?

— Jedno wiem tylko, to mianowicie, że jesteś nie wdzięcznym i nieposłusznym dzieckiem — odrzekła ciotka Elżbieta.

To zabolalo strasznie Emilkę, ale nie mogła ustąpić. W dalszym ciągu trwały nieporozumienia i tarcia między nią a ciotką Elżbietą, zatruwające istnienie dziewczynki, tak wrażliwej na nastrój domowy i uczucia swego otoczenia. Emilka odczuwała niechęć na każdym kroku, z wyjątkiem tych chwil, kiedy zajęta była pisaniem swych nowel. Wówczas zapominała najzupełniej o całym świecie, udawała się w zaczarowaną krainę, zawieszoną pomiędzy słońcem a księżycem. Widziała tam cuda, które usiłowała oddać piórem, a potem schodziła do kuchni, gdzie migotała smutno świeczka łożowa i doznawała uczucia człowieka, nagle przeniesionego na ziemię z zaświatów.

Nawet ciotka Laura nie była jej podporą w tym

wypadku. Uważała, że w takim drobiazgu powinna Emilka ustąpić, aby zrobić przyjemność ciotce Elżbiecie.

— Ależ to nie jest drobiazg — rzekła Emilka z rozpaczą. — Jest to dla mnie najważniejsza rzecz na świecie, ciotko Lauro. Och, myślałam, że ty zrozumiesz!

— Rozumiem, że ty lubisz pisać, kochanie, i uważam to za nieszkodliwą rozrywkę. Ale Elżbiecie robi to przykrość, więc powinnaś jej ustąpić. To nie jest coś naprawdę istotnego, to jest rzeczywiście strata czasu.

— Nie, nie — rzekła Emilka, zmartwiona. — Zczasem będę pisywać prawdziwe książki, ciotko Lauro, i zarobię dużo pieniędzy — dodała, czując instynktownie, że materjaliści - Murayowie mierzą wielkość walorów możliwościami gotówkowemi.

Ciotka Laura uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Obawiam się, że na tej drodze nie dojdiesz nigdy do majątku, kochanie. Mądrzej byłoby przygotowywać się przez ten czas do jakiejś pożytecznej pracy.

To było niesłychanie drażniące, oszaleć można było! Można było oszaleć wobec tej słodyczy i tej głupoty, tak jest, głupoty ciotki Laury.

— Ach — myślała Emilka z goryczą — gdyby ten wydawca „Tygodnika” był wydrukował moje poezje, wszyscy uwierzyliby, że mam talent.

— W każdym razie — radziła ciotka Laura — ukrywaj się przed Elżbietą z tem, że piszesz.

A jednak Emilka nie mogła w danym wypadku usłuchać tej mądrej rady. W różnych okolicznościach

zawierała przymierze z ciotką Laurą dla obejścia surowych zasad ciotki Elżbiety. Ale teraz czuła, że to jest niemożliwe. *To* musiało być jawne, musiało *być*. Ona *musi* pisywać nowele, a ciotka Elżbieta *musi* o tem wiedzieć. Wszystko jedno, co nastąpi. Nie mogła być nieszczerą w stosunku do siebie samej, tu szło o rzeczy zasadnicze.

Napisała o tem wszystkim swemu ojcu, wylewając przed nim swą gorycz, swą rozpacz, przedstawiając mu swoje kłopoty. Nie domyślała się, że pisze do niego po raz ostatni. W starej otomanie nagromadził się teraz stos papierów, gdyż Emilka napisała do ojca dużo listów, nieprzytoczonych w niniejszem opowiadaniu. Było tam dużo ustępów, dotyczących ciotki Elżbiety, przeważnie dość ujemnie o niej świadczących. Gdy pierwsza gorycz mijała, byłaby Emilka nieraz pragnęła przekreślić te wyrazy, ostre i często niesłuszne, a prawie zawsze przesadnie surowe. W chwilach wielkiego napięcia opisywała zazwyczaj, wzruszenia, które szukały ujścia. To też pióro jej maczane było w truciznie. Emilka była mistrzynią stylu subtelnie złośliwego, kiedy chciała być dokuczliwą. Kiedy się tak wypisała, za każdym razem było jej lżej na duszy. Przystawała myśleć o swem zmartwieniu.

Pewnego poranka wiosennego znalazła ciotka Elżbieta wszystkie listy Emilki do ojca, sprzątając gruntownie cały dom. Usiadła i przeczytała listy, nie opuszczając ani literki.

Elżbieta Murray nigdyby nie była czytała listów, należących do osoby dorosłej. Ale nie przeszło jej przez myśl, że może być coś niewłaściwego w czytaniu tych listów, w których Emilka, samotna i tak często

nierozumiana, otwierała serduszko przed ojcem, tak gorąco ukochanym i kochającym ją za życia tak wyłączenie, tak mądrze. Ciotka Elżbieta uważała, że ma prawo znać wszystkie myśli, czyny i zamiary swej wychowanki. Przeczytała listy i dowiedziała się, jak na nią patrzy Emilka, na nią, Elżbietę Murray, bezwzględna autokratkę, której nikt nie śmiał nigdy powiedzieć ani jednego słowa niepochlebnego o niej samej. Takie doświadczenie jest równie gorzkie, gdy się ma lat 60, jak w wieku lat 16. Gdy Elżbieta Murray składała ostatni list, ręce jej drżały, drżały z gniewu, ale na dnie jej duszy był nietylko gniew, było jeszcze coś innego, mało jej znanego.

— Emilko, ciotka Elżbieta życzy sobie mówić z tobą, czeka w saloniku — rzekła ciotka Laura, gdy Emilka wróciła od pani Kent, gdzie bawiła się z Tadzkiem. Ton ciotki Laury, jej spojrzenie pełne wyrzutu, ostrzegały Emilkę, że dzieje się coś niepomyślnego. Emilce do głowy nie przyszło, co tu zachodzi, nie przypominała sobie, szukając najskrupulatniej, żadnego przewinienia popełnionego w ciągu ostatnich dni, któreby przytłaczało jej sumienie. Nie mogła się domyśleć, dlaczego jest wezwana przed trybunał ciotki Elżbiety. Bo dla przyczyn sobie tylko znanych odbywała ciotka Elżbieta wszelkie sądy nad bliźnimi w tym właśnie saloniku. Może instynktownie odczuwała, że wiszące dokoła portrety zmarłych Murrayów są jej tarczą i podporą moralną poniekąd, są jej sprzymierzeńcami. Z tej samej przyczyny niecierpiała Emilka tego saloniku. Czuła się tam zawsze, jak mała myszka, otoczona wielkimi kotami.

Emilka przebiegła przez hall i weszła do saloni-

ku. Ciotka Elżbieta siedziała wyprostowana na fotelu pradziadka Murraya. Emilka spojrzała najpierw na jej surową, zagniewaną twarz, a potem na jej rękę.

Zrozumiała.

W rękach ciotki Elżbiety ujrzała swe bezcenne listy. W gnieniu oka przyskoczyła do ciotki i wyrwała jej całą paczkę papierów. Następnie stanęła nieruchomo przed Elżbietą Murray i patrzyła jej prosto w oczy z wyrazem oburzenia i urazy. Popełnione zostało świętokradztwo, sprofanowano najtajniejsze sanktuarjum jej duszy.

— Jak śmiesz? — zawołała — jak śmiesz dotykać moich prywatnych papierów, ciotko Elżbieto?

Ciotka Elżbieta nie była przygotowana *na to*. Spodziewała się skruchy, zawstydzenia, trwogi, wszystkiego wreszcie, tylko nie tego oburzenia, jakgdyby ona, oskarżająca, była winowajczynią. Wstała z fotela.

— Oddaj mi te listy, Emilko.

— Nie, nie oddam — rzekła Emilka, blada z gniewu i przycisnęła papiery do piersi. — To jest własność moja i ojca, nie twoja. Nie masz do nich prawa. Nigdy ci nie przebaczę!

Ciotka Elżbieta była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co mówić, co począć. Co najgorsza, pod wpływem tego gwałtownego oskarżenia, pełnego powagi i mocy, zaczynała wątpić o słuszności swego postępowania. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło się Elżbiecie Murray, że zastanowiła się nad samą sobą i zadała sobie pytanie, czy nie *blądzi*. Po raz pierwszy w życiu zawstydziła się. Ten wstyd przypawił ją o istną wściekłość. Nieznośną była ta sytuacja, w której ona zmuszona była się wstydzić.

Przez chwilę patrzyły na siebie wzajemnie nie jak ciotka i siostrzenica, nie jak dziecko i dorosła, lecz jak dwie istoty ludzkie, przepełnione nienawiścią jedna dla drugiej: Elżbieta Murray, wysoka i ponura, o wąskich, zaciśniętych ustach; Emilka Starr, blada z gorejącymi oczami, z drżącymi ramionami, tułąciami do piersi cenne listy.

— Więc to jest twoja wdzięczność — rzekła ciotka Elżbieta. — Byłaś sierotą bez grosza... ja wzięłam cię do mego domu... dałam ci dach nad głową i utrzymanie, wychowanie i dobroć... a oto mam podziękowanie.

Gniew i uraza znieczuliły Emilkę na upokorzenie zawarte w tych słowach ciotki.

— Nie byłaś zmuszona wziąć mnie do siebie — odrzekła. — Kazałaś mi ciągnąć losy i wzięłaś mnie dla tego, że los padł na ciebie. Wiedziałaś, że ktoś musi mnie przygarnąć, bo jesteście dumnymi Murrayami i nie możecie umieścić waszej krewnej w przytułku. Ciotka Laura pokochała mnie, ale ty mnie nie kochasz. Dlaczegoż więc miałabym cię kochać?

— Niewdzięczne, niedobre dziecko!

— Nie jestem niewdzięczna. Usiłowałam być dobrą... Usiłowałam być posłuszną i zaskarbić sobie twoje względy, dokładałam wszelkich starań, aby być pożyteczną i tem samem płacić za moje utrzymanie. A ty nie masz prawa, ani powodu czytać moich listów do Ojca.

— To są kompromitujące listy i muszą zostać zniszczone — rzekła ciotka Elżbieta.

— Nie — Emilka przycisnęła je mocniej do ło-

na. — Raczej spalę siebie samą. Nie dostaniesz ich, ciotko Elżbieto.

Sciągnęła brwi mocno, czuła w swej twarzy Murrayowskie spojrzenie, wiedziała, że zwycięży.

Elżbieta Murray była coraz bledsza, o ile to było jeszcze możliwe. To spojrzenie druzgotało jej wolę. Drżała... wiała się... ustąpiła.

— Zatrzymaj twe listy — rzekła z goryczą — i lżyj w nich nadal starą kobietę, która ci otworzyła drzwi swego domu.

Wyszła z saloniku. Emilka była panią sytuacji. W jednej chwili zwycięstwo zamieniło się w sromotną porażkę w jej odczuciu.

Poszła do swego pokoju, ukryła listy w szafie, poczem rzuciła się na łóżko, wtuliła twarz w poduszkę. Jeszcze nurtowało w niej upokorzenie, ale już świeża była inna bolesna świadomość.

Coś w niej cierpiało, bo ona zadała cierpienie ciotce Elżbiecie, bo pewna była, że ciotka Elżbieta cierpi. To dziwiło Emilkę. Byłaby raczej przypuszczała, że ciotka Elżbieta potrafi być oburzoną, zagniewaną, posępną, ale nie zmartwioną z przyczyn uczuciowych.

— Och, och! — jęczała Emilka. Łkała coraz głośniej, tłumiąc to łkanie instynktownie, wciskając twarz w poduszkę. Tak była zrozpaczona, że nawet nie analizowała własnych uczuć i nie rozkoszowała się dramatycznością swego przeżycia, co u Emilki było dowodem strasznego cierpienia. Ciotka Elżbieta nie zatrzyma jej w Srebrnym Nowiu po takiej burzliwej rozmowie, jak dzisiejsza. Każe jej stąd odjechać. Emilka była o tem przeświadczona. Jak ona wyżyje



bez Srebrnego Nowiu? Zdala od ukochanego domku, od ciotki Laury, od przyjaciół?

— A może mi przyjdzie żyć lat 80 — jęknęła Emilka.

Ale najgorsze było uprzytomnienie sobie tego spojrzenia ciotki Elżbiety.

Uczucie doznanej zniewagi, świętokradztwa popełnionego na jej własności, ustępowało na drugi plan, gdy myślała o tem spojrzeniu. Rozmyślała o swych ujemnych sądach o ciotce Elżbiecie; były to uwagi ostre, nieżyczliwe, pełne goryczy, czasami niesprawiedliwe. Czuła, że nie powinna była tego pisać. Prawdą było, że ciotka Elżbieta jej nie kochała, że niechętnie wzięła ją do Srebrnego Nowiu. Ale ją wzięła; uczyniła to z obowiązku, nie z uczucia, ale fakt pozostawał faktem. Nic nie pomogło powtarzać sobie, że przecież listy nie były pisane do osoby żyjącej, a zatem nie miały charakteru obmowy, nikt ich nie czytał wszakże. Dopóki była pod dachem ciotki Elżbiety, dopóki zawdzięczała jej żywność i odzież, którą nosiła, nie wolno było Emilce mówić źle o ciotce, nawet do ojca! Córka Starra nie powinna była tego uczynić.

— Muszę iść i poprosić ciotkę Elżbietę, żeby mi przebaczyła — pomyślała Emilka. Wszelka uraza znikła z jej duszy, pozostał tylko żal i skrucha. — Zapewne mi nie przebaczy nigdy, zawsze mnie będzie nienawidzić. Ale muszę iść.

Odrzuciła się. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanęła na progu ciotka Elżbieta. Przeszła przez pokój i zbliżyła się do łóżka. Tu zatrzymała się i patrzyła na tę twarzyczkę zalaną łzami, która

w półmroku wydawała się teraz dziwnie dojrzała, jakby wyrzeźbiona.

Elżbieta Murray była zimna i ponura. Głos jej brzmiał głucho, ale z ust jej padły zdumiewające wyrazy:

— Emilko, nie miałam prawa czytać twych listów. Przyznaję, że to było niewłaściwe. Czy mi przebaczysz?

— Och! — Był to nieomal głośny krzyk. Ciotka Elżbieta znalazła wreszcie drogę do zdobycia Emilki. Dziewczynka zeskoczyła z łóżka, objęła ramionami szyję ciotki Elżbiety i rzekła urywanym głosem:

— Och, ciotko Elżbieto... żałuję... tak bardzo żałuję... Nie powinnam była pisać tego wszystkiego, ale pisałam tak o tobie, gdy byłam podrażniona, strapiiona... i nie wszystko myślałam naprawdę... tego, co najgorsze z pewnością nie myślałam. Czy mi wierzysz, ciotko Elżbieto?

— Chcę w to wierzyć, Emilko. — Dreszcz przeszył wysoką, sztywną postać. Ciężką mi jest myśl, że ty mnie nienawidzisz, ty, dziecko mojej siostry, dziecko naszej Juleczki...

— Och, nie mów... nie mów tego... — szlochała Emilka. — Ja cię *poko*cham, ciotko Elżbieto, o ile pozwolisz... o ile tego *chcesz*. Mnie się zdawało, że nie dbasz o to. *Droga* ciotko Elżbieto!

Emilka przytuliła się mocno do ciotki i ucałowała gorąco blady, lekko pomarszczony policzek. Ciotka Elżbieta złożyła na jej czole pocałunek niemal uroczysty i rzekła, jakby zamykając ostatecznie cały ten rozdział:

— Umyj twarz i zejdź na kolację.

Ale jeszcze coś winno być wyjaśnione.

— Ciotko Elżbieto — szepnęła Emilka. — Nie mogę spalić tych listów, one należą do ojca, wiesz? Ale powiem ci, co zrobię. Przejrzę je dokładnie, umieszczę gwiazdkę przy każdym spostrzeżeniu, ciebie dotyczącem i dodam na dole stronicy notatkę, tłumacząc twoje pobudki, lub zaznaczając, że się omyliłam.

Emilka spędziła dużo czasu, pochylona nad listami do ojca i zaopatrzyła w odnośne notatki wszystkie ustępy, poświęcone osobie ciotki Elżbiety. Ale gdy zasiadła do pisania nowego listu, spostrzegła, że już nie może pisywać do ojca. Znikło mianowicie poczucie bliskości zmarłego, poczucie rzeczywistości, kontaktu. Może już wyrosła z tych błogich złudzeń. Może dzieciństwo przechodziło stopniowo w wiek dziewczęcy, może gorzka scena z ciotką Elżbietą wstrząsnęła nią tak dalece, że odszedł od niej na zawsze ów duch wiary, podtrzymujący jej wątłą duszyczkę dziecięcą aż do chwili wzbogacenia jej nowemi wartościami. Faktem jest, że nie mogła już nadal pisywać listów do ojca. Brakowały jej strasznie, a jednak nie mogła wrócić do nich.

Zatrzasnęły się przed nią wrota, których nie można otworzyć ponownie.

### 30.

#### KIEDY KURTYNA SIĘ PODNIOŚŁA.

Przyjemnie byłoby móc stwierdzić, że po tym akcie zgody, Emilka i ciotka Elżbieta żyły w zgodzie i wielkiej przyjaźni. Lecz prawdą jest, niestety, że stosun-

ki pozostały niezmienione. Emilka zachowywała wprawdzie pozory uległości, ale starała się głównie robić postępy w naukach i w pisaniu poezji i prozy, a punkty widzenia ciotki i siostrzenicy były nadal tak rozbieżne, że zupełne i trwałe porozumienie było całkiem nieosiągalne. Nie mówiły tym samym językiem.

A jednak była pewna różnica, aczkolwiek niewidoczna, znaczna różnica! Elżbieta Murray nauczyła się czegoś wielce doniosłego, a mianowicie, że niema dwojakich praw, innych dla dorosłych, innych dla dzieci. Była w dalszym ciągu despotką, ale już nie mówiła do Emilki takich rzeczy, których nie byłaby powiedziała do Laury w analogicznej sytuacji.

Emilka ze swej strony odkryła fakt, iż ciotka Elżbieta pod pozornym chłodem i surowością, kryje szczere uczucie dla swej siostrzeniczki; i to stanowiło najistotniejszą różnicę w ich stosunkach wewnętrznych. To usunęło żądło ze słów ciotki Elżbiety, nawet gdy słowa te bywały przykre i niesprawiedliwe.

— Zdaje mi się, że już nie jestem dla ciotki Elżbiety wcieleniem jej obowiązku — myślała dziewczynka z radością.

Tego lata urosła Emilka i dojrzała duchowo i umysłowo. Życie było cudne, z każdym dniem bogatsze, jak rozkwitająca róża. Piękno pod najrozmaitszymi postaciami zaludniało jej wyobraźnię, przelewane na papier w najlepszej formie, na jaką ją stać było. Ale nigdy nie mogła znaleźć formy idealnej, wciąż była niezadowolona z siebie. Emilka przecierpiała teraz mękę prawdziwego artysty, który „nigdy nie zdoła oddać swą paletą, uroku swego marzenia, swego snu”.

Spaliła dużo dawnych utworów. Nawet „Dziecię Morza” wydane zostało na pastwę płomieniom. Mimo to stos rękopisów w szafie powiększał się z każdym tygodniem. Szafa służyła teraz na biurko, którem dawniej była otomana na strychu. Wnętrze otomany uległo profanacji. Poza tem wszystko jej jedno było, gdzie teraz trzyma swoje „prywatne papiery”, bo wiedziała, że ciotka Elżbieta już nie popełni niedyskrecji. Emilka nie chodziła już na strych, aby tam śnić na jawie, czy też pisać wiersze. Jej własny pokój był najodpowiedniejszym miejscem dla niej. Kochała z całej duszy ten zaciszny pokoik; był on dla niej czemś żywym, dzielił jej radości, pocieszał ją w smutku.

Ilza również urosła. Wyrastała na oryginalną, świetną piękność, nie uznającą żadnych praw, oprócz własnej przyjemności, nie znoszącą innego autorytetu, jak własny kaprys. Ciotka Laura troszczyła się o nią.

— Niebawem Ilza będzie kobietą, a któż będzie jej pilnował, dbał o nią? Allan z pewnością nie.

— Nie mam cierpliwości do Allana — rzekła ciotka Elżbieta niechętnie. — Zawsze jest gotów do wspomagania innych radą i opieką. Lepiejby pilnował własnego domu. Przychodzi tutaj i zaleca mi to i tamto, zabrania mi owego, nakazuje jeszcze coś innego, gdy chodzi o Emilkę; a skoro tylko wspomnę mu o Ilzie, ucieka, nie chce służyć. Strach pomyśleć, że istnieje człowiek, który przelewa urazę z żony na córkę i tak zaniedbuje swoje dziecko, jak on Ilzę, dlatego jedynie, że jej matka nie była taką, jak być powinna. Cóż to biedne dziecko zawiniło?

— Pst... — szepnęła Laura, gdyż Emilka przechodziła przez pokój.

Emilka uśmiechnęła się smutno. Ciotka Laura nie potrzebowała robić: „pst”. Ona już się nie dowiedzieć nowego o matce Ilzy. Chyba, że odkryje to, czego nikt nie wie. Bo dla Emilki nie ulegało w dalszym ciągu wątpliwości, że nieznaną jest cała prawda o losach i pobudkach działania Beatryczy Burnley. Nieraz nad tem rozmyślała, leżąc w łóżku w nocy, wsłuchana w szum i śpiew Królowej Wichrów. Sen nie nadchodzi, Emilka nie miała spokoju, gdyż łała sobie głowę nad tą tajemnicą, usiłując rozwiązać ową zagadkę wstydu i goryczy.

Emilka weszła powoli do swego pokoju. Zamierzała pisać dalszy ciąg noweli pod tytułem „Upiór Studni”, gdzie odtwarzała starą legendę o braciach Lee. Ale roztargniona była dzisiaj. Włożyła rękopis zpowrotem do szafy i przeczytała powtórnie list od Deana Priesta. Otrzymała to pismo tego dnia. Było ono, jak zwykle, miłe, serdeczne, mądre, rozkoszne w czytaniu. Oznajmiał jej, że przyjeżdża na cały miesiąc do Czarnowody, do swej siostry. Zastanawiała się, dlaczego ta zapowiedź nie poruszyła jej bardziej. Była zmęczona, głowa ją bolała. Emilka nie pamiętała, żeby ją kiedykolwiek bolała głowa. Ponieważ nie mogła pisać, więc postanowiła położyć się i być przez chwilę „Lady Trevanion”. Emilka bywała tego lata nader często „Lady Trevanion” w owych inscenizowanych marzeniach, w których tak celowała. Lady Trevanion była żoną ziemianina angielskiego, słynną powieściopisarką, a przytem członkiem brytyjskiej Izby Gmin, gdzie stale się zjawiała w sukni z czarne-

go welwetu z djademem na ciemnych włosach. Była jedyną kobietą w Izbie, a ponieważ działo się to przed epoką sufrażystek, znosiła liczne zniewagi ze strony nieszlachetnych i nierycerskich mężczyzn, zgromadzonych dokoła niej w Izbie. Ulubioną sceną Emilki było powstanie z miejsca lady Trevanion, która chciała wypowiedzieć swą pierwszą mowę, co było sensacją nielada. Bezczelny mówca, który sprowokował lady Trevanion, szydził z niej teraz, jako z *kobiety*, a lady Trevanion, wspaniała w swej czarnej welwetowej sukni i w swym djademie z pereł, odpowiadała wśród grobowego, dramatycznego milczenia:

„Nie będę usiłowała złagodzić, ani negocjować okropnej zbrodni, jaką mi zarzucił szanowny przedmówca, tej mianowicie, że jestem kobietą: poprzestanę na życzeniu, aby jak najwięcej stanęło na tem miejscu kobiet rozumnych i pożytecznych, a jak najmniej takich mężczyzn, którzy są ignorantami mimo swą *męskość* i swe doświadczenie.”

(Tu przerywały jej stale grzmiące oklaski).

Ale dzisiaj nie przenikała do niej wielkość tej sceny. Emilka doszedłszy do zdania: „Lecz *kobiecość*, panie, nie jest jedynym moim występkiem”... — z nie smakiem dała za wygraną. Zaczęła znów rozmyślać o matce Ilzy, przyczem plątała tamto zdarzenie z fikcyjnymi wypadkami swego „Upiora Studni” i odczuwała równoległe niemile sensacje fizyczne.

Oczy ją paliły. Drżała z zimna, chociaż był to upalny dzień lipcowy. Leżała jeszcze na łóżku, gdy weszła ciotka Elżbieta z zapytaniem, dlaczego Emilka nie poszła po krowy na pastwisko.

— Nie... nie wiedziałam, że już jest tak późno...  
— rzekła Emilka, zmieszana. — Mnie... głowa mnie boli, ciotko Elżbieto.

Ciotka Elżbieta wciągnęła roletę i przyjrzała się Emilce. Zauważyła jej zaczerwienione policzki, wzięła ją za puls, poczem rozkazała jej pozostać na miejscu i posłała Perry'ego po doktora Burnley'a.

— Prawdopodobnie ma odrę — rzekł doktor w swój zwykły, szorstki sposób. — Panuje dość silna epidemja w Gęsim Stawie. Czy miała sposobność zarażenia się?

— Dzieci Jimmy Joe Belle'a były tu dziesięć dni temu po południu. Emilka bawiła się z niemi, ona zawsze łączy się z ludmi, z którymi nie ma nic wspólnego. Nie słyszałam nic o epidemji.

Jimmy Joe Belle, zapytany, przyznał się, że jego „najmłodszy” dostał odry nazajutrz po swej bytności w Srebrnym Nowiu. Nie było już żadnej wątpliwości co do choroby Emilki.

— Jest to złośliwa odra, mam wrażenie — rzekł doktor. — W Gęsim Stawie dużo było wypadków śmiertelnych. Ale przypuszczam, że niema powodów do obawy o Emilkę. Musi tylko leżeć w łóżku, w ciepłe, a w pokoju niech będzie ciemno. Przyjdę do niej jutro zrana.

Przez trzy dni nikt się nie trwożył. Odra jest chorobą, którą „przechodzą” wszystkie dzieci. Ciotka Elżbieta doglądała Emilki i sypiała na sofie, którą kazała przenieść do pokoju dziewczynki. Mimo to, a może właśnie dlatego, jak mniemała ciotka Elżbieta, była Emilka coraz bardziej chora, a piątego dnia nastąpiło wyraźne pogorszenie. Gorączka się wzmagiała,



dziecko majaczyło. Doktor Burnley przyszedł, był zaniepokojony, piorunował bez przyczyny, zapisał inne lekarstwa.

— Muszę jechać do Charlottetown, dokąd zostałem wezwany do ciężko chorego na zapalenie płuc — rzekł — wracam wieczorem. Emilka jest bardzo niespokojna. Widocznie reaguje silnie na gorączkę. Co to za niedorzeczności ona plecie o jakiejś Królowej Wichrów?

— Czy ja wiem — odrzekła ciotka Elżbieta z troskana — ona zawsze tak plecie, nawet, gdy jest najzdrowsza. Allanie, powiedz mi, proszę, czy niema niebezpieczeństwa?

— Niebezpieczeństwo zawsze jest możliwe przy tego rodzaju odrze. Nie lubię tych objawów, wysypka powinna być już widoczna, a tymczasem niema śladu plam na ciele. Gorączka jest bardzo wysoka... ale nie trwóźmy się jeszcze. Gdybym uważał, że Emilka jest zagrożona poważnymi komplikacjami, nie jechałbym do miasta. Oszczędzaj jej wszelkich wzruszeń, staraj się zaspakajać wszystkie jej kaprysy, nie podoba mi się to majaczenie. Ona robi wrażenie strasznie wstrząśniętej, przygnębionej; czy miała jakiś ciężar na sercu w ostatnich czasach?

— Nie wiem o niczem podobnem — odrzekła ciotka Elżbieta. Nagle pojęła z goryczą, że przecież ona niewiele wie o duszy tego dziecka. Emilka nigdy by nie przyszła do niej ze zwierzeniami.

— Emilko, co cię dręczy? — spytał doktor Burnley łagodnie, bardzo łagodnie. Ujął delikatnie drżąca, wilgotną rączkę.

Emilka spojrzała na niego, dzikiemi, zgorączkowanemi oczyma.

— Ona tego nie mogła uczynić... nie mogła tego uczynić.

— Naturalnie, że nie mogła — odrzekł doktor niedbale. — Nie martw się... ona tego nie zrobiła.

Oczami telegrafował do Elżbiety „Co to znaczy?“, ale Elżbieta potrząsnęła głową na znak nieświadomości.

— O kim mówisz, kochanie? — spytała. Po raz pierwszy nazwała Emilkę „kochaniem”.

Ale Emilka już myślała o czem innym. — Studnia braci Lee jest otwarta, oświadczyła. Napewno ktoś tam wpadnie. Dlaczego jej pan Lee nie zamyka? Doktor Burnley pozostawił Emilkę z Elżbietą, która usiłowała ją uspokoić co do tego przynajmniej i pojechał do Białego Krzyża.

Na progu spotkał Perry'ego.

— Jak się miewa Emilka? — spytał chłopiec, chwytając biegnącego doktora za rękaw.

— Nie nudź mnie, śpieszę się — odburknął lekarz.

— Powie mi pan, jak się ma Emilka, albo się uwieszę u pańskiego ubrania, tak, że strzępy z niego zostaną — odrzekł Perry z uporem. — Z tych starych panien nie mogę wydobyć jednego porządnego słowa. Pan musi mi powiedzieć...

— Emilka jest chora, ale nie sędzę, aby były narażone powody do obaw — odrzekł doktor i uwolnił się z rąk chłopca.

— Musi ją pan wyleczyć. Jeżeli jej się coś stanie, to ja rzucę się do jeziora, niech pan wie o tem — rzekł Perry.

Całą noc przesiedział z zaciśniętymi pięściami, jakby czuwając nad Emilką zdaleka, strzegąc jej od niewidzialnego niebezpieczeństwa.

Elżbieta Murray pielęgnowała Emilkę do godziny drugiej w nocy, poczem miejsce jej zajęła Laura.

— Uspokoila się troszkę — rzekła ciotka Elżbieta. — Chciałabym wiedzieć, co ją nurtuje; coś jej jest, to pewne. To nie jest zwykle majaczenie. Powtarza żalonym, błagalnym tonem: „Ona nie mogła tego uczynić, nie mogła, to niemożliwe”. Ciekawa jestem, co to być może... ach, Lauro, pamiętasz ten dzień, kiedy przeczytałam jej listy? Jak sądzisz, może ona mnie ma na myśli...?

Laura potrząsnęła głową. Nigdy jeszcze nie widziała Elżbiety tak wzruszonej.

— Jeżeli to dziecko nie wyzdrowieje... — rzekła ciotka Elżbieta. Nie dodała nic więcej, wyszła z pokoju.

Laura usiadła przy łóżku. Była blada, gdyż nie sypiała już od trzech nocy. Kochała Emilkę jak własne dziecko i okropny strach nie opuszczał jej ani na chwilę. Siedziała i modliła się w milczeniu. Emilka zapadła w niespokojny sen, który trwał do świtu. — Otworzyła nagle oczy i spojrzała na ciotkę Laurę.

— Widzę ją, idzie przez pola — rzekła donośnym jasnym głosem. — Idzie, uradowana, myśli o swym dzidziusiu... och, zatrzymajcie ją, zatrzymajcie ją... ona nie widzi studni... tak jest ciemno... och, ona wpadnie... wpadła!

Mowa Emilki przeszła pod koniec zdania w ostry krzyk, który doszedł uszu ciotki Elżbiety. Nieszczęśli-

wa kobieta zerwała się i przybiegła, zdyszana, w swoim flanelowym szlafroku.

— Co się stało, Lauro? — wyjąkała.

Laura usiłowała ułożyć Emilkę na poduszkach, uspokoić. Dziecko walczyło z nią, policzki miała rozpalone, wejrzenie — dzikie, pełne przerażenia.

— Emilko, Emileczko, kochanie, miałś przykry sen. Studnia starego Lee jest zabita deskami, nikt do niej nie wpadł.

— Owszem, ktoś wpadł — rzekła Emilka stanowczo. — Ona wpadła... widziałam ją... widziałam... z asem kier na czole. Czy myślicie, że jej nie znam?

Opadła znów na poduszki, jęknęła i załamała ręce. Obie panie popatrzały na siebie, bezradne i przerażone.

— Kogo widziałas, Emilko? — spytała ciotka Elżbieta

— Matkę Ilzy, rzecz jasna. Zawsze wiedziałam, że ona nie popełniła tej strasznej rzeczy. Wpadła do starej studni, jest tam jeszcze. Idź i wydobądź ją stamtąd, ciotko Lauro, proszę!

— Tak, tak... naturalnie, że pójde, kochanie — odrzekła ciotka Laura uspokajająco.

Emilka usiadła na łóżku i popatrzała na ciotkę Laurę. Laura Murray czuła, że te rozpalone oczy czytają w jej duszy.

— Kłamiesz — krzyknęła Emilka. — Nie będziesz próbowała wydobyć ją stamtąd. Mówisz tak tylko, abym się uspokoiła. Ciotko Elżbieto — zwróciła się nagle do starszej ciotki i chwyciła ją za rękę, — ty uczynisz to dla mnie, prawda? Pójdiesz i wydobędziesz ją stamtąd.

Elżbieta przypomniała sobie, co mówił doktor Burnley o oszczędzaniu Emilki. Prerażona była wyglądem dziecka.

— Dobrze, wydobędziemy ją, o ile ona tam się znajduje naprawdę — rzekła.

Emilka znów opadła na poduszki. Wielki spokój zajaśniał nagle na jej udręczonej twarzyczce.

— Wiem, że dotrzymasz słowa — rzekła. — Ty jesteś bardzo twarda, ale nigdy nie kłamiesz, ciotko Elżbieto.

Elżbieta Murray poszła do swego pokoju i ubrała się drżącymi rękami. Nieco później, gdy Emilka usnęła spokojnie, Laura zeszła na dół i usłyszała rozkazy, wydawane przez Elżbietę Jimmy'emu.

— Elżbieto, nie zamierzasz chyba przeszukiwać tej starej studni?

— Owszem — odrzekła Elżbieta stanowczo. — Wiem, że to jest nedorzecznosc, ale przyrzekłam i muszę dotrzymać przyrzeczenia. Słyszałaś, co ona powiedziała, wierzy, że ja jej nie oszukam. Nie zawiedzie się na mnie. Jimmy, pójdiesz po śniadaniu do James'a Lee i poprosisz go, żeby przyszedł do mnie.

— W jaki sposób ona się dowiedziała o tej historii? — spytała Laura.

— Nie mam pojęcia. Chyba od tej starej djablicy, Nancy Priest. Mniejsza o to, od kogo. To niewielki trud spuścić drabiny do studni i przeszukać wewnątrz. Jest to tylko wielka nedorzecznosc.

— Będą się z nas wyśmiewali — protestowała Laura, której duma Murrayowska była wystawiona

na ciężką próbę. — A przytem to wskrzesi na nowo cały skandal.

— Trudno. Ja dotrzymam słowa, danego dziecku — odrzekła z uporem Elżbieta Murray.

Allan Burnley przybył do Srebrnego Nowiu o zachodzie słońca, wracając z miasta. Był zmęczony, gdyż od tygodnia pracował dniem i nocą. O Emilce bał się więcej, niż chciał okazać. Wyglądał staro i smutno.

W kuchni w Srebrnym Nowiu zastał tylko Jimmy'ego. Ten siedział beczynn timer przy oknie i miał dziwny wyraz twarzy.

— Hallo, Jimmy, gdzie są panny? Jak się miewa Emilka?

— Emilka miewa się lepiej — rzekł kuzyn Jimmy. — Przestała majaczyć i temperatura spadła. Zdaje się, że śpi.

— Dobrze! Nie bylibyśmy mogli przeżyć straty tej dziewczuszki, prawda, Jimmy?

— Nie — odrzekł Jimmy, ale znać było, że nie ma ochoty o tem mówić. — Laura i Elżbieta siedzą w saloniku. Chcą się z tobą widzieć. — Milczał przez chwilę, poczem dodał: — Nic się nie ukryje, prawda zawsze się wkońcu ujawni.

Allan Burnley uważał, że Jimmy jest wielce tajemniczy. A dlaczegóż Elżbieta i Laura nie wyszły mu naprzeciw, skoro mają z nim do pomówienia? Nie bywały zazwyczaj takie ceremonjalne. Niecierpliwie nacisnął kłamkę drzwi, prowadzących do saloniku.

Laura Murray siedziała na sofie, głowę miała opartą na ręce. Twarzy jej nie widział, ale czuł, że płakała. Elżbieta siedziała wyprostowana na krześle. Miała na sobie swoją drugą co do wartości i elegancji suknię z czarnego jedwabiu i takąż zarzutkę koronkową. Ona również miała łzy w oczach. Doktor Burnley nie przywiązywał wielkiej wagi do łez Laury, skłonnej do płaczu, jak większość kobiet, ale to, że Elżbieta Murray płakała... czy widział ktokolwiek jej łzy dotychczas?

Przemknęła mu przez głowę myśl o Ilzie, o jego zaniedbanej córeczce. Czy Ilzie się coś stało? W tej okropnej chwili zapłacił Allan Burnley za cały swój dotychczasowy sposób odnoszenia się do swego dziecka.

— Co się stało? — wybuchnął szorstko, po swojemu.

— Och, Allanie — rzekła Elżbieta Murray — niech nam Bóg odpuści!

— Więc... to... Ilza... — rzekł dr. Burnley głucho.

— Nie, nie... nie Ilza.

I opowiedziała mu, co znaleziono na dnie studni starego Lee, opowiedziała mu, jaki los spotkał w istocie uroczą, uśmiechniętą młodą kobietę, której imienia w ciągu 12 lat nikt nie usłyszał z jego ust.

Dopiero nazajutrz wieczorem ujrzała Emilka doktora. Leżała w łóżku, osłabiona, mizerna, pocentkowana na czerwono przez wysypkę, ale już przytomna i normalna. Allan Burnley stanął przy łóżku i przyjrzał jej się.

— Emilka, drogie dziecię, czy wiesz, co uczyniłaś dla mnie? Bóg jeden wie, *jak* to uczyniłaś.

— Myślałam, że pan nie wierzy w Boga — rzekła Emilka, zdziwiona.

— Ty mi powróciłaś wiarę w Niego, Emilko.

— Dlaczego, cóż ja zrobiłam?

Doktor Burnley zrozumiał, że ona nie pamięta swych majaczeń. Laura powiedziała mu, że dziewczynka spała długo i głęboko po uzyskaniu przyrzeczenia ciotki Elżbiety i obudziła się bez gorączki, przyczem wysypka szybko występowała. Nie pytała się o nic i nic nie powiedziała.

— Gdy będzie ci lepiej, wszystko ci opowiemy — rzekł doktor, uśmiechając się do dziewczynki. W uśmiechu tym było coś bardzo rzewnego, coś niemal słodkiego.

— Uśmiecha się teraz oczami, nietylko ustami — pomyślała Emilka.

— Skąd ona wiedziała?... — szeptała Laura Murray, gdy schodzili po schodach. — Ja tego nie rozumiem, Allanie.

— Ani ja. To są zjawiska ponadzmysłowe Laura — odrzekł poważnie. — Wiem tylko to, że to dziecko zwróciło mi moją Beatrycę, czystą i ukochaną. Można to chyba tak tylko wytłumaczyć: Emilce najwidoczniej opowiedziano o Beatryczy i to ją dręczyło, stąd owo ciągle: „Ona nie mogła tego uczynić”. A historie starego Lee wywarły na niej, rzecz jasna, głębokie wrażenie, gdyż jest to wrażliwe i uczuciowe dziecko, wiecznie czyhające na momenty dramatyczne w życiu ludzkim. W czasie swego majaczenia poplątała ten fakt z opowiadaniem Jimmy'e-



go o studni w Srebrnym Nowiu, a reszta jest zbiegiem okoliczności. Takbym to sobie był skłonny tłumaczyć, biorąc na rozum, ale teraz, Lauro, mówię tylko pokornie: „Niechaj ich poprowadzi małe dziecko”.

— Matka naszej macochy była Szkotką, góralką. Podobno była obdarzona szóstym zmysłem — rzekła Elżbieta. — Dotychczas nigdy w to nie wierzyłam.

Umysły w Srebrnym Nowiu uspokoiły się już znacznie, gdy Emilka odzyskała dosyć sił, aby móc usłyszeć tę historję. Szczątki, znalezione na dnie studni zostały pochowane na cmentarzu w Shrewsbury w grobie Mitchellów, a na płycie kamiennej wyryto napis: „Poświęcone pamięci Beatryczy Burnley, ukochanej żony Allana Burnleya”. Sensację wywoływała obecność doktora Burnleya w kościele każdej niedzieli. Kiedy Emilka mogła już siedzieć poza łóżkiem, ciotka Laura opowiedziała jej wszystko.

— Wiedziałam, że matka Ilzy nie mogła tego uczynić — rzekła Emilka z triumfem.

— Czynimy sobie teraz wyrzuty za nasz brak wiary — rzekła ciotka Laura. — Powinnyśmy były również *wiedzieć*, ale to wydawało się takie oczywiste! Ona była pogodną, piękną, wesołą istotą, uważaliśmy jej przyjaźń z kuzynem za całkiem naturalną. Teraz wiem, że tak też i było, ale przez te lata, które upłynęły od jej zniknięcia, mniemaliśmy inaczej. Pan James Lee przypomina sobie dokładnie, że studnia była otwarta owej nocy, kiedy zniknęła Beatrycze. Jego fornał wziął tego wieczora stare deski, chcąc je zastąpić nowemi. Wtem dom sąsiedni zaczął się palić, wszyscy pobiegli z pomocą. Zrobiło się zbyt ciemno,

aby dokończyć roboty koło studni i ów człowiek pozostawił ją niezamkniętą aż do rana. Pan Lee rozgniewał się nazajutrz, powiedział mu, że to skandal, żeby tak pozostawić studnię na noc. Sam zabił ją nowymi deskami. Nie zajrzał na dno, zresztą nicby nie był zobaczył. Taka głębia! Nikt nie wiedział o tem i nikt nie skojarzył daty zniknięcia Beatryczy z datą pozostawienia studni otworem przez całą noc. Natomiast rozpuszczono złośliwe plotki, jakoby Beatrycze napewno pojechała z kuzynem na pokładzie statku „Biała Pani”. Utrzymywano, że poszła go odprowadzić i nigdy nie powróciła. Ona zaś wróciła i znalazła śmierć w studni. Okropny to koniec młodego, pięknego życia, ale było to mniej straszne, niż to, co przypuszczano. Przez 12 lat krzywdziliśmy pamięć zmarłej. Ale... Emilko... skąd wiedziałas?

— Nie wiem. Zdaje mi się teraz... że mi się śniło... że widziałam... matkę Ilzy, idącą przez pola z piosenką na ustach. Było ciemno: a ja widziałam asa kier... ach, cioteczko, nie wiem... wolę nie myśleć o tem, sama nie wiem dlaczego.

— Nie będziemy o tem mówiły ponownie — rzekła Laura łagodnie. — O tajemnicach Bożych lepiej nie mówić.

— A Ilza... czy jej ojciec kocha ją teraz? — spytała Emilka z żywością.

— Czy ją kocha! Nie wie, czem jej okazać swoje ubóstwienie. Jest to jakby wybuch miłości ojcowskiej za całe lat 12 obojętności i zaniechywania.

— Psuje ją teraz nadmiarem pobłażliwości tak, jak dawniej psuł ją brakiem dozoru — rzekła Elżbieta, wchodząc z kolacją Emilki i słysząc ostatnie słowa.

— Trzeba będzie dużo, bardzo dużo miłości, aby zepsuć Ilzę — zaśmiała się ciotka Laura. — Ona wchłania dowody uczucia, jak gąbka. I ona kocha wzajemnie ojca do uwielbienia. Niema w niej ani śladu urazy za długoletnie zaniedbywanie jej.

— Ale niełatwe będzie miał zadanie — rzekła pośepnie Elżbieta. — Ilza zdziczała przez te 12 lat. Niełatwo będzie ją wychować porządnie.

— Miłość sprawia cuda — rzekła ciotka Laura łagodnie. — Ilza pragnie, rzecz jasna, przyjść cię ucałować, Emilko. Nie może się doczekać tej chwili. Ale musi poczekać, bo mogłaby się zarazić. Powiedziałam jej, żeby napisała do ciebie, ale ona mówi, że woli z tem poczekać również, aż będziesz mogła sama przeczytać jej pismo; nie chciałyby, żebyś ja ci je czytała. Widocznie — i znów zaśmiała się radośnie ciotka Laura — widocznie Ilza ma ci wiele różnych rzeczy do powiedzenia.

— Nie wiem, czy jest dużo ludzi tak szczęśliwych, jak ja obecnie — rzekła Emilka. — A przysięgam, ciotko Elżbieto, to takie przyjemne czuć znowu głód i mieć coś do *żucia*.

### 31.

#### WIELKA CHWILA W ŻYCIU EMILKI.

Rekonwalescencja Emilki postępowała bardzo powoli. Fizycznie odzyskiwała siły z normalną szybkością, ale pewne osłabienie duchowe i uczuciowe, pewna apatja, trwały nadal. Nie można bezkarnie

zstąpić do najtajniejszych otchłani życia i śmierci. Ciotka Elżbieta mówiła, że Emilka „grymasi”. Ale ona zbyt była spokojna i szczęśliwa, aby grymasić. Poprostu życie utraciło dla niej powab na pewien czas. Był to wynik wyczerpania energii żywotnej: baterja powoli napełniała się znowu prądem.

Teraz właśnie nie miała z kim się bawić. Perry, Ilza i Tadzio zachorowali na odrę wszyscy troje jednego dnia. Pani Kent od razu oświadczyła z goryczą, że Tadzio zaraził się od Emilki, lecz w istocie nabawili się oni epidemji w szkole niedzielnej, gdzie były również dzieci z Gęsiego Stawu. Cała Czarnowoda była zainfekowana, wszystkie dzieci niemal leżały chore. Tadzio i Ilza mieli lekki przebieg, ale Perry, który przy pierwszych objawach zażądał kategorycznie przeniesienia go do ciotki Tomaszowej, bliski był śmierci. Emilce nie powiedziano o grożącym mu niebezpieczeństwie, dopóki nie minęło, niemniej i wtedy wywarło to na niej wstrząsające wrażenie. Nawet ciotka Elżbieta była bardzo zmartwiona. Ze zdziwieniem stwierdziła, że Perry stał się tak nieodzowny w Srebrnym Nowiu.

Na szczęście dla Emilki spędzał Dean Priest ten właśnie smutny okres w Czarnowodzie. Jego towarzystwo było tem właśnie, czego potrzebowała. On pomagał jej odzyskać równowagę psychiczną. Chodzili razem na długie przechadzki za Czarnowodę. Tweed towarzyszył im stale. Zwiedzali zakątki, których Emilka nigdy przedtem nie widziała. Obserwowali co wieczór, jak księżyc z bladego stawał się coraz białszy, coraz większy. Patrzyli na wschodzące gwiazdy i Dean tłumaczył Emilce tajniki astronomiczne, wyja-

śniał, jakie są konstelacje, jakie mity są przywiązane do niektórych. Ale pierwszego dnia rekonwalescencji Tadzia, Emilka pobiegła do pani Kent na całe popołudnie, a Garbus Priest poszedł sam na przechadzkę, o ile wogóle poszedł..

Ciotka Elżbieta była dla niego ogromnie grzeczna, chociaż nie lubiła Priestów z Księżego Stawu i nigdy nie czuła się całkiem pewna siebie pod drwiącym spojrzeniem zielonych oczu „Garbusa”, które, jak się zdawało, nie doceniały dumy Murrayowskiej, ani — Murrayowskich tradycyj.

— On ma w sobie pychę Priestowską — mówiła do Laury — chociaż nie jest to w nim tak silnie zaakcentowane, jak u innych Priestów. Ale on dodatkowo oddziaływa na Emilkę, ona już się ożywiła znacznie od chwili jego przyjazdu.

Emilka ożywiła się w dalszym ciągu i we wrześniu, kiedy epidemja odry minęła, a Dean Priest wyruszył w jedną ze swych niespodziewanych podróży po Europie, gotowa była podjąć przerwana pracę szkolną na nowo. Była trochę wyższa, trochę szczuplejsza, trochę mniej dziecinna, miała wielkie szare oczy, stale podkrążone, oczy, które oglądały już zbliżoną śmierć i czytały w zamkniętej Księżce Cudów. To też był w nich jakiś blask, a raczej odbłask objawionego misterjum. Widział to Dean Priest; zobaczył to odrazu pan Carpenter, gdy uśmiechnęła się do niego z swego pulpitu.

— Dziecięcość duszy jest już za nią, jakkolwiek fizycznie jest ona jeszcze dzieckiem — mruknął.

Pewnego popołudnia październikowego zwrócił

się do niej całkiem nieoczekiwanie z prośbą o przeczytanie mu kilku jej wierszy.

— Nie mam zamiaru zachęcać cię do pisania wierszy — rzekł. — Prawdopodobnie nie umiesz pisać prawdziwej poezji i nigdy się tego nie nauczysz. Ale chcę się przekonać... Jeżeli to, co piszesz, jest beznadziejne, powiem ci to bez ogródek. Poco masz trać lata całe daremnie, przynajmniej jabym tem nie obarczył mego sumienia. A może uznam, że te niedoskonałe wiersze są dostateczną podstawą do nadziei na przyszłość.

Emilka spędziła tego dnia kilka godzin wielce uroczystych: wybierała, ważyła pro i contra, odrzucała. Dodała do cienkiej paczki wierszy jedną ze swoich nowel, którą zaliczał do najlepszych. Nazajutrz poszła do szkoły z miną tak tajemniczą i ważną, że Ilza obraziła się, zaczęła jej wymyślać i... wtem urwała. Ilza przyrzekła ojcu, że odczy się wymyślania i używania przezwisk. Rozmowa jej zaczynała się teraz zbliżać do wzorów Srebrno-Nowiowych.

Emilka źle się czuła tego dnia. Była zdenerwowana i stremowana. Miała wielki szacunek dla sądów pana Carpentera. Ojciec Cassidy powiedział jej, żeby pisała nadal, Dean Priest orzekł, że czasem będzie ona istotnie dobrą autorką, ale może jej tylko chcieli dodać otuchy, nie dotknąć jej zbyt boleśnie. Emilka wiedziała, że pan Carpenter tego nie uczyni. Dzień ten był zatem dniem ostatecznego wyroku w najważniejszej sprawie jej życia. Nic dziwnego, że ze drżeniem czekała na rozstrzygnięcie.

Po skończonych lekcjach rozkazał jej pan Carpenter, aby pozostała. Była tak blada, że wśród ko-

leżanek zapanowało mniemanie, iż czeka ją wielka nieprzyjemność: widocznie pan Carpenter przydybał ją na czemś okropnem poza szkołą. Rhoda Stuart uśmiechała się złośliwie od progu jeszcze, czego Emilka nie zauważyła zresztą. Cała była pochłonięta orzeczeniem, jakie padnie za chwilę z ust pana Carpentera.

Uczniowie i uczennice znikli z horyzontu. Pan Carpenter wyjął z szuflady papiery, wręczone mu przez Emilkę zrana i usiadł nawprost niej, patrząc bystro na dziewczynkę. Włożył szkła na nos i przystąpił do rozwijania pierwszej kartki. Emilka śledziła za każdym jego ruchem i z trudem panowała nad drżeniem rąk. Była to ciężka próba. Żałowała, że wręczyła te poezje panu Carpenterowi. Nie były dobre, rzecz jasna, że nie były dobre. Wystarczy wspomnieć owego wydawcę „Tygodnika”.

— Hm... — mruknął pan Carpenter. — „Zachód Słońca”... Boże mój, ileż to poematów napisano już na ten temat!

Chmury zbite w potężną masę

U nieba wrót zachodnich

Czekają tam, gdzie duchów tłum o gwiazdnych  
oczech...

Do licha, co to znaczy?

— Nie... nie wiem — wyjąkała Emilka, zmieszana ironicznym błyskiem jego źrenic.

— Na miłość Boską, dziecko, nie pisz tego, czego sama nie możesz zrozumieć. A to „Życie”. „O życie, od którego nie żądam tęczyowych blasków”... Czy to jest szczerze? Pomyśl, dziewczeczko! Zastanów się: czy rzeczywiście nie żądasz od życia „tęczyowych blasków”?

Emilka odzyskiwała równowagę. Niemniej zawstydzona się, stwierdzając, że wyraziła tu szumne, a nieprawdziwe życzenie.

— Nie — odrzekła powoli — pragnę tych blasków, czyli radości... bardzo wiele.

— Domyślam się. Wszyscy tego pragniemy. Nie jest to naszym udziałem przeważnie, ale nie bądźmy hypokrytami i nie twierdźmy, że nam tego nie potrzeba. A to tutaj? „Czerwiec”. Na miłość Boską, dziewczyno, nie pisz sonetów na cześć czerwca. To strasznie zużyty temat.

— Czerwiec jest nieśmiertelny — zawołała Emilka nagle, w oczach jej zamigotał wielki zapal. Postanowiła nie ustępować we wszystkim panu Carpenterowi.

Ale pan Carpenter odłożył „Czerwiec” bez czytania.

— „Zmęczona jestem głodnym światem” — co ty wiesz o głodnym świecie? Żyjesz dotychczas wśród starych drzew i starych panien. Świat jest głodny, ale ty o tem nie wiesz, więc to twierdzenie pod twym piórem jest sztuczne. „Oda do zimy”, hm, pory roku są istną odrazą młodych poetów... „Wiosna nie zapomni”... oto jest dobry wiersz, jedyny w tej odzie... „Magnes i wysiłek” — za dydaktyczne. Nie masz prawa jeszcze uczyć drugich. A ten wiersz:

Twarz jej blada była jak gwiazda, wschodząca  
a jasna,

— Czy spjrzałaś w zwierciadło, pisząc ten wiersz?

— Nie — odrzekła Emilka z oburzeniem.



— „Gdy światło poranku kołysze się nad wzgó-  
rzami jak chorągiew”, dobry obraz, dobry wiersz.

Och, żyć w taki poranek  
jest rozkoszą dla duszy...

— Zanadto ściągnięte z Wordswortha. „Pora-  
nek”, „Te wszystkie ciche trwogi, nawiedzające nas  
nocą...”, skąd wiesz, dziecko, o cichej trwodze, nawie-  
dzającej nas nocą?

— Coś wiem o tem — rzekła Emilka stanowczo,  
przypominając sobie swą pierwszą noc w Księżym  
Stawie.

— Ile masz lat, maleńka?

— Skończyłam 13 w maju.

— Hm! „Oda do infantki pani Jerzowej Irving”,  
musisz uważać na tytuły, Emilko, twoje są równie sta-  
romodne, jak świece w Srebrnym Nowiu. Ten wiersz  
wogóle nie wart jest szczegółowego czytania. „Wrze-  
sień”, zdaje mi się, że nie brak w twym zbiorze ani  
jednego miesiąca? Hm... cóż za mieszanina strasznych  
wierszy bez smaku, bez sensu, oraz wcale dobrych,  
zdradzających zdolności. Nadużywasz wyrazu „pur-  
pura”, Emilko.

— Ach, to takie cudne słowo!

— A zatem, Emilko, 10 dobrych wierszy na 400  
złych; 10 *stosunkowo* dobrych, reszta jest zawraca-  
niem głowy, ot i wszystko!

— Tak mi się też zdawało — rzekła Emilka sła-  
bym głósikiem.

Oczy jej zachodziły łzami, usta jej drżały. Nie  
mogła się opanować. Duma jej zbyt dotkliwie cier-  
piała pod tem nowem upokorzeniem. Czuła się, jak  
świeca, którą zgaszono brutalnie.

— Dlaczego płaczesz? — spytał pan Carpenter.

Emilka otarła łzy i usiłowała się uśmiechnąć.

— Przykro mi, że się panu... tak nie... podobają — wyjąkała.

— Czyż ci nie powiedziałem, że znalazłem 10 dobrych wierszy? Dziecko, dla 10 dobrych ludzi, dla 10 sprawiedliwych, miała być ocalona Sodom.

— Czy pan sądzi, że ostatecznie... — świeczka zapłonęła znowu.

— Naturalnie, że tak uważam. Jeżeli, mając 13 lat, zdołałaś stworzyć 10 dobrych wierszy, to mając lat 20 napiszesz ich 10 razy 10, czyli sto. Tylko nie myśl, że jesteś genjuszem. Niemniej jest w tobie pewna iskierka, którą należy szanować. Musisz bardzo usilnie pracować. A to co jest?

Emilka z bijącym sercem podawała mu jedną z ksiąg od Jimmy'ego. Już była szczęśliwa, rozpromieniona, już się widziała znowu wielką autorką. Już widziała swe nazwisko, wydrukowane grubymi czcionkami: „Emilja B. Starr”, wybitna poetka; „E. Byrd Starr, obiecująca młoda powieściopisarka”...

Zbudził ją z marzeń chichot pana Carpentera. Emilka ciekawa była, z czego on się tak śmieje. Nie przypuszczała, żeby było cokolwiek śmiesznego w tej nowelce.

— A więc przypuszczasz, że ja nieładnie wyglądam, kiedy odmawiam pacierze? — spytał pan Carpenter, wyraźnie ubawiony.

Emilka patrzyła na niego, zdumiona. Wreszcie zrozumiała: dała mu nie tę księgę, którą zamierzała mu wręczyć. Ta zawierała szkice, obrazki z natury, a przede wszystkim opis mieszkańców Czarnowody,

między innymi jego opis, pana Carpentera! Był to znakomity szkic, pan Carpenter był w nim odmalowany świetnie, żył w nim. Emilka nie wiedziała o tem, ale on wiedział dobrze, widział siebie, niczem w zwierciadle. Były tu zdania wręcz zastanawiające: — „On wygląda, jakgdyby umiał wiele rzeczy, z których nigdy nie będzie miał pożytku”. „Sądzę, że on nosi to czarne ubranie poniedziałkowe dlatego, żeby mieć złudzenie, że nigdy nie pił”. Skąd ta smarkata wzięła tę przenikliwość, te określenia?

— Strasznie mi przykro! — rzekła Emilka, zaczerwieniona i zmieszana.

— Dlaczego, wolę to, niż tę całą poezję, bez której byłbym się obszedł. To jest dopiero literatura w najlepszym znaczeniu wyrazu. A pomyśleć na dobitkę, że masz lat 13! Emilko, powiedz mi, dlaczego piszesz? Podaj mi twoje pobudki.

— Piszę, ażeby być sławną i bogatą — rzekła Emilka chłodno.

— Czy to są jedyne przyczyny?

— Nie. Ja ogromnie lubię pisać.

— Lepszy powód, ale niewystarczający. Powiedz mi, czy pisałaś również, gdybyś była bardzo biedna, taka, jak mysz kościelna, gdybyś wiedziała, że nikt nie przeczyta nigdy tego, co piszesz?

— Naturalnie, że pisałabym — odrzekła Emilka wzgardliwie. — Muszę pisać, nie mogę się temu oprzeć, to jest jakaś moc silniejsza ode mnie...

— W takim razie dobrze jest! Wspinaj się na szczyty, dziecko! Wznos się coraz bardziej, nie ustawaj w pracy. Chcę być dumny za 30 lat, jako staruszek, że Emilja Byrd Starr była moją uczennicą. Idź

już, idź, zanim sobie przypomnę co za pozbawione szacunku spostrzeżenia wypisujesz o mnie i zanim się porządnie rozgniewam...

Emilka poszła, trochę jeszcze wzruszona i zmieszana, ale rozradowana poprzez strach i zażenowanie. Zdawało jej się, że cały świat promienieje jej radością. Pan Carpenter patrzył za nią, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

— Cóż za natura! — szeptał. — To dziecko posiada to, czego ja nigdy nie miałem, a za co byłbym oddał życie. Ale „bogowie nie pozwalają nam być ich dłużnikami”, więc i ona zapłaci za ten dar, zapłaci...

O zachodzie słońca siedziała Emilka w swoim pokoju. W powietrzu słychać było miliony poszeptów i dźwięków. Na dole Pierwiosnek uganiał się za zeschniętymi liśćmi. Ruchy miał śliczne, pełne gracji i giętkości. Śledzenie za nim sprawiało jej przyjemność, podobnie jak gładka powierzchnia skoszonych łąk i pól, podobnie jak ta blada gwiazdeczka na czystym, błękitnym stropie.

Jesienny wiatr przynosił „babie lato” ze świata dobrych wrózek, z za wzgórz. Z gajku Wysokiego Jana dolatywały śmiechy, przypominające śmiech faunów. Tam czekali na nią Ilza, Tazio i Perry. Przygotowali jakiś scenariusz na wieczór. Pójdzie do nich; wkrótce, jeszcze nie teraz. Tak była przepełniona wzruszeniem, że musiała to wypisać, zanim powróci ze świata swych marzeń do rzeczywistości. Ongi byłaby wlała ten nadmiar w list do ojca. Tego już nie mogła uczynić. Ale na stole leżała przed nią nowiutka księga od Jimmy’ego. Przysunęła ją, wzięła

do ręki pióro i napisała na pierwszej, dziewiczej stronie:

Srebrny Nów,  
Czarnowoda,

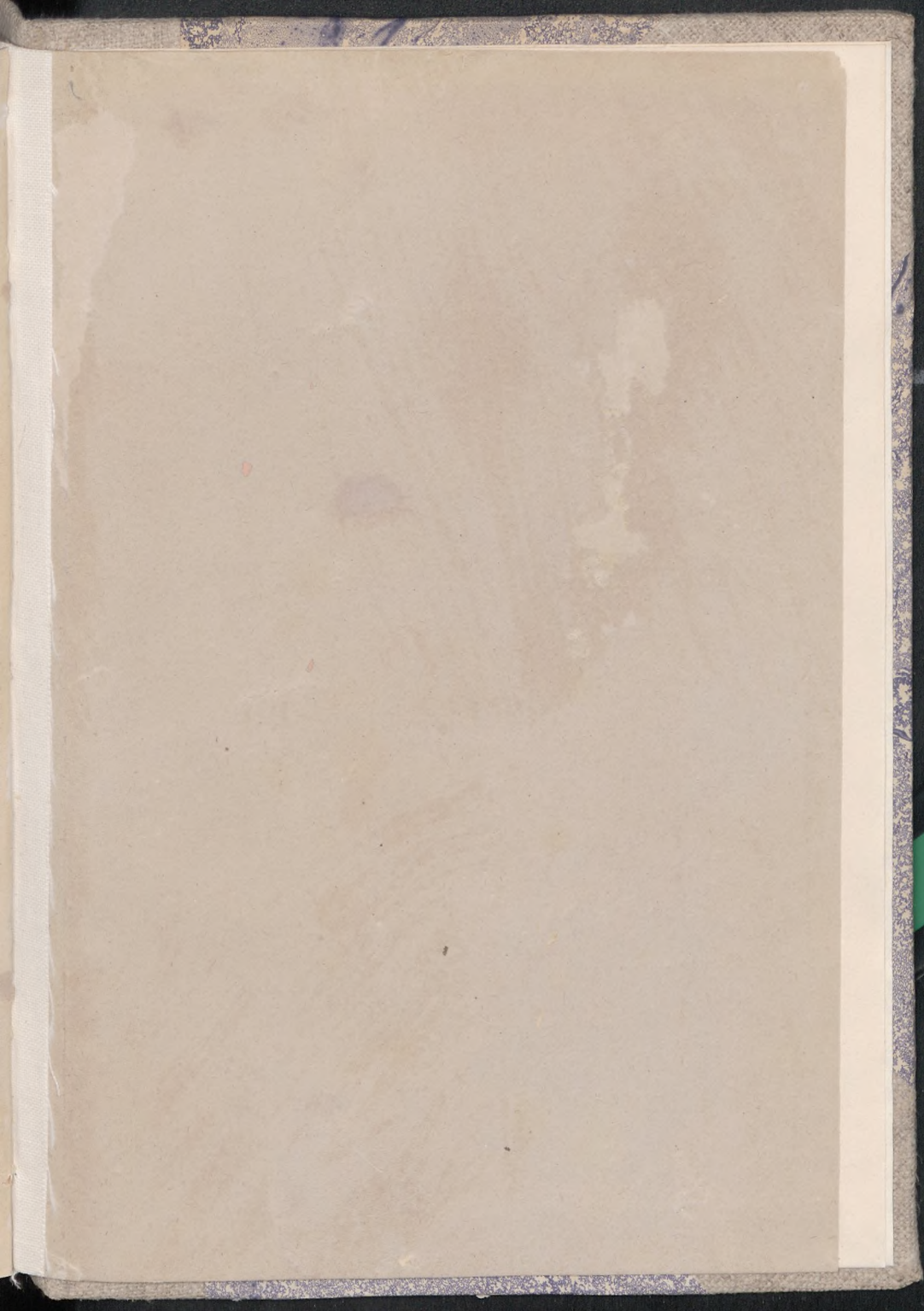
8 października.

Będę pisać dziennik, który zostanie ogłoszony  
drukiem, gdy już mnie nie będzie na świecie.

K O N I E C



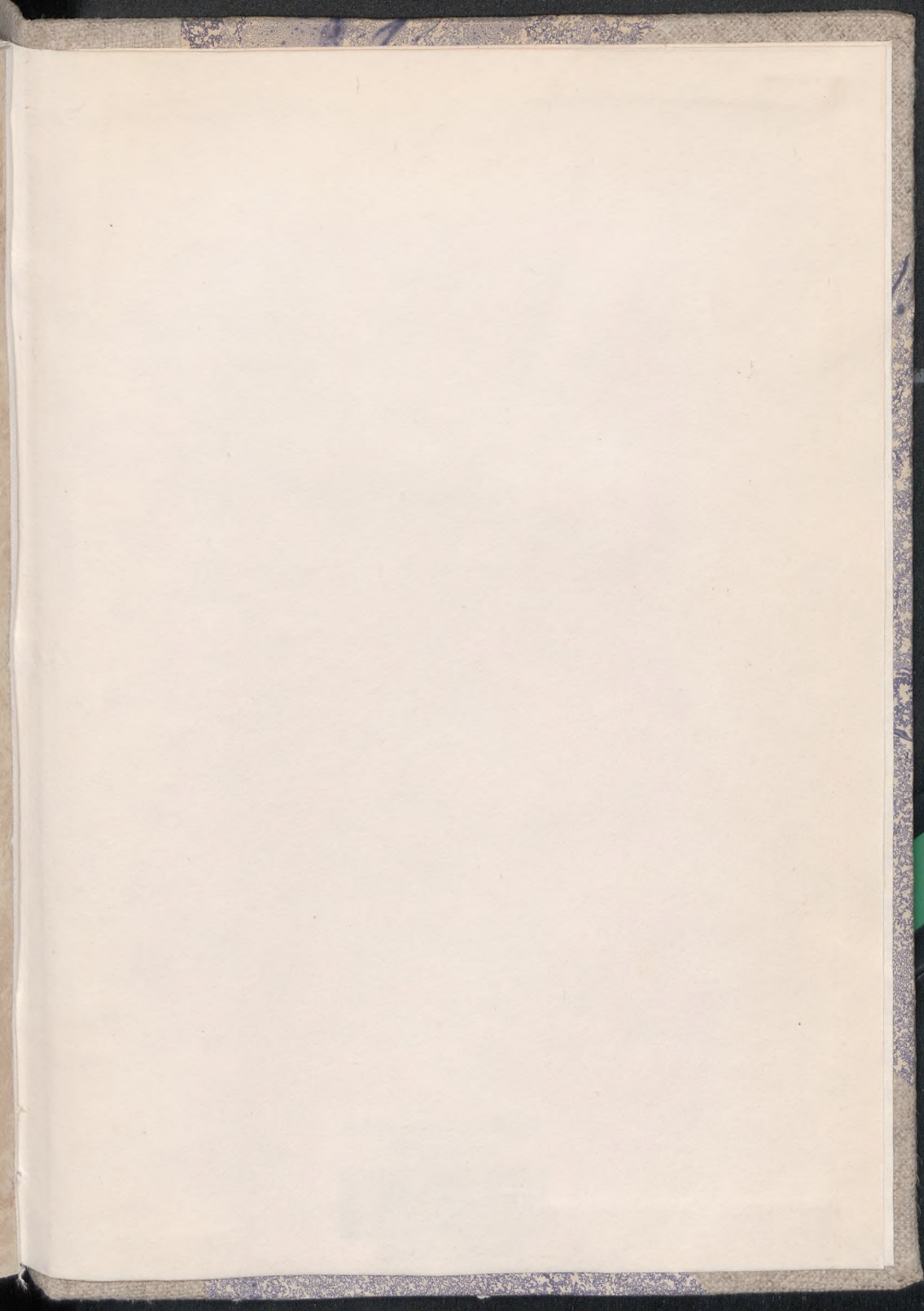
Marcinkowski Piotr  
Ura 29.11.91  
-200.000,-

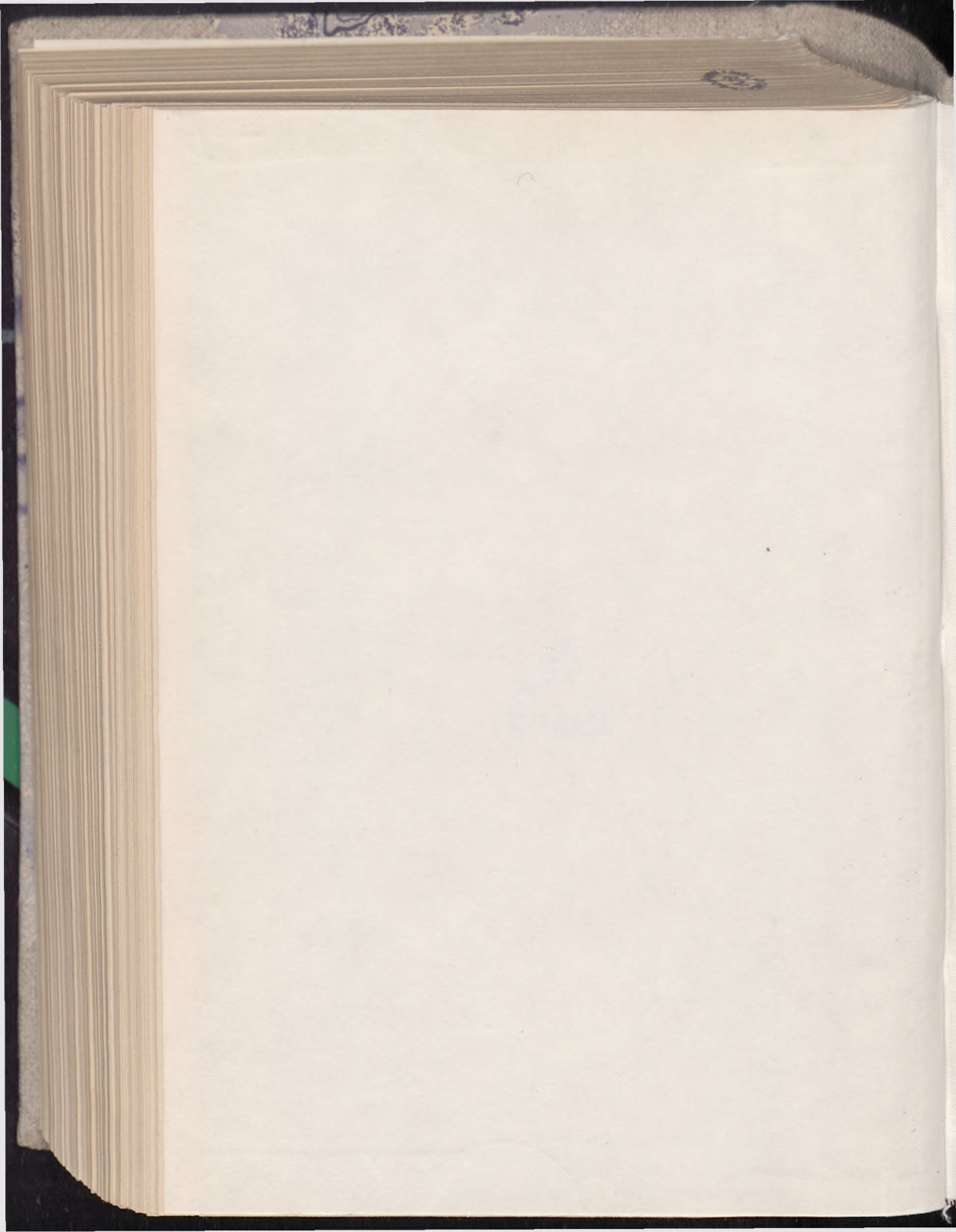




Druk „Express”  
Warszawa







Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001021686380



1468302

zdj

BIBLIOTEKA  
NARODOWA